



Tracy Chevalier



**BŁĘKITNA
SUKIENKA**

Tak jak kolorowi żółtemu zawsze towarzyszy światło, tak - możemy powiedzieć - łagodność błękitu zawiera w sobie jądro ciemności. Ten kolor oko odbiera w sposób szczególny i niemal nieopisywalny. To bardzo mocna, zdecydowana barwa, lecz ma w sobie pewien odcień negatywny, a jej niezwykła czystość rodzi jakby sprzeciw. Ponadto zjawisko owo stanowi swego rodzaju antynomię, z jednej strony wzbudzając niepokój, z drugiej przynosząc błogie ukojenie.

Goethe, „Teorie kolorów”

RS

Rozdział 1

DZIEWICA

Nosiła imię Isabelle; gdy była małą dziewczynką, jej włosy w zgoła nagły i nieoczekiwany sposób zmieniły barwę.

Tamtego lata diuk de l'Aigle sprowadził z Paryża posąg Matki z Dzieciątkiem oraz kubek farby do pomalowania niszy nad kościelnymi drzwiami. Z tej okazji urządzono we wsi uroczystość. Isabelle siedziała u stóp drabiny, obserwując, jak Jean Tournier maluje niszę na kolor czystego wieczornego nieba. Kiedy skończył, słońce wyjrzało zza ściany obłoków i tak rozświetliło błękit, że Isabelle zaplotła ręce na karku i przycisnęła łokcie do piersi. Blask opromienił jej głowę miedzianą aureolą, która pozostała tam nawet wówczas, gdy słońce z powrotem skryło się za chmury. Od tamtej pory nazywano ją La Rousse, tak jak Maryję Niepokalaną Dziewicę.

Przydomek utracił znaczenie kilka lat później, kiedy monsieur Marcel przybył do wioski z rękami poplamionymi taniną oraz słowami zapożyczonymi od Kalwina. W pierwszym kazaniu, wygłoszonym w lesie z dala od uszu księdza, oznajmił im, że Dziewica zasłania drogę do Prawdy.

- La Rousse została zbezczeszczona posągami, świecami i błyskotkami. Jest nieczysta! - wykrzyknął. - Stoi pomiędzy wami a Bogiem!

Oczy zebranych spoczęły na Isabelle. Dziewczynka zacisnęła palce na ramieniu matki.

Skąd wie, pomyślała. Przecież ona powiedziała tylko *maman*.

Matka nie zdradziłaby mu, że właśnie tego dnia Isabelle po raz pierwszy dostała krwawienia i teraz miała zwiniętą szmatkę między nogami oraz bolesną kulę w brzuchu.

Les fleurs, nazwała to matka, kwiecie od Boga, dar, który musiała zachować w sekrecie, albowiem wyróżniał ją spośród innych. Isabelle popatrzyła na mamę, która spoglądała gniewnie na monsieur Marcela i otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Isabelle ścisnęła jej rękę i wargi *maman* zamieniły się w wąską kreskę.

Potem ruszyła do domu, idąc pomiędzy *maman* i siostrą Marie, bracia bliźniacy

podążali z tyłu nieco wolniejszym krokiem. Pozostałe dzieci zrazu trzymały się z daleka, szepecząc między sobą. Naraz, nie mogąc dłużej oprzeć się ciekawości, jeden z chłopców podbiegł bliżej i chwycił Isabelle za włosy.

- Słyszałaś, La Rousse? Jesteś nieczysta! - krzyknął.

Isabelle pisnęła. Petit Henri i Gérard skoczyli na pomoc, uszczęśliwieni, że wreszcie mogą się na coś przydać.

Następnego dnia, na długo przed swymi rówieśniczkami, Isabelle włożyła na głowę zawój, kryjąc przed światem kasztanowe kosmyki.

Nim skończyła czternaście lat, na nasłonecznionym miejscu opodal domu wyrosły dwa cyprysy. Petit Henri i Gérard za każdym razem szli po nie aż do Barre-les-Cévennes, miejsca oddalonego o dwa dni drogi.

Pierwsze drzewko należało do Marie. Miała tak wielki brzuch, że miejscowe kobiety przekonywały, iż z całą pewnością urodzi bliźnięta, lecz uważne palce *maman* wymacały tylko jedną dużą główkę. *Maman* nie kryła niepokoju.

- Szkoda, że to nie bliźnięta - mruknęła do Isabelle. - Byłoby jej łatwiej.

Gdy przyszedł czas rozwiązania, odprawiła wszystkich mężczyzn: męża, ojca, braci. Noc była przejmująco zimna, silny wiatr nawiewał śnieg na dom, kamienne ogrodzenie, kupki suchego żyta. Mężczyźni nie kwapili się, by opuścić ciepłe domostwo. I choć kwik zarzynanych prosiąt nie robił na nich żadnego wrażenia, wypłoszył ich pierwszy krzyk Marie.

Isabelle pomagała już matce przy porodach, zawsze jednak w obecności innych kobiet, które przychodziły śpiewać i snuć opowieści. Teraz ziąb zatrzymał je w domu, Isabelle i *maman* były same. Isabelle patrzyła na siostrę unieruchomioną pod wielkim brzuchem, drżącą, spoconą i rozkrzyczaną. Na ściągniętej twarzy matki malował się wyraz troski, prawie się nie odzywała.

Przez całą noc Isabelle trzymała Marie za rękę, ścisnęła jej palce podczas skurczów i ocierała czoło wilgotną szmatką. Modliła się, błagając skrycie Maryję i świętą Małgorzatę o opiekę nad siostrą. Towarzyszyło jej nieustające poczucie winy: monsieur Marcel utrzymywał, że Dziewica i święci są bezsilni i nie należy wzywać ich na pomoc. Tak więc jego słowa nie dodawały jej teraz otuchy. Liczyły się tylko stare modlitwy.

- Główka jest zbyt duża - zawyrokowała wreszcie *maman*. - Musimy ciąć.

- Nie, *maman* - wyszeptały jednocześnie Marie i Isabelle.

W rozszerzonych oczach Marie malował się zwierzęcy strach. Desperacko znów zaczęła przec, dysząc i szlochając. Isabelle usłyszała trzask pękającej skóry; Marie wrzasnęła, po czym zwiotczała, szara na twarzy. W strumieniu krwi pojawiła się czarna, zniekształcona główka, a gdy *maman* wyciągnęła dziecko, było już martwe, z pępowiną ciasno okręconą wokół szyi. Dziewczynka.

Wrócili mężczyźni zwabieni widokiem ognia. Dym z zakrwawionego siennika wzbił się wysoko w poranne powietrze.

Pochowali matkę i dziecko w słonecznym zakątku, gdzie Marie lubiła przesiadywać w ciepłe dni. Cyprys posadzili na wysokości jej serca.

Krew pozostawiła na podłodze blady ślad, którego w żaden sposób nie dało się zmyć.

Drugie drzewo zostało posadzone następnego lata.

Był zmierzch, godzina wilków, zła pora na samotne wędrówki kobiet. *Maman* i Isabelle odebrały poród w Felgérolles. Matka i noworodek przeżyli, przerywając śmiertelną passę zapoczątkowaną przez Marie i jej dziecko. Długo zwlekały z odejściem, doglądając matki i maleństwa i słuchając śpiewu oraz pogaduszek; gdy słońce skryło się za Mont Lozère, *maman* machnięciem ręki zbyła przestrogi oraz namowy na skorzystanie z noclegu i ruszyły w drogę powrotną.

Wilk leżał w poprzek ścieżki, jakby na nie czekał. Przystanęły i przeżegnały się, odłożywszy sakwy na ziemię. Zwierzę ani drgnęło. Przez chwilę obserwowały je, następnie *maman* uniosła sakwę i postąpiła krok do przodu. Wilk wstał; pomimo ciemności Isabelle zobaczyła, że jest wychudzony i ma sparszywiałą sierść. Oczy jaśniały mu jak świeczki, poruszał się chwiejnie. Dopiero gdy znalazł się tak blisko, że *maman* mogła dotknąć brudnego futra, Isabelle dostrzegła pianę na jego paszczy i zrozumiała. Wszyscy widzieli zwierzęta dotknięte szaleństwem: psy biegające bez celu, ze strzępami piany na pyskach i stłumionym ujadaniem. Unikały wody: nie licząc siekiery, pełne wiadro stanowiło najpewniejszą ochronę przed ich atakiem. *Maman* i Isabelle miały przy sobie tylko zioła, płótno i nóż.

Kiedy skoczył, *maman* odruchowo uniosła rękę, przedłużając sobie życie o dwadzieścia dni, choć potem miała żałować, iż wilk szybko i litościwie nie rozszarpał jej gardła. Gdy zwierzę opadło na ziemię, po ramieniu *maman* ciekła krew. Obrzuciwszy

Isabelle przelotnym spojrzeniem, wilk bezszelestnie rozpląnął się w mroku.

Podczas gdy *maman* opowiadała mężowi i synom o wilku ze świeczkami w oczach, Isabelle przemyła ranę wodą zagotowaną z tasznikiem pospolitym i obłożywszy ją pajęczyną, obandażowała ramię. *Maman* nie chciała odpoczywać; uparła się, by zrywać śliwki i pracować w ogrodzie, ignorując prawdę zawartą w wilczych oczach. Po pierwszym dniu przedramię spuchło jej do grubości ramienia, a miejsce dokoła rany oblekła czerń. Isabelle usmażyła omlet, dodała do niego rozmaryn i szalwię, po czym odmówiła cichą modlitwę. Następnie zaniósła go matce i zaczęła płakać. *Maman* wzięła od niej talerz i zjadła, starannie przeżuując każdy kęs. Obracała na języku śmiertelny smak szalwii i nie odrywała wzroku od Isabelle, dopóki omlet nie zniknął z talerza.

Piętnaście dni później piła wodę, gdy naraz jej przełyk odpowiedział gwałtownym skurczem i zawartość kubka zalała cały przód sukni. Spojrzawszy na czarną plamę na piersi, *maman* usiadła w słońcu na ławce przy drzwiach.

Gorączka nadeszła szybko. Isabelle miała nadzieję, że śmierć okaże się równie wspaniałomyślna. Ale *maman* walczyła, pocąc się i krzycząc w agonii przez cztery dni. Ostatniego dnia, kiedy ksiądz z Le Pont de Montvert przyjechał udzielić ostatniego namaszczenia, Isabelle opluła go i zagroziła mu drogę miotłą. Wpuściła dopiero monsieur Marcela.

Cztery dni później bliźniacy powrócili z drugim cyprysem.

Tłum zebrany przed kościołem nie przywykł do zwycięstwa, nie wiedział też, jak należy je uczcić. Trzy dni temu ksiądz wreszcie dał za wygraną. Byli pewni, że odszedł - drzeworytnik Pierre La Forêt wysłał go do miejsca oddalonego o mile stąd, pozwalając mu zabrać ze sobą to, co mógł unieść.

Wczesny śnieg pokrył równe miejsca cienką warstwą, spod której przebijały gdzieniegdzie liście i kamienie. Zanosiło się na dalsze opady, niebo w kierunku północy, za wierzchołkiem Mont Lozère, miało barwę cyny. Granitowe płyty kościelnego dachu pokrywała smuga bieli. Budynek był pusty. Od zbiorów nie odprawiono tu żadnej mszy: frekwencja spadała proporcjonalnie do rosnącego wpływu monsieur Marcela i jego zwolenników.

Isabelle stała w grupie sąsiadów i słuchała monsieur Marcela, który przechadzał się przed drzwiami. Czarny strój i srebrne włosy nadawały mu surowy wygląd. Tylko czerwone

ręce zadawały kłam władczej postawie, przypominając, że w końcu jest tylko zwykłym szewcem.

Gdy przemawiał, spoglądał w przestrzeń ponad głowami tłumu.

- To miejsce kultu stało się areną zepsucia. Teraz jest w bezpiecznych rękach. W waszych rękach. - Wskazał przed siebie, jak gdyby rozsiewał dokoła ziarno.

Z gardeł gawiedzi dobył się stłumiony pomruk.

- Należy je oczyścić - podjął monsieur Marcel. - Oczyścić z grzechu i fałszywych bożków.

Machnął ręką w stronę stojącego z tyłu budynku. Isabelle podniosła wzrok na Dziewicę; błękit za posągiem spłowieł, lecz nadal wywierał na niej nieodparte wrażenie. Zdążyła dotknąć czoła i piersi, nim uświadomiła sobie, co robi, i znieruchomiała, nie dokończywszy znaku krzyża. Rozejrzała się, chcąc sprawdzić, czy ktoś zauważył jej gest. Lecz ludzie stojący dokoła patrzyli na monsieur Marcela, wołając za nim, gdy ruszył na wzgórze, ku spiętrzonej warstwie ciemnych chmur. Spracowane ręce splótł za plecami. Nie obejrzał się ani razu.

Po jego odejściu tłum ogarnęło podniecenie, wrzaski przybrały na sile. Ktoś krzyknął: „Okno!”. Inni podchwycili okrzyk. Nad drzwiami widniało nieduże, okrągłe okno z jedną szybą, jaką kiedykolwiek przyszło im oglądać. Diuk de l'Aigle kazał je wprawić pod niszą trzy lata temu, niedługo przed tym, jak otworzył serce na Prawdę Kalwina. Z zewnątrz wydawało się mętne i brunatne, od środka jednak jaśniało zielenią, żółcią i błękitem, a w ręku Ewy czerwieniała nieduża plamka. Grzech. Isabelle od dawna nie była w kościele, lecz doskonale pamiętała scenę przedstawioną na witrażu: pożądliwość na twarzy Ewy, uśmiech węża, wstyd Adama.

Gdyby ujrzeli ją ponownie, rozświetloną barwami niczym łąka gęsto usiana letnim kwieciem, jej urok mógłby ocalić witraż. Lecz słońce kryło się za chmurami, a wrota kościoła były zamknięte na głucho: ksiądz zabezpieczył je wielką kłódką. Widzieli coś takiego po raz pierwszy w życiu; garstka mężczyzn obejrzała mechanizm z bliska, niepewna jego działania. Należałoby sforsować rygiel siekierą, ostrożnie, aby nie zniszczyć kłódki.

Powstrzymywała ich jedynie świadomość wartości okna. Stanowiło własność diuka, któremu oddawali trzecią część swoich zbiorów w zamian za protektorat i gwarancję przychylności króla. Okno i posąg ofiarował im w darze. Mógł nadal je cenić.

Nikt nie umiał powiedzieć na pewno, kto pierwszy rzucił kamieniem, chociaż potem znalazło się wielu skłonnych przypisać sobie tę zasługę. Kamień trafił w środek okna i roztrzaskał je w drobny mak. Odgłos był tak dziwny, że gawiedź ucichła. Po raz pierwszy słyszała trzask rozbijanej szyby.

W ogólnej ciszy jakiś chłopiec podbiegł do odłamków szkła, podniósł jeden, po czym rzucił go ze skowytom.

- Ugryzł mnie! - wrzasnął, unosząc zakrwawiony palec.

Ponownie wybuchło zamieszanie. Matka chłopca przycisnęła go do siebie.

- Diabeł! - krzyknęła. - To był diabeł!

Etienne Tournier, z włosami o barwie palonego siana, wystąpił naprzód z długimi grabiami. Zerknął przez ramię na swego starszego brata, Jacques'a, który skinął głową. Etienne popatrzył na posąg.

- La Rousse! - krzyknął.

Tłum drgnął, ustępując na boki. Dokoła Isabelle zrobiło się pusto. Etienne odwrócił się z uśmiechem na twarzy, spoglądając natarczywie na dziewczynę jasnoniebieskimi oczami.

Przesunął dłonie po trzonku i uniósł grabie, tak że metalowe zęby zawisły chybotliwie tuż przed nosem Isabelle. Odwzajemniła jego spojrzenie. Gawiedź ucichła. Wreszcie Isabelle ujęła grabie; kiedy tak trzymali je z obu stron, poczuła nieoczekiwany żar w podbrzuszu.

Etienne z uśmiechem puścił narzędzie, trzonek stuknął o ziemię. Isabelle przesunęła rękami po grabiach, po czym ujęła trzonek i stanęła obok Etienne'a. Kiedy przeniosła wzrok na Dziewicę, mężczyzna cofnął się o krok i odszedł. Isabelle czuła oddech napierającego tłumu, a zewsząd dobiegały niespokojne pomruki.

- Dalej, La Rousse! - krzyknął ktoś. - Zrób to!

Bracia Isabelle stali z oczami utkwionymi w ziemię. Ojca nie widziała, lecz nawet gdyby tam był, i tak nie mógłby jej pomóc.

Wzięła głęboki oddech i uniosła grabie. Okrzyk, który jednocześnie wzbił się w górę, sprawił, że zadrżała jej ręka. Oparła metalowe zęby na lewo od niszy i potoczyła wzrokiem po rzeszy czerstwych, rumianych twarzy, jakże teraz obcych i bezlitosnych. Ponownie uniosła grabie i podparwszy nimi podstawę figury, z całej siły pchnęła. Posąg nawet nie drgnął.

Pchnęła mocniej; okrzyki zabrzmiały donośniej i łzy zapiekły ją pod powiekami. Dzieciątko wpatrywało się w odległe niebo, lecz Isabelle czuła na sobie nieruchome spojrzenie Dziewicy.

Wybacz - szepnęła. Następnie cofnęła grabie i z całej siły zamachnęła się na figurę. Metal uderzył w kamień z głuchym łoskotem, odłupując twarz Dziewicy i obsypując Isabelle deszczem odłamków ku nieopisanej ucieście tłumu. Desperacko zamachnęła się ponownie. Cios skruszył zaprawę i posąg zakołysał się.

- Jeszcze raz, La Rousse! - wrzasnęła jakaś kobieta.

Nie dam rady, pomyślała Isabelle, lecz widok czerwonych twarzy kazał jej znów unieść grabie. Figura rozbijała się na boki, kobieta bez twarzy zakołysała w ramionach przytulone dziecko, po czym przechyliła się do przodu i runęła w dół. Głowa uderzyła w ziemię i rozłupała się na kawałki, to samo uczyniła reszta posągu. W wyniku wstrząsu Dzieciątko oddzieliło się od matki i legło na ziemi z twarzą zwróconą ku górze. Isabelle upuściła grabie i zasłoniła rękami twarz. Rozległy się gwizdy i wiwaty, tłum ruszył naprzód i otoczył zniszczony posąg.

Kiedy Isabelle oderwała dłonie od twarzy, ujrzała na wprost siebie Etienne'a. Uśmiechnął się triumfalnie, po czym wyciągnął ręce i ścisnął jej piersi. Następnie przyłączył się do gawiedzi i począł wraz z innymi obrzucać łajnem błękitną niszę.

Nigdy więcej nie zobaczę tego koloru, pomyślała.

Petit Henri i Gérard bez trudu dali się namówić. I choć Isabelle obwiniała monsieur Marcela, w głębi duszy wiedziała, że poszliby tak czy siak, nawet bez jego miódopłynnych słów.

- Bóg się do was uśmiechnie - oznajmił uroczyście. - Wybrał was, abyście wzięli udział w tej wojnie i walczyli za waszego Boga, waszą religię i waszą wolność. Wróćcie pełni siły i odwagi.

- O ile w ogóle wróćcie - mruknął gniewnie Henri du Moulin.

Tylko Isabelle usłyszała jego słowa. Dzierżawił dwa pola żyta, dwa ziemniaków oraz spory zagajnik kasztanów. Hodował świnie i stadko kóz. Potrzebował synów; pomoc córki nie wystarczała, by utrzymać gospodarstwo.

- Obsięję mniej ziemi - oznajmił Isabelle. - Wystarczy nam jedno pole żyta, sprzedam parę kóz i świń, jedno pole ziemniaków będzie jak znalazł. Po powrocie bliźniaków znów

będę mógł uzupełnić trzode.

Oni nie wrócą, pomyślała. Widziała w ich oczach ten blask, gdy wraz z innymi młodzieńcami z Mont Lozère opuszczali wioskę. Pojadą do Tuluzy, Paryża, a potem Genewy, żeby zobaczyć Kalwina. Pojadą do Hiszpanii, gdzie ludzie mają czarną skórę, albo nad ocean leżący na skraju świata. Ale tutaj, o nie, tutaj nie wrócą na pewno.

Któregoś wieczoru, kiedy ojciec siedział przy ogniu, ostrząc lemiesz, zebrała się na odwagę.

- Tato - zaryzykowała. - Mogłabym wyjść za męża. Zamieszkalibyśmy z tobą i ci pomogli.

Powstrzymał ją jednym krótkim pytaniem:

- Za kogo? - Osełka zastygła na ostrzu.

Rytmiczny zgrzyt kamienia o metal ucichł, pograżając izbę w niezmaconej ciszy.

Odwróciła głowę.

- Zostaliśmy sami, ty i ja, *ma petite*. - Głos ojca zabrzmiał łagodnie. - Ale Bóg jest łaskawszy, niż myślisz.

Isabelle nerwowo uniosła rękę do szyi. Jeszcze czuła w ustach smak hostii, suchego chleba, który tkwił w przełyku długo po tym, jak go połknęła. Etienne szarpnął za zawój na jej głowie. Odszukawszy koniec, owinał go sobie dokoła dłoni i mocno pociągnął. Isabelle zaczęła się obracać: uwolnione włosy smagały powietrze, przed oczami mignął jej posępny uśmiech Etienne'a, a potem ojcowskie kasztany o małych zielonych owocach.

Wreszcie potknęła się i odzyskawszy równowagę, popatrzyła na Etienne'a z wahaniem. Stała twarzą do niego, ale cofnęła się o krok. Dopadł ją dwoma susami, podciął jej nogi i legł na niej całym ciężarem. Jedną ręką zadarł Isabelle sukienkę, drugą zaś zanurzył w rudych włosach, przeczesując je rozpostartymi palcami jak grzebieniem, do samych końców, i owijając dokoła dłoni, podobnie jak przed chwilą zawój. Wreszcie jego pięść spoczęła na karku Isabelle.

- La Rousse - wymamrotał. - Tak długo mnie unikałaś. Jesteś gotowa?

Isabelle zawahała się, po czym kiwnęła głową. Etienne pociągnął za rude włosy, odchylając jej głowę w tył, aby dosięgnąć ust.

Przecież jeszcze mam w ustach komunię Zesłania Ducha Świętego, przeszło jej przez myśl. To grzech.

Tournierowie byli jedyną rodziną pomiędzy Mont Lozère i Florac, która posiadała Biblię. Isabelle widywała księgę podczas mszy kiedy to Jean Tournier niósł ją owiniętą w płótno i z namaszczeniem wręczał monsieur Marcelowi. Nie spuszczał z niej zazdrosnego spojrzenia. Drogo go kosztowała.

Monsieur Marcel zaplatał palce i kładł księgę w kołysce ramion opartą o krągłość wydatnego brzucha. Czytając, kołysał się na boki jak pijany, choć Isabelle wiedziała, że to niemożliwe, gdyż zabronił spożycia wina. Oczy biegały mu w obie strony, a z ust płynęły słowa, chociaż nie było wiadomo, jak się tam dostały.

Z chwilą gdy w starym kościele ogłoszono Prawdę, monsieur Marcel kazał sprowadzić Biblię z Lyonu, a ojciec Isabelle sklecił do niej drewnianą podpórkę. Biblia rodziny Tournier spoczęła w bezpiecznym miejscu, Etienne zaś nie przestawał się nią chwalić.

- Skąd pochodzą słowa? - zapytała go któregoś dnia Isabelle po mszy, nie zważając na ciekawskie spojrzenia oraz jawne niezadowolenie Hannah, matki Etienne'a. - W jaki sposób monsieur Marcel wydobywa je z Biblii?

Etienne bawił się kamieniem, który teraz cisnął w pobliską stertę liści.

- Same wylatują - oznajmił z przekonaniem. - On otwiera usta i czarne znaczki ze stronicy wpadają mu do środka tak prędko, że nie zdążysz ich dostrzec. A potem je wypluwa.

- Umiesz czytać?

- Nie, ale umiem pisać.

- Co?

- Umiem napisać swoje imię. Twoje też - dodał konspiracyjnie.

- Pokaż. Naucz mnie.

Etienne uśmiechnął się, na wpół obnażając zęby. Chwycił ją za spódnicę i pociągnął.

- Nauczę cię, ale musisz mi zapłacić - odparł cicho i zmrużył oczy, tak że błękit tęczówek stał się prawie niewidoczny.

I znowu Grzech: szelest liści kasztanów w uszach, strach i ból, a zarazem podniecenie płynące z dotyku twardej ziemi i ciężaru jego ciała.

- Dobrze - odrzekła wreszcie, odwracając wzrok. - Ale najpierw mi pokaż.

Potajemnie wyniósł z domu przybory do pisania: pióro pustułki z przyciętą i

zaostrzoną końcówką, kawałek pergaminu wydarty z Biblii, suszony grzyb, który w połączeniu z wodą przybierał czarną barwę. Następnie zaprowadził ją na wzgórze, z dala od gospodarstw, do płaskiej granitowej skały, sięgającej Isabelle do pasa.

Tam w cudowny sposób skreślił sześć znaczków tworzących litery ET.

Isabelle popatrzyła na nie uważnie.

- Chcę napisać swoje imię - powiedziała.

Etienne wręczył jej pióro i stanął tuż za nią, przywierając ciałem do jej pleców. Poczula twardą krawędź skały na brzuchu i przeszył ją dreszcz podniecenia. Ujawszy jej rękę, Etienne poprowadził ją najpierw do inkaustu, a następnie do pergaminu, gdzie wyrysowała kolejnych sześć znaczków. ET. Isabelle porównała oba wyrazy.

- Przecież są identyczne - zaproponowała ze zdziwieniem. - Jak to możliwe, że nasze imiona zapisuje się tak samo?

- Ty je napisałaś, zatem to twoje imię. Nie wiedziałaś? Cokolwiek napiszesz, należy do ciebie.

- Ale... - Urwała, rozchylając usta, w oczekiwaniu, że znaczki wlecą do środka.

Kiedy jednak przemówiła, z jej ust padło imię Etienne'a.

- Pora na zapłatę - oznajmił ten z uśmiechem.

Pchnął ją na skałę, stanął za nią i zadarłszy jej spódnicę, opuścił spodnie. Rozchylił kolanami nogi Isabelle i oparł dłoń na jej plecach, by wejść w nią jednym, silnym pchnięciem. Czując jego ruchy, Isabelle uchwyciła się mocniej głazu. Mężczyzna z okrzykiem wtargnął w nią, przyciskając mocno do skały twarz i piersi dziewczyny.

Gdy skończył, Isabelle wyprostowała się chwiejnie. Pergamin oderwał się od policzka i sfrunął na ziemię. Etienne zerknął na jej twarz i wyszczerzył zęby.

- Zapisalaś sobie imię na twarzy - powiedział.

Nigdy nie była w domu rodziny Tournier, chociaż mieszkali nieopodal, w dół rzeki. Nie licząc posiadłości diuka, mieszkającego w dolinie, pół dnia drogi od Florac, była to największa farma w okolicy. Podobno dom wzniesiono sto lat temu, dodając z czasem dalsze elementy wyposażenia gospodarstwa - chlew, klepisko - oraz kładąc dachówkę zamiast strzechy. Jean i jego kuzynka Hannah pobrali się późno i mieli tylko troje dzieci: byli ostrożni, wpływowi i trzymali dystans. Wieczorami mało kto zaglądał do ich chaty.

Pomimo pozycji Tournierów ojciec Isabelle nigdy nie krył pogardy wobec nich.

- Poślubiają kuzynów - sarknął. - Dają pieniądze na kościół, a żebrakowi skapią spleśniałego kasztana. I całują się trzy razy, tak jakby dwa nie wystarczało.

Farma rozciągała się wzdłuż skarpy na kształt litery L, wrota wychodziły na południe. Etienne wprowadził Isabelle do środka. Jego rodzice i dwaj robotnicy najemni obsiewali pole, a siostra, Susanne, pracowała w ogrodzie.

Wewnątrz panowała cisza. Isabelle słyszała tylko pochrząkiwanie świń. Z podziwem popatrzyła na chlew oraz stodołę, dwukrotnie większą od ojcowskiej. Stała w głównej izbie i dotknęła czubkami palców długiego drewnianego stołu, jakby w obawie, że straci równowagę. Pokój był czysty i świeżo zamieciony, rondle wisiały w równych odstępach na hakach umieszczonych w ścianie. Palenisko zajmowało całą tylną część pomieszczenia: mogłoby pomieścić całą rodzinę jej i Tournierów - wszystkich, nawet zmarłych członków. Matkę. Siostrę. Braci na wojennej tułaczce. Została tylko ona i ojciec.

- La Rousse.

Odwróciła się i zobaczyła wzrok Etienne'a, jego zuchwały krok. Cofała się dopóty, dopóki nie dotknęła plecami granitu. On postępował za nią, po czym wsparł ręce na jej biodrach.

- Nie tutaj - powiedziała. - Nie w domu twoich rodziców. Gdyby twoja matka...

Etienne opuścił ręce. Wzmianka o matce odebrała mu odwagę.

- Pytałeś ich?

Milczał. Rozłożyste ramiona opadły, wzrok utkwiał w kącie izby.

- Nie pytałeś.

- Wkrótce skończę dwadzieścia pięć lat i będę mógł robić, co mi się podoba. Wtedy nie będę potrzebował ich zgody.

Oczywiście nie chcą, byśmy wzięli ślub, pomyślała Isabelle. Pochodzę z ubogiej rodziny, nie mamy złamanego szeląga, a oni są bogaci, mają Biblię, konia, potrafią pisać. Poślubiają swoich kuzynów, przyjaźnią się z monsieur Marcelem. Jean Tournier to *syndic* diuka de l'Aigle, pobiera od nas daninę. Nie chcą synowej, którą wszyscy nazywają La Rousse.

- Moglibyśmy zamieszkać z moim ojcem - podsunęła. - Ciężko mu bez pomocy synów. Potrzebuje...

- Nigdy.

- Wobec tego musimy zamieszkać tutaj.

- Tak.

- Bez ich pozwolenia.

Etienne przestąpił z nogi na nogę i z założonymi na piersi rękami oparł się o krawędź stołu. Popatrzył jej prosto w oczy.

- Jeśli cię nie lubią - odparł - to tylko twoja wina, La Rousse.

Ramiona Isabelle zeszywniały, zacisnęła pięści.

- Nic złego nie zrobiłam! - krzyknęła. - Wierzę w Prawdę.

Uśmiechnął się.

- Ale czcisz Dziewicę, tak?

Spuściła głowę, nie rozwierając pięści.

- I twoja matka była czarownicą.

- Coś ty powiedział? - szepnęła.

- Diabeł przysłał tego wilka, żeby ją do niego sprowadził. Umarło tyle dzieci.

Popatrzyła na niego ze złością.

- Myślisz, że moja matka doprowadziła do śmierci własną córkę? I wnuczkę?

- Kiedy zostaniesz moją żoną - odpowiedział - nie będziesz akuszerką. - Wziął ją za rękę i pociągnął ku stodole, z dala od rodzinnego paleniska.

- Dlaczego mnie chcesz? - zapytała tak cicho, że nie dosłyszał.

I zaraz sama sobie odpowiedziała: ponieważ to mnie twoja matka nienawidzi najbardziej na świecie.

Pustułka przeleciała tuż nad głową Isabelle, trzepocząc skrzydłami na wietrze. Szara: samczyk. Dziewczyna zmrużyła oczy. Nie. Rudawobrazowa, o barwie jej włosów: samiczka.

Sama nauczyła się utrzymywać na powierzchni wody, leżąc na plecach z rozrzuconymi rękami i piersiami opadającymi na boki; włosy dryfowały wokół jej twarzy jak liście. Raz jeszcze uniosła wzrok. Pustułka zanurkowała na prawo od niej, po czym znikła w kępie żarnowca. Ptak ukazał się ponownie z maleńką zdobyczą w dziobie, pewnie myszą albo wróblem. Raptownie wzbił się w górę i Isabelle straciła go z oczu.

Naraz uniosła się do pozycji siedzącej, po czym przykucnęła na podłużnej gładkiej skale pośrodku rzeki; jej piersi odzyskały dawną krągłość. Odgłos pojawił się

niespodziewanie, odległe pobrzękiwanie przeszło w chór setek dzwonek. *Estiver* - ojciec przepowiadał, że nadejdą za dwa dni. Pewnie w tym roku mają dobre psy. Jeśli się nie pośpieszy, niebawem otoczy ją stado owiec. Poderwała się z miejsca i dobiegła do brzegu, gdzie dłonią strząsnęła ze skóry krople wody i wyżeła włosy, które przynosiły jej taką ujmę. Wciągnęła suknię, potem fartuch i owinęła włosy pasem białego płótna.

Upychała pod zawojem koniec tkaniny, gdy naraz zamarła, czując na sobie czyjeś spojrzenie. Starając się nie kręcić głową, omiotła wzrokiem okolice, ale nic nie dostrzegła. Dzwonki nadal dźwięczały w oddali. Wsunawszy palcami pod turban luźne kosmyki, podkasła suknię i puściła się biegiem ścieżką wiodącą wzdłuż rzeki. Niebawem zboczyła z dróżki i przecięła pole żarnowca i wrzosu.

Dotarła do grzbietu wzgórza, a następnie spojrzała w dół. W oddali ujrzała stado owiec pnących się w górę. Pilnowali go dwaj mężczyźni, jeden z tyłu, drugi na przedzie, oraz dwa psy. Zbłąkane sztuki natychmiast zostawały zapędzone z powrotem do stada. Pewnie wędrowali tak od pięciu dni, aż od Alès, lecz nie było po nich widać śladu zmęczenia. Będą mieli całe lato na odpoczynek.

Ponad dzwoniem rozlegały się gwizdy i pokrzykiwania mężczyzn oraz ostre ujadanie psów. Mężczyzna na przedzie podniósł wzrok, tak jakby spoglądał prosto na nią, i wydał z siebie przenikliwy gwizd. Zza skały położonej w odległości rzutu kamieniem od Isabelle wyłonił się młodzieniec. Isabelle zaplotła palce na karku. Był drobny i żyłasty, spocony i ogorzały od słońca. Trzymał kostur oraz skórzany pasterski worek, na głowie miał ciasną czapkę, spod której wystawały czarne kędziory. Czując na sobie jego wzrok, zrozumiała, że widział ją w rzece. Posłał jej przyjazny, znaczący uśmiech i Isabelle ogarnęło wspomnienie dotyku wody na skórze. Spuściła wzrok i przycisnęła ręce do piersi, niezdolna odwzajemnić niemego pozdrowienia.

Młodzieniec dziarsko ruszył w dół zbocza. Isabelle odprowadziła go wzrokiem. Kiedy dołączył do towarzyszy, uciekła.

- Tu jest dziecko. - Isabelle położyła rękę na brzuchu, patrząc na Etienne'a wyzywająco.

W jednej chwili jego oczy pociemniały, jakby chmura zasnuła słońce. Spojrzał na nią z wyczekiwaniem.

- Powiem ojcu, potem będziemy musieli powiedzieć twoim rodzicom. - Przełknęła

ślinę.

- Co zrobią?

- Pozwolą nam się pobrać. Źle by to wyglądało, gdyby w takiej sytuacji nie przystali na ślub.

- Pomyślą, że zrobiłam to umyślnie.

- A zrobiłaś? - Zlustrował ją lodowatym spojrzeniem.

- To ty chciałaś Grzechu, Etienne.

- Ty również, La Rousse.

- Żałuję, że nie ma ze mną *maman* - rzekła cicho. - I Marie.

Wydawało się, że jej słowa w ogóle do ojca nie dotarły. Siedział na ławce przy drzwiach i strugał kozikiem gałąź: szykował nowy trzonek do gracy, którą złamał wcześniej tego samego dnia. Mówiła tak cicho, że doszła do wniosku, iż będzie musiała powtórzyć nowinę.

- Wszyscy mnie opuściliście - powiedział, zanim zdążyła otworzyć usta.

- Wybacz mi, ojcze. On nie chce tu zamieszkać.

- Żaden Tournier nie zamieszka nigdy pod moim dachem. Nie zapiszę ci gospodarstwa. Dostaniesz posag, lecz farma przejdzie w ręce moich siostrzeńców z l'Hôpital. Tournier nie położy ręki na mojej ziemi.

- Bliźniacy wrócą z wojny - powiedziała, powstrzymując łzy.

- Nie. Zginą. Nie są żołnierzami, tylko rolnikami. Dobrze o tym wiesz. Minęły już dwa lata, a nie doczekaliśmy się od nich żadnej wieści. Wielu szło tędy z północy, a o nich ani słychu.

Zostawiwszy ojca na ławce, Isabelle ruszyła przez pola brzegiem rzeki w kierunku farmy Tournierów. Było późno, ściemniało się, długie cienie padały na zbocza i tarasowate pola na wpół dojrzałego żyta. Wśród drzew pogwizdywało stadko szpaków. Teraz, kiedy czekało ją spotkanie z matką Etienne'a, droga zdawała się wlec w nieskończoność. Isabelle zwolniła kroku.

Dotarta do opustoszałej *cleda* Tournierów, z dawno wyschniętymi kasztanami, gdy naraz od drzew chwiejnie oderwał się szary cień i stanął na ścieżce.

- *Sainte Vierge, aide-moi* - szepnęła odruchowo.

Wilk utkwiał w niej spojrzenie żółtych oczu. Kiedy postąpił w jej stronę, usłyszała w

głowie jakiś głos: „Nie pozwól, by to samo spotkało i ciebie”.

Przykucnęła i podniosła dużą gałąź. Wilk przystanął. Dziewczyna wstała i ruszyła naprzód, wymachując gałęzią i pokrzykując. Wilk zaczął się cofać, a gdy Isabelle udała, że rzuca gałąź, zwierzę pokuśtykało w bok, po czym znikło między drzewami.

Isabelle wybiegła z zagajnika i popędziła przez pole, żyto boleśnie cięło jej łydki. Dotarła do skały w kształcie grzyba, wyznaczającej początek ogródka Tournierów, a następnie przystanęła, by zaczerpnąć tchu. Strach przed matką Etienne'a minął jak ręką odjął.

- Dziękuję, *maman* - powiedziała cicho. - Nigdy ci tego nie zapomnę.

Jean, Hannah i Etienne siedzieli przy ogniu, podczas gdy Susanne sprzątała pozostałości ich *bajanas*, tej samej zupy z kasztanów, którą Isabelle wcześniej podała ojcu wraz z ciemnym pieczywem o słodkim zapachu. Na widok Isabelle wszyscy czworo zastygli bez ruchu.

- Co się stało, La Rousse? - zapytał Jean Tournier, kiedy stanęła na środku izby i raz jeszcze oparła się o stół, jakby miało jej to zapewnić miejsce wśród członków rodziny.

Isabelle w milczeniu spoglądała na Etienne'a, który wreszcie wstał i stanął u jej boku. Na skinienie dziewczyny przeniósł wzrok na rodziców.

W izbie panowała cisza. Twarz Hannah była nieprzenikniona jak gład.

- Isabelle spodziewa się dziecka - oznajmił ściszym głosem Etienne. - Chcemy, żebyście udzielili nam zgody na ślub.

Po raz pierwszy wypowiedział jej prawdziwe imię. Głos Hannah dosłownie przeszył powietrze.

- Czyje dziecko nosisz, La Rousse? Bo na pewno nie Etienne'a.

- To dziecko Etienne'a.

- Nie!

Jean Tournier położył ręce na stole i wstał. Jego siwe włosy przylegały do głowy gładko jak czapka, miał wychudzoną twarz. Nie odezwał się, lecz jego żona umilkła i z powrotem opadła na ławę.

Popatrzył na Etienne'a.

- To moje dziecko - powiedział po dłuższej chwili Etienne. - Kiedy skończę dwadzieścia pięć lat, i tak się ożenię. To już niedługo.

Jean i Hannah wymienili spojrzenia.

- Co na to twój ojciec? - zapytał Jean.

- Dał pozwolenie i obiecał mi posag. - Nie wspomniała o jego nienawiści.

- Poczekaj na zewnątrz, La Rouse - polecił cicho Jean. - Idź z nią, Susanne.

Dziewczęta usiadły obok siebie na ławeczce przy drzwiach. Odkąd przestały być dziećmi, prawie się nie widywały. Wiele lat temu, jeszcze zanim włosy Isabelle zmieniły barwę, Susanne bawiła się z Marie, pomagała przy żniwach i kozach, chlapały się razem w rzece.

Przez chwilę siedziały w milczeniu, spoglądając na dolinę.

- Widziałam wilka opodal *cléda* - wyznała nieoczekiwanie Isabelle.

Susanne wytrzeszczyła brązowe oczy. Miała chudą twarz i spiczasty podbródek ojca.

- I co zrobiłaś?

- Pogoniłam go kijem. - Uśmiechnęła się, zadowolona z siebie.

- Isabelle...

- Tak?

- Wiem, że *maman* jest zła, ale cieszę się, że z nami zamieszkaś. Nigdy nie wierzyłam w to, co gadali o tobie i twoich włosach... - Urwała.

Isabelle nie chciała ciągnąć jej za język.

- Tutaj nic ci nie grozi. Dom jest bezpieczny, strzeżony przez...

Ponownie umilkła i rzuciwszy przelotne spojrzenie na drzwi, spuściła głowę. Wzrok Isabelle spoczął na cienistych garbach dalekich pagórków.

Zawsze tak będzie, pomyślała. Nic, tylko milczenie. Drzwi stanęły otworem, Jean i Etienne wyszli na dwór z migoczącą pochodnią oraz toporem.

- Odprowadzimy cię, La Rouse - oznajmił Jean. - Muszę rozmówić się z twoim ojcem.

Podał Etienne'owi kawałek chleba.

- Podzielcie się chlebem. Podaj jej rękę.

Etienne przełamał chleb i wręczył mniejszy kawałek Isabelle. Włożywszy go do ust, podała Etienne'owi rękę. Miał zimne palce. Chleb utknął jej w gardle jak szept.

Petit Jean przyszedł na świat we krwi i był nieustraszonym dzieckiem.

Jacob urodził się siny. Był bardzo cichy: nie krzyczał nawet, gdy Hannah klepnęła go

po plecach, by zaczął oddychać.

Wiele lat później Isabelle ponownie leżała w rzece. Dwa porody pozostawiły ślady na jej ciele, kolejne dziecko wypychało brzuch ponad powierzchnię wody. Czuła w sobie jego ruchy. Oparła dłonie na krągłym wybrzuszeniu.

- Najświętsza Matko, spraw, żeby to była dziewczynka - poprosiła. - Kiedy się urodzi, dam jej twoje imię, imię mojej siostry. Marie. Uczynię wszystko, aby ją tak nazwać.

Tym razem nie było żadnego ostrzeżenia, żadnych dzwonków ani świadomości, że jest obserwowana. Po prostu siedział, przykucnięty na brzegu rzeki. Uniosła głowę i spojrzała na niego. Nie zasłoniła piersi. Wyglądał tak samo, był tylko nieco starszy, a na prawym policzku, od kości policzkowej do brody tuż przy kąciku ust, biegła podłużna blizna. Gdyby się uśmiechnął, teraz odpowiedziałyby mu tym samym. Jednakże pasterz zachował powagę. Po prostu skinął jej głową i zwilżywszy wodą twarz, odwrócił się i podążył w kierunku źródła rzeki.

Marie urodziła się w strudze przejrzystego płynu, z otwartymi oczami. Była dzieckiem pełnym nadziei.

Rozdział 2

SEN

Kiedy Rick i ja przenieśliśmy się do Francji, czułam, że moje życie trochę się zmieni. Tylko nie wiedziałam jak.

Zacznijmy od tego, że nowy kraj przypominał bankiet, na którym byliśmy gotowi skosztować każdej potrawy. Podczas pierwszego tygodnia, gdy Rick ostrzył ołówki w nowym biurze, postanowiłam odświeżyć nieco swój francuski i zwiedzić obszar położony wokół Tuluzy w poszukiwaniu miejsca, gdzie zamieszkamy. Zależało nam na małym, interesującym miasteczku. Jechałam wąskimi drogami nowym szarym renault, pędząc wzdłuż niekończących się rzędów jaworów. Niekiedy nachodziło mnie wrażenie, że znajduję się w Ohio lub Indianie, po czym krajobraz na powrót zaskakiwał mnie czerwoną dachówką, zielonymi okiennicami bądź skrzynką pełną geranium. Na polach oprószonych bladą kwietniową zielenią roiło się od farmerów w jaskrawoniebieskich spodniach roboczych, którzy odprowadzali wzrokiem mój samochód. Z uśmiechem machałam do nich ręką; niekiedy z wahaniem odwzajemniali ten gest. Pewnie zapytywali siebie w duchu: „Kto to może być?”.

Mijałam mnóstwo miasteczek i skreślałam je wszystkie, czasem z przekory, czasem zaś dlatego, że czekałam na miejsce, które przemówi do mnie własnym głosem, dając do zrozumienia, iż dotarłam do kresu poszukiwań.

Znalazłam się w Lisle-sur-Tarn po przejechaniu długiego, wąskiego mostu na rzece Tarn. Kościół i kawiarnia u podnóża mostu wyznaczały początek miasteczka. Zaparkowałam przy kawiarni i ruszyłam przed siebie; zanim dotarłam do centrum, zrozumiałam, że moje poszukiwania dobiegły końca. Była to *bastide*, miejscowość warowna, zachowana od średniowiecza; spodziewając się nieprzyjacielskiego ataku, w dawnych czasach mieszkańcy gromadzili się na rynku i zamykali cztery prowadzące doń bramy. Stałam na środku placu obok fontanny obsadzonej lawendą i poczułam, jak ogarnia mnie zadowolenie.

Rynek otoczony był ze wszystkich czterech stron arkadową zabudową, ze sklepami na

dole i częścią mieszkalną na górze. Arkady zbudowano z podłużnych, wąskich cegieł; identyczne cegły, ułożone dla dekoracji pionowo lub poziomo pomiędzy brązowymi belkami i spojone różowawą zaprawą, tworzyły górną kondygnację budynku.

Oto czego mi trzeba, pomyślałam. Będę szczęśliwa, mogąc to codziennie oglądać.

Naraz opadły mnie wątpliwości. Przecież to idiotyzm wybierać miasto z powodu ładnego rynku. Znów ruszyłam przed siebie, wypatrując decydującego znaku, który ostatecznie utwierdzi mnie w słuszności dokonanego wyboru bądź każe jechać dalej.

Nie czekałam długo. Po zbadaniu okolicznych uliczek weszłam do *boulangerie* znajdującej się na rynku. Za kontuarem stała niska kobieta w granatowo-białym fartuchu, jaki widywałam na każdym targowisku. Obsłużywszy pierwszego klienta, zwróciła baczne spojrzenie czarnych oczu na mnie. Miała pomarszczoną twarz i włosy upięte w luźny kok.

- *Bonjour, madame* - powiedziała ze śpiewną intonacją, jaką Francuzki posługują się w sklepach.

- *Bonjour* - odpowiedziałam, zerkając na chleb rozłożony na półkach za jej plecami i myśląc: „To będzie teraz moja *boulangerie*”. Kiedy jednak ponownie przeniosłam na nią wzrok w oczekiwaniu ciepłego uśmiechu, straciłam pewność siebie. Kobieta tkwiła za ladą, a jej twarz była zimna jak stal.

Otworzyłam usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Przełknęłam ślinę. Kobieta nie spuszczała ze mnie wzroku.

- *Oui, madame?* - odezwała się znów tym samym tonem, obojętna na moje zakłopotanie.

Z wahaniem wskazałam na bagietkę.

- *Un* - wydusiłam, choć zabrzmiało to raczej jak chrząknięcie.

Twarz kobiety stężała w wyrazie dezaprobaty. Nie odrywając ode mnie spojrzenia, sięgnęła po bagietkę.

- *Quelque chose d'autre, madame?*

Spróbowałam spojrzeć na siebie jej oczami: zobaczyłam zagraniczną turystkę z kiepską znajomością francuskiego, zależną od mapy i słownika. Kobieta sprawiła, iż poczułam się zagubiona dokładnie w chwili, gdy myślałam, że znalazłam dom.

Popatrzyłam na rozłożony towar, wiedziona desperacką chęcią udowodnienia, że nie jestem tak żałosna, jak się wydaję. Wskazałam na tarty cebulowe.

- *Et un quiche* - dodałam. Natychmiast do mnie dotarło, że użyłam niewłaściwego rodzajnika: *quiche* jest rodzaju żeńskiego, wyraz winien więc być poprzedzony rodzajnikiem *une*. Jęknęłam w duchu.

Wsunęła tartę do małej torebki i położyła ją na ladzie obok bagietki.

- *Quelque chose d'autre, madame?* - powtórzyła.

- *Non.*

Wystukała ceny na kasie. Bez słowa wręczyłam jej pieniądze; kiedy położyła resztę na tacce stojącej na ladzie, zrozumiałam, że należało uczynić to samo, zamiast wkładać jej banknot do ręki. Zmarszczyłam brwi. Trzeba było zawczasu pójść po rozum do głowy.

- *Merci, madame* - zaśpiewała.

Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć, a oczy były twarde jak kamienie.

- *Merci* - bąknęłam.

- *Au revoir, madame.*

Odwróciłam się, po czym znów przystanąłam, przeświadczona, że muszę jakoś wybrnąć z sytuacji. Spojrzałam na sprzedawczynię: stała z rękami skrzyżowanymi na obfitym biuście.

- *Je... nous... nous habitons près d'ici, là-bas* - skłamałam, wskazując gwałtownym ruchem za siebie, w nieokreślonym kierunku.

Kiwnęła głową.

- *Qui, madame. Au revoir, madame.*

- *Au revoir, madame* - odpowiedziałam, obracając się na pięcie, i wyszłam ze sklepu.

Ach, Ella, pomyślałam, przecinając rynek. Co ty wyprawiasz? Kłamiesz, żeby zachować twarz?

Nie kłam. Zamieszkaj tutaj i codziennie stawiaj czoło tej władczyni croissantów, mruknęłam w odpowiedzi. Przystanąłam obok fontanny, po czym sięgnęłam do lawendy i urwawszy parę listków, zgmiotłam je w palcach. Ostra, drzewna woń ostrzegła: *Reste.*

Rick polubił Lisle-sur-Tarn od pierwszego wejrzenia, czemu dał wyraz, chwytając mnie w objęcia i całując.

- Ha! - wykrzyknął na widok starych domów.

- Cicho, Rick - powiedziałam. Akurat wypadał dzień targowy i czułam, że ściągamy na siebie wszystkie spojrzenia. - Postaw mnie natychmiast - syknęłam.

W odpowiedzi tylko się uśmiechnął i przycisnął mnie jeszcze mocniej.

- Podoba mi się - oznajmił. - Popatrz na te cegły!

Przemierzyliśmy całe miasteczko, wyszukując najładniejsze domy. Potem poszliśmy do *boulangerie* po tarty cebulowe. Czując na sobie wzrok sprzedawczyni, poczerwieniałam jak burak, ona jednak rozmawiała głównie z Rickiem, który podśmiewał się z niej otwarcie, co najwyraźniej wcale jej nie przeszkadzało. Widziałam, że przypadł kobiecie do gustu: jasny kucyk, a nad nim burza ciemnych włosów, stanowił prawdziwą atrakcję, zwłaszcza w połączeniu z kalifornijską opalenizną Ricka. Wobec mnie zachowywała się uprzejmie, wyczuwałam jednak tajoną wrogość, która odbierała mi pewność siebie.

- Szkoda, że te tarty są takie dobre - rzuciłam, gdy wyszliśmy z piekarni. - Inaczej więcej bym tam nie poszła.

- Znowu za bardzo się wszystkim przejmujesz, skarbie. Tylko nie wyjeżdżaj mi, proszę, z tą swoją paranoją rodem ze Wschodniego Wybrzeża.

- Przez nią czuję się jak intruz.

- To się nazywa fatalne podejście do klienta. No, no! Personalny mógłby przywołać ją do porządku.

Popatrzyłam na niego z uśmiechem.

- Tak, chętnie zerknęłabym w jej teczkę.

- Założę się, że kipi od skarg. Wygląda na to, że biedaczka goni resztką sił. Miejże litość nad staruszką.

Kusiło nas, żeby zamieszkać w którymś ze starych domów na rynku lub w jego pobliżu, kiedy jednak okazało się, że żaden z nich nie jest do wynajęcia, odczułam cichą ulgę: wyglądały zbyt szacownie i nadawały się raczej dla rdzennych obywateli miasteczka. W odległości kilku minut spaceru od centrum znaleźliśmy inny domek, stary, ale bez misternych zdobień architektonicznych, o grubych murach, z podłogą z kafli oraz niedużym patio, osłoniętym pergolą z dzikim winem. Przed domem nie było podwórka: drzwi frontowe wychodziły bezpośrednio na wąską ulicę. Wewnątrz panował mrok, ale Rick przypomniał mi, że dzięki temu latem będzie przyjemnie chłodno. Podobnie zresztą było we wszystkich oglądanych przez nas wcześniej domach. Próbowałam rozproszyc ciemność, otwierając okiennice; kilkakrotnie podchwyciłam zaintrygowane spojrzenia sąsiadów, którzy w końcu oduczyli się zaglądania do środka.

Któregoś dnia postanowiłam zaskoczyć Ricka: kiedy wieczorem wrócił z pracy, zastał okiennice pomalowane na kolor burgunda, na parapetach zaś skrzynki z geranium. Z uśmiechem stanął przed domem, a ja wychyliłam się przez okno pośród gęstwy białych, czerwonych i różowych kwiatów.

- Witaj we Francji - powiedziałam. - Witaj w domu.

Dowiedziawszy się, że zamieszkamy we Francji, ojciec namawiał mnie, bym napisała do dalekiego kuzyna z Moutier, małego miasteczka w północno-zachodniej Szwajcarii. Sam był tam przed laty.

- Spodoba ci się, zobaczysz - przekonywał, kiedy zadzwonił, aby podać mi adres.

- Tato, Francja i Szwajcaria to zupełnie inne kraje! Nawet nie dotrę w okolice granicy.

- No tak, ale zawsze dobrze mieć pod ręką kogoś z rodziny.

- Pod ręką? Przecież Moutier leży jakieś czterysta, pięćset mil od naszej miejscowości.

- A widzisz? Zaledwie jeden dzień drogi. To znacznie mniejsza odległość niż ta, która nas teraz dzieli.

- Tato...

- Zapisz ten adres, Ella. Zrób mi przyjemność.

Jak mogłam odmówić? Zapisałam adres i wybuchnęłam śmiechem.

- To idiotyczne. Co mam mu napisać: „Cześć, jestem Twoją daleką amerykańską kuzynką, o której w życiu nie słyszałeś. Przyjechałam do Europy, może się spotkamy?”.

- Czemu nie? Posłuchaj, mogłabyś zacząć od pytania o historię rodziny, wiesz, skąd pochodzimy, czym zajmowali się nasi przodkowie. Wykorzystaj jakoś ten czas.

Ojciec należał do zagorzałych wyznawców protestanckiego etosu pracy i perspektywa mojej „bezczywności” spędzała mu sen z powiek. Bez przerwy podsuwał mi listę pożytecznych zajęć. Jego troska podsyciała mój własny niepokój: nie przywykłam do nadmiaru wolnego czasu, dotąd zawsze byłam zajęta nauką bądź pracą do późna. Minął jakiś czas, nim przyzwyczaiałam się do nowej sytuacji; przeszłam fazę sypiania do późna i osowiałego snucia się po domu, nim wreszcie opracowałam sobie trzy zasadnicze punkty dnia.

Przede wszystkim porządnie zabrałam się do swego zaniedbanego francuskiego i dwa razy w tygodniu jeździłam na lekcje do Tuluzy, do madame Sentier, starszawej damy o

błyszczących oczach i wąskiej, ptasiej twarzy. Miała cudowny akcent i energicznie zajęła się moim. Nie znosiła niedbałej wymowy; krzyczała na mnie, gdy moje *oui* zaczęło przypominać typowe dla Francuzów kwaknięcie kaczki, dźwięk wydawany niemal bez poruszania ustami. Kazała mi je wymawiać starannie, z uwzględnieniem wszystkich trzech głosek oraz jakby cichym gwizdnięciem przez zęby na końcu. Upierała się, że to, jak mówię, jest ważniejsze niż to, co mówię. Próbowалам oponować, lecz przypominało to rzucanie grochem o ścianę.

- Jeśli nie będzie pani mówiła jak należy, nikt pani nie zrozumie - oświadczyła moja mentorka. - Poza tym wszyscy domyślą się, że jest pani cudzoziemką, i przestaną pani słuchać. Francuzi tacy są.

Powstrzymałam się od uwagi, że sama do nich należy. Zresztą polubiłam ją, bawiły mnie wygłaszane przez nią opinie oraz nieubłagana konsekwencja, z jaką kazała mi w ćwiczeniach wymowy rozciągać usta, jakby były z gumy.

Zachęcała, bym rozmawiała, ile się da, bez względu na to, gdzie jestem.

- Jeśli przyjdzie coś pani do głowy, proszę to powiedzieć! - wołała. - Nieważne, co to jest, niech pani mówi. Niech pani rozmawia ze wszystkimi. - Niekiedy kazała mi mówić bez przerwy przez określony czas, poczynając od jednej minuty i dochodząc do pięciu. Uznałam to za ogromnie wyczerpujące.

- Myśli pani coś po angielsku, a potem tłumaczy słowo w słowo na francuski - zawyrokowała madame Sentier. - To nie na tym polega. Język to całość. Musi pani myśleć po francusku. Proszę wyeliminować angielski ze swojego umysłu i jak najczęściej myśleć po francusku. Jeżeli nie potrafi pani robić tego akapitami, proszę myśleć zdaniami, a przynajmniej słowami. Z nich powstaną myśli! - Zatoczyła ręką koło, ogarniając cały pokój oraz bezmiar ludzkiego intelektu.

Była zachwycona na wieść o moich szwajcarskich krewnych; to właśnie ona kazała mi jak najrychlej do nich napisać.

- Mogą pochodzić z Francji - zauważyła. - Mogłaby się pani dowiedzieć czegoś o swoich francuskich przodkach, dzięki czemu poczułaby się pani bardziej związana z krajem i jego mieszkańcami. A wtedy myślenie po francusku z pewnością sprawiałoby mniejszą trudność.

W duchu wzruszyłam ramionami. Zgłębianie własnej genealogii zaliczałam do zajęć

odpowiednich dla ludzi w średnim wieku - podobnie jak słuchanie rozgadanych stacji radiowych, robienie na drutach i przesiadywanie w domu w sobotnie wieczory; wiedziałam, że prędzej czy później mnie to czeka, ale wcale mi się do tego nie śpieszyło. Przodkowie nie mieli nic wspólnego z moim obecnym życiem. Chcąc jednak zrobić przyjemność madame Sentier, w ramach zadania domowego skleciłam kilka zdań z pytaniem o historię rodziny. Kiedy nauczycielka sprawdziła tekst pod względem poprawności gramatycznej i pisowni, wysłałam list do Szwajcarii.

Lekcje francuskiego pomogły mi w drugim przedsięwzięciu.

- Cóż za wspaniała profesja dla kobiety! - zapiała madame Sentier, kiedy wyznałam, że zamierzam uzyskać kwalifikacje konieczne do wykonywania we Francji zawodu położnej. - Cóż za szlachetne zajęcie!

Darzyłam ją zbyt wielką sympatią, by owe romantyczne wyobrażenia mogły zirytować, dlatego nie wspomniałam o podejrzliwości, z jaką byliśmy traktowane przez lekarzy, szpitale, towarzystwa ubezpieczeniowe, a nawet same ciężarne. Nie wspomniałam również o nieprzespanych nocach, krwi i udręce, kiedy coś poszło nie tak. Ale istotnie była to dobra praca i miałam nadzieję, że z chwilą gdy uzyskam konieczne uprawnienia, będę ją kontynuowała we Francji.

Choć na razie przedsięwzięcie to wyglądało cokolwiek niepewnie, gdy przyjdzie co do czego, na pewno nie będę mogła narzekać na brak zajęć. I nic dziwnego - miałam dwadzieścia osiem lat, Rick i ja byliśmy małżeństwem od dwóch, poza tym zaczynaliśmy odczuwać narastającą presję otoczenia.

Pewnego wieczoru, kilka tygodni po przeprowadzce do Lisle-sur-Tarn, wybraliśmy się na kolację do jedynej porządnej restauracji w mieście. Racząc się *crudités*, *pâté*, pstrągiem z Tarn oraz kruchym filetem, rozmawialiśmy od niechcienia - o pracy Ricka oraz o tym, jak mi minął dzień. Gdy kelner przyniósł Rickowi *crème brûlée*, a mnie *tarte au citron*, uznałam, że to właściwy moment. Przełknęłam kawałek tarty.

- Rick... - zaczęłam, odkładając widelczyk.

- *Brûlée* pycha! - oznajmił. - Zwłaszcza zbrulowana część. Masz, spróbuj.

- Nie, dziękuję. Słuchaj, zastanawiałam się nad pewnymi sprawami.

- O, czyżby się zanosilo na poważną rozmowę?

W tej samej chwili do restauracji weszło dwoje ludzi, których posadzono przy stoliku

obok nas. Pod elegancką czarną suknią kobiety rysowała się dyskretna krągłość. Piąty miesiąc, pomyślałam odruchowo. Wysoko nosi brzuch.

Ściszyłam głos.

- Nie sądzisz, że często wracamy do tematu dzieci?

- Chcesz mieć dziecko?

- Cóż, myślałam o tym.

- Dobrze.

- Co „dobrze?”

- Dobrze, zrobmy to.

- Tak po prostu? „Zrobmy to”?

- Czemu nie? Przecież tego chcemy. Nad czym tu się rozwodzić?

Odczułam rozczarowanie, choć zbyt dobrze znałam Ricka, by jego reakcja mogła mnie zdziwić. Zawsze błyskawicznie podejmował decyzje, nawet te najistotniejsze, podczas gdy ja lubiałam nadawać wszystkiemu głębszy sens.

- Czuję się... - Nie wiedziałam, jak to ująć. - To przypomina skok ze spadochronem, zupełnie jak w zeszłym roku. Siedzisz w tym maleńkim samolocie i myślisz: „Jeszcze dwie minuty i nie będzie odwrotu, jeszcze jedna, a nie będę mógł zrezygnować”. A potem: „Stoję w drzwiach, ale jeszcze mogę się wycofać”. Czuję się tak, jakbym stała w otwartych drzwiach.

- A ja pamiętam cudowne uczucie spadania. No i rozciągający się w dole piękny widok. I bezmiar niesamowitej ciszy.

Wessałam policzek, po czym wsunęłam do ust potężny kęs tarty.

- To poważna decyzja - zauważyłam z pełnymi ustami.

- Właśnie ją podjęliśmy. - Rick nachylił się nad stołem i pocałował mnie. - Mmm, pyszna cytrynka.

Później tego wieczoru wymknęłam się z domu i poszłam na most. Z dołu dobiegał szum rzeki, ale było zbyt ciemno, by dojrzeć wodę. Upewniwszy się, że nikt nie patrzy, wyjęłam listek tabletek antykoncepcyjnych i zaczęłam kolejno wrzucać je do rzeki. Leciały w dół, białe punkciki migające w mroku. Kiedy pozbyłam się ostatniej, długo stałam oparta o balustradę w oczekiwaniu, aż poczuję się odmieniona.

I rzeczywiście coś się zmieniło. Owej nocy po raz pierwszy miałam ten sen. Zaczął się

migotaniem, grą ciemności i światła. Lecz nie było tam czerni ani bieli, tylko błękit. Śniłam na niebiesko.

Kolor drgał jak targany wiatrem, to podpływając w moim kierunku, to znów się oddalając. Zaczął na mnie napierać, ciężarem nie kamienia, lecz wody. Słyszałam jednostajny głos. Mówiłam wraz z nim, słowa płynęły niepowstrzymanie. Potem usłyszałam zawodzenie i sama zaczęłam płakać. Płakałam, aż zbrakło mi tchu. Błękit otoczył mnie ze wszystkich stron. Rozległ się huk, jakby zatrzaśnięto ciężkie wrota, i w miejsce błękitu pojawiła się czerń tak nieprzenikniona, jak gdyby w życiu nie zaznała światła.

Przyjaciółki mówiły, że gdy próbujesz zajść w ciążę, uprawiasz seks albo znacznie częściej, albo znacznie rzadziej. Możesz to robić bez przerwy, na zasadzie karabinu maszynowego, który sieje pociski w nadziei, że w coś trafi. Możesz też uderzać strategicznie, oszczędzając amunicję na właściwy moment.

Rick i ja zaczęliśmy od pierwszej metody. Gdy wracał z pracy, kochaliśmy się przed kolacją. Specjalnie też kładliśmy się wcześniej i zrywaliśmy o świcie, wykorzystując każdą nadarżającą się okazję.

Rickowi owa obfitość seksu bardzo przypadła do gustu, ale ja traktowałam to inaczej. Przede wszystkim nigdy nie kochałam się z tak zwanej konieczności: musiałam mieć ochotę i już. Teraz zaś kochanie się kryło w sobie misję, co nadawało sytuacji aurę celowości i kalkulacji. Żywiłam też mieszane uczucia wobec zaniechania antykoncepcji, a przecież powinnam w jednej chwili zapomnieć o stosowanych przez lata środkach ostrożności oraz lekcjach i przestrojach, jakie mi wbijano do głowy! Podobno miało to działać jak afrodyzjak, jednakże zamiast uniesienia odczuwałam tylko strach.

Nade wszystko zaś byłam wyczerpana. Sypiałam fatalnie, nękana co noc błękitnym światłem. Rickowi nie wspomniałam na ten temat ani słowa, nigdy też nie budziłam go w nocy ani nie wyjaśniałam przyczyn swojego zmęczenia. Zazwyczaj mówiłam mu o wszystkim, lecz teraz miałam blokadę w gardle i kłódkę na ustach.

Którejś nocy leżałam w łóżku, spoglądając na roztańczony w górze błękit, gdy nagle doznałam olśnienia: w ciągu ostatnich dziesięciu dni jedynymi dwiema nocami, podczas których nie miałam tego snu, były noce, kiedy nie uprawialiśmy seksu.

Odkrycie sprawiło mi pewną ulgę: desperacko pragnęłam zajść w ciążę, co ściągało na mnie ów sen. Uświadomienie sobie tego czyniło go mniej przerażającym.

Tak czy inaczej, potrzebowałam odpoczynku; musiałam nakłonić Ricka do większej wstrzemięźliwości, nie wdając się w zbędne wyjaśnienia. Nie miałam serca mu powiedzieć, że seks zsyła na mnie koszmary.

Kiedy dostałam okresu i stało się jasne, że nasze wysiłki spęły na niczym, zaproponowałam Rickowi wypróbowanie metody strategicznej. Używałam przy tym wszystkich uczonych argumentów, jakie tylko przysły mi do głowy, wtrącając tu i ówdzie fachowe określenie i siląc się na dobry humor. Rick nie krył rozczarowania, ale szarmancko dał za wygraną.

- Ty wiesz lepiej - odpowiedział. - Jestem tylko najemnikiem. Mów mi, co mam robić.

Niestety, chociaż sen dręczył mnie teraz rzadziej, straty okazały się nieodwracalne: z trudem zasypiałam i często leżałam, owładnięta niejasnym lękiem, w oczekiwaniu na błękit, przeświadczona, że kiedyś nadejdzie niezależnie od seksu.

Pewnej nocy - nocy strategicznej - Rick całował właśnie moje ramię od barku w dół, gdy naraz znieruchomiał. Poczułam, że zawisł ustami ponad zagłębieniem łokcia. Czekałam, lecz on trwał bez ruchu.

- Hej, Ella - powiedział w końcu.

Otworzyłam oczy. Wpatrywał się w to miejsce; podążyłam za jego wzrokiem, po czym gwałtownie wyrwałam rękę.

- Ach - wydusiłam tylko, spoglądając na złuszczony placek czerwonej skóry.

- Co to jest?

- Łuszczycyca. Miałam ją kiedyś, w wieku trzynastu lat. Po rozwodzie rodziców.

Rick zerknął na chorą skórę, po czym nachylił się i ucałował moje powieki.

Kiedy ponownie otworzyłam oczy, dostrzegłam na jego twarzy cień obrzydzenia, zaraz jednak opanował się i popatrzył na mnie z uśmiechem.

W ciągu kolejnego tygodnia patrzyłam bezradnie, jak plama rośnie, a następnie przenosi się na drugą rękę i obydwie łokcie. Wkrótce miała dotrzeć do łydek i kostek.

Za namową Ricka poszłam do lekarza. Był młody i szorstki, nie tracił czasu na mdłe gładzenie, jakim amerykańscy lekarze uspokajają zazwyczaj swoich pacjentów. Mówił tak szybko, że musiałam się naprawdę skupić, aby go dobrze zrozumieć.

- Miała pani to wcześniej? - zapytał, oglądając moje ramiona.

- Tak, w dzieciństwie.

- A od tamtej pory?
- Nie.
- Jak długo przebywa pani we Francji?
- Od sześciu tygodni.
- Zamierza pani tu pozostać?
- Tak, przez kilka lat. Mąż pracuje w firmie architektonicznej w Tuluzie.
- Macie państwo dzieci?
- Nie. Jeszcze nie. - Poczerwieniałam.

Opanuj się, pomyślałam. Masz dwadzieścia osiem lat, seks to żaden powód do wstydu.

- Pracuje pani?
- Nie. To znaczy, w Stanach pracowałam. Byłam położną.

Uniósł brwi.

- *Une sage-femme?* Zamierza pani praktykować we Francji?

- Bardzo bym chciała, ale jeszcze nie otrzymałam pozwolenia na pracę. Tutejszy system opieki medycznej różni się od amerykańskiego, dlatego najpierw muszę zdać konieczne egzaminy. Uczę się francuskiego i jesienią będę mogła rozpocząć kurs przygotowawczy dla położnych.

- Wygląda pani na zmęczoną. - Nagle zmienił temat, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że marnuję jego czas wywodami na temat swoich planów zawodowych.

- Mam koszmary, ale... - Urwałam.

Wolałam nie poruszać tego tematu.

- Jest pani nieszczęśliwa, madame Turner? - zapytał łagodniejszym tonem.

- Nie, nie jestem nieszczęśliwa - odparłam niepewnie.

Moje zmęczenie nie ma żadnej racjonalnej przyczyny, dodałam w duchu.

- Na pewno pani wie, że łuszczyca niekiedy bierze się z braku snu?

Kiwnęłam głową. To by było na tyle, jeśli chodzi o psychoanalizę.

Lekarz przepisał mi jakąś maść z kortyzonem, czopki na zmniejszenie opuchlizny oraz tabletki nasenne, na wypadek gdyby swędzenie nie pozwalało mi zasnąć, po czym polecił znów się pokazać za miesiąc.

- I proszę przyjść, gdy zajdzie pani w ciążę - dodał na pożegnanie. - Jestem również

obstétricien.

Ponownie się zaczerwieniłam.

Moje zauroczenie Lisle-sur-Tarn minęło wkrótce po tym, jak przestałam sypiać.

Życie w tym pięknym, spokojnym miasteczku płynęło wolniej niż w Stanach, a jego jakość była niezaprzeczalnie lepsza. Świeże produkty na sobotnim targu, mięso z *boucherie*, chleb z *boulangerie* - osobie wychowanej na jałowej paszy z supermarketu wszystko to smakowało wyśmienicie. W Lisle lunch był najważniejszym posiłkiem w ciągu dnia, dzieci biegały bez ograniczeń, nie znając strachu przed obcymi lub samochodami, a mieszkańcy zawsze znajdowali czas na pogawędkę. Nikt nie śpieszył się nigdy tak bardzo, by nie móc zamienić słowa ze wszystkimi, których spotykał po drodze.

To znaczy, ze wszystkimi oprócz mnie. O ile wiedziałam, Rick i ja byliśmy jedynymi cudzoziemcami w mieście. I tak też nas traktowano. Kiedy wchodziłam do sklepu, ludzie przerywali rozmowy, a gdy znów je podejmowali, byłam pewna, że celowo trzymają się nieobowiązujących tematów. Mieszkańcy wprawdzie okazywali mi uprzejmość, lecz po upływie kilku tygodni miałam wrażenie, jakbym nie prowadziła przez ten czas żadnej prawdziwej rozmowy. Pamiętałam, by pozdrawiać wszystkie znane mi osoby, one zaś odpowiadały na pozdrowienie, lecz nigdy nie odzywały się pierwsze ani nie przystawały, by zamienić ze mną kilka słów. W myśl rady madame Sentier korzystałam z okazji, aby jak najwięcej mówić po francusku, ale brak zachęty całkowicie ostudził mój entuzjizm. I niebawem moje „rozmówki” ograniczały się do zdawkowej wymiany zdań podczas zakupów.

Któregoś ranka siedziałam w kawiarni na rynku, pijąc kawę i czytając gazetę. Obok siedziało kilka osób. Właściciel przeszedł pomiędzy stolikami, po czym wśród żartów i przyjaznej paplaniny rozdał dzieciom cukierki. Byłam tu kilka razy: on i ja kiwaliśmy sobie głowami, lecz dotąd nie doszło między nami do rozmowy. Jeszcze tylko jakieś dziesięć lat, pomyślałam z przekąsem.

Kilka stolików dalej siedziała młodsza ode mnie kobieta z pięciomiesięcznym dzieckiem na foteliku samochodowym, ustawionym na krześle. Niemowlę potrząsało grzechotką, kobieta miała obcisłe dzinsy i irytujący śmiech. Po chwili wstała i weszła do wnętrza kawiarni. Dziecko chyba nie zauważyło jej zniknięcia.

Skupiłam uwagę na „Le Monde”. Zmuszałam się do przeczytania całej pierwszej

strony, zanim pozwoliłam sobie sięgnąć po „International Herald Tribune”. Lektura francuskiej gazety przypominała brodzenie w błocie, nie tyle z powodu bariery językowej, ile nazwisk, których nie rozpoznawałam, bądź sytuacji politycznej, o której nie miałam zielonego pojęcia. Nawet jeśli rozumiałam treść artykułu, zazwyczaj nie budził on mojego zainteresowania.

Właśnie brnęłam przez notkę o groźbie strajku pocztowców, dla Amerykanina zjawisku bez mała egzotycznym, kiedy nagle moją uwagę przykuł dziwny odgłos, a raczej dziwna cisza. Uniosłam wzrok. Dziecko przestało wymachiwać grzechotką i upuściło ją na kolanka. Twarz pomarszczyła mu się jak zmięta po obiedzie serwetka. Oho, zaraz będzie płakać, pomyślałam. Zajrzałam do wnętrza kawiarni: matka stała przy kontuarze i rozmawiała przez telefon, od niechcienia bawiąc się tacką.

Mały nie zaczął płakać: coraz bardziej czerwieniał na twarzy, jakby rozpaczliwie usiłował wydać z siebie jakiś odgłos. Następnie w jednej chwili zrobił się fioletowy, a potem zsiniał.

Zerwałam się na równe nogi, krzesło przewróciło się z łoskotem.

- On się dusi! - krzyknęłam.

Od malca dzieliło mnie nie więcej niż dziesięć stóp, nim jednak zdążyłam podbiec, dokoła fotelika stanął wianuszek osób. Jakiś mężczyzna przykucnął naprzeciw dziecka i zaczął je poklepywać po sinych policzkach. Próbowałam się przecisnąć, lecz zwrócony do mnie tyłem właściciel bez przerwy zastępował mi drogę.

- Przecież on się dusi! - krzyknęłam. Miałam przed sobą mur pleców. Spróbowałam podbiec z drugiej strony. - Potrafię mu pomóc!

Ludzie odpowiedzieli mi lodowatymi, nieustępliwymi spojrzeniami.

- Trzeba go poklepać po plecach, nie może złapać powietrza.

Urwałam. Przez cały czas mówiłam po angielsku. Nadbiegła matka. Bez trudu przedostała się do fotelika. Zaczęła histerycznie tłuc dziecko po plecach, moim zdaniem, zbyt mocno. Pozostali obserwowali ją w nienaturalnej ciszy. Zastanawiałam się, jak powiedzieć „metoda Heimlicha”, gdy naraz dziecko odkaszlęło i z jego ust wystrzelił czerwony cukierek. Mały spazmatycznie chwycił powietrze i wybuchnął płaczem, a jego twarz odzyskała czerwone zabarwienie,

Rozległo się zbiorowe westchnienie i ludzie porzaczodźli się do swoich stolików.

Podchwyciłam chłodne spojrzenie właściciela. Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, on jednak odwrócił się, sięgnął po tacę i wrócił do środka. Zabrałam gazety i wyszłam, nie zapłaciwszy rachunku.

Po tym incydencie zaczęłam czuć się w miasteczku źle. Unikałam kawiarni i młodej kobiety z dzieckiem. Niechętnie patrzyłam ludziom w oczy. Mój francuski na powrót stał się kulawy, a akcent godny pożałowania.

Madame Sentier od razu zwróciła na to uwagę.

- Co się stało? - zapytała. - Tak dobrze pani szło!

Znów ujrzałam przed sobą mur pleców. Nie odpowiedziałam.

Pewnego dnia w *boulangerie* usłyszałam, jak kobieta przede mną mówi, że wybiera się do *la bibliothèque*, machnęła przy tym ręką, jakby wspomniane miejsce znajdowało się tuż za rogiem. Madame wręczyła jej książkę w plastikowej okładce; było to tanie romansidło. W pośpiechu kupiłam swoje bagietki i tarty, skracając do minimum rytualną wymianę zdań ze sprzedawczynią. Wybiegłam z piekarni i wypatrzyłam tamtą kobietę, która załatwiała codzienne sprawunki w sklepikach przy rynku. Podczas gdy siedziałam na ławce i obserwowałam ją znad swojej gazety, ona gawędziła ze znajomymi i targowała się ze wszystkimi handlarzami. Zatrzymywała się przy trzech pierzejach rynku, by wreszcie energicznie wejść do ratusza, znajdującego się w czwartej. Złożyłam gazetę i popędziłam tam za nią, po czym stanęłam na korytarzu, udając, że studiuje zapowiedzi i ogłoszenia, w czasie gdy ona pięła się po schodach. Przeskakując po dwa stopnie naraz, pobiegłam za nią; zamknąwszy w końcu za sobą drzwi, znalazłam się w pierwszym swojsko wyglądającym miejscu od czasu przyjazdu do Lisle-sur-Tarn.

Biblioteka tchnęła krzepiącą atmosferą szacownej wiekowości i spokoju, które tak bardzo pociągały mnie w amerykańskich bibliotekach publicznych. Chociaż niewielka - tylko dwa pomieszczenia - miała wysokie sufity i okna niezasłonięte okiennicami, przez co była przewiewna, co na ogół się nie zdarza w równie starych budynkach. Parę osób podniosło na mnie wzrok; na szczęście jednak wszyscy zaraz wrócili do lektury bądź prowadzonych półgłosem rozmów.

Rozejrzawszy się dokoła podeszłam do biurka bibliotekarki, aby wyrobić sobie kartę. Miła pani w średnim wieku i szykownym oliwkowym kostiumie poinformowała mnie, że muszę przedstawić dokument z adresem na potwierdzenie stałego miejsca zamieszkania we

Francji. Taktownie wskazała mi półkę ze słownikiem angielsko-francuskim oraz nieduży dział książek anglojęzycznych.

Kiedy po raz drugi odwiedziłam bibliotekę, zamiast miłej pani w kostiumie zobaczyłam mężczyznę: rozmawiał przez telefon, z brązowymi oczami utkwionymi w widok za oknem i cierpkim uśmiechem na kościstej twarzy. Był mniej więcej mojego wzrostu, miał na sobie czarne spodnie oraz białą koszulę bez krawata, zapiętą pod szyją, z rękawami podwiniętymi powyżej łokcia. Samotny wilk. Uśmiechnęłam się pod nosem: lepiej unikać z takim kontaktem.

Ominąwszy go szerokim łukiem, skierowałam się do sekcji anglojęzycznej. Wyglądała tak, jakby zagraniczni turyści ofiarowali bibliotece stos wakacyjnych lektur, gdyż dominowały w tym dziale powieści sensacyjne oraz obyczajowe. Zobaczyłam również niezły wybór książek Agathy Christie. Wybrałam jedną, której nie czytałam, po czym przeszłam do części francuskiej. Madame Sentier poleciła mi Françoise Sagan jako bezbolesną próbę oswojenia się z językiem pisanym; mój wybór padł na „Witaj, smutku”. Podeszłam do biurka, zerknęłam na wilka, potem na frywolne książki, które trzymałam w ręku. Następnie wróciłam do sekcji angielskiej i poszperawszy chwilę, sięgnęłam po „Portret damy”.

Zwlekałam jeszcze jakiś czas, przeglądając od niechcienia egzemplarz „Paris-Matcha”. Wreszcie zaniiosłam książki do biurka. Mężczyzna przyjrzał mi się uważnie i popatrzył na nie z namysłem.

- Pani karta? - zapytał po angielsku, z nieznacznym uśmiechem na ustach.

Idź do diabła, pomyślałam. Nie podobał mi się ten taksujący wzrok oraz założenie, że mój amerykański wygląd całkowicie wyklucza znajomość francuskiego.

- Chciałabym ją wyrobić - odparłam po francusku, starając się mówić bez cienia obcego akcentu.

Podał mi formularz.

- Proszę to wypełnić - polecił po angielsku.

Byłam tak poirytowana, że w rubryce „nazwisko” zamiast „Turner” wpisałam „Tournier”. Pchnęłam w kierunku mężczyzny formularz wraz z prawem jazdy, kartą kredytową i listem bankowym, na którym widniał nasz francuski adres. Popatrzył na dokumenty, następnie przeniósł wzrok na formularz i zmarszczył brwi.

- Co ma znaczyć to „Tournier”? - zapytał, stukając palcem w kartkę. - Przecież nazywa się pani Turner, prawda? Jak Tina Turner?

Uparcie odpowiadałam mu po francusku.

- Owszem, ale nazwisko rodowe moich przodków brzmiało Tournier. Zmienili je po przyjeździe do Stanów. W dziewiętnastym wieku. Wyrzucili „o” oraz „i”, żeby było bardziej amerykańskie. - Tak głosiła rodzinna legenda, z której byłam niezmiernie dumna, widziałam jednak, że na bibliotekarzu nie wywarło to najmniejszego wrażenia. - Wielu emigrantów zmieniał nazwiska... - Zająknęłam się pod jego ironicznym spojrzeniem i odwróciłam wzrok.

- Nazywa się pani Turner i takie nazwisko musi widnieć na karcie, rozumie pani?

Przeszłam na angielski.

- Cóż... skoro tu mieszkam, uznałam, że będzie wskazane powrócić do formy „Tournier”.

- Ale nie dysponuje pani żadnym dokumentem na nazwisko Tournier, prawda?

Pokręciłam głową i wbiłam wzrok w książki, przyciskając łokcie do boków. Poczułam ze zgrozą, że łzy napłynęły mi do oczu.

- Nieważne - mruknęłam.

Usiłując nie patrzeć na mężczyznę, zgarnęłam dokumenty i opuściłam bibliotekę.

Tego samego wieczoru, kiedy otworzyłam drzwi, aby przepędzić dwa koty walczące na ulicy, potknęłam się o stertę książek na schodku. Na wierzchu leżała karta wystawiona na nazwisko Elli Tournier.

Stłumiłam chęć udania się do ratusza i podziękowania bibliotekarzowi. Jeszcze nie wiedziałam, jak należy dziękować Francuzom. Kiedy coś kupowałam, po wielekroć rozpływali się w podziękowaniach, a mimo to zawsze wątpiłam w ich szczerłość. Nie potrafiłam określić tonu ich wypowiedzi. Jednakże sarkazm bibliotekarza był niezaprzeczalny; nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak grzecznie przyjmuje wyrazy wdzięczności.

Kilka dni po otrzymaniu karty szłam drogą wiodącą wzdłuż rzeki i zobaczyłam, jak siedzi w słońcu przed kawiarnią w pobliżu mostu, dokąd zaczęłam zaglądać na kawę. Zdawał się pochłonięty obserwacją rzeki; przystanąłam, zastanawiając się, czy powinnam go zagadnąć, czy też spróbować przemknąć niezauważona. Podniósł głowę i podchwycił

moje spojrzenie. Wyraz jego twarzy nie uległ najlżejszej zmianie; wyglądał, jakby myślami przebywał daleko stąd.

- *Bonjour* - powiedziałam, czując się jak przyłapana na gorącym uczynku.

- *Bonjour*. - Nieznacznie zmienił pozycję i wskazał na sąsiednie krzesło. - *Café?*

Zawahałam się.

- *Oui, s'il vous plaît* - odrzekłam wreszcie.

Usiadłam, a on skinął na kelnera. Ogarnięta zakłopotaniem utkwiałam wzrok w rzecę, aby nie musieć na niego patrzeć. Tarn liczyła około stu jardów szerokości, była zielona, spokojna i pozornie nieruchoma. Moją uwagę przykuł jednak powolny ruch fal; co jakiś czas na powierzchnię wypływała ciemna, rdzawa substancja, po czym woda odzyskiwała pierwotną barwę. Urzeczona śledziłam wzrokiem plamy czerwieni.

Nadszedł kelner z kawą na srebrnej tacy i zasłonił mi rzekę. Zwróciłam się do bibliotekarza.

- Skąd się biorą te czerwone plamy na rzecę? - zapytałam po francusku.

- Pokłady gliny ze wzgórz - wyjaśnił po angielsku. Niedawno nastąpiło obsunięcie ziemi, które odsłoniło glinę ukrytą pod warstwą gleby. Spływa do rzeki. Ponownie skierowałam wzrok na Tarn.

- Jak panu na imię? - spytałam, niepostrzeżenie przechodząc na angielski.

- Jean-Paul.

- Dziękuję za kartę, Jean-Paul. To miło z pana strony.

Wzruszył ramionami; pogratulowałam sobie w duchu, że nie byłam bardziej wylewna.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy bez słowa, pijąc kawę i spoglądając na rzekę. Późnomajowe słońce solidnie przygrzewało i chętnie zdjęłabym zakiet, ale nie chciałam, by mężczyzna zobaczył moją łuszczycę.

- Dlaczego nie jest pan w bibliotece? - zagadnęłam po chwili.

Podniósł wzrok.

- Jest środa. Biblioteka zamknięta.

- Aha. Jak długo pan tu pracuje?

- Trzy lata. Przedtem pracowałem w bibliotece w Nîmes.

- Czy to pana zawód? Jest pan bibliotekarzem?

Zapalił papierosa, zerkając na mnie kątem oka.

- Tak. Dlaczego pani pyta?

- Po prostu... nie wygląda pan na bibliotekarza.

- A na kogo?

Przyjrzałam mu się uważnie. Miał na sobie czarne dżinsy i miękką łososiową koszulkę z bawełny, na krześle wisiał czarny blezer. Jego ramiona były opalone i bardzo owłosione.

- Na gangstera - zawyrokowałam. - Brakuje panu tylko okularów przeciwsłonecznych.

Jean-Paul uśmiechnął się nieznacznie; dym z papierosa zasnuł mu twarz niebieskawą kurtyną.

- Jak to mawiacie w Ameryce? „Nie oceniaj książki po okładce”?

Odpowiedziałam mu uśmiechem.

- *Touché.*

- Co sprowadziło panią do Francji, Ello Tournier?

- Mój mąż pracuje w Tuluzie jako architekt.

- A dlaczego pani jest tutaj?

- Woleliśmy zamieszkać w małej miejscowości. Przedtem mieszkaliśmy w San Francisco, dorastałam w Bostonie... Przyszło mi do głowy, że takie miasteczko stanowiłoby miłą odmianę.

- Pytałem, dlaczego pani tu jest?

- Och. - Urwałam. - Ponieważ jest tutaj mój mąż.

Uniósł brwi i zgasił papierosa.

- To znaczy, chciałam przyjechać. Bardzo się cieszyłam.

- Cieszyła się pani czy cieszy?

Prychnęłam.

- Pańska znajomość angielskiego jest godna podziwu. Gdzie pan się go nauczył?

- Przez dwa lata mieszkałem w Nowym Jorku. Studiowałem bibliotekoznawstwo na Columbi.

- Mieszkał pan w Nowym Jorku i wrócił tutaj?

- Najpierw do Nîmes, a potem tutaj, tak. - Posłał mi lekki uśmiech. - Co w tym takiego dziwnego, Ello Tournier? Tu jest mój dom.

Wolałam, żeby już przestał z tą „Tournier”. Spoglądał na mnie z uśmiechem, który

zaobserwowałam u niego pierwszego dnia w bibliotece, protekcjonalnym i nieodgadnionym. Szkoda, że nie widziałam jego twarzy, gdy wypisywał kartę: czyżby chciał w ten sposób zmanifestować swoją wyższość?

Poderwałam się z miejsca i wygrzebałam w torebce kilka monet.

- Miło było z panem rozmawiać, ale muszę już iść. - Położyłam pieniądze na stole.

Jean-Paul zmarszczył brwi i prawie niedostrzegalnie pokręcił głową. Poczerwieniałam i pozbierawszy monety, obróciłam się na pięcie.

- *Au revoir*, Ello Tournier. Miłej lektury Henry'ego Jamesa.

Odwrociłam się gwałtownie.

- Dlaczego bez przerwy powtarza pan to nazwisko?

Odchylił się na krześle; słońce świeciło mu prosto w twarz, tak że jej wyraz pozostał nieodgadniony.

- Żeby się pani do niego przyzwyczaiła. Wówczas stanie się pani nazwiskiem.

Z powodu strajku pocztowców odpowiedź kuzyna doszła pierwszego czerwca, jakiś miesiąc po moim liście. Jacob Tournier gęsto zapisał dwie strony wielkimi hieroglifami. Wyjąwszy słownik, przystąpiłam do pracy, list był jednak niemal nie do rozszyfrowania, dlatego wkrótce dałam za wygraną i postanowiłam skorzystać z większego słownika w bibliotece.

Gdy weszłam do środka, Jean-Paul rozmawiał właśnie z jakimś mężczyzną. Nie dał nic po sobie poznać, lecz ku mojej satysfakcji, która zdumiała nawet mnie samą, kiedy przechodziłam obok, jego spojrzenie powędrowało w moim kierunku. Zniosłam słowniki do stołu i usiadłam tyłem do bibliotekarza, ganiąc się w duchu za równie żalosalną demonstrację obojętności.

Duży słownik okazał się bardziej pomocny, jednakże list zawierał wyrazy, których nie mogłam w nim znaleźć, nie wspominając o tych, których po prostu nie mogłam odczytać. Po kwadransie ślęczenia nad jednym akapitem zniechęcona podniosłam wzrok. Wtedy zobaczyłam, że Jean-Paul stoi oparty o ścianę na lewo ode mnie i śledzi moje poczynania z irytującym rozbawieniem na twarzy. Podskoczyłam na krześle i ze złością rzuciłam mu list ze słowami:

- Proszę, sam to zrób!

Zebrał kartki i przejrzawszy je pobieżnie, skinął głową.

- Zostaw mi je - powiedział. - Do zobaczenia w środę w kawiarni.

W środę rano siedział przy tym samym stole i na tym samym krześle, lecz tym razem dzień był pochmurny i woda miała zwykłą barwę. Usiadłam naprzeciw niego, tyłem do rzeki, przez co byliśmy zmuszeni na siebie patrzeć. Za plecami Jean-Paula widziałam pustą kawiarnię: gdy zajęłam miejsce przy stole i skinęłam głową, kelner podniósł wzrok i odłożył gazetę.

W milczeniu czekaliśmy na kawę. Byłam zbyt zmęczona na pogawędkę: właśnie przypadał strategiczny okres w miesiącu i koszmar dręczył mnie trzy noce z rzędu. Potem nie mogłam zasnąć i leżałam godzinami, wsłuchana w miarowy oddech Ricka. Zaczęłam ucinąć sobie popołudniowe drzemki, które jednak pogarszały moje samopoczucie i nasilały dezorientację. Ze zrozumieniem pomyślałam o pozbawionych snu świeżo upieczonych matkach oraz wyrazie wiecznego rozkojarzenia na ich znękanych twarzach.

Kiedy przyniesiono kawę, Jean-Paul położył na stole list Jacoba Tourniera.

- Zawiera idiomy szwajcarskie - powiedział - które mogły być dla ciebie niejasne. Na dodatek charakter pisma jest niezbyt czytelny, choć zdarzało mi się widywać gorsze. - Podał mi starannie napisane tłumaczenie.

„Droga Kuzynko,

Twój list sprawił mi bardzo miłą niespodziankę. Doskonale pamiętam wizytę Twego ojca w Moutier i będę szczęśliwy, mogąc poznać jego córkę.

Przepraszam za zwłokę, lecz chcąc odpowiedzieć na Twoje pytania, musiałem przejrzeć notatki mego dziadka na temat rodziny Tournier. To właśnie on przeprowadził w tym kierunku rozległe badania. Sporządził nawet drzewo genealogiczne; nie sposób go odtworzyć w liście, dlatego będziesz musiała do nas przyjechać i zobaczyć je na własne oczy.

Tak czy inaczej, mogę Ci przedstawić kilka faktów. Pierwsza wzmianka na temat Tournierów w Moutier dotyczy Etienne'a Tourniera, którego nazwisko widnieje na liście poborowych z 1576 roku. W roku 1590 odbył się chrzest innego Etienne'a Tourniera, syna Jeana Tourniera i Marthe Rougemont. Z tamtego okresu pochodzi niewiele danych, lecz późniejsze informacje są bardzo liczne i począwszy od osiemnastego wieku, drzewo genealogiczne wydaje się kompletne.

Tournierowie wykonywali najróżniejsze zawody: krawca, szynkarza, zegarmistrza, nauczyciela. Na początku dziewiętnastego wieku niejaki Jean Tournier został nawet wybrany na mera.

Pytasz o francuskie korzenie. Dziadek wspominał, że rodzina pochodziła z okolic Cévennes. Nie wiem, skąd uzyskał takie informacje.

Twoje zainteresowanie naszymi dziejami bardzo mnie cieszy; mam nadzieję, że wraz z mężem znajdziecie czas, aby nas niebawem odwiedzić. Każdego Tourniera powitamy w Moutier z otwartymi ramionami.

Pozdrawiam serdecznie,
Jacob Tournier"

Uniosłam wzrok znad listu.

- Gdzie leży Cévennes? - zapytałam.

Jean-Paul wskazał kierunek za moim ramieniem.

- Na północny wschód stąd. Górski region na północ od Montpellier, na zachód od Rodanu. W okolicach Tarn, nieco na południe.

Uczepiłam się znajomego punktu orientacyjnego.

- Tej Tarn? - Wskazałam brodą na rzekę.

Oby nie zauważył, że wzięłam Cévennes za miasto.

- Tak. Dalej na wschód, bliżej źródła, znacznie różni się od tutejszej. Jest węższa, bardziej wartka.

- A którądy płynie Rodan?

Zerknąwszy na mnie z ukosa, sięgnął do kieszeni kurtki po pióro i naszkicował na serwetce zarys mapy Francji. Kształt przywodził na myśl krowi łeb: punkty wschodni i zachodni były uszami, górna część kępką włosów, granica z Hiszpanią kanciastą mordą. Jean-Paul zaznaczył kropkami Paryż, Tuluzę, Lyon, Marsylię i Montpellier, a następnie wyrysował falujące pionowe i poziome linie, mające symbolizować Rodan i Tarn. Wreszcie dodał kropkę obok Tarn, na prawo od Tuluzy - było to Lisle-sur-Tarn po czym zakreślił kółkiem fragment lewego policzka krowy tuż ponad Riwierą.

- Tu jest Cévennes.

- Chcesz powiedzieć, że pochodzili gdzieś stąd?

Jean-Paul wydał usta.

- Dzieli nas co najmniej dwieście kilometrów. Twoim zdaniem to blisko?

- Dla Amerykanki tak - odparłam defensywnym tonem, pamiętając, że niedawno wyśmiałam ojca za podobne założenie. - Niektórzy Amerykanie dojeżdżają sto mil na przyjęcie. Pomyśl tylko, czy to nie cudowny zbieg okoliczności, że... - wskazałam na krowi łeb - moi przodkowie pochodzą z regionu leżącego tak blisko mojego miejsca zamieszkania w twoim wielkim kraju?

- Tak, cudowny zbieg okoliczności. - Powiedział to takim tonem, że moim zdaniem lepiej by było, gdyby sobie darował przymiotnik.

- Może wobec tego dałoby się uzyskać na ich temat więcej informacji. Przypomniałam sobie, jak madame Sentier mówiła, że poznanie moich francuskich korzeni pozwoliłoby mi się łatwiej zasymilować. - Mogłabym tam pojechać i... - Umilkłam. I właściwie co zrobić?

- Twój kuzyn twierdzi, że to tylko rodzinna legenda. Nie ma co do tego żadnej pewności. Żadnych konkretów. - Rozparł się na krześle, po czym wyjął papierosa i zapalił go jednym płynnym ruchem. - Poza tym już wiesz, że drzewo genealogiczne sięga 1576 roku. To i tak dużo. Nie wystarczy?

- Ale byłoby zabawnie trochę poszperać. Przeprowadzić badania. Mogłabym przejrzeć archiwa czy coś w tym rodzaju.

Spojrzał na mnie z rozbawieniem. Jakie archiwa, Ello Tournier?

- No, na przykład kroniki urodzeń. Zgonów. Ślubów. I tak dalej.

- A gdzie szuka się takich rzeczy?

Rozłożyłam ręce.

- Nie wiem. To ty powinieneś wiedzieć. Jesteś bibliotekarzem!

- No dobrze. - Apel do jego kompetencji przywołał go do porządku. Wyprostował się na krześle. - Mogłabyś spróbować w archiwum w Mende, stolicy Lozère, jednego z departamentów Cévennes. Sądzę jednak, że nie pojmujesz znaczenia słowa „badania”, którego tak gorliwie nadużywasz. Nie ma wielu zapisków z szesnastego wieku. Dokładną archiwizację zaczęto prowadzić dopiero po rewolucji. Owszem, istniały księgi kościelne, aczkolwiek wiele z nich uległo zniszczeniu podczas wojen religijnych. Księgi hugenotów poszły na pierwszy ogień. Dlatego poszukiwania w Mende nie mają większego sensu.

- Chwileczkę. Skąd wiesz, że oni byli tymi... hugenotami?

- Większość Francuzów, która wówczas wyemigrowała do Szwajcarii, była hugenotami szukającymi schronienia bądź tymi, którzy chcieli znaleźć się bliżej Kalwina i Genewy. Nastąpiły dwie główne fale emigracji, w roku 1572 i 1685, pierwsza po nocy świętego Bartłomieja, druga po rewokacji edyktu nantejskiego. Możesz o tym poczytać w bibliotece. Nie mam zamiaru wszystkiego robić za ciebie - dorzucił ironicznie.

Zlekceważyłam jego wywody. Pomysł spenetrowania regionu, z którego mogli pochodzić moi przodkowie, zdecydowanie przypadł mi do gustu.

- Uważasz zatem, że warto odwiedzić archiwum w Mende? - spytałam wiedziona niedorzecznym optymizmem.

Wydmuchnął dym.

- Nie.

Moja twarz musiała wyrażać rozczarowanie, gdyż Jean-Paul niecierpliwie postukał w blat.

- Głowa do góry, Ello Tournier - powiedział. - Badanie przeszłości to nie lada przedsięwzięcie. Wy, Amerykanie, przyjeżdżacie tu w poszukiwaniu korzeni i myślicie, że dokonacie tego w jeden dzień, prawda? Potem udajecie się we wskazane miejsce, pstrykacie zdjęcie i pod wieczór czujecie się Francuzami, może nie? A nazajutrz pędzicie szukać przodków w innych krajach. W ten sposób chcecie zawłaszczyć cały świat.

Chwyciłam torbę i zerwałam się z krzesła.

- Masz frajdę, co? - rzuciłam ostro. - Dzięki za radę. Wiem już coś niecoś o francuskim optymizmie. - Demonstracyjnie rzuciłam monetę na stół; przetoczyła się obok łokcia Jean-Paula i spadła na ziemię, gdzie kilkakrotnie podskoczyła na betonie.

Odwróciłam się, by odejść. Jean-Paul dotknął mojej ręki.

- Zaczekaj, Ello. Nie odchodź. Nie wiedziałem, że to dla ciebie takie ważne. Po prostu próbuję trzeźwo ocenić sytuację.

Spojrzałam na niego ze złością.

- Niby dlaczego mam zostać? Jesteś aroganckim czarnowidzem, a na dodatek wyśmiewasz wszystko, co robię. Wyraziłam zainteresowanie swymi francuskimi przodkami, a ty się zachowujesz, jakbym tatuowała sobie na tyłku flagę narodową. Naprawdę, nie jest mi tu łatwo żyć, nawet bez twojego sarkazmu. - Ponownie obróciłam się

na pięcie, lecz ku swemu zdziwieniu stwierdziłam, że cała drzę.

Pod wpływem nagłego zawrotu głowy kurczowo chwyciłam się stołu.

Jean-Paul zerwał się z miejsca i podstawił mi krzesło, na które zaraz się osunęłam.

- *Une verre d'eau, Dominique!* - zawołał do kelnera. - *Vite, s'il te plaît.*

Woda i kilka głębokich oddechów pomogło. Powachlowałam rękami czerwoną, spoconą twarz. Jean-Paul usiadł naprzeciw i obserwował mnie uważnie.

- Może zdejmiesz żakiet - podsunął ścisłym tonem; po raz pierwszy przemawiał tak łagodnie.

- Ale ja... - Nie była to jednak właściwa pora na skromność, poza tym zmęczenie odebrało mi ochotę do sprzeczki. Gniew minął jak ręką odjął. Z ociąganiem zdjęłam żakiet.

- Mam łuszczycę - oznajmiłam lekko, próbując ukryć zakłopotanie. - Lekarz twierdzi, że to z powodu stresu i braku snu.

Jean-Paul popatrzył na placki złuszczonej skóry, jakby miał przed sobą fascynujące dzieło sztuki nowoczesnej.

- Dlaczego nie możesz spać? - zapytał.

- Mam koszmary. A właściwie koszmar.

- Mówiłaś o tym mężowi? Przyjaciołom?

- Nikomu nie mówiłam.

- Dlaczego nie porozmawiasz z mężem?

- Nie chcę, żeby pomyślał, że jestem tu nieszczęśliwa. - Nie dodałam, że Rick mógł poczuć się zagrożony związkiem tej sprawy z seksem.

- A jesteś?

- Tak - odrzekłam, patrząc mu prosto w oczy.

Wyznanie prawdy sprawiło mi ulgę.

Pokiwał głową.

- Czego dotyczy ten koszmar? Opowiedz mi.

Przeniosłam wzrok na rzekę.

- Pamiętam jedynie fragmenty. Nie dzieje się w nim nic konkretnego. Słyszę głos... nie, dwa głosy, jedna osoba mówi po francusku, a druga płacze, szlocha histerycznie. Wszystko spowija mgła, powietrze jest bardzo ciężkie, jak woda. A na końcu słyszę łoskot, jakby zatraskiwano ciężkie wrota. Przede wszystkim zaś wszędzie jest błękit. Wszędzie.

Nie wiem, co tak naprawdę mnie przeraża, lecz za każdym razem odczuwam przemożną chęć powrotu do domu. Moją największą grozę budzi atmosfera snu oraz jego cykliczność, tak jakby miał towarzyszyć mi do końca życia. To jest najgorsze. - Umilkłam. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo pragnęłam to z siebie wyrzucić.

- Chcesz wrócić do Stanów?

- Czasami. Potem wściekam się na siebie, że sen może do tego stopnia wyprowadzić mnie z równowagi.

- Jak wygląda ten błękit? Tak? - Wskazał na plakat z reklamą lodów.

Pokręciłam głową.

- Nie wydaje się tak jaskrawy. To znaczy, błękit ze snu też jest jaskrawy. Bardzo wyrazisty. Jaskrawy, a zarazem mroczny. Nie wiem, jak to fachowo określić. Odbija mnóstwo światła. Jest piękny, a przy tym napełnia mnie wielkim smutkiem. I poczuciem szczęścia. Zupełnie jakby krył w sobie dwa oblicza. Dziwne, że zapamiętałam go tak dokładnie. Zawsze sądziłam, że mam sny czarno-białe.

- A głosy? Czyje są?

- Nie mam pojęcia. Niekiedy to mój własny głos. Czasem budzę się, a słowa ze snu dalej dźwięczą mi w uszach. Niemal je słyszę w zalegającej dokoła nienaturalnej, martwej ciszy.

- Co to za słowa? Co takiego mówisz?

Po chwili zastanowienia pokręciłam głową.

- Nie pamiętam.

Utkwił we mnie badawcze spojrzenie.

- Spróbuj. Zamknij oczy.

Zrobiłam, co kazał, dłuższą chwilę trwając w milczeniu. Jean-Paul siedział cicho obok mnie. Kiedy już miałam dać za wygraną, w mojej pamięci zamajaczył zbłąkany urywek.

- *Je suis un pot cassé* - rzuciłam znienacka.

Otworzyłam oczy.

- Jestem rozbitym naczyniem? Co to ma znaczyć?

Jean-Paul spoglądał na mnie z osłupieniem.

- Pamiętasz coś jeszcze?

Ponownie przymknęłam oczy.

- *Tu es ma tour et forteresse* - wymamrotałam wreszcie.

Rozwarłam powieki. Twarz Jean-Paula stężała w wyrazie skupienia, mężczyzna zdawał się zatopiony w myślach. Widziałam, jak szpera w zakamarkach pamięci w poszukiwaniu właściwego tropu, po czym wraca do rzeczywistości. Zapatrzony w błękitny szyld zaczął recytować:

Entre tous ceux-là qui me haient

Mes voisins j'aperçois

Avoir honte de moi:

Il semble que mes amis aient

Horreur de ma rencontre,

Quand dehors je me montre.

Je suis hors de leur souvenance,

Ainsi qu'un tresspassé.

Je suis un pot cassé.

Słuchając go, poczułam ucisk w gardle i pieczenie pod powiekami. Ogarnęła mnie bezdenne rozpacz.

Uchwyciwszy się kurczowo poręczy krzesła, wparłam się plecami w oparcie. Gdy skończył, z wysiłkiem przełknęłam ślinę.

- Co to było? - spytałam cicho.

- Psalm trzydziesty pierwszy.

Zmarszczyłam brwi.

- Psalm? Z Biblii?

- Tak.

- Ale skąd mogę go znać? Nie znam żadnych psalmów po angielsku, a co dopiero po francusku! Jednak te słowa brzmią bardzo znajomo. Musiałam je gdzieś słyszeć. Skąd je znasz?

- Z kościoła. Kiedyś uczyliśmy się psalmów na pamięć. Poza tym miałem z nimi styczność na studiach.

- Na bibliotekoznawstwie?

- Nie, nie, wcześniej, kiedy studiowałam historię. Historię Langwedocji. Tym się tak naprawdę zajmuję.

- Co to jest Langwedocja?

- Region dokoła nas. Od Tuluzy przez Pireneje aż do Rodanu. - Narysował na serwetce kolejne kółko; znalazły się w nim Cévennes oraz znaczna część krowiej szyi i pyska. - Nazwano go na cześć języka, którym niegdyś się tu posługiwano. *Oc* znaczyło *oui*. *Langue d'oc* - język *oc*.

- Co psalm ma wspólnego z Langwedocją?

Zawahał się.

- Otóż to. Jest to psalm, który hugenoci przywołują w chwilach zagrożenia.

Tego samego dnia po kolacji opowiedziałam Rickowi o śnie, możliwie jak najdokładniej opisując błękit, głosy oraz atmosferę koszmaru. Pewne szczegóły pominęłam: nie wspomniałam mu, że rozmawiałam o tym z Jean-Paulem, że słowa pochodzą z psalmu i że sen dręczy mnie tylko po seksie. Ponieważ musiałam dokonać selekcji informacji, mój wywód był nużący i nie przyniósł mi takiej ulgi, jak rozmowy z Jean-Paulem, kiedy wyrzuciłam z siebie wszystko mimowolnie i niejako naturalnie. Teraz mówiłam bardziej przez wzgląd na Ricka niż na siebie, czując, iż muszę swemu snowi nadać formę zrozumiałej dla słuchacza opowieści, przez co oddalił się jakby ode mnie, zyskując własny, fikcyjny żywot.

Rick tak też to potraktował. Być może wpłynęła na to moja narracja, lecz wyglądało, jakby mąż słuchał mnie jednym uchem, drugim łowiąc wiadomości radiowe lub odgłosy rozmowy z ulicy. W przeciwieństwie do Jean-Paula nie zadawał też żadnych pytań.

- Rick, czy ty mnie słuchasz? - zapytałam wreszcie, ciągnąc go za kucyk.

- Jasne, że tak. Masz koszmary. Na niebiesko.

- Chciałam, żebyś o tym wiedział. To dlatego jestem ostatnio taka zmęczona.

- Powinnaś mnie wtedy budzić.

- Wiem. - Byłam jednak pewna, że nigdy bym tego nie zrobiła.

W Kalifornii obudziłabym go już za pierwszym razem. Coś się zmieniło, a skoro Rick wydawał się taki jak zawsze, pewnie chodziło o mnie.

- Jak nauka?

Wzruszyłam ramionami, zirytowana zmianą tematu.

- Dobrze. Nie. Fatalnie. Nie. Sama nie wiem. Czasem się zastanawiam, jak będę odbierać porody po francusku. Zabrakło mi słów, kiedy dziecko zadławiło się cukierkiem.

Jak więc mogłabym pomóc kobiecie w czasie porodu?

- Przecież w Ameryce pomagałaś Latynoskom i dawałaś sobie z tym radę.

- To co innego. Może nie mówiły po angielsku, ale nie oczekiwały ode mnie znajomości hiszpańskiego. Tu zaś wszystkie terminy medyczne i nazwy leków będę musiała podawać tylko po francusku.

Rick odsunął talerz i oparł się łokciami o stół.

- Hej, Ello, gdzie twój optymizm? Chyba nie zaczniesz zachowywać się jak Francuzka, co? Dość się tego naoglądałam w pracy.

Pamiętając, że niedawno sama zarzuciłam pesymizm Jean-Paulowi, machinalnie powtórzyłam jego słowa:

- Staram się tylko trzeźwo ocenić sytuację.

- Taa, tego też wysłuchuję na okrągło.

Otworzyłam usta, chcąc udzielić mężowi ostrej repliki, lecz przywołałam się do porządku. To prawda, że po przyjeździe do Francji mój optymizm skurczył się drastycznie; być może przyjmowałam cyniczną postawę autochtonów. Rick zawsze dostrzegał jasne strony sytuacji i owo pozytywne nastawienie przesądziło o jego sukcesie, sprawiając, że zdobył przychylność francuskiej firmy, która postanowiła ściągnąć go do Europy. Zamknęłam usta, przełykając cierpko uwagę.

Wieczorem się kochaliśmy, Rick skrzętnie unikał mojej łuszczycy. Potem leżałam bez ruchu, w cierpliwym oczekiwaniu na sen i koszmar. Gdy nadszedł, był mniej impresjonistyczny, bardziej pogmatwany niż zwykle. Błękit wisiał nade mną niczym jaskrawa płachta, wydęta wiatrem, zyskując namacalny kształt i fakturę. Kiedy się obudziłam, łzy płynęły mi po twarzy, a w uszach dźwięczał własny głos. Zastygłam nieruchomo.

- Sukienka - szepnęłam. - To była sukienka.

Rankiem pośpieszyłam do biblioteki. Na widok kobiety za biurkiem musiałam odwrócić twarz, by ukryć rozczarowanie nieobecnością Jean-Paula. Pod czujnym okiem bibliotekarki pokręciłam się po obu salach. Wreszcie spytałam, czy Jean-Paul zjawi się dziś w bibliotece.

- O nie - odrzekła, lekko marszcząc brwi. - Nie będzie go kilka dni. Wyjechał do Paryża.

- Do Paryża? Ale po co?

Wydawała się zdziwiona pytaniem.

- Jego siostra wychodzi za mąż. Jean-Paul wróci po weekendzie.

- Aha. *Merci* - odpowiedziałam i wyszłam. Ze zdumieniem przyjąłam informację o rodzinie, siostrze Jean-Paula. Cholera, pomyślałam, zbiegając po schodach i wychodząc na rynek. Kobieta z *boulangerie* stała przy fontannie, rozmawiając z inną, tą, która wskazała mi drogę do biblioteki. Obie umilkły i obrzuciły mnie przeciągłym spojrzeniem, a następnie podjęły rozmowę. A niech was, przeszło mi przez myśl. W życiu nie czułam się tak izolowana i wystawiona na widok publiczny.

W niedzielę byliśmy zaproszeni na lunch do znajomych Ricka; była to pierwsza okazja towarzyska od czasu przyjazdu do Francji, nie licząc sporadycznych drinków z ludźmi z biura. Denerwowałam się wizytą i skupiałam uwagę na tym, jak się ubrać. Nie miałam pojęcia, co oznacza we Francji termin „niedzielny lunch” i jaki obowiązuje wówczas strój.

- Mam włożyć sukienkę? - nękałam Ricka.

- Włóż, co chcesz - odpowiadał usłużnie. - Im jest wszystko jedno.

Gorzej będzie ze mną, uzupełniłam w myślach, jeśli włożę coś nieodpowiedniego.

Moje ramiona dodatkowo komplikowały sytuację: dzień był gorący, lecz nie zniosłabym spojrzeń rzucanych ukradkiem na złuszczonej skórze. Wreszcie zdecydowałam się na beżową sukienkę bez rękawów, sięgającą do pół łydki, i biały płócienny żakiet. Uznałam, że taki strój jest odpowiedni właściwie na każdą okazję, kiedy jednak tamci otworzyli drzwi swego wielkiego, położonego na przedmieściach domu i zobaczyłam dzinsy, biały podkoszulek Chantal i zgnięzione szorty Oliviera, w jednej chwili poczułam się śmiesznie i przesadnie wystrojona. Gospodarze powitali mnie uprzejmym uśmiechem, po czym ponownie uśmiechnęli się na widok kwiatów i wina; stwierdziłam jednak, że kwiaty spoczęły w folii na blacie w jadalni, wino zaś znikło w czeluściach kuchni i w ogóle nie trafiło na stół.

Znajomi Ricka mieli dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, tak grzecznych i cichych, że przez całą wizytę nie poznałam ich imion. Pod koniec lunchu dzieciaki wstały od stołu i weszły do domu, jakby na sygnał słyszalny tylko dla ich uszu. Pewnie oglądały telewizję. Po cichu im zazdrościłam: rozmowa wśród nas, dorosłych, okazała się męcząca i do reszty

odebrała mi pewność siebie. Rick i Olivier przez większość czasu omawiali sprawy firmy, posługując się przy tym językiem angielskim. Chantal i ja wiodłyśmy niemrawą pogawędkę mieszaniną obu języków. Próbowałam rozmawiać z nią wyłącznie po francusku, kiedy jednak czuła, że nie nadążam, uparcie przeskakiwała na angielski. Byłoby z mojej strony nieuprzejmością nadal mówić w jej języku, toteż sama także przechodziłam na angielski, po czym po dłuższej pauzie podejmowałam kolejny temat, znów po francusku. Przerodziło się to w rodzaj kurtuazyjnej szamotaniny; moim zdaniem, Chantal czerpała cichą satysfakcję z demonstrowania, że jej angielszczyzna bije na głowę moją znajomość francuskiego. Na domiar wszystkiego lubowała się w tematach politycznych, a gdy wyszło na jaw, że nie zajmuję w niektórych sprawach jasno określonego stanowiska, na jej twarzy odmalował się wyraz pogardy.

Oboje uważnie śledzili każdą wypowiedź Ricka, chociaż z nas dwojga to właśnie ja dokładałam starań, by mówić w ich ojczystym języku. I pomimo rozpaczliwych prób nawiązania dialogu odnosiłam wrażenie, że prawie mnie nie słuchają. Nie chciałam porównywać się z Rickiem: w Stanach nigdy tego nie robiłam.

Pożegnaliśmy się późnym popołudniem, wśród zdawkowych cmoknięć i zapowiedzi rewizyty. Ale będzie fajnie, pomyślałam, kiedy odjeżdżaliśmy. Po chwili zdjęłam przeпоcony żakiet. Gdybyśmy byli w Stanach z przyjaciółmi, wygląd moich ramion nie miałby żadnego znaczenia. Choć z drugiej strony, w Stanach pewnie nie miałabym łuszczycy.

- Mili, prawda? - Rick przystąpił do rytualnej wymiany poglądów.

- Nie tknęli kwiatów ani wina.

- Nic dziwnego, gdy się zna piwniczkę tych dwojga! Piękny dom.

- Chyba nie miałam na myśli ich zamożności.

Rick zerknął na mnie z ukosa.

- Nie wydawałaś się specjalnie uszczęśliwiona, skarbie. Co się stało?

- Nie wiem. Czuję... po prostu mam wrażenie, że tu nie pasuję, i tyle. Nie umiem rozmawiać z ludźmi tak jak w Ameryce. Na razie jedyną osobą, z którą tak naprawdę rozmawiałam - oprócz madame Sentier - jest Jean-Paul, choć w istocie bardziej przypomina to potyczkę niż rozmowę albo...

- Kto to jest Jean-Paul?

Próbowałam nadać głosowi obojętny ton.

- Bibliotekarz w Lisle. Pomaga mi w badaniach dziejów rodziny. Wyjechał na kilka dni - dodałam bez sensu.

- I co ustaliliście?

- Niewiele. Garść informacji przesłał mi kuzyn ze Szwajcarii. Wiesz co, sądziłam, że poznanie francuskich korzeni pomoże mi się zadomowić, ale chyba byłam w błędzie. Ludzie nadal widzą we mnie Amerykankę.

- Jesteś Amerykanką, Ello.

- No tak, wiem. Ale na czas pobytu we Francji muszę się trochę zmienić.

- Dlaczego?

- Dlaczego? W przeciwnym razie będę za bardzo odstawać od reszty. Ludzie chcą, żebym zachowywała się zgodnie z ich oczekiwaniami, była taka, jak oni. Poza tym trudno uciec przed wpływem, jaki wywiera otoczenie, język oraz tutejsi mieszkańcy i ich mentalność. To wszystko mnie zmienia, przynajmniej w pewnym stopniu.

Rick zrobił zdumioną minę.

- Przecież ty jesteś sobą - zaoponował, tak raptownie zmieniając pas, że kierowcy z tyłu zatrąbili z urazą. - Nie musisz się zmieniać przez wzgląd na innych.

- Nie w tym rzecz. Chodzi o przystosowanie. Na przykład w tutejszych kawiarniach nie podają kawy bezkofeinowej, dlatego muszę przywyknąć do mniejszej ilości zwykłej lub też w ogóle odzwyczaić się od kawy.

- Ja każę sekretarce parzyć bezkofeinową.

- Rick... - Urwałam i policzyłam do dziesięciu.

Zupełnie jakby rozmyślnie odwracał kota ogonem, uparcie doszukując się plusów każdej sytuacji.

- Myślę, że odczujesz ulgę, jeśli przestaniesz zawracać sobie głowę rzekomym niedopasowaniem. Ludzie polubią cię taką, jaka jesteś.

- Może. - Wyjrzałam przez okno. Rick nie starał się dopasować, a i tak zjednywał sobie sympatię otoczenia. Ot, choćby jego kucyk - nosił go tak naturalnie, że nikt nie widział w tym nic osobliwego. Tymczasem ja, pomimo usilnych starań, różniłam się od innych jak drapacz chmur od zwykłych domów.

Rick musiał jeszcze na godzinę zajrzeć do biura. Pierwotnie miałam zamiar poczytać

lub pograć na komputerze, jednakże zły nastrój skłonił mnie do spaceru. Rick pracował w samym centrum Tuluzi, w dzielnicy wąskich uliczek oraz butików, których witryny obleżone były teraz przez niedzielnych spacerowiczów. Ruszyłam przed siebie, spoglądając na wystawy pełne gustownej odzieży, złotej biżuterii oraz wytwornej bielizny. Kult bielizny we Francji zawsze wprawiał mnie w najwyższe zdumienie; nawet tak małe miasteczka jak Lisle-sur-Tarn zawsze miały sklep specjalizujący się w tego rodzaju towarze. Misterny system koronek i wstążeczek, wyznaczających strefy erogenne, był dla mnie czymś niepojętym. Owa sformalizowana seksowność kryła w sobie coś bardzo nieamerykańskiego.

Ściśle rzecz biorąc, tak dalece różniłam się od Francuzek, że niejednokrotnie czułam się przy nich niewidzialna, niczym rozczochrany duch, który cofa się o krok, by umożliwić im przejście. Kobiety w Tuluzie nosiły szyte na miarę blezery do dżinsów oraz dyskretną złotą biżuterię w uszach i na szyi. Dumnie kroczyły na wysokich obcasach. W ich fryzurach znać było rękę drogiego fryzjera, a wyregulowane brwi tworzyły nieskazitelne łuki, cera zaś zdawała się aksamitna. Bez trudu wyobrażałam sobie te damy w fikuśnych stanikach, jedwabnych głęboko wyciętych figach oraz pończochach i pasku z podwiązkami. Traktowały swój wizerunek ze śmiertelną powagą. Idąc, czułam na sobie ukradkowe spojrzenia, lustrujące moje przydługie włosy do ramion, brak makijażu, wygniecione płótno zakietu oraz sandały na płaskim obcasie, które uchodziły w San Francisco za ostatni krzyk mody. Byłam pewna, że dostrzegam na twarzach kobiet wyraz politowania.

Czy one wiedzą, że jestem Amerykanką? - pomyślałam. Czy to takie oczywiste?

O tak. Pomimo znacznej odległości sama rozpoznałam dwójkę Amerykanów tylko na podstawie ich ubioru oraz postawy. Oglądali wystawę sklepu ze słodyczami; gdy przechodziłam obok, zastanawiali się właśnie, czy wrócić tu nazajutrz, by zakupić trochę czekoladek na drogę.

- Nie roztopią się w samolocie? - zapytała kobieta.

Miała rozłożyste biodra, była w obszernej jasnej bluzce, spodniach i adidasach. Stała na rozstawionych stopach, kolana złączone.

Gdzie tam, kotku, na wysokości trzydziestu pięciu tysięcy stóp jest zimno. Nie roztopią się, ale mogą się pognieść. Może znajdziemy tu coś innego, co warto zabrać. - Mężczyzna dźwigał pokaźny brzuch, dodatkowo uwydatniony paskiem, przecinającym go na dwie części. Brakowało mu tylko czapki baseballowej. Pewnie zostawił ją w hotelu.

Podnieśli wzrok i uśmiechnęli się szeroko, z tęskną nadzieją w oczach. Ich naiwna prostoduszność zapiekła mnie do żywego, pośpiesznie skręciłam w boczną ulicę. Usłyszałam, jak mężczyzna woła za mną: „Przepraszam panią, silwjupelej!”, ale się nie odwróciłam. Czułam się niczym nastolatka, która wstydzi się przed kolegami własnych rodziców.

Uliczka kończyła się przy Musée des Augustins, starym, ceglanym kompleksie mieszczącym kolekcję rzeźb i obrazów. Spojrzałam przez ramię: Amerykanie nie podążali moim śladem. Weszłam do środka.

Zapłaciłam za bilet, pchnęłam drzwi i znalazłam się w korytarzu wiodącym do spokojnego, słonecznego zakątka, gdzie wzdłuż ścieżek okalających zadbany ogród, pełen kwiatów, ziół i warzyw, ustawiono liczne rzeźby. Przy jednej z drózek widniał rząd kamiennych psów z pyskami skierowanymi ku górze w radosnym skowycie. Obeszłam cały plac, a następnie obejrzałam ogród, podziwiając krzaczki truskawek, równe rzędkie sałaty, kępki estragonu, szałwii i trzech rodzajów mięty oraz spory krzew rozmarynu. Przysiadłam na chwilę i zdjęłam żakiet, by uraczyć łuszczycę odrobiną słonecznych promieni. Przymknęłam oczy, nie myśląc o niczym.

Wreszcie wyrwałam się z odrętwienia i wstałam, wiedzona chęcią obejrzenia przyległego kościoła. Był to ogromny budynek, dorównujący rozmiarami katedrze; usunięto zeń ołtarz i ławki, i przekształcono wnętrze w galerię. Po raz pierwszy widziałam coś takiego. Stałam w progu, zdjeta podziwem dla ogromu przestrzeni górującej nad dziesiątkami gęsto rozwieszonych płócien.

Moją uwagę przyciągnęło jedno z dzieł na przeciwległej ścianie. Padająca nań smuga światła podkreślała uwiecznioną na obrazie plamę błękitu. Mrugając powiekami, ruszyłam w tamtą stronę, czując narastający ucisk w żołądku.

Obraz przedstawiał Chrystusa zdjętego z krzyża i spoczywającego na rozłożonej płachcie z głową na kolanach starca. Z boku stał młodzieniec, młoda kobieta w żółtej sukni, pośrodku zaś Maryja w szalu udrapowanym wokół pełnej bólu twarzy. Jej szata miała identyczny odcień błękitu z tym, który widywałam w moim śnie. Samo dzieło było bardzo statyczne, precyzyjnie przedstawiony żywy obraz ze starannie odtworzonymi osobami dramatu, których każdy gest czy pochylenie głowy miało wywołać określony efekt. Jedynie twarz Dziewicy, w samym środku płótna, zdawała się ulegać ciągłemu przeobrażeniu,

targana bólem i osobliwą rezygnacją, wywołaną widokiem martwego syna, w obramowaniu barwy symbolizującej matczyne cierpienie.

Kiedy tak stałam, moja ręka nagle wystrzeliła w górę i przeżegnałam się machinalnie. Uczyniłam to po raz pierwszy w życiu.

Popatrzyłam na tabliczkę z tytułem obrazu i nazwiskiem malarza. Przez dłuższą chwilę stałam nieruchomo, czując dokoła ciężar zastygłej przestrzeni. Potem jeszcze raz się przeżegnałam ze słowami: „Matko Najświętsza, miej mnie w swojej opiece”. I wybuchnęłam śmiechem.

W życiu bym nie zgadła, że mieliśmy w rodzinie artystę.

RS

Rozdział 3

UCIECZKA

Isabelle usiadła wyprostowana i spojrzała na dziecięce łóżko. Jacob nie spał; siedział, obejmując rękami nogi, podbródek oparł na kolanach. Miał najlepszy słuch z nich wszystkich.

- Jeden koń - rzucił cicho.

Isabelle szturchnęła Etienne'a.

- Koń - wyszeptała.

Mąż na wpół przytomny poderwał się z łóżka, włosy miał pociemniałe od potu. Wkładając spodnie, wyciągnął rękę i potarł Bertranda. Gdy ktoś załomotał do drzwi, obaj zsunęli się po drabinie. Isabelle wychyliła się ponad krawędzią wjazdu prowadzącego na strych i patrzyła, jak mężczyźni stają przy wejściu z nożami i siekierami w rękach. Hannah wyszła ze świecą z tylnej izby. Poszeptawszy z kimś chwilę przez szczelinę uchylonych drzwi, Jean odłożył siekiere i odsunął rygiel.

Rządca diuka de l'Aigle nie był obcy. Przyjeżdżał od czasu do czasu rozmówić się z Jeanem Tournierem i składował tu dziesięcinę z okolicznych gospodarstw, pieczołowicie spisując ją w księdze oprawnej w cielęcą skórę. Niski, gruby i kompletnie łysy, nadrabiał niepokąźny wzrost tubalnym głosem. Jean nadaremnie próbował go uciszyć. Gdy ktoś tak huczy, trudno o zachowanie tajemnicy.

- Diuka zamordowano w Paryżu!

Hannah gwałtownie nabrała powietrza w płuca i upuściła świecę. Isabelle przeżegnała się machinalnie i zaplótłszy dłonie na karku, powiodła dokoła wzrokiem. Czwórka dzieci siedziała w rzędzie, Susanne przycupnęła obok nich na skraju łóżka, balansując niepewnie, z wielkim, nabrzmiętym brzuchem. Już wkrótce, pomyślała Isabelle, odruchowo szacując stan szwagierki. Choć od dawna niewykorzystywana, dawna wiedza towarzyszyła jej nieodłącznie.

Petit Jean jął strugać patyk nożem, z którym nie rozstawał się nawet w łóżku. Jacob milczał; miał wielkie, brązowe oczy, jak matka. Marie i Deborah przytuliły się do siebie,

Deborah senna, Marie z roziskrzonym spojrzeniem.

- *Maman*, co to znaczy zamordowano? - zawołała głosem, który zadźwięczał niczym brzęk miedzianego rondla.

- Sza - mruknęła Isabelle. Przesunęła się na łóżku, aby lepiej słyszeć słowa rządcy. Susanne usiadła obok niej i obie wychyliły się do przodu, opierając ręce na balustradzie.

- ...dziesięć dni temu, po ślubie Henryka z Nawarry. Zamknięto bramy i wyrżnięto tysiące głosicieli Prawdy. Coligny też poległ. Zawierucha ogarnia wieś. Wszędzie zabijają uczciwych ludzi.

- Przecież mieszkamy daleko od Paryża, tutaj wszyscy głoszą Prawdę - zaproponował Jean. - Katolicy nic nam nie zrobią.

- Podobno z Mende nadciąga garnizon - zagrział rządcą. - Chcą wykorzystać śmierć diuka. Przyjdą po ciebie, jesteś syndykiem. Diuszesa ucieka do Alès, za kilka godzin będzie tędy przejeżdżał. Powinieneś jechać z nami, ratować bliskich. Nikogo innego nie weźmie. Tylko Tournierów.

- Nie.

To była Hannah. Zapaliła świecę i stała niewzruszenie pośrodku izby, lekko zgarbiona, ze srebrnym warkoczem, spływającym wzdłuż kręgosłupa.

- Nie musimy opuszczać domu - oznajmiła. - Tutaj nic nam nie grozi.

- Poza tym są żniwa - dodał Jean.

- Jeszcze możecie zmienić zdanie. Twoja rodzina... ktokolwiek z twojej rodziny... może dołączyć do diuszesy.

Isabelle odniosła wrażenie, iż rządcą kieruje wzrok na Bertranda. Susanne drgnęła, nie odrywając oczu od męża. Isabelle dotknęła jej ręki: była lodowata jak woda w rzece. Zerknęła na dzieci. Dziewczynki, za małe, aby zrozumieć, ponownie zapadły w sen, Jacob nadal siedział z brodą opartą na kolanach, a Petit Jean narzucił ubranie i wychylony przez balustradę obserwował mężczyzn.

Rządcą odjechał, by ostrzec pozostałe rodziny. Jean zaryglował drzwi i odstawił siekiere, podczas gdy Etienne i Bertrand zniknęli w stodole, aby zabezpieczyć ją od środka. Hannah podeszła do paleniska i postawiwszy świecę na półce, uklękła przy ogniu, przysypanym na noc popiołem. Isabelle myślała, że zamierza go rozniecić, jednakże starej nie chodziło o wygaśnięcie płomienia.

Ścisnąwszy dłoń Susanne, wskazała ruchem głowy teściową.

- Co ona robi?

Susanne popatrzyła na matkę i otarła z policzka zbłąkaną łzę.

- Magia kryje się w palenisku - szepnęła wreszcie. - Magia, która chroni ten dom.

Maman zanoszą do niego modlitwy.

Magia. Isabelle przez lata słyszała wzmianki na ten temat, lecz Etienne i Susanne odmawiali wyjaśnień, a Jeana i Hannah pytać nie chciała.

Postanowiła spróbować jeszcze raz.

- Ale co to? Co tam takiego jest?

Susanne pokręciła głową.

- Nie wiem. Zresztą słowa niszczą jej moc. I tak powiedziałam za dużo.

- Dlaczego ona się modli? Monsieur Marcel twierdzi, że modlitwa jest bezużyteczna.

- Magia jest starsza niż wszystkie modlitwy, starsza niż monsieur Marcel i jego nauki.

- Ale nie starsza od Boga. Ani od... Dziewicy - dokończyła Isabelle po cichu.

Susanne zbyła ostatnie słowa milczeniem.

- Jeśli stąd odejdziemy - odparła - jeśli pojedziemy z diuszesa, przestanie nas chronić.

- Ale będziecie mieć do obrony ludzi diuszesy, ich miecze - zauważyła Isabelle.

- A wy? Pójdziecie z nami?

Isabelle nie odpowiedziała. Co mogłoby skłonić Etienne'a do wyjazdu? Rządca nie spojrzał na niego ani razu. Wiedział, że nie opuści domu.

Etienne i Bertrand wrócili ze stodoły, Etienne usiadł przy stole obok rodziców. Jean popatrzył na Isabelle i Susanne.

- Wracajcie do łóżek - polecił. - My będziemy czuwać.

Jednakże wszystkie oczy spoczęły na Bertrandzie, stojącym niepewnie pośrodku izby. On zwrócił spojrzenie na Susanne, jakby w oczekiwaniu na znak. Isabelle nachyliła się do szwagierki.

- Bóg będzie was chronił - szepnęła jej do ucha. - Bóg i ludzie diuszesy.

Siadając, pochwyciła chmurne spojrzenie Hannah i odwzajemniła je. Przez tyle lat prześladowałaś mnie z powodu moich włosów, pomyślała, a sama wierzysz w magiczną moc. Chwilę spoglądały na siebie. Hannah pierwsza odwróciła wzrok.

Isabelle nie dostrzegła znaku Susanne, lecz jego skutek był oczywisty. Bertrand

stanowczo zwrócił się do Jeana.

- Susanne, Deborah i ja pojedziemy do Alès z diuszesa de l'Aigle - oznajmił.

Jean utkwiał w nim wzrok.

- Chyba rozumiesz, że jeśli stąd odejdziecie, stracie wszystko - powiedział cicho.

- Stracimy wszystko, jeśli tu zostaniemy. Susanne niedługo będzie rodzić, daleko nie zajdzie. Nie zdoła uciec. Kiedy przyjdą katolicy, nie będzie miała żadnych szans.

- Dlaczego nie chcesz zawierzyć temu domowi? Domowi, w którym nigdy nie zmarło żadne dziecko? Gdzie Tournierowie żyją w dostatku od stu lat?

- Wierzę w Prawdę - odrzekł Bertrand. - Tylko w nią. - Jego słowa przydały mu wzrostu, tak jakby opór tchnął weń niewzruszoną siłę.

Isabelle po raz pierwszy zauważyła, że jest wyższy od teścia.

- Nie dałeś Susanne posagu, ponieważ zamieszkaliśmy z wami. Teraz proszę tylko o konia. Niechaj to będzie jej posag.

Jean spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Mam ci dać konia, żebyś wywiózł stąd moją córkę i wnuki?

- Chcę ich ocalić. Twoją córkę i wnuki.

- Ja tutaj rządę, czyż nie?

- Moim panem jest tylko Bóg. Muszę podążać za Prawdą, a nie magią, do której jesteście tak przywiązani.

Isabelle nie podejrzewała, że Bertrand okaże się taki stanowczy. Kiedy Jean i Hannah wybrali go dla Susanne, harował w pocie czoła i nigdy nie rozgniewał teścia. Pomagał w domu, co dzień siłował się z Etienne'em na rękę, nauczył Petit Jeana strugać patyki i wieczorami rozśmieszał ich przy ogniu opowieściami o wilku i lisie. Troskliwość, jaką okazywał Susanne, budziła zazdrość Isabelle. Raz czy dwa widziała, jak Bertrand dławi gniew; musiał w nim narastać, czekając na odpowiedni moment. Wyglądało na to, że owa chwila właśnie nadeszła.

Jean zaskoczył wszystkich.

- Jedź - burknął. - Ale zabierz osła, nie konia. - Odwrócił się, podszedł do wrót stodoły i zniknął w środku.

Etienne zerknął przelotnie na Isabelle, po czym utkwiał wzrok we własnych dłoniach; była pewna, że nie pójdzie w ślady Bertranda. Poślubienie jej stanowiło jedyny przejaw

samowoli z jego strony. Nie starczy mu sił na kolejny.

Isabelle odwróciła się do szwagierki.

- Wsiądź na osła - szepnęła - bokiem, aby podtrzymywać dziecko obiema nogami. Dzięki temu unikniesz przedwczesnego porodu. Jedź bokiem - powtórzyła, gdyż Susanne spoglądała przed siebie nieprzytomnym wzrokiem, jak ogłuszona. Wreszcie spojrzała na Isabelle.

- Jak Dziewica w drodze do Egiptu?

- Tak, właśnie tak jak Dziewica.

Wspomniały o Niej po raz pierwszy od bardzo dawna.

Kiedy tuż przed świtem Susanne i Isabelle poszły obudzić Deborah, dziewczynki spały otulone prześcieradłem. Kobiety starały się nie wyrwać ze snu pozostałych, ale Marie usiadła na łóżku i jęła powtarzać na cały głos: „Dlaczego Deborah odjeżdża? Dlaczego?”. Jacob otworzył oczy, miał stężałą twarzyczkę. Petit Jean, nadal w ubraniu, także usiadł na łóżku.

- *Maman*, dokąd oni jada? - spytał ochryplym szeptem. - Czy zobaczą żołnierzy? A konie i sztandary? Spotkają stryja Jacques'a?

- Stryj Jacques nie jest katolickim żołnierzem, walczy w armii Coligny'ego, na północy.

- Ale rządca powiedział, że Coligny został zabity.

- Tak.

- No to może stryj Jacques wróci.

Isabelle nie odpowiedziała. Jacques Tournier zaciągnął się dziesięć lat temu, w tym samym czasie co pozostali młodzi mężczyźni z Mont Lozère. Wrócił raz, pokryty bliznami i zachrypnięty, z głową pełną rozmaitych historii. Któraś z rzędu dotyczyła braci Isabelle, przesytych jedną dzidą. „Jak przystało na bliźniaków” - zakończył gruboskórnice Jacques i wybuchnął śmiechem, gdy ona odwróciła twarz.

Petit Jean uwielbiał Jacques'a. Isabelle go nienawidziła, nienawidziła oczu, błędzących za nią wszędzie, lecz nigdy nie spoczywających na jej twarzy. Podsycalo to w mężu gwałtowną zazdrość, która budziła niepokój Isabelle. Lecz Jacques nigdy nie bawił długo: zew krwi oraz żądza przygód brały górę nawet nad więzami rodzinnymi.

Dzieci zeszyły za kobietami po drabinie, po czym wyległy na podwórze, gdzie

mężczyźni ładowali na osła trochę dobytku oraz prowiant: kozi ser i ciemne, twarde bochenki kasztanowego chleba, które Isabelle upiekła naprędce kilka godzin wcześniej.

- Chodź, Susanne. - Bertrand skinieniem przywołał żonę.

Susanne rozejrzała się za matką, ale Hannah nie wyszła na dwór.

Podeszła więc do Isabelle, ucałowała ją trzykrotnie i zarzuciła jej ręce na szyję.

- Jedź bokiem przypomniała jej szeptem Isabelle. - I każ im stanąć, jeśli cię chwycą bóle. Oby Dziewica Maryja i święta Małgorzata doprowadziły cię bezpiecznie do Alès.

Podsadzili Susanne na osła, gdzie przycupnęła wśród tobołków, z nogami zwieszonymi na jedną stronę.

- *Adieu, papa, petits* - powiedziała, kiwając głową Jeanowi i dzieciom.

Deborah wspięła się na plecy Bertranda. Mężczyzna chwycił sznur przymocowany do uźdźienicy, cmoknął i szybkim krokiem ruszył w dół zbocza. Etienne i Petit Jean podążyli za osłem: mieli odprowadzić krewnych do drogi prowadzącej do Alès, gdzie tamci dołączą do diuszesy. Susanne obejrzała się na Isabelle; drobna twarz kobiety bieląca w półmroku, dopóki nie znikła im z oczu.

- Dziadku, dlaczego oni wyjeżdżają? Dlaczego Deborah wyjeżdża? - dopytywała się Marie.

Urodzone w ciągu jednego tygodnia kuzynki aż do dziś były nierozłączne. Jean odwrócił się bez słowa. Marie weszła za Isabelle do izby i stanęła obok Hannah zajętej przy ogniu.

- *Mémé*, dlaczego Deborah wyjeżdża? - powtarzała bez przerwy, aż wreszcie Hannah wyciągnęła rękę i uderzyła ją w twarz.

Bez względu na groźbę najazdu należało kontynuować zbiory. Mężczyźni jak zwykle wyszli w pole, Jean postanowił jednak skosić sflachetek w pobliżu domu, a Isabelle nie podążyła za nimi z grabiami, jak to miała w zwyczaju, lecz została, by wraz z Marie pomóc Hannah przy powidłach. Petit Jean i Jacob postępowali za ojcem i dziadkiem, grabiąc siano w sterty. Jacob z trudem radził sobie ze zbyt wielkimi grabiami.

W domu Isabelle i Hannah prawie się nie odzywały; pustka pozostawiona przez Susanne kneblowała im usta. Isabelle dwukrotnie przerwała mieszanie i zapatrzyła się w przestrzeń, po czym zakłęła, gdy gorący sok prysnął jej na dłoń. Wreszcie Hannah odepchnęła ją od rondla.

- Takie dobro jest zbyt cenne, by leniwe ręce miały go marnować - mruknęła.

Isabelle wstawiła garnki do pieca; często dla ochłody podchodziła do drzwi i słuchała ciszy panującej w dolinie. W pewnej chwili Marie stanęła w progu obok niej, z rączkami ubrudzonymi od przebierania śliwek.

- *Maman* - powiedziała cicho, pomna bolesnego ostrzeżenia. - *Maman*, dlaczego oni wyjechali?

- Bali się - odrzekła po chwili Isabelle, ocierając pot z czoła.

- Czego?

- Złych ludzi, którzy chcą ich skrzywdzić.

- Czy źli ludzie tutaj przyjdą?

Isabelle wsunęła ręce pod fartuch, aby ukryć ich drżenie.

- Nie, *chérie*, chyba nie. Ale Bertrand martwił się o Susanne i dziecko.

- Czy niedługo zobaczę Deborah?

- Tak.

Marie miała jasnoniebieskie oczy ojca i - ku wielkiej uldze matki - jego blond włosy. Gdyby były rude, Isabelle farbowałaby je wywarem z orzechów. Marie podniosła na nią roziskrzona oczy, zaniepokojone, niepewne. Isabelle nigdy nie umiała jej okłamać.

Pierre La Forêt przybył w południe, gdy Isabelle zaniósł mężczyznom obiad. Opowiedział im, kto uciekł. Nie było ich wielu, tylko ci najbardziej zatroskani o swój dobytek oraz cnotę córek i powiązani z lokalnymi notablami.

Najbardziej zdumiewającą wieść zachował na sam koniec.

- Monsieur Marcel też wyjechał - oznajmił ze źle skrywaną satysfakcją. - Na północ, ku Mont Lozère.

Zapadła cisza. Jean podniósł kosę.

- Wróci - skwitował zwięźle, podejmując przerwane zajęcie.

Pierre La Forêt przez chwilę obserwował jego rytmiczne ruchy, po czym rozejrzał się trwożliwie, jakby przypomniawszy sobie, iż żołnierze mogą nadjechać lada chwila. Oddalił się pośpiesznie, gwizdząc na psa.

Od rana praca posuwała się bardzo wolno. Zabrakło Bertranda i Susanne, a robotnicy najemni nie przyszli z obawy przed zemstą przeciwników diuka. Chłopcy nie dotrzymywali kroku mężczyznom, przez co Jean lub Etienne co chwila musieli rzucać kosę i chwytają za

grabie, by nadrobić stracony czas.

- Ja pograbie - zaproponowała Isabelle. Chciała uciec przed Hannah i duszną atmosferą domu. - Twoja matka... *maman*... sama da sobie radę z powidłami. Jacob i Marie jej pomogą. Proszę. - Rzadko nazywała Hannah *maman*, tylko gdy chciała udobruchać męża.

Ku jej radości mężczyźni wyrazili zgodę, po czym odesłali Jacoba do domu. Isabelle i Petit Jean podążali śladem zżętej trawy, grabiąc ile sił i ustawiając jedną przy drugiej niewielkie kopki, aby prędzej wyschły. Pracowali szybko, ich ubrania nasiąkły potem. Niekiedy Isabelle nieruchomiała i rozglądała się wokół, nasłuchując. Niebo zasnuło się żółtą mgłą, puste i niezmierzone. Zupełnie jakby cały świat zastygł bez ruchu i wraz z nią pogrążał się w oczekiwaniu.

Jacob usłyszał ich pierwszy. Późnym popołudniem zobaczyli, jak biegnie skrajem pola. Przerwali pracę i spojrzeli w jego kierunku. Serce Isabelle zaczęło walić jak młotem. Chłopiec stanął przy nich i oparł ręce na udach, z trudem chwytając powietrze.

- *Ecoute, papa* - wydusił wreszcie, wskazując ręką w stronę doliny. Nadstawili uszu. Początkowo Isabelle słyszała tylko ptaki i własny oddech. Wreszcie z oddali dobiegł głuchy tętent.

- Dziesięć. Dziesięć koni - oznajmił Jacob.

Isabelle rzuciła grabie i chwyciwszy syna za rękę, puściła się biegiem.

Petit Jean był najszybszy; choć ledwie dziewięcioletni, nawet po całym dniu wyteżonej pracy bez trudu wyprzedził ojca. Dopadł do stodoły i złapał za rygle. Etienne i Jean przynieśli wodę z pobliskiego strumienia, a Isabelle i Jacob zaczęli zamykać okiennice.

Marie stała na środku izby, przyciskając do piersi naręczce lawendy. Hannah dalej mieszała w rondlu, obojętna na wszystko, co się dzieje wokół. Kiedy pozostali zebrali się przy stole, stara obejrzała się przez ramię.

- Jesteśmy bezpieczni - oświadczyła.

Były to ostatnie słowa, jakie Isabelle usłyszała z jej ust.

Nie śpieszyli się.

Rodzina usiadła w milczeniu przy pustym stole, na swoich zwykłych miejscach. W izbie panował mrok, ogień przygasł, nie zapalono świec; jedyne światło docierało przez szczeliny w okiennicach. Isabelle przycupnęła na ławie, a Marie tuż przy matce, trzymając

ją za rękę, z lawendą na kolanach. Jean siedział wyprostowany u szczytu stołu. Etienne spoglądał na swoje splecione dłonie. Drgał mu policzek, poza tym trwał równie nieruchomo jak ojciec. Hannah potarła twarz, a następnie przymknęła oczy i ścisnęła grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym. Petit Jean wyjął nóż i położył na blacie. Co chwila podnosił go, sprawdzał ostrze i odkładał z powrotem. Jacob, skulony na ławie, gdzie zazwyczaj siedzieli Susanne, Bertrand i Deborah, trzymał w rękach okrągły kamień. Pozostałe spoczywały w jego kieszeni. Zawsze uwielbiał kolorowe kamienie z Tarn, a najbardziej żółte i o barwie głębokiej czerwieni. Nie wyrzucał ich, nawet gdy po wyschnięciu stawały się szare i brunatne. Chcąc zobaczyć prawdziwe kolory, dotykał ich językiem.

Opustoszałe miejsca przy stole zdawały się Isabelle wypełnione duchami najbliższych, matki, siostry, braci. Potrząsnęła głową i zamknęła oczy, próbując odgadnąć, gdzie jest teraz Susanne, bezpieczna u boku diuszesy. Gdy to nie pomogło, pomyślała o błękitcie Dziewicy, kolorze, którego nie widziała od lat, lecz który stanął jej przed oczyma tak wyraźnie, jakby pokrywał ściany izby. Zacerpnęła tchu i jej serce uspokoiło się. Rozwarła powieki. Puste miejsca przy stole migotały niebieskim światłem.

Konni nadjechali wśród okrzyków i gwizdów; nagły łomot do drzwi sprawił, że wszyscy podskoczyli na miejscach.

- Zaśpiewajmy - powiedział niewzruszenie Jean i zaintonował głębokim basem: - *J'ai mis en toi mon espérance: Garde-moi donc. Seigneur. D'éternel déshonneur: Octroye-moi ma délivrance, Par ta grande bonté haut, Qui jamais ne fit faute.*

Przyłączyli się do niego wszyscy oprócz Hannah, która uważała śpiew za nielicujący z powagą psalmu i wołała mamrotać słowa pod nosem. Dzieci śpiewały wysokimi głosikami, Marie ze strachu dostała czkawki.

Zakończyli psalm przy wtórze łoskotu okiennic oraz rytmicznego walenia w drzwi. Rozpoczęli kolejną pieśń, gdy naraz stukanie ustało. Po chwili coś zgrzytnęło o próg, po czym rozległ się trzask i chatę wypełnił swąd palonego drewna. Etienne i Jean wstali i podszli do drzwi. Etienne podniósł wiadro z wodą i skinął głową. Jean po cichu odsunął rygiel, a następnie odrobinę uchylił drzwi. Etienne chlusnął wodą, po czym drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wtargnęły płomienie. Dwie ręce chwyciły Jeana za koszulę i gardło i brutalnie wywłokły go na zewnątrz. Trzasnęły zamykane drzwi.

Etienne rzucił się do wyjścia i stanął na progu w chmurze dymu i ognia.

- Ojcie! - krzyknął, po czym zniknął na podwórzu.

W izbie zapadła martwa cisza. Wreszcie Isabelle wstała, czując wokół siebie bezpieczną otoczkę błękitu. Wzięła Marie na ręce.

- Trzymaj się mnie - szepnęła, na co dziewczynka zarzuciła jej ręce na szyję i opłótła nogami matczyną talię, miażdżąc lawendę. Isabelle ujęła rączkę Jacoba, gestem nakazując Petit Jeanowi chwycić ją za drugą dłoń. Jak we śnie poprowadziła dzieci przez izbę, odsunęła rygiel i weszła do stodoły. Ominęli konia, który kręcił się i rżał, czując dym i słysząc dochodzące z zewnątrz odgłosy wierzchowców. Isabelle odryglowała drzwiczki prowadzące do warzywnika. Przedarli się przez kapustę i pomidory, marchew, cebulę, zioła. Isabelle zamiotła spódnicą kępę szaławii, uwalniając ostrą woń.

Dotarli do głazu w kształcie grzyba, leżącego na skraju warzywnika, i przystanęli. Jacob na chwilę przycisnął dłonie do kamienia. Dalej rozciągały się ugory, z trawą oskubaną przez kozy, teraz suchą i zbrązowiałą od słońca. Cała czwórka puściła się biegiem, chłopcy na przedzie, dalej Isabelle z przytuloną do niej Marie.

W połowie pola uzmysłowiła sobie, że Hannah została w domu. Zakłęła głośno.

Bezpiecznie dotarli do kasztanowców. Obok *cleda* Isabelle postawiła Marie na ziemię i zwróciła się do Petit Jeana.

- Muszę wrócić po *mémé*. Potraficie się dobrze schować. Zaczekajcie tu na mnie. Ale nie wchodźcie do *cleda*, mogą ją podpalić. A jeśli tu przyjdą i będziecie musieli uciekać, biegnijcie do domu mojego ojca, przez pola, a nie drogą. *D'accord?*

Petit Jean skinął głową i z błyskiem w niebieskich oczach wyjął z kieszeni nóż.

Isabelle zawróciła i spojrzała na dom. Gospodarstwo stało w ogniu. Świnie kwiczały, psy wyły, wtórowały im pozostałe kundle w dolinie. We wsi wiedzą, co się dzieje, pomyślała. Czy przyjdą z pomocą? Czy też ukryją się w swoich chatkach? Obejrzała się na dzieci: Jacob i Marie stali nieruchomo, z wytrzeszczonymi oczami. Petit Jean badawczo lustrował zagajnik.

- *Allez* - ponagliła.

Petit Jean bez słowa poprowadził pozostałą dwójkę w zarośla.

Isabelle wyszła spomiędzy drzew i ruszyła skrajem ugoru. W oddali widziała pole, gdzie pracowali tego dnia: nad wszystkimi stogami, które pieczołowicie zagrabiła wraz z

dziećmi, wirowały kłęby dymu. Usłyszała dalekie okrzyki, a potem śmiech. Stały jej dęba włoski na ramionach. Podchodząc bliżej, wyczuła swąd palonego ciała, obcy, a zarazem znajomy. Świnie, pomyślała. Świnie i... Raptem dotarło do niej, co zrobili żołdacy.

- *Sainte Vierge, aide-nous* jęknęła i uczyniła znak krzyża.

Warzywnik pociemniał od dymu, jakby zapadła noc. Isabelle przekradła się między grządkami i po drodze natknęła na Hannah, która klęczała na ścieżce, przyciskając do piersi kapustę. Łzy wyżłobiły bruzdy na okopconej twarzy.

- *Viens, mémé* - szepnęła Isabelle, obejmując ramiona teściowej i podnosząc ją z ziemi. - *Viens.*

Stara płakała bezgłośnie, pozwalając Isabelle prowadzić się w kierunku pola. Usłyszały, jak żołnierze wpadają do ogrodu, lecz ściana dymu zasłoniła obie kobiety. Trzymały się skraju pola, podążając wzdłuż niskiego, granitowego muru, postawionego przez Jeana wiele lat wstecz. Hannah co parę kroków przystawała i oglądała się za siebie; synowa musiała ją ponaglać, siłą popychając starą kobietę do przodu.

Żołnierz pojawił się tak nagle, jakby przed chwilą spadł z nieba. Spodziewałyby się go raczej od tyłu, tymczasem on wyłonił się z lasu, ku któremu zmierzały. Z uniesionym mieczem galopem przeciął pole; gdy podjechał bliżej, Isabelle dostrzegła uśmiech na jego twarzy. Cofnęła się z jękiem, pociągając za sobą Hannah.

Gdy jeździec znalazł się tak blisko, że poczuła zapach jego potu, od ziemi oderwała się szara sylwetka - zwierzę stało, strzepując tylną łapę. Koń zarżał i stanął dęba. Żołnierz stracił równowagę, po czym runął z siodła. Wierzchowiec zawrócił, a następnie pognął przez pole w kierunku zagajnika.

Hannah przeniosła wzrok z wilka na Isabelle, potem znów na wilka. Zwierzę obserwowało je czujnie, acz ze spokojem w żółtych oczach. Nawet nie spojrzało na leżącego bez ruchu żołnierza.

- *Merci* - powiedziała cicho Isabelle i skinęła głową. - *Merci, maman.*

Hannah wytrzeszczyła oczy.

Odczekały, aż wilk odwróci się i odejdzie; przeskoczył niskie ogrodzenie i zniknął na sąsiednim polu. Wówczas Hannah znów ruszyła naprzód. Isabelle podążyła za nią, po czym naraz przystanęła i drżąc, zerknęła w stronę żołnierza. Ostrożnie podeszła bliżej. Nie patrząc na mężczyznę, uklękła obok jego miecza i przyjrzała mu się uważnie. Hannah czekała z

rękami skrzyżowanymi na piersi i pochyloną głową.

Isabelle wstała.

- Czysty - oznajmiła.

Kiedy znalazły się w zagajniku, Isabelle jęła ściszym głosem przywoływać dzieci. W oddali słyszała tętent konia bez jeźdźca. Wierzchowiec przedzierał się przez listowie. Wreszcie chyba wybiegł z lasu, gdyż odgłosy ucichły.

Dzieci nie odzywały się.

- Musiały pójść naprzód - mruknęła Isabelle. Na mieczu nie było krwi. Błagam, niech się okaże, że poszły naprzód. Poszły naprzód - powtórzyła na użytek Hannah.

- Co, *mémé*? - dodała, gdy stara nie zareagowała. - Myślisz, że poszły naprzód?

Hannah tylko wzruszyła ramionami.

Ruszyły przez pola ku gospodarstwu ojca Isabelle, wypatrując żołnierzy, dzieci, konia, kogokolwiek. Po drodze nie napotkały nikogo.

Nim dotarły do gospodarstwa, zrobiło się ciemno. Dom był ciemny i zamknięty na głucho, kiedy jednak Isabelle cichutko zastukała do drzwi, szepcząc: *Papa, c'est moi*, wpuszczono je do środka. Dzieci siedziały po ciemku z dziadkiem. Marie zerwała się z miejsca, po czym podbiegła do matki i wtuliła twarz w jej bok.

Henri du Moulin powitał Hannah krótkim skinieniem głowy. Stara odwróciła wzrok. Mężczyzna popatrzył na córkę.

- Gdzie reszta?

Isabelle pokręciła głową.

- Nie wiem. Myślę, że... - Spojrzała na dzieci i umilkła.

- Zaczekamy - oznajmił posepnie jej ojciec.

- Dobrze.

Upływały godziny. Dzieci kolejno zapadały w sen, dorośli siedzieli po ciemku przy stole, wyprostowani jak struny. Hannah przymknęła oczy, lecz nie zgarbiła pleców, splecione dłonie położyła na blacie tuż przed sobą. Na każdy odgłos otwierała oczy i zwracała twarz ku drzwiom.

Ojciec i córka milczeli. Isabelle rozejrzała się ze smutkiem. Pomimo mroku widziała, że dom chylił się ku upadkowi. Na wieść o śmierci bliźniaków Henri du Moulin zaniedbał gospodarstwo: pola leżały ugorem, kozy włóczyły się samopas, a w ziarnie urzędowały

mysz. Wewnątrz panowały brud i wilgoć, wszechobecna mimo upału i suszy pełni lata.

Isabelle nasłuchiwała chrobotu myszy harcujących w ciemnościach.

- Potrzebujesz kota - szepnęła do ojca.

- Miałem - odparł. - Poszedł sobie. Tutaj nic nie zostaje.

Tuż przed świtem z podwórza doleciał przytłumiony stukot kopyt. Jacob pośpiesznie uniósł głowę.

- To nasz koń - powiedział.

Początkowo nie rozpoznali Etienne'a. Chwiejna postać na progu nie miała włosów, zostały tylko pojedyncze placki wypalanej szczeciny. Jasne brwi i rzęsy znikły, przez co oczy zdawały się dryfować w twarzy jak łódź bez kotwicy. Etienne miał spaloną odzież i był od stóp do głów pokryty sadzą.

Stanęli jak skamieniali, z wyjątkiem Petit Jeana, który doskoczył do ojca i ujął jego dłoń w obie ręce.

- Chodź, papo - powiedział, prowadząc Etienne'a do ławy.

Etienne wskazał ręką podwórze.

- Koń - szepnął, siadając.

Zwierzę stało cierpliwie przed domem; miało kopyta owinięte szmatami, by wygłuszyć tętent. Jego grzywa i ogon zostały doszczętnie spalone, ale poza tym chyba nie odniosło żadnych obrażeń.

Po kilku miesiącach i wiele mil od domu włosy Etienne'a odrosły siwe. Brwi i rzęsy nigdy już się nie pojawiły.

Etienne i jego matka siedzieli przy stole Henriego du Moulin jak otępiali, niezdolni do myślenia lub działania. Przez cały dzień Isabelle i jej ojciec bezskutecznie próbowali nawiązać z nimi rozmowę. Hannah milczała, Etienne zaś powtarzał tylko: „Chce mi się pić”, albo: „Jestem zmęczony”, i przymykał oczy.

Wreszcie Isabelle wyrwała ich z odrętwienia.

- Musimy uciekać! - krzyknęła desperacko. - Żołnierze będą nas szukać; wreszcie ktoś im podpowie, żeby zajrzeli tutaj.

Znała miejscowych: byli lojalni. Jednakże zastraszeni bądź skuszeni sową zapłatą mogli zdradzić sekret, nawet katolikowi.

- Dokąd pójdziemy? - zapytał Etienne.

- Moglibyście schronić się w lesie i poczekać, aż sprawy ucichną - podsunął Henri du Moulin.

- Nie możemy wrócić do domu - odrzekła Isabelle. - Bez diuka nie mamy żadnej ochrony przed katolikami. Będą nas szukać. Poza tym... - zawahała się, ostrożnie sięgając po ich własny argument - ...bez domu nie będzie już bezpiecznie.

I nie chcę wracać do tamtej niedoli, dodała w myślach. Etienne i Hannah spojrzeli po sobie.

- Moglibyśmy iść do Alès - podjęła Isabelle. - Dołączyć do Susanne i Bertranda.

- Nie - odparł stanowczo Etienne. - Oni dokonali wyboru. Opuścili rodzinę.

- Ale przecież... - Isabelle dała za wygraną, nie chcąc zniweczyć niewielkiej przewagi, którą właśnie zyskała. Przed oczami stanęła jej wizja Susanne z brzuchem rozplatanym mieczem; zrozumiała, że szwagier podjął słuszną decyzję.

- Droga do Alès nie będzie bezpieczna - zauważył jej ojciec. - Wszystko może się zdarzyć.

Dzieci w milczeniu przysłuchiwały się rozmowie.

- *Maman*, gdzie będziemy bezpieczni? - zapytała nieoczekiwanie Marie. - Powiedz Bogu, że chcemy być bezpieczni.

Isabelle kiwnęła głową.

- Kalwin - oznajmiła. - Pójdziemy do Kalwina. Do Genewy, gdzie znajdziemy spokój. Gdzie swobodnie można głosić Prawdę.

Oczekali do zmroku, niespokojni i rozgorączkowani. Isabelle kazała dzieciom wysprzątać dom, a sama napiekła ogromne ilości chleba. Kiedyś wraz z matką i siostrą używały pieca codziennie, teraz musiała najpierw wymieść pajęczyny oraz mysie bobki. Palenisko wyglądało, jakby dawno nikt z niego nie korzystał; Isabelle zachodziła w głowę, czym żywił się jej ojciec.

Henri du Moulin nie chciał im towarzyszyć, choć powiązania z Tournierami czyniły go potencjalnym celem żołnierzy.

- To moje gospodarstwo - oświadczył szorstko. - Żaden katolik mnie z niego nie przepłoszy.

Nalegał, by wzięli jego wóz, jedyną wartościową rzecz, jaką posiadał, oprócz pługa. Wyczyścił go, zreperował jedno z kół i sklecił z deski prowizoryczny koziół. Po zmierzchu

wyprowadził wóz na podwórze i załadował nań siekierę, trzy koce oraz dwie sakwy.

- Kasztany i ziemniaki - wyjaśnił Isabelle.

- Ziemniaki?

- Dla konia i dla ciebie.

Hannah usłyszała jego słowa i zeszywniała. Petit Jean, który właśnie wyprowadzał konia ze stajni, wybuchnął śmiechem.

Ludzie nie jedzą ziemniaków, dziadku! Ziemniaki są dla biedaków. Ojciec Isabelle zacisnął pięści.

- Jeszcze mi za nie podziękujesz, *mon petit*. W oczach Boga wszyscy jesteśmy biedakami.

Gdy wszystko było przygotowane do drogi, Isabelle uważnie przyjrzała się ojcu, chcąc na zawsze zachować w pamięci każdy szczegół jego twarzy.

- Uważaj na siebie, ojciec - szepnęła. - Żołnierze mogą przyjechać i tutaj.

- Będę walczył za Prawdę - odpowiedział. - Nie boję się. - Spojrzał na nią i lekko zadrżała mu broda. - *Courage*, Isabelle.

Powstrzymując łzy, zmusiła się do uśmiechu, po czym położyła ojcu ręce na barkach, wspięła się na palce i ucałowała go trzykrotnie.

- Też coś, całujesz jak Tournierowie - burknął.

- Cicho, ojciec. Jestem teraz jedną z nich.

- Ale nadal nazywasz się du Moulin. Nie zapominaj o tym.

- Nie zapomnę. - Urwała. - Pamiętaj o mnie.

Kiedy pozostawili go stojącego na drodze, Marie, która nigdy nie uroniła jednej łzy, płakała przez godzinę.

Koń nie mógł uciągnąć wszystkich. Hannah i Marie usiadły na wozie. Etienne i Petit Jean zmieniali się przy koniu, a pozostali szli z tyłu. Czasem ktoś z nich siadał na wozie, by odpocząć, wówczas posuwali się wolniej.

Wybrali drogę przez Mont Lozère. Księżyc jasno oświetlał drogę, lecz zarazem czynił ich łatwym celem. Słyszcząc jakiś niepokojący odgłos, za każdym razem schodzili ze szlaku. Dotarli do Col de Finiels na szczycie, gdzie ukryli wóz, a Etienne zabrał konia i udał się na poszukiwanie pasterzy. Oni będą znać trasę do Genewy.

Isabelle czekała przy wozie, pozostali zapadli w sen. Bacznie nadstawiała ucha.

Wiedziała, że opodal znajduje się źródło Tarn, skąd woda rozpoczyna długą drogę w dół. Nigdy więcej nie zobaczy rzeki, nie poczuje jej chłodu na skórze. Rozplakała się bezgłośnie, po raz pierwszy od chwili, gdy książęcy rządcą nocą zastukał do ich drzwi.

Poczuła na sobie czyjś wzrok, lecz nie był to wzrok obcego. Znajome uczucie, jak dotyk rzeki na skórze. Rozejrzawszy się, zobaczyła, że pasterz stoi oparty o skałę, blisko, o rzut kamieniem. Kiedy na niego spojrzała, nawet nie drgnął.

Isabelle otarła mokrą twarz i podeszła do mężczyzny. Wymienili spojrzenia. Wyciągnęła rękę i dotknęła blizny na jego policzku.

- Kto ci to zrobił?

- Życie.

- Jak masz na imię?

- Paul.

- Wyjeżdżamy. Do Szwajcarii.

Skinął głową; ciemne oczy dodały jej otuchy.

- Pamiętaj o mnie. Powtórnie skinął głową.

- Chodź, Isabelle - usłyszała za plecami szept Etienne'a. - Co tam robisz?

- Isabelle - powtórzył cicho Paul.

Uśmiechnął się, zęby zalśniły w blasku księżyca. I już go nie było.

- Dom. Stodoła. Łóżko. Maciora z czterema prosiętami. Wiadro w studni. Brązowy szal *mémé*. Lalka, którą zrobił dla mnie Bertrand. Biblia.

Marie wyliczała rzeczy, które utracili. Początkowo jej słowa zagłuszał turkot kół. Wreszcie Isabelle zrozumiała.

- Cicho! - zawołała.

Marie umilkła. A przynajmniej przestała wyliczać na głos - Isabelle widziała, jak porusza ustami. Mała nie wspomniała o Jeanie. Na myśl o Biblii Isabelle czuła ucisk w żołądku.

- Czy może nadal tam być? - zapytała po cichu Etienne'a. Dotarli do River Lot u stóp drugiej części Mont Lozère; Isabelle pomagała mężowi prowadzić konia przez rzekę. - Schowana w kuchennej niszy - dodała - mogła przetrwać pożar. Nigdy by jej nie znaleźli.

Rzucił jej znużone spojrzenie.

- Straciliśmy wszystko, ojciec nie żyje - odparł. - Co nam po Biblii? Nie mielibyśmy z

niej żadnego pożytku.

Ale mielibyśmy pożytek ze słów, pomyślała. Czy to nie z ich powodu musimy uciekać?

Czasem gdy Isabelle odpoczywała na wozie, zwrócona twarzą w przeciwną stronę niż kierunek jazdy, odnosiła wrażenie, że widzi w oddali biegnącego ojca. Wówczas z całej siły zaciskała powieki, a kiedy znów je otwierała, złudzenie mijało. Niekiedy miejsce ojca zajmowała prawdziwa postać, kobieta stojąca przy drodze, żniwiarze, człowiek na ośle. Wszyscy nieruchomieli i odprowadzali uciekinierów wzrokiem.

Zdarzało się, że chłopcy w wieku Jacoba rzucali w nich kamieniami i Etienne musiał powstrzymać Petit Jeana gotowego odpowiedzieć im tym samym. Marie stawała na skraju wozu, obserwując obcych chłopców. Nigdy nie dostała kamieniem. Kiedyś jeden z odłamków trafił Hannah: dopiero gdy po dłuższej chwili Etienne zwrócił się w jej stronę, zobaczył krew płynącą po twarzy matki z rany na czubku głowy. Stara dalej patrzyła przed siebie, a Isabelle delikatnie wytarła krew zwilżoną szmatką.

Marie zaczęła wyliczać wszystko, co widziała po drodze.

- Stodoła. Wrona. Pług. Pies. Iglica kościoła. Płonący stóg siana, płot. Kłoda. Siekiera. Drzewo. Człowiek na drzewie.

Marie urwała. Isabelle uniosła wzrok.

Mężczyzna wisiał na gałęzi drzewa oliwnego, które ledwo utrzymywało jego ciężar. Przystanęli, spoglądając na nagie ciało w czarnym kapeluszu, wciśniętym aż na brwi. Obnażony członek sterczał sztywno jak konar. Naraz Isabelle zobaczyła czerwone ręce i spojrzawszy uważniej na twarz wisielca, gwałtownie zaczerpnęła tchu.

- To monsieur Marcel! - krzyknęła odruchowo.

Etienne cmoknął i zaczął biec, ciągnąc za sobą konia. Niebawem pozostawili drzewo daleko w tyle; chłopcy oglądali się dopóty, dopóki nie znikło im z oczu.

Marie przez kilka godzin milczała. Kiedy podjęła swą wyliczankę, pomijała wszystkie rzeczy będące dziełem człowieka. Dotarli do wioski; wtedy powiedziała tylko: ziemia, i znowu: ziemia. I powtarzała to do chwili, gdy minęli zabudowania.

Zatrzymali się przy strumieniu, by koń mógł zanurzyć pysk, kiedy na drugim brzegu zjawił się jakiś starzec.

- Nie zatrzymujcie się tutaj - rzucił. - Nie zatrzymujcie się, dopóki nie dojedziecie do

Vienne. Tu jest niebezpiecznie. I nie zbliżajcie się do St Etienne ani Lyonu. - Z tymi słowami zniknął wśród drzew.

Tej nocy nie zrobili postoju. Koń resztką sił ciągnął wóz ze śpiącą Hannah i dziećmi, podczas gdy Isabelle i Etienne na zmianę trzymali go za uzdę. Za dnia skryli się w sosnowym lesie. Po zmroku Etienne zaprzął konia i wyprowadził go z powrotem na drogę. Chwilę potem zza drzew po obu stronach szlaku wyłoniła się grupa mężczyzn i otoczyła ich ciasnym kręgiem.

Etienne zatrzymał konia. Jeden z mężczyzn zapalił pochodnię; Isabelle dojrzała topory i widły. Etienne oddał uzdę żonie, po czym sięgnął do wozu i wyjął siekiere, którą oparł o ziemię, zaciskając palce na trzonku.

Wszyscy zamarli bez ruchu. Jedyne usta Hannah poruszały się w bezgłośniejszej modlitwie.

Tamci wyraźnie nie wiedzieli, jak zacząć. Isabelle patrzyła na mężczyznę z pochodnią; grdyka skakała mu w górę i w dół. Naraz coś połaskotało ją w ucho; Marie przesunęła się na skraj wozu i coś szeptała.

- O co chodzi? - mruknęła Isabelle, nie spuszczać wzroku z napastników i usiłując nie poruszać ustami.

- Mężczyzna z ogniem. Powiedz mu o Bogu. Powiedz, czego Bóg od niego oczekuje.

- A czego oczekuje?

- Aby był dobry i nie grzeszył - odparła stanowczo dziewczynka - Powiedz mu, że nie mamy zamiaru tutaj zostać.

Isabelle zwilżyła językiem wargi. Zaschło jej w ustach.

- *Monsieur* - zaczęła, zwracając się do człowieka z pochodnią.

Na dźwięk jej głosu Etienne i Hannah gwałtownie podnieśli głowy.

- *Monsieur*, jedziemy do Genewy. Nie chcemy się zatrzymywać. Proszę, przepuście nas.

Mężczyźni zatupali. Kilku parsknęło śmiechem. Człowiek z pochodnią przestał przełykać ślinę.

- Dlaczego mielibyśmy to zrobić? - zapytał.

- Ponieważ Bóg nie chce, byście grzeszyli. Ponieważ morderstwo jest grzechem.

Zatrzęsa się, niezdolna wydusić z siebie nic więcej. Mężczyzna z pochodnią zbliżył

się o krok i Isabelle ujrzała długi nóż myśliwski wiszący u jego pasa.

Nieoczekiwanie odezwała się Marie; jej głos poniósł się dźwięcznie przez las.

- *Notre Père qui es aux cieux, ton nom soit sanctifié!* - zawołała.

Mężczyzna znieruchomiał.

- *Ton règne vienne, ta volonté soit faite sur la terre comme au ciel.*

Zapadła cisza, po czym modlitwę podjęły dwa głosy.

- *Donne-nous aujourd'hui notre pain quotidien.* - Głos Jacoba zagrzechotał jak kamyki pod stopami. - *Pardonne-nous nos péchés, comme aussi nous pardonnons ceux qui nous on offensés.*

Isabelle wzięła głęboki oddech i przyłączyła się do dzieci.

- *Et ne nous induis point dans la tentation, mais delivre-nous du malin; car à toi appartient le règne, la puissance, et la gloire à jamais. Amen*

Mężczyzna z pochodnią stał pomiędzy obiema grupami. W głuchym milczeniu spoglądał na Marie.

- Jeśli nas skrzywdzicie powiedziała - Bóg uczyni wam to samo. Pokaże wam, gdzie raki zimują.

- A co takiego nam robi, *ma petite?* - spytał z rozbawieniem mężczyzna.

- Cicho, Marie! - szepnęła Isabelle.

- Rzuci was w ogień! Ale nie zginiecie, nie od razu. Będziecie leżeć w płomieniach, aż zagotujecie się w środku. A oczy będą się wam robić coraz większe, aż wreszcie wystrzelą z orbit! Jak z armaty!

Nie była to jedna z nauk monsieur Marcela. Isabelle rozpoznała szczegóły - Petit Jean wrzucił kiedyś do ognia żabę i wszystkie dzieci były świadkami jej smutnego końca.

Mężczyzna zrobił coś, czego Isabelle nigdy by się po nim nie spodziewała - wybuchnął śmiechem.

- Jesteś bardzo odważna, *ma pauvre* - powiedział do Marie - ale trochę głupiutka. Szkoda, że nie jesteś moją córką.

Isabelle chwyciła Marie za rękę, a mężczyzna znów się roześmiał.

- Ale co mi po córce? - zachichotał. - Jaki z niej pożytek?

Dał znak pozostałym i zgasił pochodnię. Następnie wszyscy, jeden po drugim, zniknęli w lesie.

Czekali długo, lecz tamci przepadli jak kamień w wodę. Wreszcie Etienne cmoknął na konia i ruszyli naprzód, wolniej niż przedtem.

Rankiem Isabelle znalazła we włosach Marie pierwszy rudy kosmyk. Wyrwała go i spaliła.

Rozdział 4

POSZUKIWANA

Wróciłam biegiem do biura, ściskając w rękę pocztówkę z obrazem Tourniera. Rick siedział na wysokim stołku przy desce kreślarskiej, lampa uwypuklała zarys jego kości policzkowych oraz szczęki. Chociaż patrzył na projekt, widziałam, że błądzi myślami gdzieś daleko. Często siedział tak godzinami, tworząc w głowie szczegółowy obraz zaprojektowanego budynku: wyposażenie, system elektryczny i kanalizacyjny, wentylację, okna. Wyobrażał sobie to wszystko i oglądał z każdej strony, spacerując wśród wyimaginowanych sprzętów i wypatrując ewentualnych niedociągnięć.

Spojrzałam na niego, po czym wcisnęłam pocztówkę do torby i w przypływie nagłej rezygnacji usiadłam. Nagle odechciało mi się dzielić z nim moim odkryciem.

Ale przecież powinnam mu powiedzieć, upomniałam się w duchu. Powiem.

Rick podniósł wzrok znad deski i popatrzył na mnie z uśmiechem.

- Hej tam - powiedział.

- Hej. Wszystko w porządku? Konstrukcja nie budzi zastrzeżeń?

- Na razie nie. Mam dobre wieści. - Pomachał faksem. Za tydzień lub dwa mam przeprowadzić prezentację w niemieckiej firmie. Jeśli się spodoba, dostaniemy nie najgorszy kontrakt. Biuro będzie miało zajęcie na lata.

- Naprawdę? Ależ z ciebie gwiazda! - Uśmiechnęłam się i przez kilka minut słuchałam jego pełnej podniecenia relacji. - Słuchaj, Rick - powiedziałam, gdy skończył. - Znalazłam coś w pobliskim muzeum. Spójrz. - Podałam mu kartkę. Podniósł ją do światła.

- O tym kolorze mi opowiadałaś, prawda?

- Tak. - Stanęłam za nim i oplotłam mu rękami szyję.

Zesztywniał na ułamek sekundy; upewniłam się, czy nie dotykam ogniskiem łuszczyki jego skóry.

- Zgadnij, kto go namalował? - Oparłam mu brodę na ramieniu.

Chciał odwrócić pocztówkę, ale go powstrzymałam.

Zgadnij. Zaśmiał się.

- Daj spokój, kotku, przecież wiesz, że nie znam się na malarstwie. Obejrzał obraz. - Pewnie któryś z włoskich malarzy renesansowych.

- Nie. To Francuz.

- Cóż, wobec tego jeden z twoich przodków.

- Rick! - Uszczypnęłam go w ramię. - Podglądałeś!

- Właśnie, że nie! Tak tylko sobie zażartowałem. - Popatrzył na odwrotną stronę kartki. Czy to naprawdę twój krewniak?

- Aha. Coś mi mówi, że tak.

- Wspaniale!

- Prawda? - Popatrzyłam na niego z uśmiechem. Oplótł ręką moją talię, próbując rozpiąć sukienkę. Dopiero gdy ściągnął mi ją do pasa, zrozumiałam, do czego zmierza. - Zaraz, zaraz - zaoponowałam. - Poczekaj, aż wrócimy do domu!

Ze śmiechem chwycił spinacz.

- A co, nie podoba ci się mój spinacz? A liniówka? - Przekreślił lampę, snop światła padł na sufit. - I nastrojowe oświetlenie?

Pocałowałam go i zapięłam sukienkę.

- Nie o to chodzi. Uważam tylko, że powinniśmy... być może nie czas na takie rozmowy, ale chciałam ci powiedzieć, że nie jestem już taka pewna co do dziecka. Może jednak powinniśmy trochę poczekać.

Zrobił zdziwioną minę.

- Przecież postanowiliśmy. - Rick lubił się trzymać raz podjętych decyzji.

- Owszem, ale okazało się to bardziej traumatyczne, niż przewidywałam.

- Traumatyczne?

- Może użyłam zbyt mocnego określenia. - Chwileczkę, Ello, pomyślałam, przecież trafiłaś w sedno. Dlaczego próbujesz go przed tym chronić?

Rick czekał, aż dokończę myśl. Gdy tego nie zrobiłam, westchnął.

- W porządku, skoro tak uważasz. Zebrał przybory kreślarskie. - Nie chcę cię na to narażać, dopóki nie zyskasz całkowitej pewności.

W drodze do domu towarzyszył nam dziwny nastrój: oboje byliśmy podekscytowani z innych powodów, a zarazem wyciszeni nagłym zwrotem w rozmowie. Minęliśmy rynek w Lisle, gdy nagle Rick zatrzymał samochód.

- Zaczekaj chwilę - powiedział. Wyskoczył z samochodu i zniknął za rogiem. Po powrocie rzucił mi coś na kolana.

Wybuchnęłam śmiechem.

- Nie.

- Tak. - Uśmiechnął się szelmowsko. Często żartowaliśmy na temat osamotnionej maszyny z prezerwatywami na jednej z głównych ulic, zastanawiając się, w jakiego typu nagłych wypadkach miałyby służyć mieszkańcom.

Tej nocy kochaliśmy się i spaliśmy twardo aż do rana.

W dzień powrotu Jean-Paula byłam podczas lekcji francuskiego tak rozkojarzona, że madame Sentier zaczęła ze mnie żartować.

- *Vous êtes dans la lune* - przytoczyła mi nowy idiom.

W rewanżu nauczyłam ją zwrotu „myśleć o niebieskich migdałach”. Trochę trwało, zanim wyjaśniłam, o co chodzi, ale madame wreszcie doceniła powiedzonko i wspomniała coś o moim *drôle* amerykańskim poczuciu humoru.

- Nigdy nie wiem, co pani przyjdzie do głowy - powiedziała. - Ale przynajmniej pani akcent jest coraz lepszy.

Wreszcie puściła mnie do domu, zadając dodatkowe ćwiczenia, by nadrobić straconą lekcję.

Pośpieszyłam na pociąg do Lisle. Kiedy jednak znalazłam się na rynku i spojrzałam w stronę *hôtel de ville*, raptem odechciało mi się spotkania, jak wówczas gdy człowiek wydaje przyjęcie i na godzinę przed przyjściem gości ma ochotę zrezygnować z całego przedsięwzięcia. Zmusiłam się, aby przeciąć rynek, wejść do budynku, pokonać schody, a następnie otworzyć drzwi.

Na pomoc bibliotekarzy czekało kilka osób. Gdy weszłam, oboje podnieśli wzrok, Jean-Paul uprzejmie skinął głową. Zbita z tropu usiadłam przy biurku. Nie liczyłam się z

koniecznością czekania ani obecnością tyłu ludzi. Bez entuzjazmu przystąpiłam do odrabiania ćwiczeń zadanych przez madame Sentier.

Po upływie kwadransa tłumek interesantów nieco się przerzedził i Jean-Paul podszedł do mojego biurka.

Czy mogę pomóc, *madame*? - zapytał cicho po angielsku, opierając się jedną ręką o blat.

Po raz pierwszy znalazł się tak blisko mnie; unosząc wzrok, poczułam jego zapach i zobaczyłam opaloną skórę oraz zarys szczęki obsypanej zarostem. O nie, pomyślałam. Tylko nie to. Nie po to tu przyszłam. I poczułam nagły przyпіływ paniki.

Przywołałam się do porządku.

- Tak, Jean-Paul - szepnęłam. Mam coś... - Lekki ruch głowy kazał mi zamknąć usta. - Tak, *monsieur* - poprawiłam się - mam coś, co chciałabym panu pokazać. - Podałam mu pocztówkę.

Zerknąwszy na reprodukcję, odwrócił kartkę i skinął głową.

- Aha, Musée des Augustins. Widziała pani romańskie rzeźby, tak?

- Nie, nie, proszę spojrzeć na nazwisko! Nazwisko malarza!

Odczytał je ściszym głosem.

- Nicolas Tournier, 1590-1639. - Popatrzył na mnie z uśmiechem.

- Spójrz na błękit - szepnęłam, dotykając kartki. - To ten błękit. Pamiętasz sen, o którym ci opowiadałam? Jeszcze zanim zobaczyłam obraz, uświadomiłam sobie, że widzę suknię. Niebieską suknię. Dokładnie w tym odcieniu.

- Cóż, to błękit renesansowy. Pewnie pani słyszała, że farba zawierała lazuryt. Była tak droga, że używano jej tylko do malowania istotnych elementów, jak na przykład szata Matki Boskiej.

Zawsze miał w zanadrzu gotowy wykład.

Nie rozumiesz? To mój przodek! Jean-Paul zerknął na boki i zmieniając pozycję, jeszcze raz obejrzał kartkę.

- Na jakiej podstawie tak sądzisz?

- Oczywiście na podstawie nazwiska, dat, a przede wszystkim koloru. To dokładnie kolor z mojego snu. Nie tylko kolor, ale otaczająca go aura. Wyraz twarzy Maryi.

- Nie widziałaś wcześniej tego obrazu?

- Nie.

- Ale twoja rodzina była już wówczas w Szwajcarii. Ten Tournier był Francuzem, prawda?

- Tak, ale urodził się w Montbéliard. Sprawdziłam; wiesz, gdzie to jest? Trzydzieści mil od Moutier! Tuż przy granicy. Jego rodzice mogli bez trudu przejechać z Moutier do Montbéliard.

- Nie było wzmianki o jego rodzinie?

- Nie, w muzeum nie znalazłam wiele na jego temat, tylko tyle że przyszedł na świat w Montbéliard w 1590 roku, jakiś czas przebywał w Rzymie, a następnie przyjechał do Tuluzy i zmarł w 1639 roku. Nic więcej nie wiemy.

Jean-Paul postukał pocztówką o zaciśniętą dłoń.

- Skoro znają datę urodzenia, muszą znać imiona rodziców. Zawsze zapisywano je w księdze chrztów i narodzin.

Zacisnęłam palce na blacie. Reakcja Jean-Paula bardzo różniła się od reakcji Ricka.

- Poszukam czegoś na jego temat. - Wstał i oddał mi pocztówkę.

- Nie, nie chcę - odparłam na cały głos.

Parę osób uniosło wzrok, bibliotekarka posłała nam karcące spojrzenie.

Jean-Paul podniósł brwi.

- Ja to zrobię, *monsieur*. Sama poszukam.

- Rozumiem. Jak pani sobie życzy, *madame*. - Lekko skłonił głowę i odszedł, pozostawiając mnie dziwnie zakłopotaną i roztrzęsioną.

- Niech go diabli - mruknęłam, spoglądając na Marie. - Niech go diabli!

Sceptycyzm Jean-Paula wywarł na mnie większy wpływ, niż byłam skłonna przyznać. Bezpośrednio po moim odkryciu nie przyszło mi do głowy, aby poszukać więcej informacji o malarzu. Wiedziałam, kim był - podszept intuicji stanowił dla mnie wystarczający dowód. Imiona, daty oraz miejsca nie miały znaczenia. Tak mi się przynajmniej zdawało.

Ale wystarczył jeden komentarz, by rzucić cień na całą sprawę. Przez kilka dni usiłowałam o tym nie myśleć, lecz jadąc następnym razem do Tuluzy, zabrałam pocztówkę i po korepetycjach pośpieszyłam do biblioteki uniwersyteckiej. Zaglądałam tu wcześniej w poszukiwaniu książek medycznych, nigdy jednak nie odwiedziłam działu wydawnictw o sztuce. Pękał w szwach od studentów kujących do egzaminów, piszących prace i

dyskutujących na schodach zaaferowanymi głosami.

Wbrew moim oczekiwaniom znalezienie czegoś o Nicolasiu Tournierze nastąpiło mi pewnych trudności. Należał do grupy malarzy naśladowców Caravaggia, Francuzów pobierających nauki w Rzymie w pierwszych dziesięcioleciach siedemnastego wieku, gorących zwolenników malarstwa na zasadzie światłocienia. Owi twórcy często nie podpisywali swych malowideł i nierzadko powstawały wątpliwości co do autorstwa poszczególnych dzieł. O Tournierze wspominało krótko tu i ówdzie. Nie cieszył się wielką sławą, chociaż dwa z jego obrazów wisiały w Luwrze. Garść znalezionych przeze mnie informacji różniła się od notki w muzeum: według najwcześniejszych źródeł, nazywał się Robert Tournier, przyszedł na świat w Tuluzie w 1604 roku, a zmarł w 1670. Jedynie obrazy utwierdziły mnie w pewności, że chodzi o tego samego człowieka. Inne źródła podawały odmienne daty oraz imię Nicolas.

Wreszcie wyodrębniłam trzy tytuły, stanowiące najaktualniejsze źródła danych. Okazało się, że w bibliotece nie ma żadnego z nich. Zagadnęłam roztargnionego studenta w informacji, który miał pewnie na głowie swoje egzaminy; sprawdziwszy w komputerze, potwierdził, że wymienione pozycje zostały wypożyczone.

- Jak pani widzi, mamy tu urwanie głowy - powiedział. - Może ktoś potrzebował ich do napisania pracy.

- Czy mógłby pan sprawdzić, kto je wziął?

Spojrzał na ekran.

- Inna biblioteka.

- W Lisle-sur-Tarn?

- Tak. - Chłopak okazał pewne zdziwienie, zwłaszcza gdy wymamrotałam: „A to drań!”.

- Nie, nie pan. Bardzo dziękuję.

Powinno mi się domyślić, że Jean-Paul nie pozwoli mi wziąć sprawy w swoje ręce. Był zbyt wścibski, by zachować dystans, zbyt gorliwie pragnął potwierdzenia własnych teorii. Pytanie tylko, czy ja mam ochotę ciągnąć go za język.

Rozwiązanie przyszło samo. Po drodze z dworca wpadłam na bibliotekarza, który właśnie wracał z pracy. Skinął głową.

- *Bonsoir.*

- Masz książki, których szukałam całe popołudnie - wypaliłam bez zastanowienia. Dlaczego to zrobiłeś? Prosiłam, żebyś zostawił poszukiwania mnie, a ty i tak zrobiłeś po swojemu!

Miał niemal znudzoną minę. A kto mówi, że mam zamiar cię wyręczać, Ello Tournier? Po prostu byłem ciekaw, dlatego postanowiłem sam sprawdzić. Skoro tak ci zależy na tych książkach, przyjdź po nie jutro do biblioteki.

Oparłam się o ścianę i skrzyżowałam ręce na piersi.

- Dobrze już, dobrze. Wygrałeś. Powiedz, czego się dowiedziałeś. Miejmy to z głowy.

- Jesteś pewna, że nie chcesz zajrzeć do książek?

- Mów.

Zapalił papierosa, zaciągnął się i wypuścił dym.

- No dobrze. Pewnie przeczytałaś, że przez dłuższy czas nie było o Nicolasiu Tournierze żadnych informacji. Ale w 1951 roku znaleziono zapis w księgach metrykalnych jego chrzest odbył się w lipcu 1590 roku w kościele protestanckim w Montbéliard. Ojcem Nicolasa był André Tournier, malarz z Besançon leżącego niedaleko Montbéliard. Jego dziadek nazywał się Claude Tournier. Ojciec, André Tournier, przybył do Montbéliard w 1572 roku z powodu zamieszek religijnych, być może po nocy świętego Bartłomieja. Twój malarz, Nicolas, był jednym z kilkorga dzieci. Istnieją wzmianki na temat jego pobytu w Rzymie pomiędzy 1619 i 1629 rokiem. W 1627 przebywał w Carcassonne, a w 1632 w Tuluzie. Przez lata sądzono, że zmarł po 1657 roku. Ale w 1974 znaleziono jego testament z datą 30 grudnia 1638. Prawdopodobnie zmarł krótko potem.

Milczałam tak długo ze wzrokiem utkwionym w ziemię, że zniecierpliwiony Jean-Paul rzucił papierosa na asfalt.

- Powiedz, czy wtedy chrzczono dzieci tuż po narodzeniu? - spytałam wreszcie.

- Zazwyczaj tak. Nie zawsze.

- Czyli chrzest mógł być z jakiegoś powodu przełożony, tak? Data chrztu niekoniecznie musi być równoznaczna z datą urodzenia. Z tego, co wiemy, Nicolas Tournier mógł w momencie chrztu liczyć sobie miesiąc, dwa lub dziesięć lat. Może nawet był dorosły!

- To mało prawdopodobne.

- Ale możliwe. Chcę powiedzieć, że źródła nie podają dokładnych informacji. A na

jego testamencie widnieje data, która może, ale nie musi bezpośrednio poprzedzać zgon. Zgodzisz się ze mną? Może umarł dziesięć lat po sporządzeniu testamentu.

- Ello, był chory, spisał ostatnią wolę, a potem zmarł. Tak się zwykle dzieje.

- No tak, ale nie mamy stuprocentowej pewności. Nie wiemy dokładnie, kiedy się urodził i kiedy zmarł. Źródła nie stanowią żadnego dowodu. Zasadnicze szczegóły jego biografii nadal stoją pod znakiem zapytania. - Umilkłam, by stłumić narastającą histerię w głosie.

Oparł się o ścianę i również skrzyżował ręce na piersi.

- Nie chcesz przyjąć do wiadomości, że jego ojciec nazywał się André, a nie Jean lub Etienne, jak któryś z twoich przodków. On nie pochodził z regionu Cévennes ani z Moutier. Nie łączą was żadne więzy krwi.

- Spójrz na to inaczej - podjęłam spokojniejszym tonem. - Do niedawna, dokładnie do lat pięćdziesiątych, nie istniały żadne wiarygodne informacje na jego temat. Wszystkie dane, z wyjątkiem nazwiska oraz miasta, w którym zmarł, były błędne. Podawano nieprawdziwe imię, datę urodzenia i zgonu, miejsce urodzenia, tytuły obrazów, które okazały się dziełami innych malarzy. I wszystkie te informacje publikowano; widziałam w bibliotece. Gdybym nie odkryła, że istnieją inne, nowsze źródła, dysponowałabym jedynie fałszywymi danymi. Nawet nie znałabym jego prawdziwego imienia! Do dziś historycy mają problemy z ostatecznym ustaleniem autorstwa niektórych obrazów. Skoro istnieją wątpliwości w tak zasadniczych kwestiach i wszystko opiera się na niezbyt przekonującym założeniu, że data chrztu równa się dacie urodzenia, a data testamentu - śmierci, cóż, nie możemy mówić o stuprocentowej pewności. Źródła nie podają żadnych konkretnych dowodów, dlaczego więc miałabym im wierzyć? Konkretnie jest to, że nosimy to samo nazwisko, tworzył zaledwie trzydzieści mil od mojego miejsca zamieszkania i użył identycznego odcienia błękitu, jaki widuję w swoim śnie. To są konkrety.

- Nie, to zbieg okoliczności. Opierasz swoje domysły na przypadkowych przesłankach.

- A ty na spekulacjach.

- Fakt, że mieszkasz teraz niedaleko Tuluzy, w której kiedyś mieszkał również on, wcale nie świadczy, że jesteście spokrewnieni. Poza tym nazwisko Tournier nie należy do rzadkości. A że śnisz w tym kolorze... cóż, łatwo go zapamiętać, jest bardzo intensywny.

Granatu byś nie zapamiętała, prawda?

- Słuchaj, dlaczego tak usilnie próbujesz mnie przekonać, że to nie mój przodek?

Ponieważ twoje wnioski opierają się na wątpliwych przesłankach oraz intuicji, a nie konkretnych dowodach. Jesteś pod wrażeniem obrazu, pewnego koloru oraz zbieżności nazwisk i od razu ci się wydaje, że to twój przodek? Nie. Nie, to nie ja powinienem cię przekonywać, że Nicolas Tournier nie jest twoim przodkiem, ale ty mnie, że jest.

Muszę go powstrzymać, pomyślałam. Jeszcze chwila, a stracę resztki nadziei.

Musiał wyczytać to z mojej twarzy, gdyż po chwili przemówił łagodniejszym tonem:

- Moim zdaniem, Nicolas Tournier to fałszywy trop. Albo, jak wy to nazywacie, pic na wodę i fotomontaż.

- Co? - Wybuchnęłam śmiechem. - Chciałeś powiedzieć, pic na wodę. Może masz rację. - Zastanowiłam się. - Ale zrobił swoje. Nie pamiętam nawet, co planowałam w związku z tym całym drzewem genealogicznym.

- Miałaś zamiar poszukać swoich przodków w Cévennes.

- No właśnie. Widok jego miny rozbawił mnie niemal do łez. - I tak też zrobię. Wiesz co, te nasze utarczki tylko skłaniają mnie do tego, by wzmóc wysiłki. Chcę znaleźć dowód, konkretny dowód na poparcie moich przypuszczeń. Dowód, który nawet ty uznasz za wystarczający. Chcę ci pokazać, że przecucia nie zawsze bywają mylne.

Zapadła chwila milczenia. Przerzuciłam ciężar ciała z jednego biodra na drugie, Jean-Paul zmrużył oczy w wieczornym słońcu. Kiedy tak stał naprzeciwko mnie na wąskiej francuskiej uliczce, ogarnęło mnie przeszywające poczucie jego bliskości. Dzieli nas odległość dwóch stóp, pomyślałam. Mogłabym...

- A twój sen? - zapytał. - Nadal go miewasz?

- Nie, nie. Chyba odszedł na dobre.

Mam zadzwonić do archiwum w Mende i uprzedzić ich o twoim przyjeździe?

- Nie! - Krzyknęłam tak głośno, że przechodnie odwrócili głowy. - Właśnie tego nie rób - syknęłam. - Trzymaj się z daleka od tej sprawy, dopóki nie poproszę o pomoc, dobra? W razie czego dam znać.

Jean-Paul podniósł rękę, jakbym celowała do niego z karabinu.

- W porządku, Ello Tournier. Narysujemy linię i ja zostanę po swojej stronie, dobrze?
- Odsunął się od wyimaginowanej granicy, zwiększając dzielący nas dystans.

Następnego wieczoru podczas kolacji na patio powiedziałam Rickowi, że wybieram się na poszukiwanie korzeni.

- Pamiętasz, jak pisałam do Jacoba Tourniera do Szwajcarii? - spytałam. - W odpowiedzi przesłał mi informację, że Tournierowie pochodzili z regionu Cévennes. Prawdopodobnie. - Uśmiechnęłam się do siebie: uczyłam się modyfikować własne wypowiedzi. - Chcę się trochę rozejrzeć.

- Myślałam, że już wszystko wiesz. Ten malarz i w ogóle.

- Cóż, to nic pewnego. Jeszcze nie - dodałam pośpiesznie. - Być może uda mi się odnaleźć jakiś dowód.

Ku mojemu zdziwieniu zmarszczył brwi.

- Domyślałam się, że Jean-Pierre maczał w tym palce.

- Jean-Paul. Nie, bynajmniej. A nawet wręcz przeciwnie. On uważa, że nic nie znaję.

- Mam jechać z tobą?

- Wybieram się w połowie tygodnia, kiedy archiwum będzie otwarte.

- Mógłbym wziąć parę dni wolnego.

- Myślałam o przyszłym tygodniu.

- Wykluczone. Z powodu kontraktu z Niemcami mamy w biurze urwanie głowy. Może później, kiedy sytuacja trochę się uspokoi. Na przykład w sierpniu.

- Nie mogę czekać do sierpnia!

- Ello, skąd to nagle zainteresowanie przodkami? Wcześniej nigdy cię to nie obchodziło.

- Wcześniej nie mieszkałam we Francji.

- No tak, ale wydajesz się bardzo zaangażowana. Co chcesz przez to zyskać?

Miałam zamiar wspomnieć coś na temat akceptacji przez Francuzów i poczucia przynależności. Ale zamiast tego powiedziałam tylko:

- Chcę odpędzić zły sen.

- Uważasz, że poznanie prawdy o przodkach pomoże ci się od niego uwolnić?

- Tak. - Odchyliłam się na krześle i spojrzałam na winorośl. Wśród liści pojawiły się już zielone zawiązki owoców. Wiedziałam, że to bez sensu, że tak naprawdę między moimi przodkami i snem nie ma żadnego związku. Lecz w moim umyśle już powstało określone skojarzenie i uparcie postanowiłam się go trzymać.

- Jean-Pierre jedzie z tobą?

- Nie! Posłuchaj, o co ci chodzi? To do ciebie niepodobne. Ta sprawa naprawdę mnie interesuje; to pierwsza rzecz od czasu przyjazdu, na której mi zależy. Chciałabym móc liczyć na twoje wsparcie.

- Sądziłem, że tak naprawdę zależy ci na dziecku. W tej kwestii wspierałem cię, jak mogłem.

- Tak, ale... - Nie powinieneś mnie tylko wspierać, pomyślałam. Sam powinieneś tego chcieć.

Ostatnio sporo moich refleksji podlegało wewnętrznej cenzurze. Rick spoglądał na mnie ze zmarszczonymi brwiami, ale po chwili opanował irytację i rozchmurzył się.

- Masz rację. Jedź, kotku. Skoro to ma cię uszczęśliwić, musisz jechać.

- Rick, tylko nie... - Urwałam. Nie było sensu go krytykować. Próbował mnie wspierać, nie siląc się na zrozumienie. Ale przynajmniej próbował. - Słuchaj, to tylko kilka dni. Jeśli coś znajdę, super. Jeśli nie, trudno. W porządku?

Jeśli nic nie znajdziesz, zabiorę cię na pocieszenie do najlepszej restauracji w Tuluzie.

Rany, dzięki. Od razu mi lepiej. Według mojej matki, sarkazm to najpośledniejsza forma humoru. Przykrość widoczna w oczach Ricka uczyniła ją jeszcze gorszą.

Ranek w dniu mojego wyjazdu był jasny i rześki; ubiegłego wieczoru przeszły nad miasteczkiem burze, oczyszczając powietrze z napięcia. Gdy Rick wychodził na dworzec, ucałowałam go na pożegnanie, po czym wsiadłam do samochodu i pojechałam w przeciwnym kierunku. Co za ulga. Uczciłam tę chwilę, nastawiając głośno muzykę i otwierając obydwie okna oraz dach, przez który smagało mnie słońce.

Jechałam szosą wiodącą wzdłuż Tarn do Albi, katedralnego miasteczka, pełnego czerwcowych turystów, następnie skierowałam się na północ, odbijając od rzeki. Nasze drogi miały ponownie spleść się w Cévennes, skąd wypływało źródło Tara. Za Albi krajobraz zaczął ulegać stopniowej zmianie; kiedy jechałam w górę, horyzont najpierw się rozszerzył, po czym zwęził za sprawą otaczających mnie wzgórz, a błękitne dotąd niebo zyskało odcień szarości. Do porastających pobocza maków i trybuli dołączyły inne kwiaty, różowe obrazkowce, stokrotki, a zwłaszcza żarnowiec o ostrym, jakby stęchłym zapachu. Drzewa pociemniały. Pola leżały odłogiem; wykorzystywano je jako pastwiska dla kóz oraz krów. Rzeki stały się węższe, bardziej rwące i hałaśliwe. Niepostrzeżenie domy również

uległy przeobrażeniu: lekkie kredowe ściany ustąpiły miejsca brunatnoszarym bryłom granitu, dachy zaś, wyłożone płaskim łupkiem zamiast falistej terakoty, zyskały bardziej kanciasty zarys. Wszystko stało się mniejsze, ciemniejsze, bardziej posępne.

Zamknęłam okna i dach, wyłączyłam muzykę. Mój nastrój zdawał się harmonizować z krajobrazem. Widok pięknej, posępnej krainy nie przyniósł mi spodziewanej ulgi. Przywodził na myśl tamten błękit.

Mende stanowiło ukoronowanie zarówno krajobrazu, jak i mojego nastroju. Wąskie uliczki otaczała ruchliwa droga, tworząca naturalne spoiwo miasta. Katedra tkwiła pośrodku; dwie różne iglice nadawały jej dziwnie przypadkowy wygląd. Wewnątrz było ciemno i ponuro. Uciekłam na dwór; stojąc na schodach, popatrzyłam na otaczające mnie szare, kamienne budynki. To ma być Cévennes, pomyślałam. Następnie uśmiechnęłam się pod nosem: oczywiście z góry założyłam, że w krainie Tournierów musi być pięknie.

Miałam za sobą długą podróż; nawet większe drogi wiły się i pięły w górę, wymagając większej koncentracji niż amerykańskie autostrady. Byłam zmęczona i zniechęcona, a mroczny pokój hotelowy oraz samotna kolacja w pizzerii, gdzie oprócz mnie jedynymi klientami było kilku staruszków, bynajmniej nie wpłynęły na poprawę mojego humoru. Pomyślałam o telefonie do Ricka, wiedziałam jednak, że zamiast podnieść mnie na duchu, sprawi, że poczuje się jeszcze gorzej, świadoma rosnącej pomiędzy nami przepaści.

Archiwum mieściło się w nowym budynku z białego i łososiowego kamienia oraz metalu malowanego niebieską, zieloną i czerwoną farbą. Główne pomieszczenie okazało się przestronne i przewiewne, przy stolikach siedziała spora grupa osób pochylonych nad dokumentami. Wszyscy wyglądali na doskonale zorientowanych w tym, co robią. Poczułam się tak, jak często w Lisle: jako cudzoziemka mogłam stać z boku i podziwiać miejscowych, lecz oni zwarłszy szeregi, nie dopuszczali mnie do swej zamkniętej społeczności.

Wysoka kobieta przy biurku zerknęła na mnie z uśmiechem. Była to krótkowłosa blondynka w żółtych okularach, mniej więcej w moim wieku. Chwała Bogu, że nie zesłał mi kolejnej Madame, odetchnęłam w duchu. Podeszłam do biurka i postawiłam torbę.

- Właściwie to nie wiem, od czego zacząć - powiedziałam. - Czy mogłaby mi pani pomóc?

Niemiały śmiech raził w tym sympatycznym, pełnym powagi miejscu.

- *Alors*, czego pani szuka? - zapytała blondynka, spoglądając na mnie niebieskimi oczami, powiększonymi przez okulary. Nigdy nie widziałam, by ktoś równie szykownie nosił grube szkła.

- Mój przodek nazwiskiem Etienne Tournier najprawdopodobniej mieszkał w tej okolicy w szesnastym wieku. Chciałabym się o nim czegoś dowiedzieć.

- Zna pani datę urodzenia lub zgonu?

- Nie. Wiem, że niegdyś rodzina przeniosła się do Szwajcarii, ale nie znam dokładnej daty. Przypuszczalnie stało się to przed 1576 rokiem.

- Żadnych dat? A jego dzieci? Albo wnuki?

- Cóż, miał syna Jeana, który z kolei został ojcem w 1590 roku. Skinęła głową.

- Czyli syn Jean przyszedł na świat pomiędzy 1550 a 1575 rokiem, a jego ojciec Etienne dwadzieścia do czterdziestu lat wcześniej. Zatem interesują nas lata 1510-1575, prawda?

Tak szybko mówiła po francusku, że nie mogłam odpowiedzieć od razu: najpierw musiałam przebrnąć przez jej obliczenia.

- Chyba tak - odrzekłam wreszcie, zastanawiając się, czy powinnam wspomnieć o malarzach, Nicolasie, André i Claudzie.

Nie dała mi ku temu okazji.

- Musi pani zajrzeć do kronik chrztów, ślubów i zgonów - oznajmiła. - I może do *compoix*, ksiąg podatkowych. Z jakiej wioski pochodzili?

- Nie wiem.

- No to mamy problem. Cévennes to duży region. Naturalnie z tamtych czasów nie zachowało się wiele zapisków. Dawniej przechowywano je w kościołach, wiele jednak spłonęło bądź zaginęło podczas wojen religijnych, więc może nie znajdzie pani wiele. Gdyby pani знаła nazwę wioski, mogłabym od razu powiedzieć, co mamy, ale trudno, zobaczmy, co da się zrobić.

Zajrzała do spisu dokumentów w tym i innych pomieszczeniach *département*. Miała rację - z całego regionu zachowała się jedynie garść przypadkowo ocalałych zapisków z szesnastego wieku. Było jasne, że odszukanie wśród nich nazwiska Tournier zakrawałoby na cud.

Zamówiłam jednak materiały pochodzące z interesującego mnie okresu. Nie

wiedziałam, czego się spodziewać: określenie „zapiski” było dość nieprecyzyjne i narzucało wizję szesnastowiecznych odpowiedników mojego własnego czytelnego aktu urodzenia lub ślubu. Pięć minut później kobieta przyniosła kilka pudełek z mikrofiszkami, księgę obłożoną brązowym papierem ochronnym oraz duży karton, po czym uśmiechnęła się zachęcająco i odeszła. Odprowadzając ją wzrokiem zobaczyłam, że ma sandały na platformach i skórzaną minispódniczkę.

Zaczęłam od księgi. Była oprawiona w zatłuszczoną, kremową cielęcą skórę, na okładce widniał łaciński tekst. Początkowa litera każdej linijki była powiększona i pokolorowana na czerwono i niebiesko. Otworzyłam tomisko na pierwszej stronie i wygładziłam kartkę - to niezwykle uczucie dotykać czegoś równie starego. Utkwiłam wzrok w równych rzędkach brązowych liter, które sprawiały wrażenie, jakby miały służyć raczej budzeniu podziwu niż lekturze: nie mogłam odczytać ani słowa. Kilka liter było praktycznie identycznych, odróżnienie zaś poszczególnych wyrazów bynajmniej nie posunęło mnie do przodu, gdyż język, w jakim je uwieczniono, był mi zupełnie obcy.

Potem zaczęłam kichać.

Dziewczyna zajrzała do mnie po dwudziestu minutach. Przebrnęłam przez dziesięć stron, wyszukując daty i mozolnie identyfikując nazwiska.

- Czy to francuski? - zapytałam, podnosząc na nią wzrok.

- Starofrancuski.

- Ach. - O tym nie pomyślałam.

Popatrzyła na kartkę i przesunęła różowym paznokciem wzdłuż paru linijek.

- Ciężarna kobieta zatonąła w River Lot, maj 1574. *Une inconnue, la pauvre* - mruknęła. - To chyba niezbyt przydatne informacje, prawda?

- Chyba nie - odpowiedziałam i kichnęłam na książkę. Skwitowała moje przeprosiny śmiechem.

- Tutaj każdy kicha. Proszę się rozejrzeć, wszędzie leżą chusteczki! - Roześmiałyśmy się, słysząc ciche kichnięcie staruszka w drugim końcu sali.

- Proszę odetchnąć od tego kurzu - powiedziała. - Chodźmy na kawę. Mam na imię Mathilde. - Z uśmiechem wyciągnęła rękę. - Tak robią Amerykanie, prawda? Podają sobie ręce na powitanie.

Usiadłyśmy w kawiarni za rogiem i wkrótce trajkotałyśmy jak stare przyjaciółki.

Mathilde wyrzucała słowa z szybkością karabinu maszynowego, ale mimo to rozmowa przebiegała nadzwyczaj gładko. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo brakowało mi damskiego towarzystwa. Zadawała mnóstwo pytań o Stany, zwłaszcza Kalifornię.

- Co cię tu przygnało? - westchnęła w końcu. - Gdybym tylko mogła wyjechać do Kalifornii, zrobiłabym to bez chwili namysłu!

Zesztywniałam, usiłując wymyślić odpowiedź, która nie oznaczałaby, że po prostu wyjechałam za Rickiem, jak to sugerował Jean-Paul. Lecz Mathilde nie dopuściła mnie do głosu i zrozumiałam, że moje wyjaśnienia wcale jej nie interesują.

Moja fascynacja drzewem genealogicznym bynajmniej jej nie zdziwiła.

- Mnóstwo ludzi szuka swoich korzeni - oświadczyła.

- Czuję się trochę dziwnie - wyznałam. - Mało prawdopodobne, żebym na coś natrafiła.

- Zgadza się - odparła. - Szczerze mówiąc, równie odległe w czasie poszukiwania zwykle spełzają na niczym. Ale nie zniechęcaj się. Te stare dokumenty są bardzo ciekawe, prawda?

- Tak, tylko ogromnie trudno je zrozumieć! Jestem w stanie odczytać jedynie daty, czasami nazwiska.

Mathilde spojrzała na mnie z uśmiechem.

- Poczekaj, aż zobaczysz mikrofilm! - Roześmiała się na widok mojej miny. Nie mam dziś zbyt dużo pracy. Przejrzyj księgę, a ja zajmę się resztą. Przywykłam do tego starego pisma!

Przyjęłam jej propozycję z wdzięcznością. Podczas gdy ona pracowała nad mikrofiszką, ja przejrzałam zawartość pudła z *compoix*, księgami podatkowymi. Sporządzono je identycznym charakterem pisma, przez co były również prawie nieczytelne. Ślęczałam nad nimi do końca dnia. Byłam wykończona, ale Mathilde zdawała się rozczarowana brakiem jakichkolwiek innych dokumentów.

- Czy to naprawdę wszystko? - zapytała, jeszcze raz zaglądając do spisu. - *Attends*, w *mairie* w Le Pont de Montvert jest jeszcze *compoix* z 1570 roku. Jasne, monsieur Jourdain! Rok temu pomagałam mu sporządzić rejestr dokumentów.

- Kto to jest monsieur Jourdain?

- Sekretarz *mairie*.

- Sądzisz, że warto spróbować?

- *Bien sûr*. Nawet jeśli nic nie znajdziesz, Le Pont de Montvert to cudowne miejsce. To nieduża wioska o stóp Mont Lozère. - Spojrzała na zegarek. - *Mon Dieu*, muszę odebrać Sylvie! Chwyliła torbę i wypchnęła mnie na zewnątrz, po czym ze śmiechem zamknęła drzwi na klucz. - Monsieur Jourdain dostarczy ci niezapomnianych wrażeń. O ile najpierw nie pożre cię żywcem!

Następnego ranka wyruszyłam wcześniej i pojechałam malowniczą trasą do Le Pont de Montvert. Po drodze na Mont Lozère krajobraz stał się mniej zwarty, pełen światła, a zarazem bardziej jednostajny. Mijałam zakurzone wioski z domami z granitu, których nie odróżniała od tła choćby nikła plama koloru. Wiele zabudowań było opuszczonych i pozbawionych dachów, ze zrujnowanymi kominami i krzywymi okiennicami. Widziałam niewielu ludzi, kiedy zaś dotarłam na pewną wysokość, podążałam drogą kompletnie nieuczęszczaną przez samochody. Niebawem dostrzeżałam już tylko głązy, wrzos, żarnowiec oraz tu i ówdzie kępy sosen.

To jest to, pomyślałam.

Zatrzymałam się opodal szczytu w miejscu zwanym Col de Finiels i usiadłam na bagażniku. Po kilku minutach szum chłodnicy ucichł i zapadła błoga cisza: słyszałam tylko stłumiony szmer wiatru oraz śpiew nielicznych ptaków. Według mapy, na wschód od niedużego lasu sosnowego, za wzgórzem, znajdowało się źródło Tarn. Korciło mnie, żeby tam pójść i rzucić nań okiem.

Zamiast tego zjechałam zygzakowatą drogą po drugiej stronie góry, by wreszcie dobić do Le Pont de Montvert. Minęłam hotel, szkołę, restaurację oraz kilka sklepów i barów, umiejscowionych po jednej stronie ulicy. Od głównej trasy odchodziły liczne odnogi, wijące się pomiędzy rozsianymi po wzgórzach domami. Ponad dachami domów zobaczyłam kopułę kościoła z dzwonem zawieszonym w kamiennej dzwonnicy.

Tarn płynęła po drugiej stronie ulicy, częściowo przysłonięta niskim kamiennym murem. Zaparkowałam samochód, po czym weszłam na stary mostek i spojrzałam w dół.

Rzeka zmieniła się nie do poznania. Już nie powolna i szeroka, w najszerszym miejscu liczyła dwadzieścia stóp szerokości i była wartka jak strumień. Popatrzyłam na ciemnoczerwone i żółte kamyki na dnie. Nie mogłam od nich oderwać oczu.

Ta woda przepłynie całą drogę do Lisle, pomyślałam. Do mnie.

Była środa, dziesiąta rano. Jean-Paul siedzi pewnie przy kawiarnianym stoliku i też patrzy na rzekę.

Przestań, Ello, skarciłam się w duchu. Myśl o Ricku albo nie myśl wcale.

Mairie - szary budynek z brązowymi okiennicami oraz obwisłą francuską flagą w jednym z okien - z zewnątrz prezentowało się nie najgorzej. W środku jednak wyglądało jak rupieciarnia; smuga słońca przeświecała przez chmurę kurzu. Przy biurku w odległym kącie monsieur Jourdain czytał gazetę. Niski i tęgi, miał wylupiane oczy, oliwkową cerę oraz rozwichrzoną brodę, która kończyła się w połowie szyi i zasłaniała szczękę. Kiedy ruszyłam ku niemu, wymijając sfatygowane meble i sterty papierów, obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem.

- *Bonjour, monsieur Jourdain* - powiedziałam energicznie.

Odchrząknął i ponownie utkwiał wzrok w gazecie.

- Nazywam się Ella Turner... Tournier - podjęłam ostrożnie po francusku. - Chciałabym przejrzeć pewne dokumenty, a konkretnie znajdujące się u pana *compoix* z 1570 roku. Czy mógłby mi je pan udostępnić?

Zerknął na mnie przelotnie i kontynuował lekturę.

- Proszę pana? Pan jest monsieur Jourdain, prawda? W Mende powiedziano mi, że mam się zwrócić do pana.

Monsieur Jourdain przejechał językiem po zębach. Spojrzałam w dół. Czytał gazetę sportową, rubrykę dotyczącą wyścigów. Burknął coś, czego nie zrozumiałam.

- *Pardon!* - zapytałam.

Znów powiedział coś niezrozumiałego; przyszło mi do głowy, że jest pijany. Kiedy raz jeszcze poprosiłam, aby powtórzył, zamachał rękami i wybuchnął potokiem wymowy, obficie strzykając śliną. Cofnęłam się o krok.

- Jezu, co za typ! - mruknęłam po angielsku.

Zmrużył oczy i warknął, na co obróciłam się na pięcie i wyszłam. Zniechęcona usiadłam w pobliskiej kawiarni, po czym znalazłam numer archiwum w Mende i zadzwoniłam z budki do Mathilde.

Kiedy opowiedziałam, co mnie spotkało, Mathilde wybuchnęła jazgotliwym śmiechem.

- Zostaw to mnie - poleciła. I wróć tam za pół godziny.

Perswazje Mathilde widocznie zrobiły swoje, gdyż naburmuszony monsieur Jourdain zaprowadził mnie do zagraconego pomieszczenia z biurkiem, na którym piętrzyły się stosy papierów.

- *Attendez* - mruknął i wyszedł.

Ciekawie rozejrzałam się dokoła. Znajdowałam się w czymś w rodzaju magazynu, wszędzie stały skrzynie z książkami, niektóre bardzo stare. Podłogę zaścielały papiery wyglądające na urzędowe pisma, na biurku zaś spoczywała okazała sterta nierozpieczętowanych kopert, zaadresowanych do Abrahama Jourdaina.

Po dziesięciu minutach mężczyzna powrócił z dużym kartonem i rzucił go na biurko, po czym wyszedł bez słowa czy choćby spojrzenia.

Karton zawierał księgę podobną do tej w Mende, tyle że większą i jeszcze bardziej zniszczoną. Oprawa z cielej skóry była tak poszarpana, że w ogóle nie trzymała kartek. Staralam się postępować z księgą jak najostrożniej, lecz rogi kartek dosłownie kruszyły mi się w rękach. Czym prędzej upchnęłam je w kieszeniach w obawie, że ściagną na moją głowę gniew monsieur Jourdaina.

W południe wyrzucił mnie z archiwum. Pracowałam zaledwie godzinę, kiedy stanął w progu i mierząc mnie srogim spojrzeniem, burknął coś pod nosem. Domyśliłam się, o co chodzi, dlatego tylko, że postukał przy tym palcem w zegarek. Pomaszerował przez korytarz do frontowych drzwi, po czym - gdy wyszłam - zatrzęsął je za mną z hukiem i zasunął rygiel. Stałam, mrugając oczyma w słońcu, oszołomiona po czasie spędzonym w ciemnym, zakurzonej pokoju.

Następnie otoczyły mnie dzieci, które wyległy z sąsiedniego placu zabaw.

Wciągnęłam powietrze w płuca. Chwała Bogu, pomyślałam.

Zrobiłam zakupy na lunch tuż przed zamknięciem sklepów. Kupiłam ser, brzoskwinie oraz ciemnoczerwony chleb z kasztanów, będący podobno lokalnym specjałem. Następnie drogą wiodącą pomiędzy domami z granitu ruszyłam w stronę kościoła.

Był to prosty kamienny budynek, którego wysokość równała się niemal szerokości. Frontowe drzwi były zamknięte, ale z boku znalazłam wejście z wyrytą datą 1828 i weszłam do środka. W pomieszczeniu stały rzędy pustych ław. Wzdłuż dwóch długich ścian ciągnęły się balkony. Zobaczyłam też drewniane organy, pulpit oraz stół z dużą, otwartą Biblią. To wszystko. Żadnych ornamentów, figur, krzyży ani witraży. W życiu nie widziałam tak

pustego kościoła. Nie było nawet ołtarza oddzielającego miejsce kapłana od zgromadzenia wiernych.

Podeszłam do Biblii, jedyne przedmiotu, którego rola nie była czysto funkcjonalna. Wyglądała na starą, choć nie tak wiekową jak *compoix*. Przerzuciłam kartki. Poszukiwania zabrały chwilę (nie znam kolejności ksiąg), ale wreszcie natrafiłam na właściwy fragment. Zaczęłam czytać psalm trzydziesty pierwszy: *J'ai mis en toi mon espérance: Garde-moi donc, Seigneur*. Nim dotarłam do początku trzeciego wersu, *Tu es ma tour et forteresse*, moje oczy napełniły się łzami. Oderwałam wzrok od księgi i uciekłam.

Idiotka ze mnie, zganiłam się w duchu, siedząc na murku okalającym kościół i ocierając oczy. Mrugałam dłuższą chwilę w oślepiającym świetle, po czym zmusiłam się, żeby coś zjeść. Chleb z kasztanów, suchy i słodkawy, stawał w przętyku. Czułam go tam do końca dnia.

Kiedy wróciłam, monsieur Jourdain siedział za biurkiem z rękami splecionymi na blacie. Nie czytał gazety; właściwie wyglądał, jakby na mnie czekał.

- *Bonjour, monsieur* - powiedziałam ostrożnie. - Czy mogę dostać *compoix*?

Otworzywszy szafę, wyjął pudło i podał mi. Następnie popatrzył na mnie uważnie.

- Jak się pani nazywa? - zapytał zdziwiony.

- Tournier. Ella Tournier.

- Tournier - powtórzył, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Skrzywił wargi, przygryzając od środka policzek. Patrzył na moje włosy.

- *La Rousse* - mruknął.

- Co takiego? - rzuciłam głośno, czując, jak dostaję gęsiej skórki.

Monsieur Jourdain wytrzeszczył oczy, po czym wyciągnął rękę i dotknął moich włosów.

- *C'est rouge. Alors, La Rousse*.

- Ale ja mam brązowe włosy, monsieur.

- *Rouge* - powtórzył stanowczo.

- Ależ skąd. Brą... - Obejrzałam kosmyk i gwałtownie chwyciłam oddech. Miał rację: widniały w nim miedziane refleksy. Ale kiedy oglądałam go rano w lustrze, był brązowy. Słońce zawsze rozjaśniało mi włosy, ale nigdy tak szybko ani tak intensywnie.

- Co znaczy „*La Rousse*”? - zapytałam oskarżycielsko.

- Tak miejscowi nazywają rudowłose dziewczyny. To nic obraźliwego - dodał pośpiesznie. - Kiedyś nazywano tak również Matkę Boską, ponieważ wierzono, że miała rude włosy.

- Ach. - Poczułam mdłości i zawroty głowy.

- Proszę posłuchać, *madame*. - Przejechał językiem po zębach. - Jeśli woli pani siedzieć tutaj... - Wskazał na puste biurko, ustawione naprzeciw jego miejsca pracy.

- Nie, dziękuję - odparłam bez tchu. - Zostanę tam, gdzie dotychczas.

Monsieur Jourdain skinął głową; ulżyło mu, że nie musi dzielić ze mną pokoju.

Zaczęłam tam, gdzie przerwałam, ale co rusz oglądałam swoje włosy. Wreszcie przywołałam się do porządku. Nic na to nie poradzisz, Ello. Po prostu rób swoje.

Nie traciłam czasu, przekonana, że nieoczekiwana łaskawość monsieur Jourdaina nie potrwa długo. Przestałam rozgryzać szczegóły dotyczące płacenia dziesięciny i skupiłam się na nazwiskach oraz datach. W miarę jak zbliżałam się do końca księgi, ogarniało mnie narastające przygnębienie. Chcąc dodać sobie otuchy, zaczęłam robić w duchu zakłady: w kolejnych dwudziestu sekcjach natrafię na nazwisko Tournier, albo: znajdę je w ciągu następnych pięciu minut.

Ze złością spojrzałam na ostatnią stronę: dotyczyła Jeana Marcela i zawierała tylko jeden punkt na temat *châtaignes*, które często pojawiały się w *compoix*. Kasztany. Nowy kolor moich włosów.

Schowałam księgę do pudła i powoli ruszyłam korytarzem do biura monsieur Jourdaina. Nadal siedział przy biurku, wystukując coś szybko dwoma palcami na staroświeckiej maszynie do pisania. Kiedy pochylił się do przodu, zza wycięcia koszuli wysunął się srebrny łańcuszek. Medalik stuknął o klawisze. Monsieur Jourdain podchwycił moje spojrzenie. Uniósł dłoń do medalika i przetarł go kciukiem.

- Krzyż hugenotów - powiedział. - Czy pani wie, jak wygląda?

Pokręciłam głową. Podniósł go do góry. Był to krzyżyk o równych ramionach, z gołębicą o rozpostartych skrzydłach, przymocowaną do dolnego ramienia.

Postawiłam pudło na pustym biurku.

- *Voilà* - powiedziałam. - Dziękuję za umożliwienie wglądu w dokumenty.

- Coś pani znalazła?

- Nie. - Wyciągnęłam rękę. - *Merci beaucoup, monsieur*.

Z wahaniem podał mi dłoń.

- *Au revoir, La Rousse!* - zawołał, gdy wychodziłam.

Było za późno na powrót do Lisle, dlatego przenocowałam w jednym z dwóch hoteli w wiosce. Po kolacji zadzwoniłam do Ricka, ale nie podnosił słuchawki. Następnie zatelefonowałam do Mathilde, która dała mi swój numer, prosząc, bym informowała ją na bieżąco. Była rozczarowana, że nic nie znalazłam, choć z góry wiedziała, iż nie mam wielkich szans na powodzenie.

Zapytałam, w jaki sposób nakłoniła monsieur Jourdaina do współpracy.

- Ach, wzbudziłam w nim poczucie winy. Przypomniałam mu, że szukasz hugenotów. Sam pochodzi z hugenockiej rodziny: jest potomkiem jednego z przywódców rebelii Camisarda. O ile dobrze pamiętam, nazywał się René Laporte.

- A więc tak wygląda hugenota.

- Właśnie. Spodziewałaś się czegoś innego? Nie bądź dla niego zbyt surowa, Ello. Ma za sobą ciężkie przeżycia. Trzy lata temu jego córka uciekła z Amerykaninem. Turystą. W dodatku katolikiem! Nie wiem, co bardziej go rozwścieczyło. Widzisz, jak to na niego wpłynęło. Kiedyś był dobrym pracownikiem, to niegłupi facet. W zeszłym roku wysłano mnie do niego, żebym mu pomogła ze wszystkim się uporać.

Przypomniałam sobie zagracone pomieszczenie, w którym pracowałam, i parsknęłam śmiechem.

- Dlaczego się śmiejesz?

- Widziałaś jego magazyn?

- Nie, mówił, że zgubił klucz. Poza tym twierdził, że nic tam nie ma.

Opisałam jej pomieszczenie.

- *Merde*, wiedziałam, że coś ukrywa! Powinnam go była mocniej przycisnąć.

- Tak czy inaczej, dzięki za pomoc.

- Drobiazg. - Urwała. - A teraz powiedz, kto to jest Jean-Paul?

Poczerwieniałam.

- Bibliotekarz w Lisle, gdzie mieszkam. Skąd go znasz?

- Dzwonił do mnie dziś po południu.

- Dzwonił do ciebie?

- No właśnie. Chciał wiedzieć, czy znalazłaś to, czego szukałaś.

- Niemożliwe.
- Czy to dla ciebie niespodzianka?
- Tak. Nie. Nie wiem. Co mu powiedziałaś?
- Poradziłam, żeby sam cię spytał. Co za flirciarz!

Wzdrygnęłam się mimowolnie.

Wróciłam do Lisle krętą, urokliwą trasą wśród wąwozów, wiodącą wzdłuż Tarn. Dzień był pochmurny, a mnie od rana towarzyszyło przygnębienie. Na dodatek mdliło mnie od ciągłych zakrętów. Koniec końców nie wiedziałam, po co w ogóle wyjeżdżałam z domu.

Kiedy wróciłam do Lisle, Ricka nie było, a telefon w jego biurze nie odpowiadał. Dom zdawał się pozbawiony życia; krążyłam od pokoju do pokoju, niezdolna czytać ani oglądać telewizji. Długo badałam swoje włosy w łazienkowym lustrze. Fryzjer w San Francisco wciąż namawiał mnie, abym ufarbowała je na kasztanowo, przekonując, że ów odcień pasowałby do moich brązowych oczu. Zawsze zbywałam jego sugestie, ale wyglądało na to, że dopiął swego: moje włosy zdecydowanie stawały się rude.

Okolo północy zmartwiłam się nie na żarty: Rick nie wrócił ostatnim pociągiem z Tuluzi. Nie miałam domowych numerów jego współpracowników, u których mogłabym go zastać. Nie było nikogo, z kim mogłabym porozmawiać. Przyszło mi do głowy, aby zadzwonić do Mathilde, ale powstrzymałam się ze względu na późną porę. Zresztą nie znałam jej na tyle, by nękać ją o północy historycznymi telefonami.

Zadzwoniłam do Bostonu, do matki.

- Jesteś pewna, że nie mówił, dokąd wyjeżdża? - pytała bez ustanku. - Gdzie cię znowu nosiło? Ello, czy na pewno poświęcasz mu wystarczająco dużo uwagi? - Poszukiwanie korzeni nie wzbudziło najmniejszego zainteresowania matki. To nie była już jej rodzina; Cévennes i francuscy malarze nie znaczyli dla niej zupełnie nic.

Zmieniłam temat.

- Mamo - powiedziałam - mam rude włosy.
- Co? Zrobiłaś sobie hennę? I jak?
- Nie... - Nie mogłam jej powiedzieć, że po prostu samo tak wyszło. To nie miało żadnego sensu. - Ładnie - odparłam w końcu. - Naprawdę ładnie. Bardzo naturalny odcień.

Położyłam się, lecz nie mogłam zasnąć, godzinami wyczekując chrobotu klucza w zamku i rozmyślając, czy powinnam się martwić, czy nie: Rick wprawdzie był dorosły,

niemniej jednak zawsze informował mnie o tym, gdzie jest.

Wstałam wcześniej i wypiliśmy kawę. O wpół do ósmej recepcjonistka w firmie Ricka odebrała telefon. Nie wiedziała, gdzie on jest, obiecała jednak, że przekaże jego sekretarce, aby niezwłocznie do mnie zadzwoniła. Gdy o wpół do dziewiątej wreszcie się doczekałam telefonu, byłam nakręcona po mocnej kawie i z lekka oszołomiona.

- *Bonjour, madame Middleton* - zaczęła sekretarka. - Jak się pani miewa?

Dawno przestałam jej tłumaczyć, że pozostałam przy panińskim nazwisku.

- Czy pani wie, gdzie jest Rick? - zapytałam.

- Pojechał w delegację, do Paryża - odpowiedziała. - Musiał wyjechać przedwczoraj.

Wraca dziś wieczorem. Nie mówił pani?

- Nie. Nie, nie mówił.

- Mogę pani podać numer do jego hotelu, jeśli chce pani zadzwonić. Kiedy dodzwoniłam się do hotelu, okazało się, że Rick już wyjechał. Nie wiadomo dlaczego, dodatkowo mnie to rozzłościło.

Kiedy wrócił wieczorem, nie miałam ochoty z nim rozmawiać. Zdziwił się na mój widok, ale wyglądał na zadowolonego. Nawet się nie przywitałam.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, gdzie jesteś? - zapytałam.

- Nie wiedziałem, gdzie ty jesteś.

Zmarszczyłam brwi.

- Wiedziałeś, że jadę do archiwum w Mende. Mogłeś się ze mną skontaktować.

- Ello, szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, co robiłaś przez ostatnich kilka dni...

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- ...gdzie byłaś, dokąd pojechałaś. W ogóle do mnie nie zadzwoniłaś. Nie powiedziałaś, dokąd wyjeżdżasz ani jak długo cię nie będzie. Nie wiedziałem, że masz zamiar dzisiaj wrócić. Mogło cię nie być kilka tygodni.

- Och, nie przesadzaj.

- Nie przesadzam. Daj spokój. Nie możesz oczekiwać, że będę ci się spowiadał, skoro sama zachowujesz się jak konspirator.

Ze złością wbiłam wzrok w podłogę. Wytaczał tak racjonalne argumenty, że miałam ochotę go uderzyć.

- Racja - powiedziałam z westchnieniem. - Przepraszam. Bardzo przepraszam. Po

prostu nic nie znalazłam, wróciłam do domu, ciebie nie było i... ach, wypłam dzisiaj za dużo kawy. Niedobrze mi.

Rick ze śmiechem otoczył mnie ramieniem.

- Opowiedz mi o tym, czego nie znalazłaś.

Ukryłam twarz na jego ramieniu.

- Niczego nie znalazłam. Poznałam tylko miłą dziewczynę i zgryźliwego starca.

Poczułam, że Rick cofa policzek. Odchyliłam głowę, żeby zobaczyć jego twarz. Marszczył brwi.

- Ufarbowałaś włosy?

Nazajutrz oboje przechadzaliśmy się po sobotnim targu. Rick obejmował mnie ramieniem. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy czułam się odprężona. Chcąc uczcić poprawę nastroju oraz fakt, że łuszczyca jakby zniknęła, włożyłam ulubioną jasnożółtą sukienkę bez rękawów.

W miarę jak zbliżało się lato, z każdym weekendem targ zdawał się coraz bardziej rozrastać. Tego dnia panował tu jeszcze większy ruch niż zazwyczaj, stoiska wypełniały cały plac. Przyjechali farmerzy z ciężarówkami wypełnionymi obfitością owoców i warzyw, sera, miodu, boczku, chleba, pasztecików, kurcząt, królików oraz kóz. Mogłam tu kupić worki cukierków, kuchenny fartuch, a nawet traktor.

Wszyscy byli na targu: nasi sąsiedzi, kobieta z biblioteki, ekspedientki z piekarni na ławce, w towarzystwie innych kumoszek, znajoma dziewczyna z kursu jogi, matka dziecka, które udławiło się cukierkiem, oraz wszyscy, od których kiedykolwiek coś kupiłam.

Pomimo tłumy od razu go zauważyłam. Zdawał się pochłonięty sprzeczką ze sprzedawcą pomidorów; naraz obaj wyszczerzyli zęby w uśmiechu i pokleпали się po plecach. Jean-Paul podniósł siatkę z pomidorami, odwrócił się i niemal na mnie wpadł. Odkoczyłam, chcąc uniknąć plamy na sukience, i mało nie upadłam. Rick i Jean-Paul jednocześnie chwycili mnie pod łokcie; kiedy odzyskałam równowagę, trzymali mnie jeszcze przez chwilę, po czym Jean-Paul opuścił rękę.

- *Bonjour*, Ello Tournier - powiedział, kiwając głową i lekko unosząc brwi. Miał jasnyniebieską koszulę; poczułam nagłą ochotę, żeby jej dotknąć.

- Witaj, Jean-Paul - odparłam spokojnie. Gdzieś czytałam, że osoba, której przedstawiamy drugą, jest dla nas ważniejsza. Celowo zwróciłam się do Ricka, mówiąc: -

Rick, poznaj Jean-Paula. Jean-Paul, to Rick, mój mąż.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, Rick powiedział *bonjour*, Jean-Paul „cześć”. Różnili się tak bardzo, że miałam ochotę się roześmiać: Rick był wysoki, o złocistym kolorycie, otwarty i prostolinijny, Jean-Paul drobny, żylasty, śniady i skryty. Lew i wilk, pomyślałam. I obaj jednakowo podejrzliwi.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy.

- Jak tam twoje poszukiwania w Mende? - zapytał po angielsku Jean-Paul.

Nonszalancko wzruszyłam ramionami.

- Niespecjalnie. Nie znalazłam nic szczególnego. Właściwie zupełnie nic. - Byłam jednak daleka od nonszalancji; pełna poczucia winy i skrytej radości myślałam, po pierwsze o tym, że dzwonił do Mathilde, a ja rozmyślnie go zignorowałam, po drugie o tym, że jego kulawa angielszczyzna odzwierciedla zakłopotanie, po trzecie zaś o tym, że pomimo wszystkich, dzielących ich różnic obaj z Rickiem bacznie mnie obserwują.

- Jechałeś też do innych miast?

Usiłowałam nie patrzeć na Ricka.

- Pojechałam do Le Pont de Montvert, zresztą na próżno. Z tamtego okresu niewiele się zachowało. Ale to nieistotne. Nie przywiązuję do tego wielkiej wagi.

Złośliwy uśmiech Jean-Paula mówił jasno: „Kłamiesz, myślałaś, że pójdziesz ci jak z płatka” oraz: „A nie mówiłem?”.

On sam powstrzymał się jednak od komentarza. Popatrzył uważnie na moje włosy.

- Robisz się ruda - oznajmił.

- Tak. - Odpowiedziałam mu uśmiechem.

Ujął to jak należy: bez zbędnych pytań i wzbudzania poczucia winy. Rick i targowisko na chwilę przestali istnieć.

Dłoń Ricka powędrowała w górę po moich plecach i spoczęła na ramieniu. Roześmiałam się nerwowo.

- Musimy lecieć. Miło było cię spotkać.

- *Au revoir*, Ello Tournier - odpowiedział Jean-Paul.

Rick i ja milczeliśmy przez kilka minut. Udawałam pochłoniętą kupowaniem miodu, Rick ważył w rękach bakłażany.

- A więc to on - odezwał się wreszcie.

Zerknęłam na niego z ukosa.

- Bibliotekarz, Rick. Nic więcej.

- Słowo?

- Słowo. - Nie pamiętam, kiedy ostatni raz go okłamałam.

Któregoś popołudnia wracałam z zajęć jogi, kiedy już na ulicy usłyszałam dzwonek telefonu. Wbiegłam do domu, rzucając w słuchawkę zdyszane „Halo?”. W odpowiedzi usłyszałam potok słów. Usiadłam i czekałam, aż się skończy. Wreszcie przerwałam po francusku:

- Kto mówi?

- Mathilde, tu Mathilde. Posłuchaj, to cudowne, koniecznie musisz to zobaczyć!

- Mathilde, nie tak szybko! Nie rozumiem ani słowa. Co jest cudowne?

Mathilde wzięta głęboki oddech.

- Znaleźliśmy coś o twojej rodzinie, o Tournierach.

- Chwileczkę. Jacy „my”?

- Monsieur Jourdain i ja. Pamiętasz, wspominałam ci, że pracowałam z nim w Le Pont de Montvert.

- No tak.

- Nie miałam dzisiaj dyżuru na głównym stanowisku, dlatego pomyślałam, że do niego pojedę i obejrzę magazyn, o którym wspominałaś. Co za śmietnik! Monsieur Jourdain i ja próbowaliśmy wszystko posortować. I on w jednym z kartonów znalazł twoją rodzinę!

- Co to znaczy? Książkę o mojej rodzinie?

- Nie, nie, to notatka sporządzona w Biblii. Na pierwszej stronie. Właśnie tam rodziny spisywały narodziny, zgony i śluby, oczywiście jeśli posiadały własny egzemplarz.

- Ale skąd ona się tam wzięła?

- Dobre pytanie. Monsieur Jourdain zdecydowanie się nie popisał. Tylko pomyśl: żeby cenne eksponaty leżały w takiej poniewierce! Widocznie ktoś przyniósł karton ze starymi książkami. Są w nim różne rzeczy, dawne zapiski z parafii, jakieś akty prawne, ale Biblia jest najcenniejsza. Choć szczerze mówiąc, jeżeli się weźmie pod uwagę jej stan, nie może być zbyt wiele warta.

- To znaczy?

- Jest prawie spalona. Niemal wszystkie kartki są czarne. Ale zawiera spis wielu

Tournierów. Monsieur Jourdain jest pewny, że to twoi Tournierowie.

W milczeniu trawiłam nowinę.

- Możesz przyjechać i ją obejrzeć?

- Pewnie. Gdzie jesteś?

- Wciąż w Le Pont de Montvert. Ale możemy się spotkać gdzieś w połowie drogi. Na przykład w Rodez, powiedzmy, za trzy godziny. - Namyslała się przez chwilę. - Wiem. Spotkamy się w barze „U Szalonego Joego”. To lokal w pobliżu katedry, w starej dzielnicy. Amerykański, będziesz mogła wypić martini! - Zaśmiała się piskliwie i odłożyła słuchawkę.

Wyjeżdżając z Lisle, minęłam *hôtel de ville*. Jedź dalej, Ello, pomyślałam. On nie ma z tym nic wspólnego.

Zahamowałam, wyskoczyłam z samochodu i wbiegłam po schodach. Otworzyłam drzwi do biblioteki i zajrzałam do środka. Jean-Paul był sam, siedział przy biurku i czytał książkę. Ograniczył się do podniesienia głowy. Stałam w progu.

- Jesteś zajęty? - spytałam.

Wzruszył ramionami. Po spotkaniu na targu jego dystans bynajmniej mnie nie zdziwił.

- Znalazłam coś - powiedziałam cicho. - A właściwie nie ja, tylko ktoś inny. Konkretny dowód. Coś, co ci się spodoba.

- Czy to dotyczy twojego malarza?

- Raczej nie. Jedź ze mną, to zobaczysz.

- Dokąd?

- Znalaziono to w Le Pont de Montvert, ale jadę do Rodez. - Opuściłam wzrok. - Chcę, żebyś ze mną pojechał.

Jean-Paul spoglądał na mnie przez chwilę, po czym skinął głową.

- Dobrze. Zamknę wcześniej. Czy możemy się spotkać za kwadrans na stacji Finy, po drodze do Albi?

- Na stacji benzynowej? Dlaczego? Jak się tam dostaniesz?

- Samochodem. Dojadę do stacji i przesiądę się do twojego wozu.

- Dlaczego od razu ze mną nie pojedziesz? Zaczekam na zewnątrz.

Jean-Paul westchnął.

- Powiedz, Ello Tournier, czy nigdy wcześniej nie mieszkałaś w małej miejscowości?

- Nie. Ale...

- Wy tłumaczę ci po drodze.

Jean-Paul zajechał na stację benzynową sfatygowanym białym citroenem deux chevaux, przypominającym garbusa i wyposażonym w miękki dach, który można rolować jak wieczko puszeki sardynek. Silnik tego wozu wydaje niepowtarzalny odgłos, coś w rodzaju przyjaznego pyrkotania, które niezmiennie wywołuje mój uśmiech. Wyobrażałam sobie, że Jean-Paul jeździ sportowym autem, ale ten samochód pasował do niego jak ulał.

Przesiadł się do mojego wozu tak konspiracyjnie, że wybuchnęłam śmiechem.

- Sądzisz, że będą o nas plotkować? - zapytałam, wyjeżdżając na trasę do Albi.

- To małe miasto. Wiele starszych kobiet tylko patrzy i opowiada o tym, co zobaczyło.

- Nie widzę w tym nic zdrożnego.

- Ello, opiszę ci dla przykładu dzień miejscowej plotkarki. Baba wstaje rano i je śniadanie na tarasie, obserwując przechodniów. Potem robi zakupy; codziennie odwiedza wszystkie sklepy, rozmawia z innymi kobietami i patrzy. Wraca do domu, staje przed drzwiami, rozmawia z sąsiadami i znowu patrzy. Po południu ucina sobie godzinną drzemkę: wie, że inni robią to samo, dzięki czemu nic nie straci. Przez resztę popołudnia przesiaduje na tarasie, niby to czytając gazetę, lecz tak naprawdę śledzi to, co się dzieje na ulicy. Wieczorem idzie na spacer i wymienia informacje z przyjaciółkami. Jej dzień składa się z obserwacji i rozmowy. Niczym innym się nie zajmuje.

- Przecież nie zrobiłam nic, co mogłoby dostarczyć im tematu do plotek.

- Te baby przekręcą wszystko. Szeroko wzięłam zakręt.

- Nic w moim zachowaniu nie może się nikomu wydać dziwne, bulwersujące czy co tam sugerujesz.

Jean-Paul milczał przez chwilę.

- Lubisz tarty cebulowe, prawda? - zapytał wreszcie.

Na chwilę zeszywniałam, po czym wybuchnęłam śmiechem. Tak, można powiedzieć, że się od nich uzależniłam. Założę się, że stare plotkarki muszą być wstrząśnięte.

- Myślały, że jesteś... że jesteś... - Urwał. Spojrzałam na niego, miał zakłopotaną minę. - W ciąży - uzupełnił w końcu.

- Słucham?

- Że miałaś zachcianki. Zachichotałam.

- Co za bzdura! Skąd im to przyszło do głowy? I co je to obchodzi?

- W małym mieście wszyscy interesują się sprawami wszystkich. Są przekonane, że mają prawo wiedzieć, czy spodziewasz się dziecka. Tak czy inaczej, już wiedzą, że nie jesteś w ciąży.

- To dobrze mruknęłam. Następnie popatrzyłam na niego ze złością. - Niby skąd?

Ku mojemu zdumieniu Jean-Paul zrobił jeszcze bardziej zakłopotaną minę.

- To nic takiego, one tylko... - Umilkł i pogrzebał w kieszeni koszuli.

- Co? - Ogarnęło mnie obrzydzenie na myśl, co jeszcze mogą wiedzieć.

Jean-Paul wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

- Pamiętasz automat z prezerwatywami niedaleko rynku? - zapytał wreszcie.

- Aha. - Ktoś musiał widzieć, jak Rick je kupuje. Boże, pomyślałam, co jeszcze wywęszyły? Czy lekarz rozpowiada szczegóły każdej wizyty? A może one szperają w moim śmietniku?

- Co jeszcze mówiły?

- Nie musisz się przejmować.

- Co mówiły?

Jean-Paul wyjrzał przez okno.

- Dokładnie wiedzą, co kupujesz w sklepach. Listonosz opowiada im o listach, które otrzymujesz. Wiedzą, kiedy wychodzisz w ciągu dnia i jak często wybieracie się gdzieś z mężem. A gdy nie zamykasz okiennic, zaglądają ci do domu. - Wydawało mi się, że bardziej potępia moje otwarte okiennice niż wścibstwo kumoszek.

Zadrzałam na myśl o dławiącym się dziecku i ludziach odwróconych do mnie plecami.

- Co dokładnie mówiły? Chcesz wiedzieć?

- Tak.

- Najpierw była tarta i ciążowe zachcianki. Potem uznały, że masz przewrócone w głowie, ponieważ kupiłaś pralkę.

- Ale dlaczego?

Uważają, że powinnaś pracować ręcznie, tak jak one. Jedynie kobietom, które mają dzieci wolno używać pralek. Ich zdaniem, pomalowałaś okiennice na wulgarny kolor, który kłóci się z atmosferą Lisle. Twierdzą, że nie masz gustu. Że nie powinnaś nosić sukienek bez rę-

kawów. Że zachowujesz się nieuprzejmie, mówiąc w swoim ojczystym języku zamiast po francusku. Że jesteś kłamczuchą, gdyż powiedziałaś madame Rodin w *boulangerie*, że tu mieszkasz, chociaż jeszcze nie mieszkałaś. I urwałaś lawendę z klombu, chociaż nikt z tutejszych tego nie robi. Takie były ich pierwsze wrażenia. Trudno to zmienić.

Przez kilka minut jechaliśmy w ciszy. Chciało mi się płakać, a zarazem miałam ochotę parsknąć śmiechem. Na każde wypowiedziane przeze mnie publicznie angielskie słowo przypadało dziesięć francuskich, ale jak widać, to się nie liczyło. Jean-Paul zapalił papierosa i uchylił okno.

- Myślisz, że jestem nieuprzejma i pozbawiona gustu?

- Nie. - Uśmiechnął się. - I, moim zdaniem, powinnaś częściej nosić sukienki bez rękawów.

Poczerwieniałam.

- Czyli nie mają na mój temat nic dobrego do powiedzenia? Zastanawiał się przez chwilę.

- Uważają, że masz bardzo przystojnego męża, pomimo jego... - Wskazał na tył głowy.

- Kucyka.

- Właśnie. Ale nie rozumieją, dlaczego biega, i twierdzą, że nosi za krótkie szorty.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Jogging nie pasował do francuskiej wioski, ale Rick nie zważał na wścibskie spojrzenia. Naraz straciłam ochotę do śmiechu.

- A skąd ty to wszystko wiesz? - zapytałam. - O tartach, ciąży, okiennicach i pralkach? Zachowujesz się, jakbyś nie przywiązywał wagi do ludzkiego gadania, ale wiesz tyle samo, co inni.

- Nie jestem plotkarzem - oznajmił stanowczo Jean-Paul, wydmuchując dym przez szparę w oknie. - Ktoś powtórzył mi to jako ostrzeżenie.

- Przed czym?

- Ello, każde nasze spotkanie jest wydarzeniem publicznym. Nie powinnaś się ze mną widywać. Mówiłem ci, że o nas plotkują. Powinienem być bardziej uważać. Nie chodzi o mnie; ty jesteś kobietą, kobiety zawsze dotkliwiej odczuwają skutki tego typu sytuacji. Powiesz, że to niesprawiedliwe - ciągnął, nie zważając na moje protesty.

- Sprawiedliwe czy nie, ale prawdziwe. Poza tym jesteś mężatką. I cudzoziemką. Nie

są to okoliczności łagodzące.

- Obraża mnie, że przedkładasz ich zdanie nad moje. Cóż złego jest w naszych spotkaniach? Na miłość boską, nie robię nic zdrożnego. Jestem żoną Ricka, ale to nie znaczy, że nie mam prawa rozmawiać z innym mężczyzną!

Jean-Paul nie odpowiedział.

- Jak ty to znosisz? - spytałam niecierpliwie. - Jak wytrzymujesz plotkarską atmosferę miasteczka? Wiedzą o tobie wszystko?

- Nie. Oczywiście po latach spędzonych w dużym mieście przeżyłem szok, ale za to nauczyłem się dyskrecji.

- Wymykanie się na spotkania nazywasz dyskrecją? To dopiero wygląda podejrzanie.

- Niekoniecznie. Najbardziej razi ludzi to, co się dzieje pod samymi ich nozdrzami.

- Nosami. - Uśmiechnęłam się mimowolnie.

- Nosami, pod ich nosami - powtórzył z posepnym uśmiechem. - To specyficzna mentalność.

- Cóż, w każdym razie ostrzeżenie nie podziałało. Siedzimy w jednym samochodzie.

Resztę drogi odbyliśmy w milczeniu.

Okładka była na wpół spalona, kartki usmolone i nieczytelne. Z wyjątkiem pierwszej. Wypisano tu pajęczym pismem, używając brązowego, wyblakłego teraz atramentu, następujące słowa:

Jean Tournier n. 16 août 1507

m. Hannah Tournier 18 juin 1535

Jacques n. 28 août 1535

Etienne n. 29 mai 1538

m. Isabelle du Moulin 28 mai 1563

Jean n. 1 janvier 1563

Jacob n. 2 juillet 1565

Marie n. 9 octobre 1567

Susanne n. 12 mars 1540

m. Bertrand Bouleaux 29 novembre 1565

Deborah n. 16 octobre 1567

Spoczęły na mnie cztery pary oczu: Jean-Paula, Mathilde, monsieur Jourdaina który,

kiedy weszliśmy do środka, ku mojemu zdumieniu siedział obok Mathilde i popijał whisky z wodą sodową - oraz małej blondyneczki, przycupniętej na stołku z colą w ręku i oczkami wytrzeszczonymi z przejęcia, którą przedstawiono nam jako Sylvie, córkę Mathilde.

Czułam lekkie mdłości, ale przycisnęłam Biblię do piersi i popatrzyłam na nich z uśmiechem.

- *Oui* - odrzekłam po prostu. - *Oui*.

Rozdział 5

TAJEMNICE

Góry stanowiły najbardziej oczywistą różnicę.

Isabelle popatrzyła na otaczające wzniesienia; nagi fragment skalny opodal szczytu wyglądał tak, jakby lada chwila miał runąć w dół. Drzew nie znała; rosły kępami jak mech, przedzielone jaskrawymi płachtami łąk.

Góry w naszych stronach przypominają brzuch kobiety, pomyślała. Tutejsze wzgórza Jury jej barki. Ostrzejsze, mocniej zarysowane, mniej przyjazne. W takich górach moje życie zmieni się nie do poznania. Zadrzała.

Stali przy rzece na skraju Moutier - część grupy podróżującej z Genewy w poszukiwaniu miejsca zamieszkania. Isabelle chciała błagać, żeby się nie zatrzymywali, tylko szli naprzód, dopóki nie znajdą łagodniejszej krainy. Nikt nie podzielał jej niepokoju. Etienne i dwaj inni mężczyźni zostawili ich przy rzece i poszli do wioski rozpytać o pracę.

Rzeka płynąca doliną była wąska, ciemna i obrośnięta srebrzystymi brzożami. Pomijając drzewa, Birse nie różniła się specjalnie od Tarn, sprawiała jednak dość odpychające wrażenie. Obecnie niepokązna, wiosną potroi objętość. Podczas gdy dorośli pograżyli się w rozmowie, dzieci podbiegły do wody: Petit Jean i Marie zamoczyli ręce, a Jacob przykucnął na brzegu, wpatrując się w kamienie. Ostrożnie zanurzył rękę i dobył z dna czarny kamień w formie niekształtnego serca, po czym podniósł go, trzymając w dwóch palcach, żeby pozostali mogli zobaczyć.

- *Eh, bravo, mon petit!* - krzyknął Gaspard, jowialny jegomość, ślepy na jedno oko.

On i jego córka Pascale prowadzili gospodę w Lyonie i uciekli z wozem pełnym żywności, którą dzielili się z każdym potrzebującym. Tournierowie spotkali ich po drodze z Genewy, kiedy wyczerpał się ich zapas kasztanów i zostali jedynie z garstką ziemniaków. Gaspard i Pascale nakarmili ich do syta, nie chcąc słyszeć o podziękowaniach ani zapłacie.

- Na zdrowie - odpowiedział Gaspard i roześmiał się, jakby podzielił się z nimi wybournym żartem.

Pascale tylko się uśmiechnęła. Jej spokojna twarz i łagodne obejście przypominały Isabelle Susanne.

Mężczyźni wrócili z gospody. Na twarzy Etienne'a malowało się zdumienie, bezręce oczy zdawały się jeszcze bardziej wytrzeszczone i niespokojne niż zwykle.

- Tutaj nie ma żadnego diuka de l'Aigle - oznajmił, kręcąc głową. - Nie ma od kogo dzierżawić.

- To dla kogo ludzie pracują? zapytała Isabelle.

- Dla siebie. - Twarz Etienne'a wyrażała powątpiewanie. - Niektórzy gospodarze potrzebują pomocy na polach konopi. Moglibyśmy tu zostać przez jakiś czas.

- Co to są konopie, ojczu? - zapytał Petit Jean. Etienne wzruszył ramionami.

Nie chce się przyznać, że nie wie, pomyślała Isabelle.

Zatrzymali się w Moutier. W czasie, który pozostał do pierwszych śniegów, zatrudniło przybyszy wielu gospodarzy. Pierwszego dnia zaprowadzono ich na pole konopi, które mieli ścinać i pozostawić do wyschnięcia. Patrzyli na twarde, włókniste łodygi, tak wysokie jak Etienne.

Wreszcie Marie odważyła się zadać pytanie, które wszyscy mieli na końcu języka.

- *Maman*, jak to się je? Farmer wybuchnął śmiechem.

- *Non, non, ma petite fleur* - powiedział - ta roślina nie jest do jedzenia. Przędziemy z niej włókno, na sznurki i przyodziewek. Widzisz tę koszulę? Wskazał na swój szary chałat. - Jest zrobiona z konopi. Proszę, dotknij!

Isabelle i Marie potarły tkaninę palcami. Była gruba i chropowata.

- Doczeka dzieci mojego wnuka!

Wytłumaczył, że będą ścinać i suszyć konopie, następnie moczyć je w wodzie, by zmiękły, dzięki czemu da się oddzielić włókno od zdrewniałej części. Potem znów trzeba je ususzyć i do reszty odseparować włókno, które następnie należy zgręplować i uprząść.

- To wasze zadanie na całą zimę. - Wskazał głową na Isabelle i Hannah. -
Wzmocnicie sobie ręce.

- Ale co jecie? - nie ustępowała Marie.

- Mnóstwo rzeczy! Wymieniamy konopie na pszenicę, kozy, świnie i inne produkty.
Bez obaw, *fleurette*, nie zgłodniejesz.

Etienne i Isabelle milczeli. W Cévennes rzadko handlowali na targu: sprzedawali nadwyżkę diukowi de l'Aigle. Isabelle zaplotła palce na karku. Myśl o uprawie roślin, które nie nadają się do jedzenia, nie przypadła jej do gustu.

- Mamy ogrody - zapewnił ich gospodarz. - Niektórzy uprawiają oziminę. Nie martwcie się, niczego wam nie zabraknie. Spójrzcie na wioskę: czy panuje w niej głód? Widzicie tu żebraków? Bóg daje nam wszystko, co potrzebne do życia. Odpłaca nam za ciężką pracę.

To prawda, Moutier było bogatsze niż ich dawna wioska. Isabelle podniosła kosę i weszła na pole. Czuła się tak, jakby leżała w rzece, ale wierzyła, że utrzyma się na powierzchni.

Na wschód od Moutier Birse zakręcała na północ, przecinając łańcuch górski i pozostawiając za sobą strzelisty masyw szarozółtej skały o pokruszonych krawędziach. Widząc ją po raz pierwszy, Isabelle miała ochotę upaść na kolana: przypominała jej kościół.

Farma, na której zamieszkali, nie leżała przy rzece, ale przy strumieniu, dalej na wschód. Po drodze do Moutier zawsze mijali skałę. Kiedy Isabelle szła sama, żegnała się odruchowo.

Ich dom zbudowano z kamienia, którego nie znali, lżejszego i miększego niż granit. Zaprawa wykruszyła się w kilku miejscach, powodując wilgoć i przeciągi. Okna i framugi drzwi zrobiono z drewna, podobnie jak niski pułap; Isabelle drżała, iż pewnego dnia dom strawi ogień. Domostwa Tournierów wzniesiono wyłącznie z kamienia.

Co najdziwniejsze, ani w tym, ani w żadnym z okolicznych domów nie było komina. Dym gromadził się pomiędzy sufitem i dachem, uciekając małymi otworami wyciętymi w podstrzeszu. Wieszano tam mięso do wędzenia, co stanowiło jedyne udogodnienie.

Wszystkie sprzęty pokrywała warstwa sadzy, a przy zamkniętych oknach i drzwiach w izbie panował półmrok i zaduch.

Czasami podczas pierwszej zimy, kiedy Isabelle owijała włosy brudnym szarym

płótnem lub przędła bez końca, usiłując nie plamić krwawiącymi palcami szorstkiego włókna, bądź siedziała przy stole wśród wszechogarniającego dymu, nękana ciągłym kaszlem i świadomością, że ociążałe śniegiem niebo wisi nisko nad ziemią i będzie trwało tak miesiącami, myślała, że postrada zmysły. Tęskniła za widokiem słońca na skałach, zamrzniętym żarnowcem, rześkim chłodem oraz domowym piecem, który rozsiewał ciepło, wysyłając dym na zewnątrz. Ale się nie skarżyła. Dobrze, że w ogóle mieli dom.

- Kiedyś postawię komin - obiecał któregoś ciemnego, zimowego dnia Etienne, gdy dzieci nie mogły przestać kaszleć. - Ale najpierw musimy zająć się uprawą. Postawię go przy pierwszej sposobności, a wtedy dom będzie zupełnie inny. I bezpieczny. - Utkwił spojrzenie w kącie, unikając wzroku Isabelle.

Opuściła izbę, wchodząc do *devant-huis*, na otwartą przestrzeń pomiędzy domem, stodołą i stajnią, przykrytymi jednym dachem. Stąd mogła wyjrzeć na zewnątrz, nie narażając się na zakusy wiatru i śniegu. Zaczerpnęła w płuca świeżego powietrza i westchnęła. Drzwi wychodziły na południe, ale na niebie nie było ani śladu rozgrzewającego słońca. Spojrzała na pobielale skarpy i dostrzegła szarą sylwetkę, przyczajoną w śniegu. Ukryta w cieniu *devant-huis* Isabelle patrzyła, jak zwierzę znika w lesie.

- Czuję się bezpieczna - rzekła cicho, adresując te słowa do Etienne'a i Hannah. - I to nie ma nic wspólnego z waszą magią.

Co kilka dni Isabelle szła zamrzniętą ścieżką obok żółtej skały do wspólnego pieca w Moutier. Dawniej wypiekała chleb w kominie Tournierów lub w domu ojca, teraz jednak służyło temu specjalnie wyznaczone miejsce. Czekala, aż drzwiczki pieca staną otworem i ogarnie ją fala żaru, towarzysząca wkładaniu bochenków do środka. Dokoła niej kobiety w okrągłych wełnianych czepkach rozmawiały ściszymi głosami. Jedna z nich popatrzyła z uśmiechem na Isabelle.

- Jak się czują Petit Jean, Jacob i Marie? - zapytała.

Isabelle odwzajemniła uśmiech.

- Wciąż biegają po dworzu. Nie lubią przesiadywać w zamknięciu. W naszym domu nie było tak zimno. Teraz wadzą się nieustannie.

- Teraz wasz dom jest tutaj - poprawiła ją przyjaźnie kobieta. - Bóg się o was zatroszczy. Podarował wam łagodną zimę.

- Naturalnie - przytaknęła Isabelle.

- Niechaj ma was w swojej opiece, *madame* - rzuciła na pożegnanie kobieta, odchodząc z chlebem pod pachą.

- Was również.

Mówią do mnie *madame*, pomyślała. Nikt nie widzi moich rudych włosów. Nikt o nich nie wie. Oto trzysta osób, które nigdy nie przezywają mnie La Rousse. Którzy nie wiedzą o Tournierach nic prócz tego, że są wyznawcami Prawdy. Kiedy odejdę, nie będą gadać o mnie za moimi plecami.

Była im wdzięczna. Za to mogła nawet znieść strome wzniesienia, dziwne rośliny uprawne, ciężkie zimy. A może nawet brak komina.

Isabelle często spotykała Pascale przy wspólnym piecu i w kościele. Początkowo tamta prawie się nie odzywała, z czasem jednak nabrała chęci do rozmowy, by wreszcie szczegółowo opowiedzieć Isabelle dzieje swego życia.

- W Lyonie starałam się jak najczęściej pracować w kuchni - wyznała przed kościołem którejś niedzieli. - Ale kiedy *maman* umarła na zarazę, musiałam zacząć usługiwać. Nie lubiłam przebywać wśród obcych mężczyzn, którzy wszędzie mnie dotykali. - Zadrżała. - I podawać im wino, którego przecież nie powinniśmy pić. Wolałam siedzieć w ukryciu. Robiłam to, kiedy tylko mogłam. - Milczała przez chwilę.

Ale dla papy to całe życie - podjęła. - Pewnie wiesz, że ma nadzieję przejąć „Cheval-Blanc” po odejściu właścicieli. Na wszelki wypadek próbuje zaskarbić sobie ich względy. W Lyonie nasza gospoda też nazywała się „Cheval-Blanc”. Jego zdaniem, to znak od losu.

- Nie tęsknisz za dawnym życiem? Pascale pokręciła głową.

- Podoba mi się tu. Jest bezpieczniej niż w Lyonie, zatłoczonym i pełnym ludzi, którym nie można było ufać.

Może i bezpieczniej. Ale ja tęsknię za niebem - odrzekła Isabelle. - Za rozległym niebem, sięgającym skraju świata. Tutaj góry zasłaniają horyzont. W domu go otwierały.

- Ja tęsknię za kasztanami - wtrąciła Marie, opierając się o matkę.

Isabelle kiwnęła głową.

- Kiedy mieliśmy ich pod dostatkiem, wcale o nich nie myśleliśmy. Podobnie jest z wodą. Nie myślisz o niej, dopóki cię nie chwyci pragnienie, a wokół nie ma ani kropli.

- Ale w domu jest niebezpiecznie, prawda?

- Tak. - Przełknęła ślinę na wspomnienie swądu palonego ciała. Nie podzieliła się tym

wspomnieniem.

- Te okrągłe czepki są bardzo zabawne, czyż nie? - rzekła, wskazując na grupę kobiet.

- Ciekawe, jak wyglądałyby na naszych zawojach?

Roześmiały się figlarnie.

- Może kiedyś same je włożymy, a przyjezdni będą nas wyśmiewać - rzuciła Isabelle.

Z tłumu wzbił się tubalny głos Gasparda.

- Żołnierze! Mógłbym wam o nich opowiedzieć parę rzeczy, od których włosy stanęłyby wam na głowie!

Uśmiech Pascale zgasł. Opuściła wzrok, zaciskając pięści. Nigdy nie wspominała o ucieczce, lecz Isabelle знаła szczegóły od Gasparda, który opowiadał tę historię przy każdej okazji. Właśnie czynił to kolejny raz.

- Na wieść o masakrze w Paryżu katolicy wpadli w prawdziwy szal i przybyli do gospody, żeby rozerwać nas na strzępy - ciągnął Gaspard. - Widząc żołnierzy, zrozumiałem, że jedynym wyjściem jest poświęcić wino. Więc zaproponowałem im darmowy napitek. *Aux frais de la maison!* - krzychałem. To ostudziło ich zapędy. Znacie katolików i ich upodobanie do kieliszka! Dzięki temu zawsze mogliśmy liczyć na pełną sakiewkę. Niebawem tak się spili, że zapomnieli, po co przyszli, i podczas gdy Pascale odwracała ich uwagę, ja spakowałem nasz dobytek, tuż pod ich nosem!

Pascale odwróciła się gwałtownie i znikła za kościołem. Jak to możliwe, że Gaspard nie dostrzega, co się dzieje z jego córką, pomyślała Isabelle, spoglądając na rozgadane go szynkarza.

Po chwili podążyła za dziewczyną. Pascale wymiotowała oparta o ścianę i drżącą ręką ocierała usta. Na widok jej bladości i podkrążonych oczu Isabelle kiwnęła domyślnie głową. Trzy miesiące, pomyślała. I nie ma męża.

- Isabelle, byłaś akuszerką, prawda? - wydusiła wreszcie Pascale.

Isabelle pokiwała głową.

- Matka mnie nauczyła, ale Etienne... jego rodzina po ślubie nie pozwoliła mi praktykować.

- Ale znasz się na... na dzieciach i...

- Tak.

- A co jeśli... jeśli dziecko znika, czy na tym też się znasz?

- To znaczy, jeśli Bóg woli, aby dziecko się nie narodziło?

- Ja... tak, dokładnie to chciałam powiedzieć. Jeśli Bóg tak woli.

- Tak, na tym też się znam.

- Czy jest na to... specjalna modlitwa? Isabelle namyślała się przez chwilę.

- Spotkajmy się za dwa dni przy skale. Pomodlimy się razem. Pascale spoglądała na nią z wahaniem.

- To się stało w Lyonie - wyznała. - Tuż przed naszą ucieczką. Tamci za dużo wypili. Papa nic nie wie...

- I nie dowie się.

Isabelle poszła daleko w las w poszukiwaniu jałowca i ruty. Dwa dni później, wśród skał na szczycie przełęczy, dała Pascale do zjedzenia papkę z ziół, po czym uklękły i modliły się do świętej Małgorzaty, dopóki ziemia nie przesiąkła krwią.

Była to pierwsza tajemnica jej nowego życia.

Podczas pierwszego Bożego Narodzenia w Moutier Isabelle odkryła, że Dziewica na nią czeka.

Opodal znajdowały się dwa kościoły. Kalwiniści przejęli katolicki kościół Świętego Piotra, spalili wizerunki świętych i przewrócili ołtarz. Zakonnicy uciekli, opuszczając opactwo będące od stuleci miejscem licznych cudów. Kaplica należąca do opactwa, l'Eglise de Chalières, stała się parafią Perrefitte, niewielkiego sioła obok Moutier. Cztery razy do roku, w dni świąteczne, mieszkańcy Moutier uczęszczali na poranne msze u Świętego Piotra oraz popołudniowe nabożeństwa w Chalières.

W pierwsze Boże Narodzenie, ubrani w czarne stroje pożyczone od Pascale i Gasparda, Tournierowie wkroczyli do maleńkiej kaplicy. Panował taki tłok, że Isabelle stanęła na palcach, usiłując dojrzeć pastora. Niebawem dała za wygraną i skierowała wzrok wysoko, na czerwone, zielone, żółte i brązowe freski, pokrywające ścianę chóru, na Chrystusa z Księgą Życia na rzeźbionym suficie oraz dwunastu apostołów na kasetonach poniżej. Od czasu witrażu i posągu Matki z Dzieciątkiem, oglądanych w dzieciństwie, nie widziała w kościele żadnych dekoracji.

Ponownie stanęła na palcach, aby spojrzeć na postaci namalowane na wysokości wzroku, gdy naraz zaparło jej dech. Na prawo od pastora widniała niewyraźna sylwetka Dziewicy smutno zapatrzonej w dal. Oczy Isabelle napełniły się łzami, lecz zachowała

kamienną twarz. Obserwowała pastora, co parę chwil przenosząc spojrzenie na fresk.

Dziewica posłała jej przelotny uśmiech, po czym jej twarz ponownie przybrała wyraz żałości. Zauważyła to tylko Isabelle.

To była druga tajemnica.

W każde następne święto śpieszyła do Chalières, by stanąć jak najbliżej malowidła.

Wiosenne słońce zesłało trzecią tajemnicę. W mgnieniu oka śnieg stopniał, tworząc wodospady, które spływały z okolicznych gór, niebezpiecznie podnosząc stan wód rzeki. Słońce znów zaświeciło na niebie, niebo odzyskało błękitny kolor, trawa wychynęła z ziemi. Mogli zostawiać otwarte okna i drzwi, dzieci i dym wylegali na zewnątrz, a Etienne przeciągał się w słońcu jak kot, śląc Isabelle nieznaczące uśmiechy. Siwe włosy nadawały mu wygląd starca.

Słońce ucieszyło Isabelle, a zarazem wzmogło jej czujność. Co dzień prowadziła Marie do lasu i oglądała jej włosy, wrywając rude pasma. Marie stała cierpliwie i nigdy nie skarżyła się na ból. Ublagała matkę, by pozwoliła jej zatrzymać włosy i ukrywała rosnący kłęb w dziupli pobliskiego drzewa.

Któregoś dnia Marie podbiegła do Isabelle i ukryła twarz na jej kolanach.

- Moje włosy zniknęły - szepnęła przez łzy, mimo rozpaczliwej świadomości, że pozostali nie mogą się dowiedzieć.

Isabelle zerknęła na Etienne'a, Hannah i chłopców. Nie licząc skwaszonej miny teściowej, nic w ich twarzach nie świadczyło o jakichkolwiek podejrzeniach.

Pomogła Marie raz jeszcze przeszukać drzewo. Naraz uniosła głowę i dostrzegła połyskujące w słońcu ptasie gniazdo.

- Tam! - wskazała.

Marie wybuchnęła śmiechem i klasnęła w rączki.

- Weźcie je sobie! - zawołała do ptaków, unosząc włosy za końce i opuszczając je powolną kaskadą. - Zabierzcie je! Są wasze! Teraz będę wiedziała, gdzie ich szukać.

Zakręciła się w kółko i ze śmiechem upadła na ziemię.

Przeraźliwy gwizd wzniósł się i opadł, zwieńczony odgłosem przypominającym ptasi trzask. Poniósł się przez całą dolinę. Po pewnym czasie usłyszano grzechot i skrzypienie wozu na skałach, który zjeżdżał z góry na pola obsadzone lnem. Etienne wysłał Jacoba, żeby sprawdził, kto przybywa. Po powrocie chłopiec ujął Isabelle za rękę i zaprowadził ją wraz z

resztą rodziny ścieżką na skraj wsi. Stał tam wóz otoczony tłumem gapiów.

Handlarz był niski i śniady, miał brodę i długie wąsiska, misternie zakręcone, oraz pasiastą, czerwono-żółtą czapkę w kształcie odwróconego wiadra, wciśniętą na uszy. Zobaczyli go wysoko na wozie wypełnionym stertami towarów, wśród których krążył ze zwinnością małpy. Z jego ust płynął nieprzerwany potok słów wypowiedzianych z obcym, śpiewnym akcentem, który sprawił, że Isabelle uśmiechnęła się pod nosem, a Etienne wytrzeszczył oczy.

- Pomarańcze! Pomarańcze! Pokażę wam pomarańcze, oliwki i cytryny z Sewilli! A tu śliczny miedziany rondel dla łaskawej pani. Skórzana sakwa dla pana. A tu klamerki, proszę bardzo. Marzysz o klamerkach do bucików, nadobna panienko? O, widzę, że tak! Dopasuję ci do nich guziki! Tutaj nici, koronka, tak, najprzedniejsza koronka. Chodźcie, chodźcie! Podejdźcie bliżej, dotknijcie, nie bójcie się. *Ah, Jacques La Barbe, bonjour encore!* Twój brat kazał ci przekazać, że niebawem przybędzie z Genewy, ale siostra woli zostać w pobliżu Lyonu. Dlaczego nie chce przyjechać tutaj, w to cudowne miejsce? Nieważne. Abrahamie Rougemont, w Bienne mają dla ciebie konia. Wyborne zwierzę, widziałem na własne oczy. Niech twoja śliczna córka zakosztuje przejażdżki dokoła wsi. *Monsieur le regent*, poznałem pańskiego syna...

Perorował bez ustanku, sprzedając towar i przekazując wiadomości. Ludzie zagadywali go ze śmiechem; zjawiał się co roku po srogiej zimie, a potem jeszcze raz, po zakończeniu zbiorów.

W ogólnym zamieszaniu nachylił się do Isabelle.

- *Che bella*, widzę cię po raz pierwszy! - zawołał. - Chcesz obejrzeć moje towary? - Poklepał leżące obok bele materiału. - Chodź, zobacz!

Isabelle uśmiechnęła się nieśmiało i pochyliła głowę, Etienne zmarszczył brwi. Nie mieli czym zapłacić, byli dłużnikami wszystkich w Moutier. Po przyjeździe ofiarowano im dwie kozy, po małym worku nasion lnu i konopi, koce, ubrania. Nie oczekiwano, że zwrócą dług, jednakże będą musieli wykazać podobną wielkoduszność, gdy zjawią się kolejni uciekinierzy. Stali długo, obserwując wymianę towarów i podziwiając koronkę, nową uprząż, fartuchy z białego płótna.

Isabelle usłyszała, jak handlarz wypowiada nazwę Alès.

- Mógłby coś wiedzieć - szepnęła do Etienne'a.

- Nie pytaj - syknął.

On nie chce wiedzieć, pomyślała. Ale ja tak. Odczekała, aż Etienne i Hannah odeszli, a Petit Jean i Marie zmęczeni się bieganiem dokoła wozu i podążyli w kierunku rzeki.

- Monsieur - szepnęła.

- *Ah, Bella*, chcesz popatrzeć! Chodź, chodź!

Pokręcił głową.

- Nie, chciałam zapytać... byłeś w Alès?

- Tak, w czasie świąt. A co, masz do przekazania jakąś wiadomość?

- Moja szwagierka i jej mąż tam mieszkają... mogą tam mieszkać. Susanne Tournier i Bertrand Bouleaux. Mają córkę, Deborah, i może małe dziecko, jeśli Bóg dał.

Po raz pierwszy handlarz umilkł, pogrążając się w namyśle. Sprawiał wrażenie, jakby dokonywał przeglądu wszystkich twarzy i imion, składowanych w zakamarkach pamięci.

- Nie - odrzekł wreszcie. - Nie widziałem ich. Ale rozpytam. W Alès. Jak się nazywasz?

- Isabelle. Isabelle du Moulin. Mój mąż to Etienne Tournier.

- Isabelle, *che bella*. Nie zapomnę, pasuje jak ulał! - Popatrzył na nią z uśmiechem. - Pokażę ci coś specjalnego. - Zniżył głos. - *Trés cher*, nie pokazuję tego byle komu.

Oprowadził Isabelle dokoła wozu i poszperawszy wśród zawiniątek, wyciągnął belę białego płótna. U boku Isabelle stanął Jacob. Handlarz przywołał go skinieniem.

Chodź, chodź zobacz! Widzę, że chcesz popatrzeć. Proszę.

Stanął nad nimi i strząsnął płótno. Oczom Isabelle ukazał się czwarty sekret, kolor, którego nie spodziewała się ponownie ujrzeć. Krzyknęła, po czym wyciągnęła rękę i potarła materiał palcami. Była to miękka wełna o głębokim zabarwieniu. Isabelle schyliła głowę i musnęła ją policzkiem. Handlarz skinął głową.

- Znasz ten błękit rzekł z zadowoleniem. - Wiedziałem, że go znasz. To błękit Matki Boskiej od Świętego Zachariasza.

- Gdzie to jest? - Isabelle wygładziła tkaninę.

- Och, piękny kościół w Wenecji. Z tym błękitem jest związana pewna opowieść. Powstał na wzór szaty Maryi z obrazu u Świętego Zachariasza. W ten sposób tkacz chciał podziękować za cud.

- Jaki cud? - Jacob spoglądał na handlarza brązowymi oczami jak spodki.

- Tkacz miał ukochaną córeczkę. Któregoś dnia znikła, jak się często dzieje z dziećmi w Wenecji. Wiecie, wpadają do kanałów i toną. - Handlarz przeżegnał się odruchowo.

- Otóż ta mała córeczka nie wróciła do domu i tkacz poszedł do kościoła pomodlić się za jej duszę. Godzinami modlił się do Dziewicy. W końcu wrócił do domu i zastał tam dziecko całe i zdrowe! W podzięcie utkał ten materiał i odział weń córkę, aby już zawsze znajdowała się pod opieką Matki Przenajświętszej. Inni próbowali go naśladować, ale nikomu się nie udało. Przekazał tę tajemnicę tylko swemu synowi. To rodzinny sekret.

Isabelle patrzyła na tkaninę, po czym spojrzała na handlarza ze łzami w oczach.

- Nie mam nic - powiedziała.

Zatem ofiaruję ci pewien drobiazg, *Bella*. To będzie mój błękitny podarunek.

Pochyliwszy się nad zwojem, oderwał z wystrzępionego końca nitkę długości palca. Następnie wręczył ją Isabelle z głębokim ukłonem.

Isabelle często rozmyślała o niebieskiej materii. Nie miała za co jej kupić, a jeśli nawet by miała, Etienne i Hannah nigdy nie pozwoliliby wnieść tkaniny do domu.

- Katolicki gałgan! - mruknęłyby Hannah, gdyby mogła mówić.

Isabelle ukryła nić w zakładce sukienki i wyjmowała ją, tylko kiedy była sama lub z Jacobem, który nie lubił strzepić języka po próżnicy i przemilczał ich rozmowę z handlarzem.

Potem jedna z kóz urodziła dodatkowe kozłę. Był to ostatni z sekretów Isabelle.

Koza najpierw urodziła dwa kozłatka, wylizała je do czysta i nakarmiła. Maluchy zasnęły wtulone w nabrzmiące wymię matki. Kiedy Isabelle ponownie do niej zajrzała, zobaczyła czerwoną membranę kolejnej główki, pchającej się na świat. Kobieta wyciągnęła malutkie ciało kózki i upewniwszy się, że maleństwo żyje, postawiła je przed matką do umycia. Kiedy zaczęło ssać, Isabelle obserwowała je z namysłem. Dotychczasowe sekrety dodawały jej odwagi.

Lasy dokoła Moutier były tak rozległe, że zdążyła już poznać miejsca nieuczęszczane nigdy przez mieszkańców. Zabrała kozłę do jednego z nich, gdzie zbudowała szałas z drewna i siana, po czym w tajemnicy opiekowała się nim przez całe lato.

Sekret znała tylko jedna osoba. Kiedy pewnego dnia kozłę ssało woreczek z kozim mlekiem, przyniesiony przez Isabelle, zza jednej z brzoź wyłonił się Jacob. Przykucnąwszy obok matki, położył rękę na grzbiecie zwierzęcia.

- Papa się dopytuje, gdzie jesteś - oznajmił, głaszcząc koźle.

- Od jak dawna wiesz, że tu przychodzę?

Wzruszył ramionami, głaszcząc sierść kózki to z włosom, to pod włos.

- Pomożesz mi się nią opiekować?

Podniósł wzrok.

- Oczywiście, *maman*.

Jego uśmiech był zjawiskiem tak rzadkim, że zrobiło jej się ciepłej na sercu.

Tym razem była przygotowana. Na widok Isabelle handlarz uśmiechnął się szeroko. Odpowiedziała mu tym samym. Kiedy wraz z Hannah oglądały płótno, Jacob wspiął się na wóz i jał mu pokazywać kamienie, przekazując wiadomość ściszym głosem. Zajęty podziwianiem barw i kształtów, handlarz pokiwał głową.

- Masz dobre oko, *mio bambino*. Ładne kolory, ładne kształty. Patrzysz i nie mówisz wiele, nie tak jak ja! Ja kocham słowa, ale ty wolisz patrzeć, prawda? Prawda.

Gdy przystąpił do przekazywania wieści, jego spojrzenie spoczęło na Isabelle i pstryknął palcami.

- O tak, teraz pamiętam! Znalazłem w Alès twoją rodzinę!

Nawet Etienne i Hannah mimowolnie unieśli głowy i popatrzyli na handlarza wyczekująco. Zwrócił się ku nim z błyskiem w oku.

- Tak, tak! - zawołał, zawzięcie gestykulując. - Widziałem ich na rynku w Alès, ach, *bella famiglia*! Opowiedziałem im o was, uradowali się, żeście bezpieczni.

- A oni? - zapytała Isabelle. - Mają dziecko?

- Tak, tak, dziecko. Bertrand, Deborah i Isabelle, teraz sobie przypominam.

- Nie, to ja jestem Isabelle. Chciałeś powiedzieć Susanne. - Isabelle nie sądziła jednak, by handlarz mógł się pomylić.

- Nie, nie, Bertrand i dwie dziewczynki, Deborah i Isabelle, mała Isabelle.

- Co z Susanne? Co z matką dzieci?

- Och. - Handlarz urwał i zmierzwiwszy ich uważnym spojrzeniem, nerwowo przygładził wąsy. - No cóż. Susanne zmarła w połogu. Kiedy urodziła Isabelle.

Odwrócił się, zakłopotany koniecznością przekazania złych wieści, po czym zajął się wyszukiwaniem skórzanej uprzęży. Isabelle zwiesiła głowę, łzy zaćmiły jej wzrok. Etienne i Hannah w milczeniu stanęli z boku, ze spuszczoneymi głowami.

Marie ujęła rękę matki.

- *Maman* - szepnęła. - Zobaczą kiedyś Deborah, prawda?

Handlarz spotkał się z Jacobem w umówionym miejscu. W ciemnościach przeprowadzili wymianę, kozłą za błękit. Chłopiec ukrył tkaninę w lesie. Nazajutrz on i Isabelle rozwinęli materiał i długo spoglądali na sfalowaną połąć koloru. Następnie zawinęli tkaninę w płótno i ukryli w sienniku dzieci.

- Coś z nią zrobimy - obiecała synowi Isabelle. - Zaczekam, aż Bóg mi podpowie co.

Jesienią zebrali konopie z własnego pola. Któregoś dnia Etienne wysłał Petit Jeana do lasu, by wyciął grube, dębowe kije, którymi mieli potem tłuc łądygi. Pozostali ustawili kozły i poczęli na nich rozkładać naręcza konopi zniesionych ze stodoły.

Petit Jean wrócił z pięcioma kijami na ramieniu oraz gniazdem z włosów Marie.

- Spójrz, co znalazłem, *mémé* - powiedział, pokazując gniazdo Hannah. Słońce wydobyło zeń rude refleksy.

- Ach! - zawołała odruchowo Marie.

Isabelle drgnęła.

Etienne przenosił wzrok z żony na córkę. Hannah popatrzyła na gniazdo, a następnie na włosy Marie. Rzuciwszy Isabelle wrogie spojrzenie, podała gniazdo synowi.

- Idźcie nad rzekę - rozkazał dzieciom Etienne.

Petit Jean położył kije, po czym wyciągnął rękę i z całej siły pociągnął Marie za włosy. Wybuchnęła płaczem, co wywołało na jego twarzy uśmiech, jaki Isabelle widywała u Etienne'a w czasach, kiedy się poznali. Po drodze chwycił nóż za czubek i rzucił. Ostrze utkwilo w gładkim pniu drzewa.

Ma dziesięć lat, pomyślała Isabelle, a już zachowuje się i myśli jak mężczyzna.

Jacob wziął Marie za rękę i odszedł, oglądając się na Isabelle rozszerzonymi oczyma.

Etienne w milczeniu odczekał, aż dzieci znikną z pola widzenia. Następnie wskazał na gniazdo.

- Co to ma znaczyć?

Isabelle popatrzyła na gniazdo, po czym utkwiała wzrok w ziemi. Nie znała się na sekretach na tyle dobrze, aby wiedzieć, co należy robić, kiedy wychodzą na jaw.

Dlatego wyznała prawdę.

- To włosy Marie - szepnęła. - Zauważyłam, że wyrastają jej rude kosmyki i

wyrywałam je ukradkiem. Ptaki uwiły z nich gniazdo. - Przełknęła ślinę. - Nie chciałam, żeby jej dokuczano. I ją... osądzano.

Widząc spojrzenie, jakie tamci wymienili między sobą, poczuła, jakby w żołądku zaciążył jej worek kamieni. I pożałowała szczerości.

- Pomagałam jej! - krzyknęła. - To miało pomóc nam wszystkim! Nie chciałam zrobić nic złego!

Etienne popatrzył na horyzont.

- Chodzą plotki - rzekł z wolna. - Słyszałem pewne pogłoski.

- Jakie pogłoski?

- Drzeworytnik Jacques La Barbe podobno widział cię w lesie z kozłkiem. Ktoś inny odkrył na ziemi plamę krwi. Mówią o tobie, La Rousse. Czy tego właśnie chcesz?

Mówią o mnie, powtórzyła w myślach. Nawet tutaj. A więc moje tajemnice nie są tajemnicami. I prowadzą do innych tajemnic. Czy one też zostaną odkryte?

- Jeszcze jedno. Kiedy opuściliśmy Mont Lozère, byłaś z mężczyzną. Z pasterzem.

- Kto tak powiedział? - Ten sekret ukrywała nawet przed sobą, nie dopuszczając go do świadomości. Była to tajemnica tajemnic.

Spojrzała na Hannah i nagle zrozumiała. Ona może mówić, pomyślała. Może mówić i rozmawia z Etienne'em. Widziała nas na Mont Lozère. Zadrżała gwałtownie na samą myśl.

- Co masz do powiedzenia, La Rousse?

Milczała, wiedząc, że słowa nie przyniosą żadnego pożytku, a jedynie pograża ją do cna.

- Co jeszcze ukrywasz? Co zrobiłaś z kozłkiem? Zabiłaś? Złożyłaś w ofierze diabłu? A może sprzedałaś je temu katolickiemu kramarzowi, który nie mógł od ciebie oderwać wzroku, co?

Podniósł kij i chwyciwszy Isabelle za rękę, powlókł ją do domu. Kazał jej stanąć w kącie, a sam zaczął przetrząsać izbę, zrzucając donice, grzebiąc w palenisku, drąc ich siennik, a potem siennik Hannah. Gdy sięgnął po materac dzieci, Isabelle wstrzymała oddech.

To już koniec, pomyślała. Matko Przenajświętsza, dopomóż mi.

Przewrócił materac na drugą stronę i wytrząsnął siano.

Tkanina znikła.

Cios padł z zaskoczenia, Etienne nigdy wcześniej jej nie uderzył. Przeleciała przez pół izby.

- Nie zniszczysz nas swoimi sztuczkami, La Rouse - wycedził. Z tymi słowy podniósł kij wycięty przez syna i bił ją dopóty, dopóki wokół nie zaległa ciemność.

Rozdział 6

BIBLIA

Obudził mnie dym lub chłodne powietrze z otwartego okna. Otworzywszy oczy, zobaczyłam pomarańczowy ognek papierosa, a potem rękę opartą na kierownicy. Moje spojrzenie powędrowało wzdłuż ramienia na bark, by wreszcie spocząć na profilu mężczyzny. Wyglądał przez przednią szybę, jakby wciąż prowadził, lecz samochód stał nieruchomo, z wyłączonym silnikiem, w absolutnej ciszy. Nie miałam pojęcia, jak długo tak siedzimy.

Tkwiłam skulona na fotelu pasażera, twarzą do niego, z policzkiem wciśniętym w szorstkie obicie zagłówka; włosy opadły mi na twarz i przylgnęły do ust. Zerknęłam przez szparę między fotelami: Biblia leżała na tylnym siedzeniu, owinięta w plastikową torbę.

Choć nie poruszyłam się, Jean-Paul odwrócił głowę i popatrzył mi prosto w oczy. Przez dłuższą chwilę spoglądaliśmy na siebie bez słowa. Milczenie nie było krępujące, mimo że nie wiedziałam, co myśli: wyraz jego twarzy nie był wprawdzie obojętny, lecz nie potrafiłam odgadnąć, co znaczy.

Ile potrzeba czasu, by przekreślić dwa lata małżeństwa oraz poprzedzające je dwa bycia razem? Los nigdy nie wystawił mnie na próbę: z chwilą znalezienia Ricka uznałam, że moje poszukiwania dobiegły końca. Wysłuchiwałam opowieści przyjaciółek o pościgu za idealnym partnerem, fatalnych randkach, złamanym sercem, i nigdy się z nimi nie utożsamiałam. Przypominało to oglądanie programu podróżniczego o miejscach, których nigdy się nie odwiedzi, jak na przykład Albanii, Finlandii albo Panamy. A teraz nagle czułam się tak, jakbym trzymała w ręku bilet do Helsinek.

Położyłam mu rękę na przedramieniu. Miał ciepłą skórę. Przesunęłam dłoń na zgięcie łokcia i materiał podwiniętego rękawa. Kiedy dotarłam do połowy ramienia, niepewna, co dalej, Jean-Paul przykrył moje palce drugą ręką, zatrzymując je na wypukłości barku.

Nie odrywając od niego dłoni, wyprostowałam się na fotelu i odgarnęłam włosy z twarzy. W ustach czułam smak oliwek z martini, które Mathilde zamówiła dla mnie na początku wieczoru. Na ramionach miałam czarną kurtkę Jean-Paula; była miękka, pachniała papierosami, liśćmi i rozgrzaną skórą. Nigdy nie nosiłam kurtek Ricka: był o tyle wyższy i postawniejszy ode mnie, że wyglądałam w nich nedorzecznie. Teraz zaś czułam się tak, jakbym miała na sobie coś, co należy do mnie od lat.

W barze Jean-Paul i ja przez cały wieczór rozmawialiśmy po francusku; nie widziałam powodu, żeby teraz przestać.

- *Nous sommes arrivés chez nous?* - zapytałam i natychmiast tego pożałowałam. Zdanie było poprawne gramatycznie, ale owo *chez nous* zabrzmiało tak, jakbyśmy razem mieszkali. Problem z moim francuskim polegał na tym, że opanowałam dosłowne znaczenie słów i zwrotów, lecz konotacje nadal sprawiały mi nie lada kłopot.

Jean-Paul nie dał nic po sobie poznać.

- *Non, le Fina* - odpowiedział.

- Dzięki, że prowadziłeś - podjęłam po francusku.

- Nie ma za co. Jesteś w stanie usiąść za kółkiem?

- Tak. - W nagłym przeblýsku jasności umysłu uświadomiłam sobie nacisk jego ręki na moją. - Jean-Paul... - zaczęłam, nie wiedząc, co właściwie chcę powiedzieć.

Milczał przez chwilę.

- Nigdy nie nosisz jaskrawych kolorów - zauważył wreszcie. Chrząknęłam.

- Cóż, chyba masz rację. Przestałam je nosić, kiedy byłam nastolatką.

- Hm. Goethe twierdził, że tylko dzieci i prostytutki lubią jaskrawe kolory.

- Czy to miał być komplement? Po prostu lubię naturalne tkaniny. Bawełnę, wełnę, a zwłaszcza... jak to nazywacie? - Wskazałam na swój rękaw; Jean-Paul oderwał rękę od mojej i potarł materiał między palcem wskazującym i kciukiem, muskając pozostałymi palcami odkrytą skórę.

- *Le lin*. A po angielsku?

- Len. Zawsze noszę lniane rzeczy, zwłaszcza latem. Najlepiej wygląda w naturalnych

barwach, biały, brązowy i... - Urwałam w pół zdania. Nie znałam po francusku potrzebnych słów, nie wiedziałam, jak powiedzieć: rozbielona szarość, karmel, rdza, kość słoniowa, sepia, ochra.

Jean-Paul puścił mój rękaw i oparł dłoń na kierownicy. Popatrzyłam na swoją rękę, osamotnioną na jego ramieniu, choć znalezienie się tam kosztowało ją tyle wysiłku, i zachciało mi się płakać. Cofnęłam ją z ociąganiem i wsunęłam pod pachę, po czym otuliwszy się kurtką, wyjrzałam przez przednią szybę. Właściwie dlaczego tu siedzimy i rozmawiamy o moich ubraniach? Zmarzłam, chciałam wrócić do domu.

- Goethe! - prychnęłam, wbijając pięty w podłogę i wciskając się w fotel.

- Nie rozumiem. Przeszłam na angielski.

- To podobne do ciebie, wyskoczyć z czymś takim.

Jean-Paul wyrzucił niedopałek i zamknął okno. Otworzywszy drzwi, wysiadł z wozu i rozprostował zdrętwiałe nogi. Podałam mu kurtkę i przesunęłam się na siedzenie kierowcy. Jean-Paul narzucił kurtkę, po czym zajrzał do samochodu, opierając jedną rękę na drzwiach, a drugą na dachu. Spojrzawszy na mnie, potrząsnął głową i westchnął z irytacją przez zaciśnięte zęby.

Nie lubię wchodzić pomiędzy dwoje ludzi - mruknął po angielsku. - Nawet jeśli nie mogę oderwać od niej wzroku, a ona bez przerwy się ze mną wyklóca, wzbudzając moją niechęć, a zarazem pożądanie. - Nachylił się i pocałował mnie szorstko w oba policzki. Już się prostował, kiedy moja ręka, moja śmiała, zdradziecka ręka wystrzeliła w górę, chwyciwszy go za szyję, i przyciągnęła jego głowę do mojej.

Minęły lata, odkąd całowałam kogoś prócz Ricka. Już zapomniałam, jak ludzie mogą się od siebie różnić. Wargi Jean-Paula były miękkie, ale stanowcze, dawały jedynie przedsmak tego, co kryje się za nimi. Pachniał odurzająco; otarłam policzek o szorstki zarost na brodzie i wcisnąwszy nos w zagłębienie szyi, głęboko wciągnęłam jego woń. Jean-Paul ukląkł i odchylił moją głowę do tyłu, przeczesując mi włosy palcami jak grzebieniem. Popatrzył na mnie z uśmiechem.

- Z rudymi włosami wyglądasz jak Francuzka, Ello Tournier.

- Nie farbowałam ich, naprawdę.

- Nigdy nie twierdziłam, że farbowałaś.

- To Ri... - Oboje zeszywnieliśmy, palce Jean-Paula znieruchomiały.

- Przepraszam - powiedziałam. - Nie chciałam... - Westchnęłam, ale postanowiłam pójść za ciosem. - Wiesz, nie sądziłam, że jestem z nim nieszczęśliwa, ale mam wrażenie, że coś nie... że jesteśmy jakby dopasowanymi elementami układanki, na której widnieje niewłaściwy obrazek. - Poczułam ucisk w gardle i umilkłam.

Jean-Paul opuścił ręce.

- Ello, pocałowaliśmy się. To jeszcze nie oznacza rozpadu twojego małżeństwa.

- Nie, ale... - Urwałam. Jeśli miałam wątpliwości dotyczące mnie i Ricka, Rick powinien poznać je pierwszy.

- Chcę nadal cię widywać - dodałam. - Czy to możliwe?

- Tak, w bibliotece. Ale nie na stacji benzynowej. - Podniósł moją rękę i ucałował wewnątrz dłoni. - *Au revoir, Ello Tournier. Bonne nuit.*

- *Bonne nuit.*

Wstał. Zamknęłam drzwi i patrzyłam, jak idzie do swego blaszanego samochodu i wsiada do środka. Zapуścił silnik, a następnie lekko zatrąbił i odjechał. Poczułam ulgę, że nie chciał czekać, aż ruszę pierwsza. Kiedy tylne światła jego wozu zniknęły w długiej alei, odetchnęłam głęboko, położyłam sobie Biblię na kolanach i zapatrzyłam się na drogę.

Ku mojemu zdumieniu kłamstwo nie kosztowało mnie najmniejszego wysiłku. Zawsze myślałam, że Rick wyczyta zdradę w moich oczach. Jednakże ludzie widzą to, co spodziewają się zobaczyć, moje zachowanie zaś nie odbiegało od oczekiwań Ricka. Dlatego kiedy pół godziny po rozstaniu z Jean-Paulem wkroczyłam do domu z Biblią pod pachą, a Rick uniósł głowę znad gazety i rzucił pogodnie: „Cześć, mała”, poczułam się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Patrzyłam, jak siedzi w blasku światła padającego od lampy, czysty i złocisty, z dala od ciemnego samochodu, dymu i kurtki Jean-Paula. Miał szczerą twarz, niczego nie ukrywał. Tak, mogłam niemal powiedzieć sobie, że nic się nie stało. Życie potrafi być zdumiewająco poszufladkowane.

Byłoby łatwiej, gdyby Rick był durniem, pomyślałam. Ale przecież ja nigdy w życiu nie wyszłabym za durnia. Pocałowałam go w czoło.

- Muszę ci coś pokazać powiedziałam.

Odłożył gazetę i poprawił się na fotelu. Przyklękłam obok niego i położyłam mu Biblię na kolanach.

- No proszę. To dopiero coś - pochwalił, wodząc palcami po obwolucie. - Skąd ją

wytrzasnęłaś? Przez telefon nie mówiłaś dokładnie, dokąd jedziesz.

- Facet, który pomagał mi w Le Pont de Montvert, monsieur Jourdain, znalazł ją w archiwum. To prezent.

- Jest twoja?

- Aha. Spójrz na pierwszą stronę. Widzisz? To moi przodkowie. Rick popatrzył na listę nazwisk i z uśmiechem pokiwał głową.

- Udało ci się. Znalazłaś ich!

- Tak. Miałam dużo szczęścia, pomogli mi inni ludzie. Ale tak, znalazłam. - Mimowolnie odnotowałam w myśli, że nie ogląda Biblii z takim namaszczeniem jak Jean-Paul. Natychmiast ogarnęło mnie poczucie winy: wszelkie tego rodzaju porównania są z gruntu niesprawiedliwe. Koniec z tym, pomyślałam surowo. Koniec z Jean-Paulem. Basta.

- Oczywiście zdajesz sobie sprawę, ile jest warta - zauważył Rick. - Jesteś pewna, że to prezent? Poprosiłaś o pokwitowanie?

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

- Nie, nie poprosiłam o pokwitowanie! Czy domagasz się go za każdym razem, kiedy daję ci prezent?

- Daj spokój, Ello, ja tylko próbuję ci pomóc. Chyba nie chcesz, żeby coś się facetowi odwidziało i poprosił o zwrot. Mając to na papierze, unikniesz nieporozumień. Powinniśmy złożyć ją w depozycie. Na przykład w Tuluzie. W tutejszym banku to pewnie niemożliwe.

- Nie złożę jej w żadnym depozycie! Zostanie tutaj, ze mną! - Rzuciłam mu wściekle spojrzenie. Stało się: podobnie jak jednokomórkowiec nieoczekiwanie dzieli się pod mikroskopem na dwa odrębne organizmy, tak i my stanowiliśmy teraz oddzielne jednostki o całkowicie odmiennych punktach widzenia. Dziwne: dopiero owa nagła przepaść uświadomiła mi naszą dotychczasową bliskość.

Rick chyba nie odczuł różnicy. Wreszcie jednak zmarszczył brwi, zaniepokojony moim nieruchomym spojrzeniem.

- Co się stało? - zapytał.

- Ja... cóż, depozyt odpada. Jest na to zbyt cenna. - Podniosłam Biblię i przycisnęłam ją do piersi.

Ku mojej uldze nazajutrz Rick wyjechał służbowo do Niemiec. Rozłam pomiędzy nami wstrząsnał mną do tego stopnia, że perspektywa samotnych kilku dni sprawiła mi

niewypowiedzianą radość. Rick pocałował mnie na pożegnanie, nieświadom moich rozterek; zastanawiałam się, czy swoje życie wewnętrzne traktuje z podobną obojętnością.

Była środa i nękała mnie uporczywa chęć wybrania się do kawiarni nad rzeką i spotkania z Jean-Paulem. Rozsądek jednak zwyciężył i uznałam, że najlepiej będzie trochę odczekać. Rozmyślnie zwlekałam z zakupami do chwili, aż - moim zdaniem - pograży się w lekturze gazety. Nie uśmiechała mi się perspektywa przypadkowego spotkania na ulicy pełnej ludzi śledzących każdy nasz ruch. Nie miałam zamiaru odgrywać spektaklu na oczach całego miasteczka. Kiedy zbliżałam się do rynku, obraz mieszkańców Lisle oraz ich opinii na mój temat wrócił do mnie z całą mocą, tak że miałam ochotę wrócić pędem do domu. Kto wie, może nawet zamknęłabym okiennice.

Zmusiłam się, aby iść dalej. Kiedy kupowałam „Herald Tribune” i „Le Monde”, sprzedawczyni zachowywała się z nienaganną uprzejmością, rzucając nawet parę zdań na temat pogody. Nie wydawało mi się, żeby moja pralka, okiennice i sukienki bez rękawów spędzały jej sen z powiek.

Prawdziwym testem okaże się *boulangerie*. Dziarskim krokiem ruszyłam w tamtym kierunku.

- *Bonjour, madame!* - powitałam ją śpiewnie, wchodząc do środka. Akurat z kimś rozmawiała i lekko zmarszczyła brwi. Przeniosłam

wzrok na jej klienta i stanęłam oko w oko z Jean-Paulem. Wprawdzie ukrył zdziwienie, lecz w bystrym oku kobiety błysnęła radość i pełne triumfu zgorzienie.

Na miłość boską, pomyślałam, dosyć tego.

- *Bonjour, monsieur* - rzuciłam pogodnym tonem.

- *Bonjour, madame* - odpowiedział. I choć twarz mu nie drgnęła, głos zabrzmiał, jak gdyby Jean-Paul uniósł brwi.

Zwróciłam się do sprzedawczyni.

- Poproszę dwadzieścia tart. Uwielbiam pani tarty cebulowe. Jadam je codziennie, na śniadanie, obiad i kolację.

- Dwadzieścia tart - powtórzyła wstrząśnięta.

- Tak, proszę.

Zacisnęła usta w wąską kreskę i nie spuszczać ze mnie wzroku, sięgnęła po papierową torebkę. Jean-Paul odchrząknął lekko. Kiedy Madame schyliła się nad

pojemnikiem z tartami, rzuciłam mu przelotne spojrzenie. Z zaciśniętymi ustami wpatrywał się w migdały w cukrze, pocierając szczękę kciukiem i palcem wskazującym. Przeniosłam wzrok z powrotem na kobietę i uśmiechnęłam się szeroko. Wyprostowała się i zagięła brzeg torebki.

Jest tylko piętnaście - mruknęła, spoglądając na mnie ze złością.

- Szkoda. Zajrzę do *pâtisserie*, może jakieś mają. - Domyślałam się, że Madame nie przepada za *pâtisserie*; jako poważna piekarczowa gardziła równie niepoważnym asortymentem. Miałam rację: kobieta wytrzeszczyła oczy i gwałtownie zaczerpnęła tchu, po czym pokręciła głową i prychnęła z niesmakiem.

- Oni nie mają tart! - wykrzyknęła. - W Lisle-sur-Tarn tylko ja piekę tarty!

- O - skwitowałam. - Cóż, wobec tego może dostanę je w Intermarché.

Jean-Paul wydał zduszony odgłos, a Madame o mało nie upuściła papierowej torebki. Wzmianka o głównym rywalu, a zarazem najpoważniejszym zagrożeniu dla jej małej piekarni i sklepiku, była grzechem śmiertelnym. Pod nazwą Intermarché krył się supermarket na skraju miasta, bez tradycji, godności i umiejętności zaspokajania wyrafinowanych gustów. Jednym słowem, taki jak ja. Uśmiechnęłam się słodko.

- Ile płacę? - zapytałam.

Madame milczała jak zaklęta; wyglądała, jakby brakowało jej powietrza. Korzystając z okazji, Jean-Paul powiedział „do widzenia” i wyszedł ze sklepu.

Po jego wyjściu straciłam zainteresowanie dalszą potyczką. Kiedy Madame zażądała niebotycznej sumy, bez protestów wręczyłam jej pieniądze. Nie żałowałam ani jednego centyma.

Jean-Paul dołączył do mnie na zewnątrz.

- Jesteś bez serca, Ello Tournier - mruknął po francusku.

- Masz ochotę na tartę?

Wybuchnęliśmy śmiechem.

- Sądziłam, że publiczne spotkania są niewskazane. Tutaj... - machnęłam ręką, wskazując rynek - ... jest bardzo publicznie.

- Owszem, ale zagadnąłem cię w czysto oficjalnej sprawie. Powiedz mi, czy starannie zbadałaś swoją Biblię?

- Jeszcze nie. Słuchaj, nigdy nie odpuszczasz? Czy ty w ogóle sypiasz?

- Nigdy nie potrzebowałem dużo snu - odparł z uśmiechem. -Przynieś jutro Biblię do biblioteki. Odkryłem coś interesującego na temat twojej rodziny.

Biblia miała dziwny kształt, była podłużna i nietypowo wąska, lecz niezbyt ciężka, i pasowała jak ulał do mojej ręki. Oprawę miała z mocno zużytej, spękanej skóry, rozmięklej i zmatowiałej od częstego dotykania oraz usianej kasztanowymi plamami. Na jej pomarszczonej powierzchni w kilku miejscach widniały maleńkie dziurki wydrążone przez jakiegoś robaka. Tylna strona okładki była poczerniała i na wpół spalona, lecz misterny ornament z zawijasów, liści oraz złożonych cętek na wierzchu był nienaruszony. Wzdłuż grzbietu biegły złote kwiaty; uproszczoną wersją wzoru ozdobiono również marginesy stronic.

Zajrzałam na początek Księgi Rodzaju: *Dieu crea av commencement le ciel et la terre*. Tekst wydrukowano w dwóch szpaltach, wyraźną czcionką, i pomimo specyficznej pisowni zrozumienie języka nie sprawiło mi większych trudności. Spodnia część księgi uległa całkowitemu zniszczeniu, środkowe kartki zaś nie nadawały się do lektury.

Mathilde i monsieur Jourdain stoczyli w barze długą dyskusję na temat pochodzenia Biblii; Jean-Paul wtrącał co jakiś czas swoje trzy grosze. Nie wszystko do mnie dotarło, gdyż monsieur Jourdain mówił z potwornym akcentem, a Mathilde wyrzucała z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego. Zawsze trudniej mi było śledzić francuską wymianę zdań, kiedy rozmówcy nie zwracali się bezpośrednio do mnie. O ile zrozumiałam, moi nowi przyjaciele ustalili, że Biblia została przetłumaczona przez niejakiego Lefèvre'a d'Etaples i najprawdopodobniej wydana w Genewie. Monsieur Jourdain wymówił to nazwisko ze szczególnym naciskiem.

- Któż to taki? - zapytałam niepewnie. Monsieur Jourdain zachichotał.

- La Rousse chce wiedzieć, kim był Lefèvre - powtarzał, potrząsając głową. Zdążył już wypić trzy szklanki whisky z wodą sodową. Cierpliwie odczekałam, aż nacieszy się żartem; martini wzmocniło moją odporność na docinki.

Wreszcie wyjaśnił, że Lefèvre d'Etaples pierwszy przetłumaczył Biblię z łaciny na francuski, czyniąc ją dostępną dla mas.

- To był początek - oznajmił. - Początek wszystkiego. Świat rozpadł się na kawałki! - Z tymi słowy monsieur Jourdain przechylił się wraz ze stołkiem i wylądował pośrodku baru.

Usiłowałam zachować kamienną twarz, ale Mathilde zasłoniła usta ręką, Sylvie parsknęła śmiechem, a Jean-Paul uśmiechnął się pod nosem, wertując Biblię. Teraz

przypomniałam sobie, że przez długi czas wpatrywał się w listę Tournierów i nabazgrał coś na kopercie. Byłam zbyt wstawiona, żeby się dopytywać, co robi.

Ku oburzeniu Mathilde i mojemu rozczarowaniu monsieur Jourdain nie pamiętał, od kogo dostał Biblię.

- Właśnie dlatego musimy prowadzić dokładną inwentaryzację! - łajęła go Mathilde. - Dla osób takich jak Ella to ma niezmiernie istotne znaczenie!

Monsieur okazał skruchę i spisał imiona i rodowe nazwiska wszystkich członków rodziny, wymienionych w Biblii, obiecując, że poszuka czegoś na ich temat.

Skłaniałam się do założenia, że Biblia pochodzi z okolic Le Pont de Montvert, choć właściwie mogła przywędrować tu ze swym właścicielem z każdego miejsca we Francji. Kiedy jednak wspomniałam o tym na głos, Mathilde i monsieur Jourdain zgodnie pokręcili głowami.

- Ludzie spoza regionu nie przynieśliby jej do *mairie* - wyjaśniła Mathilde. - Jedyne rdzenni mieszkańcy oddaliby ją w ręce monsieur Jourdaina. Miejscowi czują silny związek z historią; pamiątki rodzinne nie mogłyby trafić poza Cévennes.

- Przecież ludzie opuszczają rodzinne strony. Tak uczyniła moja rodzina.

- Chodziło o kwestie religijne. - Mathilde zbyła moje słowa machnięciem ręki. - Oczywiście, że musieli wyjechać, a jeszcze więcej rodzin uczyniło to po roku 1685. Swoją drogą dziwne, że twoja rodzina wyjechała akurat wtedy; największe prześladowania protestantów nastąpiły dopiero sto lat później. Noc świętego Bartłomieja była... - Urwała i wzruszając ramionami, skinęła na Jean-Paula. - Ty wytłumacz, Jean-Paul. - Miała na sobie różowy trykotowy golfik i kraciastą minispódniczkę.

- ... była burżuazyjna w swym charakterze, z grubsza rzecz biorąc - podjął gładko Jean-Paul i uśmiechnął się do niej. - Zniszczyła szlachtę protestancką. Jednakże tutejsi hugenoci byli rolnikami, a Cévennes leżało za bardzo na uboczu, aby mieszkańcy mieli szczególne powody do strachu. Podejrzewam, że mogło dojść do spięć z miejscowymi katolikami. Na przykład katedra w Mende pozostała katolicka. Kilku zagorzałych fanatyków pewnie zapragnęło przetrzepać skórę hugenotom. Co o tym myślisz, *mademoiselle*? - dodał, zwracając się do Sylvie.

Odpowiedziała mu niewzruszonym spojrzeniem, po czym wyprostowała nogi i zaczęła poruszać palcami stóp.

- Patrzcie, *maman* pomalowała mi paznokcie na biało! - zawołała.

Teraz powróciłam do spisu nazwisk i przestudiowałam go uważnie. Zapewne to właśnie ci członkowie rodziny dotarli do Moutier: Etienne Tournier, Isabelle du Moulin oraz ich dzieci, Jean, Jacob i Marie. Według mojego kuzyna, w 1576 roku Etienne znalazł się na liście werbunkowej, a Jean ożenił się w roku 1590. Sprawdziłam daty; ta wersja brzmiała wiarygodnie. Jacob zaś był jednym z Jacobów na długiej liście, którą zamykał mój kuzyn. Powinien o tym wiedzieć, pomyślałam. Muszę do niego napisać.

Przyjrzałam się zapisowi na wewnętrznej stronie okładki, na który nikt dotąd nie zwrócił uwagi. Słowa były niewyraźne i zamazane, lecz zdołałam je odczytać: *Mas de la Baume du Monsieur*. W przybliżeniu znaczyło to: Farma Balsamu Pańskiego. Wyjęłam szczegółową mapę okolic Le Pont de Montvert i zaczęłam szukać podobnej nazwy. Po zaledwie pięciu minutach znalazłam ją - dwa kilometry na północny wschód od Le Pont de Montvert. Było to wzgórze na północ od Tarn, na wpół zarośnięte lasem. Pokiwałam głową. To coś dla Jean-Paula.

Jednakże nazwa musiała ujść jego uwagi, gdyż nie omieszkałby o tym wspomnieć. Co miał na myśli, mówiąc o ciekawostce na temat mojej rodziny? Patrzyłam na nazwiska i daty, lecz mój wzrok przykuły jedynie dwie rzeczy: Tournier wziął żonę z Tournierów i jeden z Jeanów przyszedł na świat w dzień Nowego Roku.

Kiedy nazajutrz przyszedłam do biblioteki z Biblią w torbie, Jean-Paul demonstracyjnie przedstawił mnie drugiej bibliotekarce. Z chwilą gdy wzrok kobiety spoczął na Biblii, z jej twarzy zniknął wyraz podejrzliwości.

- Monsieur Piquemal specjalizuje się w starym piśmiennictwie - oznajmiła śpiewnie. - To jego działka. Ja znam się na powieściach i romansach. Na literaturze popularnej.

Wyczułam przytyk, lecz tylko z uśmiechem skinęłam głową. Jean-Paul poczekał, aż skończymy rozmawiać, po czym zaprowadził mnie do stolika w drugiej sali. Kiedy otwierałam Biblię, on wyjął kopertę z nabazgraną notatką.

- I co? - rzucił wyczekująco. - Odkryłaś coś?

- Nazywasz się Piquemal.

- I co z tego?

- „Jadowite żądło”. Pasuje. - Wyszczrzyłam zęby.

Jean-Paul zmarszczył brwi.

- *Pique* znaczy również „lanca” - odmruknął.

- Jeszcze lepiej!

- Co znalazłaś? - powtórzył.

Pokazałam mu nazwę farmy wewnątrz okładki, a następnie rozłożyłam mapę i zaznaczyłam położenie tego miejsca. Jean-Paul pokiwał głową.

- Dobrze - powiedział, wpatrzony w mapę. - Obecnie nie ma tam żadnych zabudowań, ale przynajmniej zyskaliśmy pewność, skąd pochodzi Biblia. Co jeszcze?

- Pobrało się ze sobą dwoje Tournierów.

- Tak, pewnie byli kuzynostwem. W owych czasach takie małżeństwa nikogo nie dziwiły. Co jeszcze?

- Hm, jedno z dzieci przyszło na świat w dzień Nowego Roku. Uniósł brwi; pożałowałam, że w ogóle o tym wspominałam.

- I co jeszcze? - powtórzył z uporem.

- Nic. - Znow zaczął działać mi na nerwy, choć trudno było siedzieć obok niego i rozmawiać, jakby nic się między nami nie wydarzyło. Jego ramię znajdowało się tak blisko mojego, że bez trudu mogłam go dotknąć. Bliżej nigdy nie będzie. Nie ma mowy. Siedzenie obok Jean-Paula wydało mi się naraz żalonym aktem bezsilności.

- Nic innego nie zauważyłaś? - sarknął Jean-Paul. Oto rezultat amerykańskiego systemu kształcenia. Byłabyś kiepskim detektywem, Ello Tournier. - Widząc moją minę, urwał, i na jego twarzy pojawiło się zakłopotanie. - Przepraszam dodał, przechodząc na angielski, jakby to miało mnie udobruchać. - Nie lubisz moich żartów.

Pokręciłam głową, nie odrywając oczu od Biblii.

- Nie o to chodzi. Gdybym nie lubiła twoich żartów, nie byłabym w stanie z tobą rozmawiać. Po prostu... - machnęłam ręką, jakbym odpędzała od siebie ten temat - ... chodzi o tamten wieczór - wyjaśniłam ściszym głosem. Trudno tak siedzieć jakby nigdy nic.

- No tak. - Tkwiliśmy obok siebie, wpatrzeni w listę Tournierów i dotkliwie świadomi swojej obecności.

Pierwsza przerwałam milczenie.

- Dziwne. Że też nie zauważyłam tego wcześniej. Etienne i Isabelle pobrali się dzień przed jego urodzinami. Dwudziesty ósmy i dwudziesty dziewiąty maja.

- Właśnie. - Jean-Paul lekko postukał mnie palcem w rękę. - No właśnie. O to mi

chodziło. Bardzo dziwne. Dlatego zadałem sobie pytanie, czy mógł to być zbieg okoliczności. Potem określiłem jego wiek. Dzień po ślubie zakończył dwadzieścia pięć lat.

- Skończył dwadzieścia pięć lat.

- Tak. Według hugenockiej tradycji, mężczyzna kończący dwadzieścia pięć lat mógł się ożenić bez zgody rodziców.

- Ale on miał jeszcze dwadzieścia cztery, dlatego musiał uzyskać ich pozwolenie.

- Owszem, lecz jest bardzo dziwne, że ożenił się tuż przed swoimi urodzinami - to budzi zastrzeżenia co do przychylności rodziców. No więc raz jeszcze przestudiowałem daty. - Wskazał na spis. - Spójrz na datę urodzenia ich pierwszego syna.

- Dzień Nowego Roku, jak mówiłam. I co z tego? Jean-Paul zmarszczył brwi.

- Przyjrzyj się uważnie, Ello Tournier. Rusz głową.

Wlepiłam wzrok w stronicę. Kiedy wreszcie do mnie dotarło, w czym rzecz, nie mogłam uwierzyć, że nie zauważyłam tego pierwsza, ja! Zaczęłam pośpiesznie rachować na palcach.

- Rozumiesz?

Skinęłam głową, kończąc obliczenia.

- Do poczęcia doszło koło dziesiątego kwietnia - oznajmiłam.

Jean-Paul popatrzył na mnie z rozbawieniem.

- Dziesiątego kwietnia, powiadasz? A to co miało znaczyć? - I udał, że liczy na palcach.

- Poród zazwyczaj następuje dwieście sześćdziesiąt sześć dni po zapłodnieniu. Mniej więcej, występują bowiem indywidualne wahania długości okresu ciąży, w tamtych czasach też zresztą mogły wystąpić drobne różnice. Inna dieta, inna budowa. W każdym razie do zapłodnienia doszło w kwietniu. Dobrze siedem tygodni przed ślubem.

- Skąd takie dokładne informacje, Ello Tournier? Przecież nie masz dzieci, prawda? A może gdzieś je ukrywasz?

- Jestem położną.

Wyglądał na tak zdumionego, że powtórzyłam po francusku:

- *Une sage-femme. Je suis une sage-femme.*

- *Toi? Une sage-femme?*

- Tak. Nigdy nie pytałeś mnie o zawód.

Na twarzy Jean-Paula malował się tak dlań niezwykle wyraz zaskoczenia, że poczułam nagle mimowolny triumf. Chociaż raz byłam górą.

- Nie przestajesz mnie zadziwiać, Ello - oświadczył, z uśmiechem kręcąc głową.

- Tylko bez flirtów, bo twoja koleżanka zaraz o tym rozpowie całemu miastu.

Odruchowo zerknęliśmy na drzwi i wyprostowaliśmy plecy. Odsunęłam się nieco.

- Jednym słowem, mamy do czynienia z tak zwanym ślubem pod groźbą rewolweru - podjęłam przerwany wątek.

- Jakim ślubem?

- Pod groźbą rewolweru. To znaczy, że rodzice dziewczyny zmusili go do ożenku, kiedy wyszło na jaw, że ona jest w ciąży. W Stanach to stereotypowa postać - ojciec prowadzący pana młodego do ołtarza pod lufą rewolweru.

Jean-Paul zastanawiał się przez chwilę.

- Może i masz rację - odrzekł bez przekonania.

- Ale?

- Ale ten... jak mówisz, ślub pod groźbą rewolweru nie wyjaśnia, dlaczego pobrali się tuż przed urodzinami Etienne'a.

- Może to tylko zbieg okoliczności.

- Ty i te twoje zbiegi okoliczności, Ello Tournier! Sama decydujesz, które z nich są czymś więcej, a które nie. Zatem to jest zbieg okoliczności, a w wypadku Nicolasa Tourniera go nie ma.

Zesztywniałam z urazy. Od ostatniej utarczki nie podejmowaliśmy tego tematu.

- To samo można powiedzieć o tobie! - odpaliłam. - Po prostu różnimy się w kwestii tego, co zasługuje na miano przypadku, a co nie.

- Nicolas Tournier interesował mnie do chwili, kiedy odkryłem, że nie był twoim przodkiem. Dałem mu szansę. W tej sytuacji chciałbym postąpić podobnie.

- No dobrze, dlaczego zatem, twoim zdaniem, to nie przypadek?

- Nie zgadza mi się data ślubu.

- Jak to ci się nie zgadza?

- W Langwedocji wierzono, że ślub w maju lub w listopadzie przynosi pecha.

- Dlaczego?

- Maj jest miesiącem deszczu, łez, a listopad miesiącem zmarłych.

- Przecież to zwykły zabobon. Sądziłam, że hugenoci nie poddawali się przesądom. Uważali to za przywarę katolików.

Ostudziłam nieco jego zapędy. Nie był jedyną osobą, która czytała książki.

- Tak czy inaczej, we wspomnianych miesiącach odbywało się niewiele zaślubin. Poza tym dwudziesty ósmy maja 1563 roku przypadał w poniedziałek, podczas gdy większość ślubów tradycyjnie zawierano we wtorek lub sobotę.

- Chwileczkę. Skąd wiesz, że to był poniedziałek?

- Znalazłem kalendarz w Internecie. Nadgorliwiec. Westchnęłam.

- Jednym słowem, masz już gotową teorię. Nie wiem, dlaczego zakładałam, że mam w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia.

Rzucił mi przepaszające spojrzenie.

- *Pardon*. Ukradłem ci twoje badania, tak?

- Tak. Słuchaj, doceniam twoją pomoc, czuję jednak, że płynie z głowy, a nie z serca. Rozumiesz?

Wydał wargi i pokiwał głową.

- Mimo to chciałam usłyszeć twoją teorię. Oczywiście, to tylko teoria, prawda? Nadal mogę pozostać przy swojej wersji?

- Jasne. Moim zdaniem, jego rodzice sprzeciwiali się małżeństwu do czasu, kiedy dowiedzieli się o ciąży. Stąd pośpieszne zaślubiny, żeby nie wzbudzić podejrzeń sąsiadów co do przychylności wobec narzeczonej syna.

- Ale czy rzeczywiście nikt nic nie podejrzewał? - Bez trudu wyobraziłam sobie szesnastowieczną wersję Madame, która tworzy własny obraz zdarzeń.

- Może i tak, ale zawsze to lepiej wyglądało.

- Liczyły się pozory.

- Tak.

- Czyli przez czterysta lat w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło.

- A sądziłaś, że tak?

W progu stanęła bibliotekarka. Musieliśmy wyglądać na pogrążonych w dyskusji, gdyż uśmiechnęła się tylko i zniknęła.

- Jeszcze jedno - powiedział Jean-Paul. - Taka drobnostka. Imię „Marie”. Hugenoci zazwyczaj nie nazywali tak swoich córek.

- Dlaczego?

- Kalwin domagał się od współwyznawców zaprzestania kultu Maryi. Wierzył w bezpośredni kontakt z Bogiem, a ona odwracała od Niego uwagę. Poza tym stanowiła nieodłączny element wiary katolickiej. Dziwne, że dziewczynkę ochrzczono jej imieniem.

- Marie - powtórzyłam.

Jean-Paul zamknął Biblię. Patrzyłam, jak dotyka oprawy, wodzi palcem po złotym ornamencie.

- Jean-Paul.

Popatrzył na mnie roziskrzonym wzrokiem.

- Chodź ze mną do domu - zaproponowałam zniecka. Pozornie wyraz jego twarzy pozostał ten sam, lecz zmiana między nami równała się zmianie kierunku wiatru.

- Ello, jestem w pracy.

- To po pracy.

- A twój mąż?

- Wyjechał. - Poczułam falę upokorzenia. - Nieważne - mruknęłam. - Zapomnij, że w ogóle to powiedziałam. - Już wstawałam, ale mnie powstrzymał, kładąc dłoń na mojej dłoni. Kiedy usiadłam z powrotem na krześle, Jean-Paul zerknął na drzwi i cofnął rękę.

- Nie wybrałabyś się gdzieś dziś wieczorem? - zapytał.

- Gdzie?

Napisał coś na kawałku papieru.

- Najlepiej około jedenastej.

- Ale co to za miejsce?

Pokręcił głową, odmawiając wyjaśnień.

- Niespodzianka. Przyjedź, to zobaczysz.

Wzięłam prysznic; włożyłam w przygotowania więcej starań niż zazwyczaj, chociaż nie miałam pojęcia, dokąd jadę: Jean-Paul nabazgrał jedynie adres w Lavaur, miasteczku odległym o jakieś dwanaście mil. Równie dobrze mogło chodzić o restaurację, jak i mieszkanie przyjaciela czy kręgielnię.

Wciąż pamiętałam, co powiedział na temat mojego sposobu ubierania się. Nie miałam pewności, czy nie był to przejaw krytyki, więc przejrzałam szafę w poszukiwaniu jakiegoś barwnego łaszka. Wreszcie postanowiłam raz jeszcze włożyć żółtą sukienkę bez rękawów,

chyba najbardziej jaskrawą rzecz w mojej garderobie. Przynajmniej czułam się w niej swobodnie; brązowe sandały i odrobina szminki sprawiały, że wyglądałam wcale nie najgorzej. Wprawdzie nie mogłam rywalizować z Francuzkami, które prezentowały się nienagannie w zwykłych podkoszulkach i dżinsach, ale przynajmniej uchodziłam w tłoku.

Właśnie zamykałam za sobą frontowe drzwi, kiedy nagle zadzwonił telefon. Pośpiesznie zawróciłam do mieszkania, żeby uprzedzić automatyczną sekretarkę.

- Hej, Ello, wyciągnąłem cię z łóżka?

- Rick. Nie, właściwie to akurat... szłam na spacer. Na most.

- O jedenastej w nocy?

- Tak, jest gorąco i nie mam co robić. Gdzie jesteś?

- W hotelu.

Usiłowałam sobie przypomnieć, czy Rick pojechał do Hamburga, czy do Frankfurtu.

- Jak poszło spotkanie?

- Wspaniale! - Zdał mi szczegółową relację, dzięki czemu zdążyłam ochłonać. Kiedy jednak zapytał, co porabiałam, nie przyszło mi do głowy nic, co miałby ochotę usłyszeć.

- Właściwie nic - odparłam ogólnikowo. - Kiedy wracasz?

- W niedzielę. W drodze powrotnej muszę zatrzymać się w Paryżu. Co masz na sobie, kotku? - Była to nasza stara zabawa telefoniczna: jedno z nas mówiło, w co jest ubrane, a drugie opisywało jak to zdejmuje. Popatrzyłam na swoją sukienkę i sandały. Nie mogłam mu powiedzieć, ani w co jestem ubrana, ani dlaczego nie mam ochoty na zabawę.

Na szczęście sam Rick wybawił mnie z opresji.

- Poczekaj, dzwonek na drugiej linii. Muszę odebrać ten telefon.

- Dobrze. Do zobaczenia za kilka dni.

- Kocham cię, Ello. - Odłożył słuchawkę.

Pełna niesmaku wobec samej siebie odczekałam kilka minut, na wypadek gdyby jeszcze raz zadzwonił.

W samochodzie powtarzałam sobie co chwila: „Możesz zawrócić, Ello. Nie musisz tego robić. Możesz przejechać całą drogę, zaparkować, podejść do drzwi i zawrócić. Możesz go nawet zobaczyć i spędzić z nim trochę czasu, a później wrócić do domu jak gdyby nigdy nic. Naprawdę”.

Lavaur było miasteczkiem katedralnym, mniej więcej trzy razy większym od Lisle-

sur-Tarn, ze starą dzielnicą oraz namiastką nocnego życia: kinem, paroma restauracjami i barami. Sprawdziwszy to uprzednio na planie, zaparkowałam przy katedrze, masywnej ceglanej budowli z ośmioboczną wieżą, i udałam się na Stare Miasto.

Z łatwością odnalazłam zapisany adres: dziwaczny neon nad tawerną nie pozwalał go przeoczyć. Wejście znajdowało się w bocznej uliczce; na okiennicach umieszczonych tuż przy drzwiach namalowano postacie, które wyglądały jak żołnierze bez twarzy, strzegący kobiety w długiej szacie. Wstrząsnęłam się na ten widok i czym prędzej weszłam do środka.

Wnętrze baru stanowiło rażący kontrast z fasadą. Lokal był ciasny i słabo oświetlony, za to głośny, zatłoczony i pełen dymu. Nieliczne prowincjonalne francuskie bary, w których miałam okazję gościć, były niezbyt zachęcające i zarezerwowane niemal wyłącznie dla mężczyzn. Ten przypominał światełko pośród ciemności. Było to tak nieoczekiwane, że stanęłam w progu zdumiona.

Tuż na wprost mnie piękna kobieta w dżinsach i brązowej jedwabnej bluzce śpiewała „Every Time We Say Goodbye” z ciężkim, francuskim akcentem. Chociaż Jean-Paul siedział odwrócony tyłem, rozpoznałam go natychmiast. W miękkiej niebieskiej koszuli, zgarbiony nad klawiaturą pianina, ze wzrokiem utkwionym we własne dłonie, co jakiś czas spoglądał jednak na piosenkarkę. Na jego twarzy malował się wyraz skupienia, a zarazem błogości.

Do baru napływali kolejni goście i musiałam wmieszać się w tłum. Nie mogłam oderwać oczu od Jean-Paula. Gdy piosenka dobiegła końca, rozległy się okrzyki i entuzjastyczny aplauz. Jean-Paul powiódł wzrokiem po sali i uśmiechnął się na mój widok. Mężczyzna stojący po prawej stronie poklepał mnie po ramieniu.

- Uważaj, istny wilk z niego! - zawołał ze śmiechem, wskazując na pianino.

Poczerwieniałam i odeszłam na bok. Kiedy Jean-Paul i kobieta zaczęli kolejną piosenkę, przycisnęłam się do baru i cudownym zrządzeniem losu znalazłam wolny stółek.

Oliwkowa cera piosenkarki zdawała się rozświetlona od środka, brwi miały idealny kształt. Burza brązowych, kędzierzawych włosów opadała jej na ramiona; dziewczyna przeczesywała je palcami, odrzucała głowę i przyciskała ręce do skroni, przechodząc na wyższą tonację. Jean-Paul zachowywał się mniej demonstracyjnie, jego opanowanie równoważyło teatralną manierę piosenkarki, a gra podkreślała jej dźwięczny głos. Tworzyli zgrany duet: oboje na luzie, swobodni, nawet nieco frywolni. Poczułam ukłucie zazdrości.

Po kolejnych dwóch kawałkach zrobili przerwę i Jean-Paul ruszył w moim kierunku, zatrzymując się po drodze, aby zamienić słowo z co drugą osobą. Nerwowo obciągnęłam sukienkę, żałując, że nie przykrywa mi kolan.

- *Salut, Ello* - powiedział, stając obok i całując mnie w policzki, podobnie jak wcześniej dziesięć innych osób.

Uspokoiliam się, pełna ulgi, a zarazem lekko zirytowana faktem, że nie zostałam w żaden sposób wyróżniona. O co ci chodzi, Ello? - zganiłam się w duchu.

Jean-Paul musiał dostrzec moje zmieszanie.

- Chodź, przedstawię cię przyjacielom - oznajmił po prostu. Zsunęłam się ze stołka i sięgnęłam po swoje piwo, czekając, aż

Jean-Paul zamówi whisky. Wskazał na stół po drugiej stronie lokalu, objął ramieniem moje plecy i zaczęliśmy przeciskać się przez tłum. Kiedy dotarliśmy, opuścił rękę.

Na ławkach po obu stronach długiego stołu siedziało sześć osób, w tym piosenkarka. Zrobili dla nas miejsce. Usiadłam obok niej; Jean-Paul znalazł się naprzeciwko mnie, dotykając kolanami moich kolan w ciasnej przestrzeni pod stołem. Spojrzałam na blat zastawiony butelkami piwa i kieliszkami z winem, i uśmiechnęłam się dyskretnie.

Zebrani dyskutowali o muzyce, wymieniając nieznane mi nazwiska francuskich artystów i rechocząc głośno z żarcików dla siebie tylko zrozumiałych. Zachowywali się tak hałaśliwie i mówili tak szybko, że po pewnym czasie przestałam słuchać. Jean-Paul palił papierosa; czasem przyłączał się do ogólnej wesołości, przeważnie jednak milczał. Niekiedy czułam na sobie jego wzrok, a gdy odwzajemniłam spojrzenie, rzucił: *Ça va?*

Skinęłam głową.

- Wolisz Ellę Fitzgerald czy Billie Holiday? - zapytała mnie naraz Janine, piosenkarka.

- Właściwie nie słucham żadnej z nich. - Nie było to z mojej strony zbyt uprzejme, ostatecznie próbowałam nawiązać rozmowę. Poza tym pragnęłam udowodnić sama przed sobą, że nie zazdroszczę jej urody, klasy ani zażyłości z Jean-Paulem. Lubię Franka Sinatrę - dodałam pośpiesznie.

Siedzący obok Jean-Paula łysiejący mężczyzna o dziecięcej twarzy i dwudniowym zarostie prychnął.

- Zbyt sentymentalny. Za bardzo show-biz. - Wyszczrzył zęby w przesadnym

uśmiechu i zatrzepotał rękami przy uszach. - Nat King Cole to co innego!

- Tak, ale... - zaczęłam. Wszyscy spojrzeli na mnie wyczekująco. Przypomniałam sobie słowa ojca na temat techniki Sinatry i gorączkowo próbowałam przetłumaczyć je na francuski, przed czym zawsze przestrzegała mnie madame Sentier.

- Frank Sinatra śpiewa bez oddychania - oświadczyłam i umilkłam. Przecież nie o to chodziło: zamierzałam powiedzieć, iż śpiewa tak gładko, że nie słychać, jak nabiera oddechu, lecz moja znajomość francuskiego zawiodła na całej linii. - Jego...

Lecz pozostali tymczasem podjęli rozmowę: okazałam się nie dość szybka. Ściągnęłam brwi, zła na siebie i rozdrażniona jak każdy, kto próbuje coś powiedzieć i uświadamia sobie, że nikt go nie słucha.

Jean-Paul wyciągnął rękę i dotknął mojej dłoni. Przypominasz mi mój pobyt w Nowym Jorku - powiedział po angielsku. - Tam też wszyscy krzyczeli i często nic nie rozumiałem.

- Nie umiem jeszcze myśleć po francusku.

- Nauczysz się. Jeszcze trochę, a się nauczysz.

Mężczyzna o dziecięcej twarzy usłyszał, że mówimy po angielsku, i obrzucił mnie przeciągłym spojrzeniem.

- *Tu es Américaine?* - zapytał.

- *Oui.*

Moja odpowiedź odniosła dziwny skutek, zupełnie jakby przez towarzystwo przeszedł prąd elektryczny. Wszyscy drgnęli, spoglądając to na mnie, to na Jean-Paula. Ja również na niego spojrzałam, zdziwiona reakcją. Jean-Paul sięgnął po szklankę i opróżnił ją jednym haustem, na przekór atakującym go zewsząd spojrzeniom.

Łysiejący mężczyzna uśmiechnął się złośliwie.

- Ale przecież nie jesteś gruba. Dlaczego nie przypominasz reszty Amerykanów? - Wydał policzki i poklepał się po wyimaginowanym brzuchu.

Odkryłam jedno: w chwilach wściekłości mój francuski zyskiwał zadziwiającą płynność.

- Wśród Amerykanów są grubasy, ale przynajmniej nie mają tak szerokiej gęby jak Francuzi!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, nawet mój rozmówca, który wyraźnie się rozochocił.

Cholera, pomyślałam. Połknęłam haczyk i teraz się nie odczepi.

Wychylił się do przodu.

Dalej, Ello, najlepszą obroną jest atak. Było to ulubione powiedzenie Ricka, niemal słyszałam, jak to mówi.

Przerwałam mężczyźnie w pół słowa.

- Ameryka. Na pewno zaraz wspomnisz o... chwileczkę, chwileczkę, muszę ustalić właściwą kolejność. Wietnam. Nie, może najpierw amerykańskie filmy i telewizja, Hollywood, McDonald na Polach Elizejskich. - Kolejno odginałam palce. - Potem Wietnam. Przemoc i broń. No i CIA, tak, koniecznie musisz wspomnieć o CIA, nawet kilka razy. A jeśli jesteś komunistą... czy jest pan komunistą, *monsieur*?... być może zechce pan napomknąć o Kubie. Dalej przyjdzie kolej na drugą wojnę światową i późną interwencję Amerykanów, którzy w przeciwieństwie do biednych Francuzów nigdy nie zaznali goryczy niemieckiej okupacji. Oto *pièce de résistance, n'est-ce pas?*

Mężczyzna wyduł usta; pięć osób popatrzyło na mnie z rozbawieniem, a Jean-Paul zasłonił uśmiech szklanką.

- Skoro jesteś Francuzem - podjęłam - może powinnam spytać, czy jako kolonizatorzy Francuzi lepiej traktowali Wietnamczyków. Czy jesteście dumni z tego, co się wydarzyło w Algierii? Albo z rasistowskich zamieszek wymierzonych przeciwko mieszkańcom Afryki Północnej? Lub z prób nuklearnych na Pacyfiku? Jako Francuz na pewno popierasz każdą decyzję swojego rządu, prawda? Ty mały gnojku - dodałam cicho po angielsku.

Usłyszał to tylko Jean-Paul i popatrzył na mnie ze zdumieniem. Uśmiechnęłam się szelmowsko. Nie jestem damą, trudno. Łysiejący mężczyzna położył rękę na sercu w geście skruchy.

- Rozmawialiśmy o Franku Sinatrze i Nacie Kingu Cole'u. Wybaczenie mi mój francuski, czasem trochę trwa, zanim dokładnie wytłumaczę, o co mi chodzi. Chciałam powiedzieć, że nie słysząc jego... jak wy to nazywacie? - Położyłam rękę na piersi i wciągnęłam oddech.

- *Respiration* - podsunęła Janine.

- Właśnie. Gdy śpiewa, w ogóle tego nie słysząc.

- Podobno jest to technika, której nauczył się od... - Ku mojej uldze mężczyzna siedzący przy drugim końcu stołu podchwycił temat i rozgadał się na dobre.

Jean-Paul wstał.

- Muszę coś zagrać - powiedział cicho. - Zostaniesz?

- Tak.

- To dobrze. Nie dasz sobie dmuchać w zupę?

- Co?

- No wiesz... - Wskazał na talerz z orzeszkami.

- Pytasz, czy jestem głodna?

- Nie, nie. No wiesz, w zupę.

- Ach, w kaszę. Nie dam sobie dmuchać w kaszę. O nie, z całą pewnością. Bądź spokojny.

Mógł być spokojny. Nikt już nie wygłaszał stereotypowych opinii na temat Amerykanów, czasem udawało mi się wtrącić swoje trzy grosze do rozmowy, a kiedy nie rozumiałam, o czym mówili, po prostu słuchałam muzyki.

Jean-Paul zagrał jakąś skoczną melodię, po czym dołączyła do niego Janine. Wykonali kilka utworów, między innymi Gershwina, Cole'a Portera, parę piosenek francuskich. W pewnej chwili poszeptali coś między sobą; obrzuciwszy mnie przelotnym spojrzeniem, Janine zaśpiewała „Let's Call The Whole Thing Off” Gershwina, podczas gdy Jean-Paul uśmiechał się do klawiszy.

Później tłum gości przerzedził się nieco i Janine usiadła naprzeciw mnie. Siedzieliśmy we trójkę, pogrążeni w krzepiącym milczeniu, jakiej zapada nocą, kiedy wszystko zostało już powiedziane. Milczał nawet łysiejący mężczyzna.

Jean-Paul grał dalej cichą, kontemplacyjną muzykę, proste linie melodyczne oparte na kilku akordach, utwory z pogranicza klasyki i jazzu; było to mniej więcej skrzyżowanie Erika Satie i Keitha Jarretta.

Nachyliłam się do Janine.

- Co on gra?

- Swoją muzykę - odrzekła z uśmiechem. - Sam komponuje.

- Jest bardzo piękna.

- Tak. Grywa ją tylko późnym wieczorem.

- Która godzina?

Spojrzała na zegarek. Dochodziła druga.

- Nie miałam pojęcia, że jest tak późno!
- Nie nosisz zegarka? Pokazałam jej przeguby.
- Zostawiłam w domu.

Nasze spojrzenia jednocześnie padły na moją obrączkę; odruchowo cofnęłam rękę. Zupełnie o niej zapomniałam. A nawet gdybym pamiętała, pewnie i tak bym jej nie zdjęła: byłoby to zbyt wyrachowane.

Zderzyłyśmy się spojrzeniami; poczerwieniałam, co dodatkowo pogorszyło sprawę. Zastanawiałam się, czy nie pójść do toalety i nie zdjąć obrączki, ale Janine od razu by zauważyła. Dlatego położyłam dłonie na kolanach i zapytałam, gdzie kupiła bluzkę. Podchwyciła temat.

Po kilku minutach towarzystwo wstało od stołu. Ku mojemu zdziwieniu Janine wyszła z łysiejącym mężczyzną. Wesóło pomachali mi na pożegnanie, Janine przesłała Jean-Paulowi pocałunek, i wyszli wraz z ostatnimi gośćmi. Zostaliśmy sami, nie licząc barmana, który zbierał szklanki i wycierał stoły.

Jean-Paul dokończył utwór i przez chwilę siedział w milczeniu nad klawiaturą. Barman ustawiał odwrócone krzesła na stołach, pogwizdując pod nosem.

- Hej, François, dwie whisky, jeśli łaska.

François posłał mu wymuszony uśmiech, ale stanął za kontuarem i napełnił trzy szklanki. Jedną z lekkim ukłonem postawił przede mną, a drugą na pianinie. Następnie wyjął z kasy szufladkę z pieniędzmi i trzymając ją w jednej, a szklanekę w drugiej ręce, zniknął na zapleczu.

Wznieśliśmy szklanki i wypiliśmy jednocześnie.

- Masz ładne refleksy we włosach, Ello Tournier.

Spojrzałam na żółtą lampę nad swoją głową: w jej świetle włosy mieniły się odcieniami miedzi i złota. Przeniosłam wzrok na Jean-Paula; grał jakąś spokojną melodię.

- Skończyłeś szkołę muzyczną?
- Tak, dawno temu.
- Znasz coś Erika Satie?

Odstawił szklanekę i zagrał znany mi utwór, w rytmie pięć czwartych, spokojnie i miarowo, który doskonale pasował do wnętrza, pory i oświetlenia. Tymczasem ja znów opuściłam rękę na kolana, zsunęłam obrączkę i ukradkiem wrzuciłam ją do kieszeni.

Kiedy skończył grać, zastygł na chwilę z dłońmi na klawiaturze, po czym sięgnął po szklankę i wypił whisky do dna.

- Na nas już czas - oświadczył, wstając. - François musi się wyspać.

Wyjście na dwór przypominało powrót do świata po tygodniowej grypie: otoczenie zdawało się dziwnie wyolbrzymione, a ja straciłam orientację. Zrobiło się chłodno, na niebie migotały gwiazdy. Minęliśmy okiennice z kobietą w otoczeniu żołnierzy.

- Kim była? - zapytałam.

- To La Dame du Plô. Trzynastowieczna męczennica katarska. Żołnierze zgwałcili ją, a potem wrzucili do studni i zasypali kamieniami.

Zadrżałam; Jean-Paul otoczył mnie ramieniem.

- Chodź - powiedział - bo zaraz oskarżysz mnie o mówienie niewłaściwych rzeczy w niewłaściwym czasie.

Parsknęłam śmiechem.

- Jak Goethe.

- No właśnie, jak Goethe.

Wcześniej zastanawiałam się, czy nadejdzie chwila, gdy staniemy wobec konieczności podjęcia jakiejś decyzji i gruntownego jej przeanalizowania. Teraz rozumiałam, że prowadziliśmy cichą dysputę przez cały wieczór i owa decyzja już zapadła. Ulgą było w milczeniu podejść do jego samochodu i wsiąść do środka. Właściwie nie odzywaliśmy się prawie przez całą drogę. Kiedy mijaliśmy katedrę, zauważył na parkingu moje auto.

- Twój samochód - rzucił w formie stwierdzenia raczej niż pytania.

Kiedy wyjechaliśmy poza miasto, poprosiłam, aby odsunął dach. Oparłam policzek o Jean-Paula; on objął mnie i wodził palcami po moim nagim ramieniu, a ja odchyliłam głowę i patrzyłam na uciekające jawory.

Gdy minęliśmy most na Tarn, usiadłam prosto. Nawet o trzeciej nad ranem należało przestrzegać pewnych zasad. Jean-Paul mieszkał po przeciwnej stronie Lisle, na skraju miasteczka, niecałe dziesięć minut drogi od mojego domu, o czym usilnie starałam się teraz zapomnieć.

Wysiedliśmy z samochodu i razem zasunęliśmy dach. Ciemne okna okolicznych domów kryły się za zamkniętymi okiennicami. Weszliśmy po schodach prowadzących do

jego mieszkania. Stałam tuż za progiem; Jean-Paul zapalił lampę, oświetlając schludny pokój wypełniony książkami.

Odwrócił się i wyciągnął do mnie rękę. Przełknęłam ślinę; miałam zaciśnięte gardło. W decydującej chwili ogarnął mnie paniczny strach.

Wreszcie ujęłam jego dłoń i przyciągnęłam go do siebie, po czym wtuliłam twarz w jego szyję. Strach minął.

Sypialnia była nieduża, lecz stało w niej największe łóżko, jakie kiedykolwiek widziałam. Okno wychodziło na pola; poprosiłam, aby Jean-Paul nie zamykał okiennic.

Potem wszystko zlało się w jedno. Ani razu nie pomyślałam: teraz ja robię to, teraz on robi tamto. Myśli odpłynęły, zostały tylko dwa ciała, poznające się stopniowo i łączące w jedno.

Zasnęliśmy dopiero o wschodzie słońca.

Kiedy się obudziłam, słońce świeciło jasno. Leżałam w pustym łóżku. Usiadłam i rozejrzałam się dookoła. Stały tu dwa stoliki nocne, jeden zarzucony książkami, na ścianie wisiał czarno-fioletowy plakat z zapowiedzią fortepianowego koncertu jazzowego, a na podłodze leżała szorstka mata o barwie pszenicy. Pola za oknem miały odcień soczystej zieleni i rozciągały się aż do szosy wysadzonej rzędem jaworów. Wszystko otaczała aura prostoty, tak jak odzież Jean -Paula.

Drzwi otworzyły się i do sypialni wszedł Jean-Paul, ubrany na białą i czarno. Niósł małą filiżankę kawy. Postawił ją na stoliku i usiadł na brzegu łóżka obok mnie.

- Dziękuję za kawę. Skinął głową.

- Muszę iść do pracy.

- Jesteś pewien? Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Czuję się, jakbym w ogóle nie spała.

- Spałaś trzy godziny. Jak chcesz, możesz jeszcze pospać.

- Dziwnie byłoby leżeć w tym łóżku bez ciebie. Przesunął palcami po mojej nodze.

- Jeśli wolisz, zaczekaj, aż na ulicy będzie mniej ludzi.

- Chyba tak zrobię. - Naraz dotarły do mnie okrzyki przechodzących dzieci; przypominało to zburzenie barykady, pierwszy na jazd świata zewnętrznego. Jednocześnie napłynęła niemila świadomość konspiracji, konieczność zachowania ostrożności. Nie byłam pewna, czy jestem na to gotowa, czy mogę znieść tę jego trzeźwą ocenę sytuacji.

- Chodzi mi o ciebie - dodał, jakby czytając w moich myślach. Nie o mnie. Ze mną jest inaczej. Dla mężczyzny to zawsze inna sytuacja.

Jego rozsądek pomógł mi oprzytomnieć. Zmusił mnie do myślenia.

- To łóżko... - Urwałam. - Jest za duże dla jednej osoby. I nie miałbyś dwóch stolików i lamp, gdybyś w domu tylko nocował.

Jean-Paul popatrzył na mnie uważnie, po czym wzruszył ramionami; ten gest ostatecznie przywrócił mi jasność rozumowania.

- Przez jakiś czas mieszkałem z kobietą. Odeszła półtora roku temu. Łóżko to jej pomysł.

- Byłeś żonaty?

- Nie.

Położyłam mu rękę na kolanie i zacisnęłam palce.

- Przepraszam - powiedziałam po francusku. - Nie powinnam o to pytać.

Znów wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Wiesz co, Ello Tournier, przez tę wczorajszą gadkę po francusku zrobiły ci się szersze usta, mówię ci!

I pocałował mnie.

Kiedy zamknął za sobą drzwi frontowe, wszystko wydało mi się odmienione. Nigdy dotąd nie czułam się u kogoś tak dziwnie. Sztywno usiadłam na łóżku, upiłam łyk kawy i odstawiłam filiżankę. Nasłuchiwałam okrzyków dzieci, odgłosów przejeżdżających samochodów i skuterów. Bardzo za nim tęskniłam; chciałam jak najszybciej opuścić jego dom, lecz czułam się sparaliżowana odgłosami płynącymi z zewnątrz.

Wreszcie wstałam i wzięłam prysznic. Moja żółta sukienka była wygnieciona i przesiąknięta zapachem potu i dymu. Czułam się w niej okropnie. Chciałam wrócić do domu, ale zmusiłam się, aby odczekać, aż ulica nieco opustoszeje. Skróciłam sobie czas oczekiwania, przeglądając książki. Jean-Paul miał mnóstwo pozycji z dziedziny historii Francji, liczne powieści oraz kilka tytułów angielskich: Johna Updike'a, Virginii Woolf, Edgara Allana Poe. Osobliwa mieszanka. Zdziwiłam się, że wszystko poustawiano tak przypadkowo - beletrystyka stała obok podręczników historii, książki nie były nawet uszeregowane alfabetycznie. Widocznie Jean-Paul i nie prznosił nawyków z pracy na grunt domowy.

Wiedziałam, że nieprędko będę mogła tu wrócić. Raz jeszcze rozejrzałam się dokoła. Podeszłam do szafy w sypialni, wyjęłam jasnoniebieską koszulę Jean-Paula i wepchnęłam ją do torby.

Wychodząc na ulicę, czułam się, jakbym wkraczała na scenę, choć o ile mogłam się zorientować, publiczność raczej nie dopisała. Szybkim krokiem ruszyłam w kierunku centrum. Dotarłszy do miejsca, gdzie często widywano mnie rankiem, odetchnęłam wprawdzie z ulgą, lecz nadal czułam się jak na patelni. Byłam przekonana, że zewsząd ścigają mnie wszędobylskie spojrzenia, odnotowując wygniecioną sukienkę i podkrążone oczy. Daj spokój, Ello, przecież to dla ciebie nic nowego, upomniałam się w duchu. Wciąż jesteś tutaj obca, nie chodzi o to, że właśnie... Nie czułam się na siłach, aby dokończyć tę myśl.

Gdy znalazłam się na naszej ulicy, zrozumiałam, że nie chcę wracać do domu: jego widok przyprawił mnie o mdłości. Przystanąłam, oparta o węgiel domu sąsiadów. Kiedy wejść do swojego, pomyślałam, poczucie winy nie da mi spokoju.

Stałam tak dłuższy czas. Wreszcie zawróciłam i ruszyłam w stronę dworca. Musiałam pojechać po samochód, co dawało mi przynajmniej pretekst do odłożenia tego, czemu musiałam prędzej czy później stawić czoło.

W pociągu siedziałam jak pogrążona w letargu; w ostatniej chwili przypomniałam sobie o przesiadce na pociąg do Lavaur. Otaczali mnie urzędnicy jadący do pracy, kobiety z zakupami, flirtująca młodzież. Nie mieściło mi się w głowie, że wydarzyło się coś tak niezwykłego, a jednak nikt nie miał o tym pojęcia. „Czy pani wie, co właśnie zrobiłam? - chciałam zapytać ponurej kobiety, dziergającej coś na drutach naprzeciw mnie. - Czy na moim miejscu pani zrobiłaby to samo?”.

Lecz wydarzenia zachodzące w moim życiu nie miały wpływu ani na pasażerów, ani na resztę świata. Nadal wypiekano chleb, tankowano benzynę, pieczono tarty, pociągi przyjeżdżały na czas. Nawet Jean-Paul siedział w pracy jak gdyby nigdy nic, doradzając starszym paniom przy wyborze kolejnych romansów do przeczytania. A Rick prowadził z Niemcami rozmowy na temat kontraktu, kompletnie nieświadom tego, co zaszło. Wzięłam głęboki oddech: to tylko ja czułam się zagubiona i nie miałam do roboty nic więcej niż odebrać samochód i borykać się ze swoim poczuciem winy.

W kawiarni w Lavaur wypiałam espresso. Kiedy otwierałam drzwiczki auta, z lewej

strony dobiegło: *Eh, l'Américaine!*, i zobaczyłam, jak zmierza ku mnie łysiejący mężczyzna, z którym posprzeczałam się zeszłego wieczoru. Na jego twarzy jeżyła się trzydniowa szczecina. Otworzyłam szeroko drzwi, odgradzając się od intruza.

- *Salut* - powiedziałam.

- *Salut, madame.*

To oficjalne pozdrowienie nie uszło mojej uwagi.

- *Je m'appelle Ella* - odparłam lodowatym tonem.

- Claude. - Wyciągnął rękę i uścisnęliśmy sobie dłonie.

Czułam się idiotycznie. Wszystko świadczyło przeciwko mnie: samochód pozostawiony na parkingu, wygnieciona sukienka i zmęczona twarz nasuwały oczywisty wniosek. Pytanie tylko, czy mój rozmówca wykaże dość taktu, aby to przemilczeć. Miałam co do tego poważne wątpliwości.

- Napijesz się kawy?

- Nie, dziękuję. Już piłam.

Spojrzał na mnie z uśmiechem.

- Daj spokój, chodź ze mną na kawę. - Gestem pokazał, bym szła za nim. Nie ruszyłam się z miejsca. Obejrzał się, przystanął i wybuchnął śmiechem. - Aleś ty zadziorna! Jak mały kotek z wysuniętymi pazurkami... - zakrzywił palce - ... i zjeżonym futerkiem. W porządku, nie masz ochoty na kawę. Wobec tego usiądźmy na chwilę na ławce, dobrze? Tyle możesz zrobić. Mam ci coś do powiedzenia.

- Co?

- Chcę ci pomóc. Nie, to nie tak. Chcę pomóc Jean-Paulowi. No, usiądź. Tylko na chwilę. - Sam usiadł obok na ławce i spojrzał na mnie wyczekująco.

W końcu zatrasnęłam drzwiczki i usiadłam przy nim. Nie patrzyłam na niego, tylko na znajdujący się przed nami ogród, gdzie kwiaty na starannie skomponowanych klombach właśnie zaczynały zakwitać. Co chcesz mi powiedzieć? - Na przekór jego poufałości nadałam głosowi oficjalny ton. Bez rezultatu.

- Jean-Paul to nasz przyjaciel, mój i Janine. I wszystkich w „La Taverne”. - Wyjął paczkę papierosów i poczęstował mnie. Pokręciłam głową; zapalił jednego i rozparł się na ławce, prostując nogi, a następnie krzyżując je w kostkach. - Na pewno wiesz, że przez rok mieszkał z kobietą - podjął.

- Wiem. I co z tego?

- Opowiadał ci o niej?

- Nie.

- Była Amerykanką.

Zerknęłam na Claude'a, chcąc sprawdzić, jakiej oczekuje reakcji, on jednak z kamienną twarzą spoglądał na ulicę.

- Była gruba?

Claude ryknął śmiechem.

- Ach ty! - wykrzyknął. - Jesteś... Teraz rozumiem, co Jean-Paul w tobie widzi.

Złośnica!

- Dlaczego odeszła?

Wzruszył ramionami, jego uśmiech przygasł.

- Tęskniła za ojczyzną, czuła, że tu nie pasuje. Zarzucała ludziom nieżyczliwość.

Czuła się wyobcowana.

- Jezu wyrwało mi się po angielsku.

Claude pochylił się do przodu i oparł łokcie na rozstawionych kolanach, luźno zwieszając dłonie. Spojrzałam na niego.

- Nadal ją kocha?

Znów wzruszył ramionami.

- Wyszła za męża.

Cóż to za argument, a ja, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego głośno.

- Widzisz podjął - staramy się go trochę chronić. Poznajemy ładną Amerykankę, miłą, zadziorną i zapatrzoną w Jean-Paula, ale mężatkę, i myślimy... - wzruszył ramionami po raz trzeci - ... że może to nie jest dla niego najlepsze, choć on sam zdaje się tego nie zauważać. A może widzi, ale mimo to ulega pokusie.

- Przecież... - Nagle zabrakło mi argumentów. Jeśli powiem, że nie każda Amerykanka ucieka do domu z podkulonym ogonem (nie żebym sama w trudnych chwilach nie rozważała tej możliwości), Claude przypomni, że jestem mężatką. Nie wiedziałam, na co kładzie większy nacisk; być może stanowiło to część jego strategii. Pałałam do niego zbyt wielką antypatią, by chcieć to wy badać.

W każdym razie był zdania, że związek ze mną nie przyniesie Jean-Paulowi nic

dobrego.

Owa myśl, w połączeniu z brakiem snu oraz niedorzecznym przymusem wysłuchiwania tego, co sama dobrze wiedziałam, sprawiła, że nie wytrzymałam. Oparłam łokcie na kolanach i podniosłam ręce do oczu, jakby chcąc je osłonić przed słońcem. A potem zaczęłam cicho płakać.

Claude nagle wyprężył się jak struna.

- Przepraszam, Ello. Nie chciałem ci zrobić przykrości.

- A jak miałam zareagować? odrzekłam ostro.

W odpowiedzi położył rękę na sercu, tak samo jak poprzedniego wieczoru.

Wytarłam mokre od łez dłonie w sukienkę i wstałam.

- Muszę iść - mruknęłam, odgarniając włosy z twarzy. Nie czułam się na siłach, żeby mu podziękować lub powiedzieć „do widzenia”.

Płakałam przez całą drogę do domu.

Biblia leżąca na moim biurku była jak wyrzut sumienia. Samotne przesiadywanie w domu wydawało mi się nie do zniesienia, ale nie miałam wielkiego wyboru. Brakowało mi rozmowy z przyjaciółką; zwykle to właśnie pomagało mi przetrwać kryzys. Jednakże w Stanach był środek nocy, zresztą telefon to nie to samo. Tutaj nie miałam żadnej bratniej duszy. Najżyczliwszą osobą, jaką poznałam, wydawała się Mathilde, lecz flirt z Jean-Paulem tak bardzo ją pociągał, że pewnie nie byłaby zachwycona tym, co się stało.

Później tego samego ranka przypominałam sobie o popołudniowej lekcji. Zadzwoniłam do Tuluzy do madame Sentier i odwołałam spotkanie pod pretekstem choroby. Kiedy zapytała, co mi dolega, odpowiedziałam, że to gorączka związana z nagłą falą upałów.

- Ależ ktoś musi się panią zaopiekować! - zawołała.

Jej słowa przypomniały mi ojca i jego obawy, że utknę tu bez niczyjego wsparcia. „W razie problemów dzwoń do Jacoba Tourniera - poradził. - W takich chwilach dobrze jest mieć przy sobie rodzinę”.

„Jean-Paul,

Jadę do rodziny. To chyba najlepsze rozwiązanie.

Dłużej bym tu nie wytrzymała.

Zabrałam twoją błękitną koszulę.

Wybacz.

Ella".

Do Ricka nie napisałam listu; zadzwoniłam do jego sekretarki i zostawiłam dla niego tylko zwięzłą wiadomość.

Rozdział 7

SUKIENKA

Nigdy nie była sama. Ktoś zawsze jej towarzyszył, Etienne, Hannah lub Petit Jean. Zazwyczaj Hannah, co jeszcze nie było takie złe - teściowa nie mogła lub nie chciała z nią rozmawiać, poza tym była zbyt stara i krucha, by wyrzucić jej krzywdę, Etienne bowiem nie szczędził razów, synowi zaś, z jego nożem i wiecznym uśmiechem w oczach, przestała ufać.

Jak to się stało, myślała, zaplatając dłonie na karku i przyciskając łokcie do piersi, jak to możliwe, że nie mogę ufać własnemu synkowi? Stała w *devant-huis*, wyglądając na pobielale pola i ciemne góry w oddali. Nad nimi wisiało ołowiane niebo.

Hannah stanęła tuż za nią. Etienne zawsze wiedział, co robiła Isabelle, chociaż ona nigdy nie przyłapała męża na rozmowie z matką.

- Zamknij drzwi, *mémé!* - zawołał z izby Petit Jean.

Isabelle spojrzała przez ramię w głąb mrocznego, zadymionego pomieszczenia i zadrżała. Pozasłaniali okna i nie otwierali drzwi, więc dym utworzył gęstą, duszącą chmurę. Piekły ją oczy i gardło; poruszała się ociężale, jakby brodziła w wodzie. Tylko w *devant-huis* mogła normalnie oddychać, nawet pomimo zimna.

Hannah dotknęła ramienia synowej i wskazawszy głową palenisko, usunęła się na bok, aby wpuścić ją do izby.

Całe dni spędzała przy kołowrotku, przędąc konopie, których całe stosy czekały w stodole na swoją kolej. Przy pracy rozmyślała o miękkości niebieskiej tkaniny, udając przed sobą, że dotyka właśnie jej, a nie chropawego włókna, które kaleczyło skórę i pozostawiało na palcach pajęczynę zadrapań. Nie umiała prząść konopi równie gładko, jak niegdyś

przędła wełnę w Cévennes.

Wiedziała, że Jacob musiał ukryć gdzieś materiał, w lesie albo stodole, lecz nie zadawała żadnych pytań. Nie miała ku temu okazji, zresztą nawet gdyby znaleźli się na osobności, pozwoliłaby mu dochować tajemnicy. Inaczej Etienne mógłby siłą skłonić ją do mówienia.

Trudno jej było myśleć pośród dymu i stosów konopi, w głuchej ciszy zamkniętego domu. Etienne często świdrował ją spojrzeniem, a gdy je odwzajemniała, nie odwracał wzroku. Oczy bez rzesz budziły grozę, wzniecając w Isabelle poczucie winy i zagrożenia.

Mówiła coraz mniej, przestała się śmiać i opowiadać dzieciom historie. Miała wrażenie, że się kurczy, jakby milczenie czyniło ją niewidzialną, umożliwiając ucieczkę przed podejrzliwością otoczenia oraz nieokreśloną groźbą wiszącą w powietrzu.

Najpierw przyśnił jej się pasterz na polu żarnowca. Zrywał żółte kwiaty i gniótł ich płatki w palcach. Zaparż je gorącą wodą i wypij, polecił. Wtedy wyzdrowiejesz. Jego blizna znikła; gdy Isabelle o nią zapytała, odpowiedział, że przeniosła się na inną część ciała.

Potem śniła, że jej ojciec brodzi wśród gruzów spalonego komina, w dymiących ruinach domu. Kiedy go zawołała, zajęty poszukiwaniami nawet nie podniósł głowy.

Wreszcie zjawiała się kobieta. Isabelle nigdy nie mogła jej się przyjrzeć. Stała niekiedy w drzwiach wejściowych, pod drzewami, a raz przy rzece, która wyglądała jak Tarn. Jej obecność dodawała czasem otuchy, chociaż tamta zawsze milczała i nigdy nie podeszła dość blisko, aby Isabelle mogła zobaczyć jej twarz.

Po Bożym Narodzeniu sny minęły.

W świąteczny poranek cała rodzina tradycyjnie ubrała się na czarno, tym razem we własne rzeczy, wszystkie z konopi. Tkanina była szorstka i twarda, ale praktycznie niezniszczalna. Dzieci narzekały, że drapie i powoduje swędzenie. Isabelle w duchu przyznawała im rację, ale nie zabierała głosu.

Przed kościołem Świętego Piotra zobaczyli w tłumie Gasparda i podeszli bliżej, aby go powitać.

- *Ecoute, Etienne* - powiedział Gaspard - w gospodzie spotkałem człowieka, który sprowadzi granit na twój komin. We Francji, jakiś dzień drogi stąd, w Montbéliard, znajduje się kopalnia granitu. Wiosną mógłby ci przywieźć duży blok. Tylko podaj mi wymiary, to prześlę wiadomość przez następną osobę, która będzie się wybierała w tamte strony.

Etienne skinął głową.

- Mówiłeś mi, że zapłacę w konopiach?

- *Bien sûr.*

Etienne odwrócił się do kobiet.

- Wiosną postawimy komin - oznajmił ściszym głosem, żeby nie urazić szwajcarskich sąsiadów.

- Chwała Najwyższemu - wyrwało się Isabelle.

Rzuciwszy jej przelotne spojrzenie, zacisnął usta i obrócił się na pięcie. W tej samej chwili stanęła przy nich Pascale. Skinęła głową Hannah i posłała Isabelle niepewny uśmiech. Widywały się w kościele, lecz nigdy nie zdołały zamienić ani słowa.

Podszedł pastor, Abraham Rougemont. Kiedy witał się z Hannah, Isabelle skorzystała z okazji, aby porozmawiać z Pascale.

- Wybacz, że cię nie odwiedzam. To teraz... bardzo trudne.

- Czy oni wiedzą... czy wiedzą o...

- Nie. Nie musisz się o to martwić.

- Isabelle, mam...

Urwała zarumieniona, gdyż Hannah stanęła u boku Isabelle i z zaciśniętymi ustami wlepiła wzrok w twarz córki szynkarza. Pascale wahała się przez chwilę, po czym rzekła po prostu:

- Niechaj Bóg ma was tej zimy w swojej opiece. Isabelle uśmiechnęła się blado.

- Was również.

- Przyjdziecie do nas w przerwie między nabożeństwami?

- *Bien sûr.*

- To dobrze. Jacob, *chéri*, co przyniosłeś dla mnie tym razem? Chłopiec wyjął z kieszeni matowy zielony kamień w kształcie piramidy i podał go Pascale.

Isabelle odwróciła się, aby wejść do kościoła. Kiedy spojrzała przez ramię, Jacob szeptał coś do ucha Pascale.

Po porannej mszy Etienne odwołał Isabelle na bok.

- Ty i *maman* wracacie do domu oznajmił stłumionym głosem.

- Ale nabożeństwo w Chalières...

- Nie idziesz na mszę, La Rousse.

Isabelle otworzyła usta, lecz zamilkła, widząc oczy męża. Nie zobaczę Pascale, pomyślała. Nie zobaczę Dziewicy w kościele. Przymknęła oczy i uniosła ręce do głowy, jak w oczekiwaniu ciosu.

Etienne chwycił ją za łokieć i wypchnął z tłumu.

- Idź - powiedział, popychając ją w kierunku domu. Hannah stanęła obok synowej.

Isabelle sztywno wyciągnęła rękę.

- Marie! - zawołała. Dziewczynka doskoczyła do matki.

- *Maman* - powiedziała, ujmując wyciągniętą rękę.

- Nie. Marie pójdzie z nami do kościoła. Chodź tutaj, Marie. Dziewczynka popatrzyła na matkę, po czym przeniosła wzrok na ojca. Puściwszy dłoń Isabelle, stanęła w połowie drogi między rodzicami.

- Tutaj. - Etienne wskazał miejsce obok siebie. Marie spojrzała na niego wielkimi niebieskimi oczami.

- Papo - powiedziała głośno - jeśli uderzysz mnie tak jak *maman*, będę krwawić!

Gniew przydał Etienne'owi wzrostu. Postąpił krok w stronę córki; Hannah powstrzymała go ostrzegawczym gestem i pokręciła głową. Mężczyzna zerknął na tłum: wśród zebranych zapadła cisza. Rzuciwszy Marie wściekłe spojrzenie, odwrócił się na pięcie i wielkimi krokami podążył w kierunku domu Gasparda.

Hannah skrzyła w ścieżkę prowadzącą do ich gospodarstwa. Isabelle nie ruszyła się z miejsca.

- Marie - powiedziała - chodź z nami.

Marie stała jak wrośnięta w ziemię, dopóki Jacob nie podszedł bliżej i nie wziął jej za rękę.

- Chodźmy nad rzekę - zaproponował.

Marie pozwoliła się odprowadzić. Żadne z dzieci ani razu się nie obejrzało.

Kiedy mróz nie pozwalał im opuścić domu, Jacob bawił się z Marie, wymyślając coraz to nowe zabawy z kamieniami. Uczył ją liczyć i sortować kamyki na przeróżne sposoby: według kolorów, rozmiarów, pochodzenia. Tworzyli z kamieni zarysy różnych przedmiotów. Kładli na podłodze kosę i obkładali ją ze wszystkich stron, następnie podnosili narzędzie, pozostawiając na ziemi jego kontur. To samo robili z grabiami, łopatami, rondlami, ławą, sukienkami, spodniami oraz własnymi dłońmi.

- Teraz obrysuję cię - zaproponował któregoś wieczoru.

Marie ze śmiechem klasnęła w rękę. Położyła się na plecach, a Jacob starannie rozłożył brzegi sukienki, tak aby odtworzyć jej pełny zarys. Uważnie dobierał kamienie: francuski granit dokoła głowy i szyi, białe wokół sukienki, ciemnozielone wokół nóg, stóp oraz dłoni. Pracował metodycznie, trzymając się krawędzi ubrania, a nawet zaznaczając pas oraz zwężenie rękawów. Skończywszy, pomógł Marie wstać, tak by nie naruszyć kamieni. Wszyscy podziwiali zarys sylwetki dziewczynki na klepisku. Isabelle podniosła głowę i zobaczyła, że Jacob i Etienne z nateżeniem wpatrują się w kamyki. Etienne lekko poruszał ustami.

On liczy, pomyślała. Dlaczego? Ogarnęła ją fala strachu.

- Przestańcie! - krzyknęła, zrywając się z miejsca i rozrzucając kamienie.

Ciemne miesiące po świętach były najcięższe. Nastał taki ziąb, że drzwi otwierali tylko raz dziennie, po to, by przynieść drewno i konopie. Niebo było szare i nabrzmiałe śniegiem, przez co na dworze panował niemal taki sam mrok, jak w domu. Isabelle wyglądała na zewnątrz w nadziei na chwilę wytchnienia, lecz ociążałe niebo i jednolita powierzchnia śniegu, przebita gdzieniegdzie wierzchołkiem skały nie dodawały jej otuchy. Czując dotyk mrozu na skórze, miała wrażenie, że ktoś przyciska jej do ciała metalowy pręt.

Metal czuła również na języku, w twardym żytnim chlebie, wypiekany przez Hannah co tydzień we wspólnym piecu oraz w papkowatym gulaszu warzywnym, który jadali dzień w dzień. Musiała zmuszać się do jedzenia i ukrywać wstręt, nie zważając na obecny w ustach smak krwi. Często pozwalała Marie dokończyć swoją porcję.

Potem zaczęło jej dokuczać swędzenie w zgięciach łokci i pod kolanami. Najpierw drapała się przez warstwę odzieży: było za zimno, żeby się rozebrać i wyłapać wszy. Jednakże któregoś dnia ujrzała krew sączącą się przez ubranie. Podciągnąwszy rękawy obejrzała bolące miejsce: złuszczoną, srebrzystą skórę i szorstkie place czerwieni. Ani śladu wszy. Ukryła rdzawe plamy w obawie, że Etienne znów ją o coś oskarży.

Nocą leżała w łóżku i wpatrzona w ciemność drapała się możliwie najostrożniej, żeby nie obudzić Etienne'a. Wsłuchana w jego miarowy oddech wołała nie zasypiać, aby w razie czego być gotową, chociaż sama nie wiedziała na co.

Myślała, że jest ostrożna, lecz którejs nocy mąż chwycił ją za rękę i odkrył krew. Pobił ją, a potem wziął brutalnie od tyłu. Przynajmniej nie musiała patrzeć na jego twarz.

Któregoś wieczoru odwiedził ich Gaspard.

- Zamówiłem granit - powiedział do Etienne'a. wyciągając z kieszeni fajkę i sięgając po krzesiwo. Uzgodniłem cenę i podałem wymiary. Dostaniesz go przed Wielkanocą. Może potrzebujesz więcej? Czy tylko na komin?

Etienne pokręcił głową.

- Nie stać mnie. Zresztą tutejszy wapień też się nada. Najważniejsze jest palenisko, na nie potrzeba najtwardszego kamienia. Gaspard zarechotał.

- W gospodzie powiadają, żeś postradał zmysły. Po co mu komin, pytają. Ma taki piękny dom!

Zapadła cisza: Isabelle wiedziała, o czym wszyscy myślą: wspominali komin Tournierów.

Marie uwiesiła się łokcia Gasparda. w oczekiwaniu, że gość ją połaskocze. Mężczyzna polechtał ją pod brodą i wytarł za uszy.

- Zachciało ci się komina, *mon petit souris*, he? Dym ci się nie podoba?

- To *maman* najbardziej nie lubi dymu - odparła z chichotem Marie.

- Ach. Isabelle. Gaspard zwrócił na nią wzrok. Źle wyglądasz. Jadasz ty aby jak należy? Hannah zmarszczyła brwi.

-Pod moim dachem nie brakuje jedzenia odpowiedział za żonę Etienne dla tych, którzy nim nie gardzą.

- *Bien sûr.* - Gaspard strzepnął rękami, jakby wygładzał zmiętą odzież. Mieliście udane zbiory, macie kozy, wszystko w jak najlepszym porządku. Brakuje tylko komina dla *madame*. Skinął Isabelle głową. Trzeba spełniać jej zachcianki.

Isabelle zamrugała i spojrzała poprzez dym na szynkarza. Ponownie zapadła cisza, przerwana wreszcie niepewnym śmiechem Gasparda.

- To był żart! zawołał. - Chciałem się z tobą podroczyć, nic więcej.

Po jego wyjściu Etienne krążył po izbie, oglądając ze wszystkich stron palenisko.

- Piec stanie tutaj - powiedział do najstarszego syna, klepnąwszy ścianę najdalej od drzwi. - W tym miejscu będziemy mogli przebić dach. Widzisz? Tu postawimy cztery kolumny - wskazał dokładnie miejsce - podtrzymujące kamienny pułap, który wyprowadzi dym do góry i na zewnątrz.

- Jakiej wielkości będzie palenisko, papo? - zapytał Petit Jean. - Jak na starej farmie?

Etienne rozejrzał się wokół, wreszcie jego spojrzenie spoczęło na Marie.

- Tak- odpowiedział. - Jak największe. Co ty na to Marie?

Rzadko wypowiadał jej imię. Isabelle wiedziała, że go nienawidzi. Zagroziła, że rzuci przekleństwo na zbiory, jeśli mąż nie pozwoli jej nazwać dziecka Marie. Przez wszystkie lata spędzone z Tournierami tylko ten jeden jedyny raz odważyła się wykorzystać strach, jaki w nich budziła. Teraz strachu nie było, zastąpił go gniew.

Marie zmarszczyła brwi. Kiedy Etienne nie przestał świdrować jej lodowatym spojrzeniem, wybuchnęła płaczem.

Isabelle objęła córkę ramieniem.

- Nic się nie stało, *chérie*, nie płacz - szepnęła, gładząc ją po włosach. - Tylko pogorszysz sprawę. Nie płacz.

Ponad głową Marie zobaczyła Hannah skuloną w najdalszym kącie izby. Przez chwilę myślała, że coś jej się stało. Wyglądała inaczej, pajęczyna zmarszczek wydawała się głębsza niż zazwyczaj. Isabelle dopiero po chwili zrozumiała, że stara się uśmiecha.

Isabelle zaczęła pilnować Marie jak oka w głowie. Uczyła ją prząść, kazała córce związać motki przędzy, robiła na drutach sukienki dla jej lalki. Wciąż dotykała córki, chwytając ją za ramię, gładziła po włosach, jakby chciała się upewnić, że dziewczynka nadal przy niej jest. Starannie myła jej twarz zmoczonym ręcznikiem, przez co skóra jaśniała w oparach dymu.

- Muszę cię widzieć, *ma petite* - mówiła, choć Marie nigdy nie prosiła o wyjaśnienie.

Isabelle odgradzała córkę od teściowej, fizycznie stając pomiędzy nimi.

Nie zawsze jej się jednak udawało. Któregoś dnia Marie przyszła do Isabelle z błyszczącymi wargami.

- *Mémé* posmarowała mi chleb smalcem! - zawołała. Isabelle zmarszczyła brwi.

- Może tobie też posmaruje - ciągnęła dziewczynka - żeby cię podtuczyć. Jesteś taka chudziutka, *maman*. I taka zmęczona.

- Dlaczego *mémé* chce cię utuczyć?

- Może chce mnie wyróżnić.

- W oczach Boga nikt nie zasługuje na wyróżnienie - upomniała ją surowo Isabelle.

- Ale smalec jest dobry, *maman*. Taki dobry, że jeszcze bym zjadła.

Pewnego ranka obudziło Isabelle kapanie i zrozumiała, że już po zimie.

Etienne otworzył drzwi, żeby wpuścić słońce i ciepło, które pomogło jej wstać. Śnieg topniał, tworząc strużki wpadające do strumienia. Dzieci wybiegły na dwór jak wypuszczone z uwięzi i dokazywały ze śmiechem, rozchlapując błoto.

Isabelle uknęła w ogrodzie przy domu, grzęznąc kolanami w błotnistej mazi. Po raz pierwszy od miesiący znalazła się sama; w wiosennym ferworze wszyscy o niej zapomnieli. Schyliła głowę i pomodliła się głośno.

- Matko Przenajświętsza, nie przetrwam drugiej takiej zimy - szeptała. - Jedna to wszystko, co mogę znieść. Proszę, uchron mnie przed kolejną. - Przycisnęła ręce do brzucha. - Ocal mnie i dziecko. Wiesz o nim tylko Ty jedna.

Isabelle nie była w Moutier od Bożego Narodzenia. Przez całą zimę tylko Hannah nosiła chleb do pieczenia. Przy ładnej pogodzie Etienne zabierał dzieci do kościoła, lecz Isabelle zawsze zostawała z Hannah. Kiedy usłyszeli gwizd nadjeżdżającego z wiosenną wizytą kramarza, Isabelle nie oczekiwała, że pozwolą jej pójść; w obawie przed biciem wołała o to nawet nie pytać. Została w ogrodzie, dalej siejąc zioła.

Przyszła do niej Marie.

- *Maman* - powiedziała. - Idziesz?

- Nie, *ma petite*. Widzisz, że jestem zajęta.

- Ale papa kazał mi cię znaleźć. Mówi, że możesz iść.

- Ojciec chce, żebym poszła do miasta?

- Tak. - Marie zniżyła głos. - Chodź, *maman*. Nic nie mów. Tylko chodź.

Isabelle spojrzała na twarzyczkę córki, na jej niebieskie oczy i włosy, jasne z wierzchu, ciemniejsze pod spodem, jak niegdyś włosy jej ojca. Rude włosy znowu zaczęły się pojawiać, jeden każdego dnia. Hannah sama je wyrywała.

- Jesteś za mała, żeby być taka mądra.

Marie zakręciła się w kółko, skubnęła młody krzaczek lawendy i ze śmiechem puściła się biegiem.

- Idziemy do miasta, wszyscy! - wykrzyknęła.

Kiedy ujrzały cizbę oblegającą wóz handlarza, Isabelle usiłowała przywołać na twarz uśmiech. Czuła na sobie spojrzenia mieszkańców. Nie wiedziała, jakie pogłoski krążą na jej temat, czy Etienne tłumił je, czy też raczej podsycił. A może nie było żadnych pogłosek.

Monsieur Rougemont podszedł do niej.

- Miło znów cię widzieć, Isabelle - powitał ją sztywno, ujmując jej rękę. - Mam nadzieję, że zobaczymy się w niedzielę?

- Tak - odpowiedziała. Przecież nie traktowałby tak czarownicy, pomyślała niepewnie.

Podeszła zatroskana Pascale.

- Isabelle, byłaś chora?

Isabelle zerknęła z wahaniem na Hannah, która stała tuż obok.

- Tak - odrzekła. - Byłam chora na zimę. Ale teraz mi lepiej.

- *Bella!* - zabrzmiał głos za jej plecami. Odwróciła się i zobaczyła handlarza, który spoglądał na nią ze swojego wozu. Ujął jej dłoń i pocałował. - Jakże miło cię widzieć, *madame!* To prawdziwa radość. - Nie puszczejąc ręki Isabelle oprowadził ją dookoła wozu, wskazując na piętrzące się na nim towary.

Etienne, Hannah i dzieci zostali na swoich miejscach, jak gdyby rzucił na nich urok.

Wreszcie puścił dłoń Isabelle i przykucnąwszy na brzegu wozu, popatrzył uważnie na jej twarz.

- Ależ ty jesteś smutna, *Bella* - powiedział cicho. - Co ci się stało? Jak możesz być smutna, mogąc patrzeć do woli na tak piękną tkaninę?

Isabelle pokręciła głową; nie mogła mu tego wyjaśnić. Przymknęła oczy, żeby ukryć łzy.

- Posłuchaj, *Bella* - podjął handlarz, równie cicho jak przedtem. - Posłuchaj. Muszę cię o coś zapytać.

Popatrzyła na niego.

- Ufasz mi, prawda?

Zajrzała w jego ciemne oczy.

- Tak, ufam ci - szepnęła.

Musisz mi powiedzieć, jakiego koloru są twoje włosy. Isabelle odruchowo uniosła rękę do zawoju.

- Po co?

- Mam wiadomość, być może dla ciebie, ale najpierw muszę sprawdzić kolor twoich włosów.

Isabelle pokręciła głową.

- Ostatnia wiadomość, jaką mi przekazałeś, dotyczyła śmierci mojej szwagierki. Dlaczego miałabym chcieć usłyszeć od ciebie coś więcej?

Kramarz nachylił się bliżej.

- Ponieważ jesteś smutna, a ta wiadomość może cię uszczęśliwić. Obiecuję, *Bella*. Żadnych złych wiadomości. Poza tym... - Urwał, patrząc uważnie w jej twarz. - Ostatniej zimy nie wiodło ci się najlepiej, prawda? Nie usłyszysz o niczym gorszym niż to, co sama przeżyłaś.

Isabelle popatrzyła na błoto pod nogami. Następnie wzięła głęboki oddech.

Rude - odpowiedziała. - Moje włosy są rude. Handlarz uśmiechnął się szeroko.

- Jednym słowem piękne, czyż nie? Jak włosy Najświętszej Pani. Czego tu się wstydzić? Dobra odpowiedź! Teraz możesz usłyszeć wiadomość. Pochodzi od pasterza, którego spotkałem zimą w Alès. Opisał cię i kazał znaleźć. Ma czarne włosy i bliznę na policzku. Czy wiesz, o kogo chodzi?

Isabelle zamarła. Zza dymu, wyczerpania i strachu, zasnuwających jej myśli, błysnęło jasne światelko.

- Paul - szepnęła.

- *Si, si*, tak go nazywają! Kazał ci powiedzieć... - kramarz przymknął oczy i myślał chwilę - ... że nadal szuka cię każdego lata w pobliżu źródeł Tarn. Zawsze cię szuka.

Isabelle rozplakała się. Na szczęście podeszła do niej Marie, a nie Etienne lub Hannah.

- Co się stało, *maman*? Co ci powiedział ten zły człowiek? - zapytała, patrząc na handlarza kosym okiem.

- On nie jest złym człowiekiem - odrzekła Isabelle przez łzy. Handlarz ze śmiechem potar mosił dziewczynkę za włosy.

- Ty, *bambina*, jesteś jak łódeczka, jak gondola. Kołyszysz się i utrzymujesz na wodzie, jesteś dzielna, ale bardzo mała.

Nadal przeczesywał palcami włosy dziewczynki, aż natknął się na rudy kosmyk, niezauważony przez Hannah.

- Widzisz - powiedział do Isabelle. - Nie ma powodu do wstydu. Są piękne.

- Powiedz mu, że zawsze jestem tam myślami - odrzekła Isabelle. Marie spojrzała pytająco.

- Komu ma to powiedzieć?

- Nieważne, Marie. Tak sobie rozmawiamy. Dziękuję - zwróciła się Isabelle do kramarza.

- Bądź szczęśliwa, *Bella*.

- Spróbuję.

W Wielki Czwartek przywieziono kamień na palenisko.

Etienne i chłopcy orali pole, a Isabelle i Hannah sprzątały dom, usuwając zeń pozostałości zimowego dymu i mroku. Wyszorowały podłogi i ściany, wyparzyły rondle, uprały odzież, zmieniły siano w materacach, wyczyściły stodołę. Jeszcze nie bielili ścian. We wszystkich domach w dolinie na wiosnę bielono izby, ale Tournierowie chcieli najpierw zbudować komin.

Isabelle mieszała w kadzi parującą odzież, gdy naraz zobaczyła nadjeżdżający wóz, z trudem ciągnięty przez konia.

- Marie, powiedz ojcu, że przywieźli granit - poleciała.

Marie rzuciła kij, którym mieszała pranie, i pobiegła w stronę pola.

Kiedy Etienne i chłopcy stanęli w progu, woźnica siedział już przy świeżo wyszorowanym stole nad miską gulaszu. Skończył jeść i podniósł głowę.

- Trzeba nam jeszcze dwóch chłopca, coby go unieść. Etienne skinął na Petit Jeana.

- Idź po Gasparda - rozkazał.

I zaczął objaśniać, jak zamierza postawić komin.

- Najpierw wykopię dół, ażeby kamień był na równi z podłogą - powiedział.

Hannah, która stała za synem, ponownie napełniła miskę woźnicy i głośno postawiła ją na stole.

- Dlaczego teraz go nie wykopiesz? - spytał mężczyzna. - Od razu moglibyśmy położyć kamień.

- To by za długo trwało wykrecił się Etienne. - Grunt jest jeszcze zamarznięty. Nie chcę cię zatrzymywać.

Woźnica tupnął w podłogę.

- Jakoś mi się nie widzi, żeby był zamarznięty.

- Wciąż jest twardy. Pracuję w polu, nie mam teraz czasu na kopanie. Zresztą nie spodziewałem się ciebie tak prędko. Miałeś przyjechać po Wielkanocy.

Nieprawda, pomyślała Isabelle, spoglądając bacznie na męża, który utkwiał wzrok w miejscu, gdzie tamten wygrzebał obcasem w ziemi niewielkie zagłębienie. Gaspard mówił, że przyjedzie przed Wielkanocą. Rzadko się zdarzało, by Etienne tak kłamał.

Woźnica dokończył drugą porcję gulaszu.

- Twoje kobiety nie mają kłopotów z gotowaniem - rzekł, wskazując głową ogień trzaskający w rogu izby. - Po co to zmieniać?

Etienne wzruszył ramionami.

- Jesteśmy przyzwyczajeni do komina.

- Ale teraz mieszkacie w innym kraju. Tutaj panują inne zwyczaje. Pora, aby stały się również waszymi.

- Niektóre dawne przyzwyczajenia będą nam towarzyszyć bez względu na to, gdzie się znajdziemy - wtrąciła Isabelle. - Są częścią nas. Nic nie jest w stanie ich zmienić.

Wszyscy wytrzeszczyli na nią oczy, twarz Etienne'a skrzywił brzydki grymas.

Po co się odzywałam? pomyślała. Przecież wiem, że milczenie jest najlepszym rozwiązaniem. Dlaczego to powiedziałam? Pobić mnie, tak jak w zimie. Może skrzywdzić dziecko. Dotknęła brzucha.

Przybycie mężczyzn sprawiło, że Etienne nie miał czasu dać upustu złości. Trzeba było czterech osiłeków, żeby unieść głaz i wnieść go do środka, a następnie ustawić pod ścianą tuż za drzwiami. Jacob powiódł rękami po granicy. Marie rozciągnęła się na nim jak na łóżku.

- Jest ciepły, *maman* - oznajmiła. - Jak dom.

Wielkanoc była czasem odkupienia, trudy zimy szły w zapomnienie. Isabelle wyjęła czarną odzież na mszę i przebrała się, tak podniecona i rozradowana, że ją samą to zdziwiło.

To się nazywa nadzieja, pomyślała. Coś, o czym zapomniałam.

Zastanawiała się, czy Etienne zabroni jej pójść do kościoła za to, co powiedziała woźnicy, lecz on nawet o tym nie wspomniał. Śmiałość żony stanowiła dobrą przeciwwagę dla jego kłamstwa.

Isabelle pomogła Marie się ubrać. Dziewczynka nie mogła usiedzieć w miejscu, skakała po izbie, śmiejąc się do siebie. Gdy mieli wyruszyć z domu, ujęła matczyną rękę i we troje, Isabelle, Marie i Jacob, ruszyli wąską ścieżką tuż za Hannah i Etienne'em. Petit Jean biegł na czele pochodu.

Isabelle nie miała odwagi myśleć o fresku w Chalières. Wystarczy, że pójde na pierwszą mszę, zobacze ludzi, zakosztuje słońca, myślała. Nic więcej mi nie potrzeba.

Po mszy Etienne bez słowa skierował się w stronę domu Gasparda, a reszta rodziny podążyła za nim. Pascale z uśmiechem dołączyła do Isabelle.

- Cieszę się, że idziesz na drugą mszę - wyszeptała. - Dobrze, że dzisiaj tu jesteś.

U szynkarza Isabelle usiadła przy ogniu obok Pascale i słuchała plotek, których uzbierało się sporo przez całą zimę.

- Dam głowę, że o tym słyszałaś! - wykrzykiwał Gaspard, zanim przystąpił do opowiadania kolejnej historii. - Hannah na pewno ci powtórzyła! Ach! - Poniewczasie przycisnął rękę do ust i zerknął na Hannah, która siedziała z zamkniętymi oczyma obok syna na drugiej ławie. Otworzyła je teraz i popatrzyła na Gasparda. Ten roześmiał się nerwowo.

- Hannah - dorzucił pośpiesznie - znasz wszystkie plotki, *n'est-ce pas?* Słyszysz, chociaż nie możesz mówić.

Stara wzruszyła ramionami i znów zacisnęła powieki.

Starzeje się, pomyślała Isabelle. Dokucza jej zmęczenie. Ale może mówić, jestem tego pewna.

Petit Jean ulotnił się z synami sąsiada, lecz Jacob i Marie snuli się w pobliżu, patrząc wyczekująco błyszczącymi oczyma.

- Chodźcie, pokażę wam kozłątka - powiedziała wreszcie Pascale. - Ty zostań, Isabelle. - I zaprowadziła dzieci do stodoły.

Niebawem wszyscy troje wrócili rozchichotani, zwłaszcza Marie. Chodziła po pokoju z głową podniesioną wysoko, jakby miała na niej koronę.

- I jak kozłątka? - spytała Isabelle.

- Mięciutkie - odrzekł Jacob, po czym oboje z Marie wybuchnęli śmiechem.

- Chodź no tutaj, *petit souris* - zawołał Gaspard - bo wrzucę cię do rzeki!

Marie uciekała przed nim z piskiem. Gaspard złapał ją wreszcie i zaczął łaskotać.

- Rób tak dalej, a przez całą mszę będzie się wiercić - rzucił sztywno Etienne.

Gaspard natychmiast puścił Marie.

Pascale znów usiadła obok Isabelle. Na jej ustach błędził niezrozumiały uśmiech. Nauczona doświadczeniem, Isabelle powstrzymała się od zadawania pytań.

- Zatem niedługo będziesz miała komin - powiedziała Pascale.

- Tak. Etienne ustawi palenisko po siewach, naturalnie z pomocą Gasparda. Granit jest taki ciężki. Potem zbuduje komin.

- Nigdy więcej dymu. - W głosie Pascale zabrzmiała nuta zawiści.

- Nigdy więcej. Pascale zniżyła głos.

- Wyglądasz lepiej niż ostatnio.

Isabelle rozejrzała się ukradkiem. Etienne i Gaspard byli zatopieni w rozmowie, Hannah wyglądała na pogrążoną we śnie.

- Tak, częściej wychodzę na dwór - odrzekła ostrożnie. - Mam okazję zaczerpnąć świeżego powietrza.

- To coś więcej. Wyglądasz na szczęśliwszą. Jakby ktoś powierzył ci jakiś sekret.

Isabelle pomyślała o pasterzu.

- Może i tak było.

Pascale wytrzeszczyła oczy. Isabelle parsknęła śmiechem.

- Nie - odpowiedziała. - To tylko wiosna i komin.

- Jednym słowem, dzieci nic ci nie powiedziały. Isabelle wyprostowała się.

- A co miały mi powiedzieć?

- Nic. Pora coś zjeść. Niedługo musimy iść do Chalières. - Pascale wstała, nim Isabelle zdążyła coś powiedzieć.

Po posiłku ruszyli w stronę kaplicy: najpierw Etienne i Gaspard z Hannah uwieszoną na łokciu syna, dalej kobiety oraz Marie trzymająca Isabelle za rękę, wreszcie Petit Jean z grupą przyjaciół, przepychając się i pokrzykując. Jacob podążał samotnie na końcu, z rękami w kieszeniach i uśmiechem na twarzy.

Przybyli wcześniej; kaplica była wypełniona ledwie do połowy i mogli zająć takie miejsca, aby móc obserwować pastora. Isabelle stała ze spuszczonym wzrokiem, lecz w każdej chwili mogła podnieść spojrzenie na fresk. Marie wierciła się u jej boku, chichocząc i obejmując się ramionami.

- *Maman* - szepnęła. Podoba ci się moja sukienka?

Isabelle spojrzała na córkę.

- Jest odpowiednia, *ma filie*. Czarna sukienka na dni święte.

Marie roześmiała się cicho, a kiedy Jacob skarcił ją wzrokiem, przygryzła wargę.

- Wy coś knujecie oznajmiła Isabelle.
- Tak, *maman* - odpowiedział Jacob.
- Przestańcie dokazywać: jesteście w domu bożym.

Podczas nabożeństwa Isabelle kilkakrotnie zerknęła na Dziewicę. Niekiedy czuła na sobie wzrok Etienne'a, lecz starannie ukrywała radość i zachowała kamienną twarz.

Monsieur Rougemont długo przemawiał o ofierze Chrystusa oraz potrzebie życia w czystości.

- Bóg wyznaczył już tych, którzy podążą do nieba za Jego synem - głosił monotonie.
- Świadczy o tym wasze postępowanie. Jeżeli grzeszycie, jeżeli mimo poznania Prawdy trwacie w dawnych nawykach, czcicie fałszywych idoli... - Isabelle spuściła wzrok - ...i folgujecie złym myślom, nie macie szansy na przebaczenie Pańskie. Jeśli jednak wiedziecie prawe życie, ciężko pracując i wielbiąc Najwyższego, być może okażecie się jednymi z wybranych, którzy są godni ofiary Jego syna. Módlmy się.

Policzki Isabelle płonęły żywym ogniem. Mówi do mnie, pomyślała. Ukradkiem zerknęła na Hannah i Etienne'a; ku jej zdumieniu oboje mieli strach wypisany na twarzach. Spojrzała w drugą stronę i ujrzała identyczny wyraz na obliczach sąsiadów, z wyjątkiem dzieci, które spoglądały przed siebie z niewzruszonym spokojem.

Może żadne z nas nie zostało wybrane, pomyślała. I jesteśmy tego świadomi.

Podniosła wzrok na Dziewicę.

Pomóż mi - poprosiła w duchu. - Pomóż mi zasłużyć na przebaczenie.

Na koniec mszy monsieur Rougemont przyniósł kielich wina i opłatki.

- Najpierw dzieci - zakomenderował. - Błogosławione niewiniątka.

- Idź. - Isabelle lekko pchnęła Marie.

Jacob i Petit Jean podążyli za siostrą, po czym uklękli przed pastorem.

Isabelle znów przeniosła spojrzenie na fresk. Popatrz na mnie, błagała w myślach. Pokaż, że moje grzechy zostały odpuszczone.

Dziewica stała ze spuszczonego wzrokiem, wpatrzona w coś, co znajdowało się poniżej. Isabelle podążyła za tym spojrzeniem i jej oczy spoczęły na Marie. Dziewczynka klęczała, cierpliwie czekając na swoją kolej, z fałdami sukienki zebranymi wokół kolan. Spod spodu wystawała halka. Ale nie była biała. Była niebieska. Marie miała na sobie halkę uszytą z niebieskiej tkaniny.

Isabelle głośno chwyciła ustami oddech, zwracając uwagę rodziny i sąsiadów. Mimo usilnych starań nie mogła oderwać oczu od halki.

Inni też ją zauważyli. Przez kaplicę przetoczyła się fala szeptów i poszturchiwań. Jacob, klęczący obok Marie, zerknął przez ramię, po czym opuścił wzrok na nogi siostry. Zrobił ruch, jakby chciał jej obciągnąć sukienkę, ale się powstrzymał.

Kiedy Etienne zrozumiał, o co chodzi, jego twarz najpierw zbladła, a potem poczerwieniała. Przepchnął się przez tłum i szarpnięciem postawił Marie na nogi. Na widok ojca dziewczynka przestała się uśmiechać. Zupełnie jakby wycofała się w głąb siebie. Etienne powlókł ją w stronę wyjścia, po czym oboje zniknęli na zewnątrz.

Jacob podniósł się z kolan; stał bez ruchu przed klęczącymi dziećmi i nie spuszczał wzroku z drzwi kościoła. Wychodząc za mężem, Isabelle dostrzegła w przelocie twarz Pascale, która zaczęła płakać.

Przepchnęła się do drzwi. Na dworze Etienne zadarł wysoko czarną sukienkę Marie i patrzył na niebieską, włożoną pod spód.

- Kto ci to dał? Kto cię ubrał? - zapytał. Kiedy Marie nie odpowiedziała, pchnął ją, tak że upadła na kolana.

- Kto ci to dał? Kto?

Dziewczynka milczała. Etienne uderzył ją mocno w tył głowy. Przewróciła się na twarz.

- Ja - skłamała Isabelle.

Etienne odwrócił się do żony.

- Powinienem się domyślić, że wyprowadzisz nas w pole, La Rousse. Ale z tym już koniec. Więcej nas nie skrzywdzisz. Wstawaj - nakazał Marie.

Dziewczynka powoli dźwignęła się do pozycji siedzącej. Krew pociekła jej z nosa na podbródek.

- *Maman* - szepnęła.

Etienne stanął pomiędzy nimi.

- Nie dotykaj jej - syknął do Isabelle. Szarpnięciem postawił córkę na nogi i potoczył wzrokiem dookoła. - Petit Jean, *viens* - powiedział do syna, który właśnie stanął w drzwiach.

Chłopak podszedł bliżej.

- To Pascale - oznajmił. - Pascale uszyła sukienkę, papo. - Ujął Marie za drugą rękę. Ruszyli naprzód, prowadząc dziewczynkę między sobą. Mała odwróciła głowę, oglądając się na Isabelle.

- Proszę, *maman!* - zawołała.

Potknęła się; Etienne i Petit Jean chwycili ją mocniej.

Z kościoła wyszli Hannah i Jacob. Chłopiec stanął obok Isabelle.

- Kamienie - powiedziała, nie patrząc na syna. - Chciałeś zrobić wykrój sukienki.

- Tak - odparł cicho. - Miała ją chronić. Jak powiedział handlarz. Przed utonięciem.

- Dlaczego ojciec też je liczył? Dlaczego chciał znać wzrost Marie?

Jacob spojrział na nią szeroko otwartymi oczami.

- Nie wiem.

RS

Rozdział 8

FARMA

Poleciałam z Tuluzy do Genewy, a następnie złapałam pociąg do Moutier. Wszystko odbyło się gładko i bez zakłóceń: najpierw samolot, potem pociąg, Jacob zaś okazał bardziej radość niż zdumienie moim nagłym przyjazdem. Istotnie nagłym: zadzwoniłam do kuzyna w południe, a o szóstej wjeżdżałam do Moutier.

W pociągu z Genewy odzyskałam zdolność jasnego myślenia. W samolocie siedziałam otepiała, lecz pod wpływem łagodnego kołysania pociągu otrząsnęłam się i rozejrzałam wokół siebie.

Na wprost mnie siedziało korpulentne małżeństwo w średnim wieku, on w czekoladowym blezerze i krawacie w paski, ze starannie złożoną gazetą, ona w szarej sukience z dzianiny i szarym płaszczyku w nieco ciemniejszym odcieniu, złote kolczyki w uszach, włoskie pantofle. Włosy prosto od fryzjera, utapirowane i świeżo ufarbowane na odcień podobny do mojego, z tą różnicą, że u niej wyglądał nienaturalnie. Trzymała na kolanach zgrabną, skórzaną torebkę i robiła w notesiku jakiś spis.

Pewnie spisuje listę osób, do których wyśle kartki świąteczne, pomyślałam, zażenowana swą wygniecioną sukienką.

Przez całą godzinę, którą spędziłam naprzeciw nich, tych dwoje nie odezwało się do siebie ani słowem. Gdy wstałam, aby w Neuchâtel przesiąść się na inny pociąg, mężczyzna podniósł wzrok i skinął głową.

- *Bonne journée, madame* - powiedział uprzejmie, jak zwykli to robić ludzie po pięćdziesiątce.

Z uśmiechem skinęłam obojgu głową. To miejsce rządziło się własnymi prawami.

Pociągi były ciche, czyste i punktualne. Pasażerowie, równie cisi i schludni, prezentowali się bez zarzutu, skupieni na lekturze i metodyczni we wszystkim, co robili. Żadnego obściskiwania się, natrętnych spojrzeń, kusych sukienek i dekoltów z biustem na wierzchu ani pijaków rozpartych na dwóch siedzeniach, co w pociągu na trasie Tuluza-Lisle bynajmniej nie należało do rzadkości. Tutaj każdy znał swoje miejsce: żaden Szwajcar nie

zajmował dwóch, jeśli zapłacił tylko za jedno.

Być może doszukiwałam się ładu po chaosie, który za sobą pozostawiłam. Zawsze określałam cechy narodowe mieszkańców po godzinnym pobycie w danym kraju; trzymałam się raz wyrobionej opinii, modyfikując ją pod wpływem nowo poznanych osób. Gdyby naprawdę mi na tym zależało, wyłowiłabym z otoczenia ślady zamętu: niechlujny ubiór, podniesione głosy, tanie romansidła, narkomana w toalecie, jakąś skrywaną emocję, może strach. Wolałam jednak poprzestać na rejestrowaniu powierzchownej normalności.

Fascynował mnie krajobraz za oknem: potężne wzniesienia Jury, biegnące stromo od torów kolejowych, ciemnozielone lasy jodłowe, ostre kontury domów, równe rządki pól i gospodarstw. Nie wiedzieć czemu, zdziwiłam się, jak bardzo różni się od francuskiego. Ostatecznie kuzyn mieszkał w innym kraju, jak sama przypomniałam ojcu. Natomiast prawdziwą niespodziankę stanowił fakt, że pejzaż francuski, lekko pagórkowaty, z soczystą zielenią winnic i rdzawym odcieniem gleby, przestał być mi obcy.

Jacob obiecał przez telefon, że wyjdzie po mnie na dworzec. Nic o nim nie wiedziałam, nie znałam nawet jego wieku, choć przypuszczałam, że bliżej mu do ojca niż do mnie. Po wyjściu na peron w Moutier rozpoznałam go natychmiast - przypominał mojego ojca, tyle że zamiast siwych włosów miał brązowe, tak jak kiedyś ja. Był bardzo wysoki; nosił kremowy sweter, rozciągnięty na ramionach, które opadały łukowato. Miał pociągłą, niemal ascetyczną twarz o subtelnie zarysowanym podbródku i błyszczących brązowych oczach. Roztaczał wokół siebie aurę energicznego mężczyzny pod sześćdziesiątkę, wciąż jeszcze pochłoniętego pracą i obojętnego na problemy emerytów, choć już ze świadomością, że wkrótce dołączy do ich grona i będzie się borykał z nadmiarem wolnego czasu.

Podszedł do mnie wielkimi krokami i ująwszy moją głowę w swe duże ręce, ucałował mnie trzykrotnie w policzki.

- Ello, wyglądasz zupełnie jak twój ojciec - powiedział po francusku.

Popatrzyłam na niego z uśmiechem.

- Wobec tego jesteśmy podobni, bo ty też wyglądasz całkiem jak on!

Podniósł moją torbę i otoczył mnie ramieniem, po czym zesłiśmy po schodach prowadzących na ulicę. Nie wypuszczając bagażu, zrobił zamaszysty ruch ręką.

- *Bienvenue à Moutier!* - zawołał.

Zrobiłam krok do przodu.

- *C'est très...* - zaczęłam i osunęłam się na ziemię.

Obudziłam się w białym pokoju, niedużym, prostokątnym i surowym jak klasztorna cela, z łóżkiem, stołem, krzesłem i sekretarzykiem. Okno znajdowało się za moją głową; spoglądając do tyłu, zobaczyłam odwróconą do góry nogami białą wieżę kościoła z czarnym zegarem, częściowo zasłoniętym przez drzewo.

Jacob siedział na krześle obok łóżka, w drzwiach majaczyła okrągła twarz obcego mężczyzny. Patrzyłam na nich, niezdolna wydusić słowa.

- *Ella, tu t'es évanouiee* - powiedział łagodnie Jacob.

Nie znałam tego określenia, lecz od razu zrozumiałam, w czym rzecz.

- Lucien - dodał Jacob, wskazując na nieznanego - przejeżdżał w pobliżu ciężarówką i nas podwiózł. Martwiliśmy się, bo długo byłaś nieprzytomna.

- Jak długo? - Podniosłam się z wysiłkiem, Jacob pomógł mi usiąść.

- Dziesięć minut. Przez całą drogę do domu i kiedy cię wnosiliśmy.

Powoli pokręciłam głową.

- Nic nie pamiętam.

Lucien podał mi szklanekę wody.

- *Merci* - mruknęłam. Uśmiechnął się w odpowiedzi, ledwo unosząc kąciki ust. Upiłam łyk, po czym dotknęłam swojej twarzy: była wilgotna i lepka. - Dlaczego mam mokrą twarz?

Jacob i Lucien spojrzeli po sobie.

- Płakałaś - odpowiedział Jacob.

- Kiedy byłam nieprzytomna?

Skinął głową, a ja uświadomiłam sobie, że mam obolały, ciekący nos i schrypnięte gardło. Czułam się śmiertelnie wyczerpana.

- Mówiłam coś?

- Recytowałaś.

- *J'ai mis en toi mon espérance: Garde-moi, donc, Seigneur.* Tak?

- Tak odrzekł Lucien. - To był...

- Musisz odpocząć - wpadł mu w słowo Jacob. - Odpoczywaj. Później porozmawiamy. - Nakrył mnie cienkim pledem.

Lucien uniósł rękę w geście pożegnania. Kiwnęłam głową i mężczyzna zniknął.

Przymknęłam oczy i otworzyłam je, w chwili gdy Jacob wychodził z pokoju.

- Jacob, czy tutaj nie ma okiennic?

Był już na korytarzu, wsunął głowę przez szparę w drzwiach.

- Są, ale nigdy ich nie zamykam. Jakoś za nimi nie przepadam. - I z uśmiechem zamknął drzwi.

Kiedy się znowu obudziłam, spocona i zdezorientowana, na dworze panował mrok. Widziałam światła w okolicznych oknach; wyglądało na to, że tutaj nikt nie używa okiennic. Wieża kościoła była podświetlona. Rozdzwoniły się kuranty; odliczyłam machinalnie: dziesięć. Spałam cztery godziny. Miałam uczucie, jakbym przespała kilka dni.

Zapaliłam lampkę przy łóżku. Żółty abażur rzucał na pokój złocistą poświatę. Nigdy nie byłam w pomieszczeniu tak pozbawionym wszelkich ozdób; owa surowość wydała mi się dziwnie krzepiąca. Leżałam przez chwilę, obserwując kąt padania światła, niepewna, czy mam ochotę podnieść się z łóżka. Wreszcie jednak wstałam, wyszłam z pokoju i zesłam po ciemnych schodach. Na dole stanęłam w kwadratowym holu, gdzie widniało troje drzwi. Wybrałam te ze smugą światła na dole; po naciśnięciu klamki znalazłam się w kuchni pomalowanej na jaskrawożółty kolor, z wyfroterowaną drewnianą podłogą oraz rzędem okien wzdłuż całej ściany. Jacob siedział przy okrągłym stole, czytając gazetę opartą o misę z brzoskwiniami. Młoda kobieta o ciemnych, kędzierzawych włosach, nachylona nad zlewem, szorowała garnek. Kiedy zwróciła się w moją stronę, uderzyło mnie jej podobieństwo do Jacoba: miała taką samą pociągłą twarz i zastrzony podbródek, złagodzone przez kosmyki włosów na czole i długie rzęsy wokół identycznych brązowych oczu. Była wyższa ode mnie i bardzo krucha, o długich, szczupłych rękach i cienkich przegubach.

- Ach, jesteś, Ello - powiedział Jacob, kiedy kobieta ucałowała mnie trzykrotnie. - To moja córka, Susanne.

Uśmiechnęłam się.

- Przepraszam - odparłam, zwracając się do obojga. - Nie miałam pojęcia, że jest tak późno. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Daj spokój. Musiałaś się wyspać. Masz ochotę coś zjeść? - Jacob podsunął mi krzesło. Następnie wraz z Susanne zaczęli wykladać na stół ser, salami, chleb, oliwki i sałatę. Szybko i bez ceregieli. Nie mogłam życzyć sobie nic więcej.

Podczas posiłku prawie się nie odzywaliśmy. Susanne zapytała mnie nienaganną

francuszczyzną, czy napiję się wina, a Jacob rzucił jakąś uwagę na temat sera, lecz poza tym kolacja przebiegła w ciszy.

Kiedy odstawiliśmy talerze i Jacob ponownie napełnił mój kieliszek, Susanne wymknęła się z kuchni.

- Lepiej się czujesz? - spytał Jacob.

- Tak.

Z pokoju dobiegły ciche dźwięki instrumentu brzmiącego podobnie jak fortepian. Jacob nasłuchiwał przez chwilę.

- Scarlatti - oznajmił z zadowoleniem. - Susanne studiuje grę na klawikordzie w Concertgebouw w Amsterdamie.

- Ty też grasz? Skinął głową.

- Uczę w tutejszej szkole muzycznej, dwa kroki stąd. - Wskazał za siebie.

- Na czym grasz?

- Na wielu instrumentach, ale przeważnie uczę gry na fortepianie i flecie. Chłopcy chcą grać na gitarze, dziewczęta na flecie, wszyscy na skrzypcach lub flecie starodawnym. Mało kto wybiera fortepian.

- Masz jakichś zdolnych uczniów? Wzruszył ramionami.

- Większość bierze lekcje na życzenie rodziców. Mają też inne zainteresowania, na przykład jazdę konną, piłkę nożną czy narty. Każdej zimy czworo lub pięcioro dzieciaków łamie ręce na stoku i nie może grać. Jest jeden chłopak, pianista, który doskonale gra Bacha. Może będzie kontynuował naukę gdzie indziej.

- Ty uczyłeś Susanne? Pokręcił głową.

- Moja żona.

Ojciec wspominał, że żona Jacoba nie żyje, ale nie wiedziałam, kiedy zmarła ani w jakich okolicznościach.

- Rak - dodał, jakby czytał w moich myślach. - Umarła pięć lat temu.

- Bardzo mi przykro - odpowiedziałam. Świadoma, jak blado brzmią te słowa, dodałam: - Brakuje ci jej, prawda?

Posłał mi smutny uśmiech.

- Oczywiście. Jesteś mężatką?

- Tak - odparłam niechętnie, po czym zmieniłam temat. - Chciałbyś obejrzeć Biblię?

- Poczekajmy do rana, będzie lepsze światło. Wciąż blado wyglądasz. Czy aby nie jesteś w ciąży?

Drgnęłam, zaskoczona jego bezpośredniością.

- Nie, nie jestem. Nie wiem, dlaczego straciłam przytomność, ale to na pewno nie to. Od kilku miesięcy mam problemy ze snem. A wczoraj prawie nie zmrużyłam oka. - Umilkłam na wspomnienie łóżka Jean-Paula i potrząsnęłam głową. Nie sposób było tego wyjaśnić.

Wkroczyliśmy na grząski grunt; Jacob taktownie zmienił temat.

- Czym się zajmujesz?

- Jestem... Cóż, w Ameryce byłam położną.

- Naprawdę? - Twarz mu się rozjaśniła. Cóż za wspaniałe zajęcie!

Z uśmiechem popatrzyłam na misę z brzoskwiniami. Zareagował podobnie jak madame Sentier.

- Tak - odpowiedziałam. - Bardzo je sobie chwaliłam. Jednym słowem, gdybyś była w ciąży, na pewno byś o tym wiedziała.

Parsknęłam śmiechem.

- Chyba tak.

Zazwyczaj od pierwszego spojrzenia potrafiłam rozpoznać ciążę, nawet we wczesnym stadium. Zdradzał ją sposób poruszania się kobiety, charakterystyczna ostrożność. Dostrzegłam to również w Susanne, a także roztargniony wyraz twarzy, jakby wsłuchiwała się w toczącą się wewnątrz niej rozmowę w obcym języku, której treść niekoniecznie zdawała się przypadać jej do gustu, chociaż nie rozumiała ani słowa.

Popatrzyłam na szczerą twarz Jacoba. Jeszcze nie wie, uznałam w duchu. Zabawne: czuł się upoważniony do zadawania mi osobistych pytań, a zarazem nie byliśmy tak blisko spokrewnieni, by mógł się obawiać odpowiedzi. Wobec córki nie zdobyłby się na podobną bezpośredniość.

Tamtej nocy źle spałam, pochłonięta myślami o Ricku i Jean-Paulu i nękana wyrzutami sumienia. Rozmyślenia nie doprowadziły do żadnych wniosków. Wreszcie usnęłam i obudziłam się o świcie.

Schodząc na dół, wzięłam ze sobą Biblię. Jacob i Susanne siedzieli już przy stole nad gazetami, w towarzystwie bladego młodzieńca o rudych włosach w odcieniu marchewki

raczej niż kasztanów, jak moje. Brwi i rzęsy też miał rude, co nadawało jego twarzy rozmyty, nieokreślony wyraz. Na mój widok wstał i wyciągnął rękę.

- Ello, to jest Jan, mój chłopak - powiedziała Susanne.

Wyglądała na zmęczoną; na nietkniętej kawie utworzył się pomarszczony kożuch.

Aha, przyszły tatuś, pomyślałam. Chłopak niemrawo uściśnął mi dłoń.

- Wybacz, że nie stawiłem się wczoraj, żeby cię powitać - rzekł bezbłędnie po angielsku. - Grałem na zaręczynach w Lozannie i wróciłem późno w nocy.

- Na czym grasz?

- Na flecie.

Uśmiechnęłam się, po części rozbawiona jego superpoprawną angielszczyzną, a po części dlatego, że sam przypominał flet: cienkie, rurkowate kończyny oraz pewna sztywność nóg i torsu nasuwały skojarzenie z Blaszanym Drwalem z „Czarnoksiężnika z krainy Oz”.

- Nie jesteś Szwajcarem, prawda?

- Nie, jestem Holendrem.

- Aha. - Nic więcej nie przyszło mi do głowy; jego oficjalny ton mroził atmosferę. Jan nadal stał. Skrępowana zwróciłam się do Jacoba: - Zostawię Biblię w drugim pokoju, żebyś mógł na nią zerknąć po śniadaniu, dobrze?

Jacob kiwnął głową. Wyszłam z powrotem na korytarz i nacisnęłam inną kławkę. Drzwi prowadziły do wąskiego, słonecznego pokoju o kremowych ścianach i lśniącej, wyłożonej czarnymi płytkami podłodze. Stały w nim tylko sofa i dwa sfatygowane fotele; podobnie jak w sypialni, na ścianach nie było żadnych obrazów. W drugim końcu ustawiono czarny fortepian, a naprzeciwko niego mały klawikord z drzewa różanego. Położywszy Biblię na fortepianie, podeszłam do okna, by wreszcie porządnie przyjrzeć się Moutier.

Domy rozrzucone bezładnie dookoła, a także na wzgórzu z tyłu. Były szare lub kremowe, ze stromymi łupkowymi dachami, zakończonymi krawędzią sterczącą jak wydęta spódnica, wyższe i nowsze niż w Lisle, ze świeżo pomalowanymi okiennicami w odcieniach czerwieni, brązu lub zieleni, choć okiennice sąsiadów z naprzeciwka zdumiały mnie swym jaskrawoniebieskim kolorem. Otworzyłam okno i wychyliłam się na zewnątrz, chcąc obejrzeć okiennice Jacoba: pozostawiono je nietknięte, w karmelowym odcieniu drewna.

Słyszając za sobą kroki, odwróciłam się. Rozbawiony Jacob stał przede mną z filiżanką kawy w każdej ręce.

- No proszę, już szpiegujesz sąsiadów! - wykrzyknął, podając mi filiżankę.

- Oglądałam twoje okiennice - odparłam z uśmiechem. - Chciałam sprawdzić, jaki mają kolor.

- Podobają ci się? Skinełam głową.

- A teraz do rzeczy. Gdzie Biblia? A, tutaj. Świetnie, możesz wracać do domu - zażartował.

Usiadłam obok niego na sofie. Długo wpatrywał się w nazwiska z zadowoloną miną. Następnie sięgnął za siebie i wyjął z półki plik kartek, sklejonych taśmą. Zaczął rozkładać je na podłodze. Papier był pożółkły, a taśma niemal kruszyła się w palcach.

- Oto drzewo genealogiczne sporządzone przez mojego dziadka - wyjaśnił.

Spojrzałam na czytelne pismo i starannie wyrysowane odgałęzienia. Mimo to na wykresie panował chaos: w wielu miejscach brakowało danych i ślad urywał się niepostrzeżenie. Kiedy wszystkie kartki znalazły się na podłodze, nie tworzyły równego prostokąta czy trójkąta, lecz nieregularny patchwork, z poutykanymi tu i ówdzie strzępami informacji.

Uklękliśmy obok szkicu. Wszędzie przewijały się imiona Susanne, Etienne, Hannah, Jacob, Jean. Fragmentaryczny wierzchołek drzewa rozpoczynał się od Jeana i Etienne'a Tournier.

- Gdzie twój dziadek to wszystko odnalazł?

- W różnych miejscach. Część w *bourgeoisie* w miejscowym *hôtel de ville*: archiwa sięgają tam osiemnastego wieku. Co do wcześniejszych danych, nie jestem pewien. Prowadził te badania latami. Twój wkład bardzo nam pomoże, to kolejne brakujące ogniwo! Opowiedz, jak znalazłaś Biblię Tournierów.

Przedstawiłam mu skróconą relację poszukiwań, przeprowadzonych wspólnie z Mathilde i monsieur Jourdainem. O Jean-Paulu nie wspomniałam.

- Cóż za zbieg okoliczności! Miałaś szczęście, Ello. I przebyłaś taką drogę, żeby mi to pokazać.

Jacob pogładził skórzaną oprawę.

Za jego słowami kryło się pytanie, lecz nie kwapiłam się, by na nie odpowiedzieć. Moja nagła chęć pokazania mu Biblii musiała zbić go z tropu, ja jednak czułam się niezdolna do zwierzeń: za bardzo przypominał mojego ojca. Nie miałabym odwagi

opowiedzieć rodzicom o tym, co zrobiłam, o bałaganie, jaki za sobą pozostawiłam.

Później poszliśmy z Jacobem na spacer po mieście. *Hôtel de ville*. dostoyny budynek z szarymi okiennicami i wieżą zegarową, znajdował się w samym centrum. Stłoczone wokół niego sklepy tworzyły tak zwane Stare Miasto, które w porównaniu z Lisle wydawało się bardzo nowoczesne: wiele budynków było nowych, wszystkie zaś poddano renowacji; pachniały świeżym gipsem oraz farbą i cieszyły oko równymi rzędami dachówek. Moją uwagę przykuła osobliwa budowla z kopułą w kształcie cebuli i ukrytym w niszy kamiennym mnichem z latarnią na rogu, lecz poza tym wyjątkiem domy były surowe i utrzymane w jednakowym stylu.

W ciągu ostatniego stulecia liczba mieszkańców wzrosła do ośmiu tysięcy i na okolicznych wzgórzach stanęły nowe budynki mieszkalne. Wyczuwało się tu pewną przypadkowość, w przeciwieństwie do Lisle, gdzie każda uliczka i dom były częścią organicznej całości. Tutejsze twory architektoniczne miały raczej funkcjonalną niż estetyczną rolę i powstały w określonym celu, w związku z czym nie zwracano sobie głowy ozdóbkami.

Minąwszy Stare Miasto, ruszyliśmy ścieżką wzdłuż Birse, przypominającej bardziej strumień niż rzekę, o brzegach porośniętych srebrzystymi brzożami. Woda płynąca przez miasto i łącząca je z resztą świata, miała w sobie coś radosnego i nadawała otoczeniu dynamiczny charakter.

Jacob przedstawiał mnie wszędzie jako Ellę Tournier z Ameryki, co ku mojemu zaskoczeniu spotykało się z powszechną aprobatą jego znajomych i w znaczący sposób odbiegało od zachowania mieszkańców Lisle. Kiedy wspomniałam o tym kuzynowi, tylko się uśmiechnął.

- Może to ty się zmieniłaś - rzekł.

- Może. - Nie dodałam, że wprawdzie owe przejawy sympatii bardzo mnie cieszą, lecz równie bezkrytyczny stosunek do naszego nazwiska rodowego budzi pewne wątpliwości. Gdybyście wiedzieli, co zrobiłam, myślałam ponuro, wcale byście nie uważali, że Tournierowie są tacy wspaniali.

Jacob miał dzisiaj lekcje. Po drodze do szkoły zabrał mnie do kaplicy przy cmentarzu na skraju miasta, żebym obejrzała sobie ją od środka. Poinformował mnie, że dawniej w Moutier znajdowały się klasztory z siódmego wieku; istniejąca w Chalières kaplica pocho-

dziła z wieku dziesiątego. Wnętrze okazało się ciasne i skromne, a ściany białe, nie licząc rdzawo-kremowych fresków w stylu bizantyjskim na ścianie chóru. Sumiennie obejrzałam przedstawione na nich postacie: Chrystusa z rozpostartymi ramionami, rząd stojących za nim apostołów z bladym zarysem aureoli nad głowami, o twarzach rozmytych niemal do cna, lecz z wyjątkiem mglistego wizerunku zasmuconej kobiety malowidła nie wywarły na mnie większego wrażenia.

Po wyjściu z kaplicy zobaczyłam Jacoba, który stał z pochyloną głową i zamkniętymi oczami w pewnym oddaleniu ode mnie na wprost jednego z obelisków. Obserwowałam go przez chwilę, skrępowana blahością własnych problemów wobec tragedii człowieka oplakującego śmierć najbliższej osoby. Nie chcąc mu przeszkadzać, wróciłam do kaplicy. Chmura zasnuła słońce i wnętrze pociemniało; namalowane figury wisiały nade mną jak duchy. Stałam przed niewyraźną sylwetką kobiety i przyjrzałam jej się uważniej. Niewiele pozostało: oczy przysłonięte ciężkimi powiekami, dość duży nos i zasznurowane usta, wszystko ujęte w ramy spływającej z głowy szaty i aureoli. Jednakże nawet owo szczątkowe malowidło bezbłędnie oddawało jej rozpacz.

- No przecież. Dziewica mruknełam pod nosem.

W jej obliczu było coś, co odróżniało ją od Maryi Nicolasa Tourniera. Zamknęłam oczy, usiłując przywołać wspomnienie tamtej postaci: ból, rezygnację, osobliwy spokój na twarzy. Otworzyłam oczy i jeszcze raz spojrzałam na fresk. Naraz doznałam olśnienia: różnica tkwiła w ustach, w ich wygiętych kącikach. Maryja z Chalières była rozgniewana.

Kiedy ponownie opuściłam kaplicę, słońce na nowo wyjrzało zza chmur, a Jacob zniknął. Ruszyłam w stronę miasta przez dzielnicę nowszych domów, by wreszcie dotrzeć do protestanckiego kościoła, który widziałam przez okno z pokoju gościnnego Jacoba. Był to duży budynek z wapienia, otoczony starymi drzewami. Po części przypominał kościół z Le Pont de Montvert: oba były usytuowane podobnie, wprawdzie nie w centrum, lecz w równie dominującym punkcie, w połowie północnego zbocza, z omszałą werandą i murem z widokiem na miasto. Okrążyłam kościół, frontowe drzwi były otwarte. Wnętrze było bardziej ozdobne niż w Le Pont de Montvert, z marmurową posadzką i niewielkim witrażem na chórze. Mimo to wydawało się nagie, surowe oraz - po kościele w Chalières - duże i bezosobowe. Szybko wyszłam ze świątyni.

Usiadłam na murze, w słońcu, tak jak w Le Pont de Montvert. Zrobiło się ciepło,

zdjęłam zakiet. Moje ramiona znów zaatakowała łuszczycą.

- Cholera - mruknęłam. Zaplotłam ręce na piersi, po czym rozprostowałam je i wystawiłam na działanie promieni słonecznych. Pod wpływem tego ruchu na suchym placku skóry pojawiła się krew.

W tym samym momencie podbiegł do mnie czarny labrador, oparł przednie łapy o mur i trącił mnie nosem w bok. Ze śmiechem wytargałam go za uszy.

- Tak, tak, masz nosa, bracie - powiedziałam. - Jeszcze chwila, a bym się rozkleiła.

Na trawniku pojawił się Lucien. Skorzystałam z okazji, by tym razem lepiej mu się przyjrzeć, i zlustrowałam jego dziecienną twarz, sztywne ciemne włosy i wypukłe piwne oczy. Mógł mieć około trzydziestki, wyglądał jednak, jakby nigdy nie zaznał smutku ani rozpacz. Szwajcarskie niewiniątko. Spuściłam wzrok, rozmyślnie nie ukrywając łuszczycy. Zauważyłam kolejny placek na kostce i przeklinałam się w duchu, że nie zapakowałam do torby kortyzonu.

- *Salut, Ella* - powiedział, wisząc nade mną, dopóki nie poprosiłam, żeby usiadł.

Miał na sobie sfatygowane szorty i koszulkę, pokryte kleksami farby. Pies popatrzył na nas, wywiesił język i zamerdał ogonem; upewniwszy się, że nie mamy zamiaru nigdzie iść, oddalił się i zaczął węszyć między pobliskimi drzewami.

- Jesteś malarzem? - zapytałam, chcąc przerwać milczenie. Zastanawiałam się, czy słyszał o Nicolasie Tournierze.

- Tak - potwierdził. - Pracuję tam. - Wskazał na wzgórze za naszymi plecami. - Widzisz drabinę?

- Ach tak. - Malarz pokojowy. To nie gra roli, upomniałam się w duchu. Jednakże temat się wyczerpał, nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Buduję też domy. I naprawiam różne rzeczy. - Lucien spoglądał w stronę miasta, lecz widziałam, że ukradkiem zerka na moje ramiona.

- Gdzie mieszkasz? - spytałam.

Wskazał na inny dom na zboczu i ponownie łypnął na moje ręce.

- To łuszczycą - rzuciłam bez ogródek.

Kiwnął głową; nie był szczególnie rozmowny. We włosach miał smugi białej farby, a na jego rękach widniały liczne cętki, jakie powstają podczas używania wałka. Przypomniałam sobie nasze przeprowadzki: zawsze zaczynaliśmy od pomalowania

wszystkich pomieszczeń na biało. Rick twierdził, że dzięki temu lepiej widzi rozmiary pokoju, dla mnie zaś było to symbolicznym wypędzeniem duchów. Dopiero po jakimś czasie, kiedy już lepiej poznaliśmy charakter nowego lokum i zżyliśmy się z nim, malowaliśmy ściany na różne kolory. Dom w Lisle był nadal biały.

Telefon zadzwonił dzień później. Nie wiem, dlaczego pozwoliłam się zaskoczyć: wiedziałam, że prędzej czy później będę zmuszona stanąć oko w oko z dotychczasowym życiem, lecz nie zrobiłam nic, aby przygotować się do konfrontacji.

Akurat jedliśmy fondue. Susanne z rozbawieniem przyjęła informację, że po nożach marki Swiss Army, zegarkach i czekoladzie było ono czwartą rzeczą, którą Amerykanie kojarzyli z jej krajem, i uparła się, aby je dla mnie przyrzadzić.

- Według tradycyjnego przepisu, *bien sûr* - żartowała.

Gospodarze zaprosili kilka osób: wśród nich był oczywiście Jan, niemiecko-szwajcarskie małżeństwo, jak się okazało, właściciele niebieskich okiennic, oraz Lucien, który siedział obok mnie i od czasu do czasu zerkał na mój profil. Zasłoniłam ramiona, więc przynajmniej nie mógł zerkać na moją łuszczycę.

Próbowałam fondue tylko raz, przed wielu laty, kiedy przygotowała je moja babcia. Nie zachowałam na ten temat żadnych wspomnień. Fondue Susanne było przepyszne i wybitnie alkoholowe. Na domiar wszystkiego przez cały wieczór obficie raczyliśmy się winem, w związku z czym robiło się coraz głośniej i weselej. W pewnym momencie zanurzyłam w serze kawałek chleba i ku ucieście zebranych wyjęłam z potrawy pusty widelec. Wszyscy zaczęli klaskać.

- Chwileczkę, co to znaczy? - Przypomniałam sobie słowa babki: kto pierwszy zgubi w fondue swój chleb, ten nigdy nie stanie na ślubnym kobiercu. Ja też wybuchnęłam śmiechem. - O nie, nigdy nie wyjdę za mąż! Zaraz, zaraz, przecież ja już jestem mężatką!

Odpowiedzią były kolejne salwy śmiechu.

- Ależ nie, Ello! - zawołała Susanne. Jeśli pierwsza gubisz chleb, to znaczy, że wyjdiesz za mąż, i to niedługo!

- Nie, nie, w naszej rodzinie to oznacza coś zupełnie odwrotnego.

- Przecież mowa o jednej rodzinie - wtrącił Jacob. - A według naszej tradycji, niedługo wyjdiesz za mąż.

- Coś nam się musiało pomylić. Dam głowę, że moja babcia mówiła...

- Tak, wszystko wam się pomyliło, łącznie z wymową nazwiska - oświadczył Jacob. - Teeer-neer - wymówił płaczkliwym tonem, rozciągając sylaby. - Gdzie się podziały samogłoski, które nadają mu ładne brzmienie, Tour-ni-er? Ale mniejsza z tym, *ma cousine*, najważniejsze, że znasz swoje prawdziwe nazwisko. Czy wiecie - dodał, zwracając się do sąsiadów - że moja kuzynka jest położną?

- O, świetny zawód - odruchowo skwitował tę informację mężczyzna. Poczułam na sobie wzrok Susanne; gdy na nią popatrzyłam, uciekła spojrzeniem w bok. Nadal miała przed sobą pełny kieliszek i prawie nie tknęła jedzenia.

Zadzwoił telefon i Jan wstał, żeby go odebrać. Jego spojrzenie spoczęło na mnie. Podał mi słuchawkę.

- Do ciebie, Ello - zakomunikował.

- Do mnie? Ale... - Nikomu nie zostawiłam numeru. Wstałam i wzięłam słuchawkę. Zebrani patrzyli na mnie z zaciekawieniem.

- Halo? - powiedziałam niepewnie.

- Ella? Co ty tam robisz, do licha?

- Rick? - Stałam plecami do stołu, próbując stworzyć niszę prywatności.

- Zdziwiona? - Nigdy nie słyszałam w jego głosie tyle goryczy.

- Nie, po prostu... nie zostawiłam numeru.

- Nie zostawiłaś. Ale nietrudno znaleźć numer Jacoba Tourniera z Moutier. Jest ich dwóch; kiedy zadzwoniłem do pierwszego, powiedział, że jesteś tutaj.

- Wiedział, że tu jestem? Inny Jacob Tournier? - powtórzyłam bezmyślnie, zdumiona, że Rick zapamiętał imię kuzyna.

- Owszem.

- Cóż, to małe miasteczko. - Rozejrzałam się; wszyscy jedli, na próżno usiłując udawać, że nie przysłuchują się rozmowie. Wyjątek stanowiła Susanne, która nagle wstała od stołu i podeszła, aby zaczerpnąć tchu przy otwartym oknie.

Wiedzą o mnie wszystko, pomyślałam. Nawet jakiś Tournier z drugiego końca miasta wie, co robię.

- Ello, dlaczego wyjechałaś? Co się dzieje?

- Rick, ja... czy możemy teraz o tym nie rozmawiać? To nie czas i miejsce.

- Rozumiem, że obrączka na podłodze w sypialni miała być swoistym manifestem.

Odruchowo spojrzałam na lewą rękę. Nawet nie zauważyłam jej braku! Pewnie wypadła z kieszeni żółtej sukienki, kiedy się przebierałam.

- Jesteś na mnie zła? Zrobiłem coś nie tak?

- Nie, po prostu... ach, Rick, ja... nic nie zrobiłeś, chciałam tylko odwiedzić rodzinę, nic więcej.

- Więc skąd ten pośpiech? Nawet nie zostawiłaś wiadomości. Zawsze zostawiałaś. Wyobrażasz sobie, jak się martwiłem? I jakim upokorzeniem było dowiedzieć się o twoim wyjeździe z ust sekretarki?

Milczałam.

- Kto odebrał telefon?

- Słucham? Chłopak kuzynki. Jest Holendrem - dodałam niepotrzebnie.

- Czy... on jest z tobą?

- Kto?

- Jean-Pierre.

- Nie, nie ma go tutaj. Co ci przyszło do głowy?

- Spałaś z nim, prawda? Słyszę to po twoim głosie. Tego się nie spodziewałam.

Wzięłam głęboki oddech.

- Posłuchaj, naprawdę nie mogę teraz rozmawiać. Mamy... mamy gości. Wybacz, Rick... ja po prostu sama nie wiem, czego tak naprawdę chcę. Ale nie mogę teraz rozmawiać. Po prostu nie mogę.

- Ello... - powiedział tylko zduszonym głosem.

- Daj mi kilka dni, dobrze? Potem wrócę i... i wtedy porozmawiamy. Dobrze? Przepraszam. - Odłożywszy słuchawkę, stanęłam przodem do zgromadzonych. Lucien wpatrywał się w swój talerz; sąsiedzi prowadzili sztucznie ożywioną rozmowę z Janem. Jacob i Susanne patrzyli na mnie spokojnie brązowymi oczami w takim samym odcieniu jak moje.

- A więc - zagadnęłam pogodnie - co to mówiliśmy o moim zamążpojęciu?

Wstałam w środku nocy, czując pragnienie po winie, z fondue ciężącym w żołądku jak ołów, i zeszłam do kuchni napić się wody. Nie zapalając światła, usiadłam ze szklanką przy stole, ale że w pomieszczeniu nadal unosił się zapach sera, postanowiłam pójść do salonu. Spod drzwi dobiegał cichy dźwięk klawikordu. Lekko nacisnęłam klamkę i

zobaczyłam Susanne siedzącą po ciemku przy instrumencie. Światło odległej latarni wydobywało z mroku jej profil. Zagrała kilka taktów, po czym zastygła bez ruchu. Kiedy szepnęłam jej imię, podniosła wzrok i opuściła rękę. Podeszłam bliżej i położyłam dziewczynie dłoń na ramieniu. Miała na sobie ciemne jedwabne kimono, bardzo przyjemne w dotyku.

- Powinnaś być w łóżku - powiedziałam cicho. - Musisz być zmęczona. Potrzebujesz teraz dużo snu.

Susanne wtuliła twarz w mój bok i zaczęła płakać. Stałam nieruchomo, gładząc jej kędzierzawe włosy, a następnie uklękłam obok krzesła.

- Czy Jan już wie?

- Nie - odparła, ocierając oczy i policzki. Ello, ja nie jestem na to gotowa. Chcę robić inne rzeczy. Tak ciężko pracowałam, mam w perspektywie kolejne koncerty. - Uderzyła w klawisz. - Dziecko mi w tym przeszkodzi.

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia dwa.

- Chcesz mieć dzieci? Wzruszyła ramionami.

- Kiedyś może tak. Ale jeszcze nie teraz.

- A Jan?

- Och, on marzy o dzieciach. Sama wiesz, że mężczyźni traktują to inaczej. To w żaden sposób nie wpłynęłoby na jego pracę, jego karierę. Gdy mówi o posiadaniu dzieci, brzmi to tak abstrakcyjnie, iż wiem, że wszystkie obowiązki spadną na mnie.

Skąd ja to znam?

- Czy ktoś w ogóle wie?

- Nie.

Zawahałam się; nie zwykłam rozmawiać z kobietami o aborcji jako o jednej z możliwych opcji. Kiedy przychodziły do mnie po radę, zwykle były zdecydowane urodzić. Zresztą nawet nie wiedziałam, jak jest po francusku „aborcja” ani „opcja”.

- Co ewentualnie mogłabyś zrobić? - spytałam, kładąc nacisk na tryb przypuszczający.

Popatrzyła na klawiaturę. Ponownie wzruszyła ramionami.

- *Une avortement* - odparła bezdźwięcznie.

- Co myślisz o... o aborcji? - Skarciłam się w duchu za tak sformułowane pytanie.

Susanne nie dała nic po sobie poznać.

- Och, wolałabym to zrobić, choć w zasadzie tego nie popieram. Nie jestem religijna, więc kwestia grzechu odpada. Ale Jan...

Czekałam. No cóż, Jan jest katolikiem. Obecnie nie chodzi do kościoła i uważa się za liberała, ale gdy przyjdzie do podjęcia decyzji... Trudno przewidzieć jego reakcję. Mógłby się zdenerwować.

- Musi wiedzieć, ma do tego prawo, ale decyzja należy do ciebie. Naturalnie byłoby lepiej, gdybyście doszli do porozumienia, ale jeśli tak się nie stanie, to twój głos powinien być decydujący - oznajmiłam stanowczo.

Susanne zerknęła na mnie z ukosa.

- Czy ty... ty też...

- Nie.

- Chcesz mieć dzieci?

- Tak, ale... - Nie wiedziałam, od czego zacząć. Ni stąd, ni zowąd parsknęłam śmiechem. Susanne spojrzała na mnie ze zdumieniem, białka jej oczu zalśniły w blasku latarni. - Przepraszam, muszę usiąść - wybąkałam wreszcie. - Zaraz ci wszystko opowiem.

Usiadłam na jednym z foteli, a Susanne zapaliła małą lampkę na fortepianie. Zwinąwszy się w kłębek w rogu sofy, obciągnęła zielony jedwab kimona i popatrzyła na mnie wyczekująco. Chyba poczuła ulgę, że nie znajduje się już w centrum uwagi.

- Mąż i ja rozmawialiśmy o dziecku - zaczęłam. - Doszliśmy do wniosku, że już czas. Cóż, właściwie ja to zasugerowałam, a Rick przyznał mi rację. No i zaczęliśmy próbować. Ale... coś nie dawało mi spokoju. Koszmarny sen. A teraz... teraz chyba przechodzimy kryzys. Jest jeszcze coś. A właściwie ktoś. - Było to trudne wyznanie, choć zarazem sprawiło mi niemałą ulgę.

- Kto?

- Bibliotekarz z naszego miasta. Trochę... flirtowaliśmy. Wreszcie... - Wykonałam nieokreślony gest. - Potem ogarnęły mnie wyrzuty sumienia i musiałam wyjechać. No i przyjechałam tutaj.

- Przystojny?

- On... o tak, tak mi się wydaje. Jest jakby... surowy.

- Lubisz go?

- Tak. - Dziwnie było o nim rozmawiać; stwierdziłam, że trudno mi przywołać jego wspomnienie. Z tej odległości, z Susanne siedzącą naprzeciw, cały incydent wydał mi się daleki i nieco mniej poruszający, niż dotąd myślałam. Ciekawe: z chwilą gdy opowiesz innym, co ci się przydarzyło, cała historia traci znamiona prawdy i po części staje się fikcją, a twoja interpretacja tylko dodatkowo ją odrealnia.

- Od jak dawna jesteście małżeństwem?

- Od dwóch lat.

- A ten człowiek... jak mu na imię?

- Jean-Paul. - Zabrzmiało to tak zdecydowanie, że uśmiechnęłam się mimowolnie. - Pomógł mi szukać informacji o rodzinie - podjęłam. - Często się ze mną sprzecza, ale to dlatego, że interesuje się tym, co robię... kim naprawdę jestem. On mnie słucha. Widzi mnie, a nie to, co chciałby widzieć. Rozumiesz?

Susanne skinęła głową.

- Mogę z nim rozmawiać. Opowiedziałam mu nawet o śnie; okazał zrozumienie, wypytywał o szczegóły. Bardzo mi to pomogło.

- Czego dotyczył ten sen?

- Och, sama nie wiem. Nie dzieje się w nim nic konkretnego. Po prostu mam uczucie, jakbym traciła... *respiration*. - Popukałam się palcem w klatkę piersiową. Frank Sinatra, pomyślałam. I te niebieskie oczy. - Jest tam również błękit, szczególny odcień błękitu - dorzuciłam. - Jak na renesansowych obrazach. W takim właśnie kolorze przedstawiano szaty Matki Boskiej. Jest pewien malarz... powiedz, czy słyszałaś o Nicolasie Tournierze?

Susanne wyprostowała się i zacisnęła palce na oparciu sofy.

- Opowiedz mi o tym błękitcie. Nareszcie jakieś skojarzenie z malarzem.

- Dzieli się jak gdyby na dwie części: góra jest jasna, pełna blasku i... - Szukałam odpowiednich słów. - Kolor faluje w rytm światła. Niżej jednak kryje się ciemność, ponura i złowroga. Te dwa odcienie walczą ze sobą. Dlatego kolor zdaje się tak żywy i tak głęboko zapada w pamięć. Jest bardzo piękny, a zarazem smutny, może dlatego, że Dziewica zawsze oplakuje śmierć syna, nawet w dniu jego narodzin. Jakby przeczuwała, co się stanie. Mimo to po jego śmierci błękit jest wciąż piękny, wciąż pełen nadziei. Każe myśleć, że nic nie jest jasno określone, że nawet światłość ma w sobie mrok.

Urwałam. Siedziałyśmy w ciszy. Susanne pierwsza przerwała milczenie.

- Ja też miałam ten sen - powiedziała.

- Miałam go tylko raz, jakieś sześć tygodni temu, w Amsterdamie. Obudziłam się przerażona, płakałam. Śniło mi się, że tonę w błękitach, dokładnie takim, jak opisywałaś. To było dziwne, gdyż czułam się szczęśliwa, a zarazem przygnębiona. Jan twierdził, że mówiłam przez sen, jakbym recytowała coś z Biblii. Potem nie mogłam zasnąć. Musiałam wstać i coś zagrać, tak jak dzisiaj.

- Masz whisky? - zapytałam.

Podeszła do regału z książkami, otworzyła zamkniętą część i wyjęła na wpół opróżnioną butelkę oraz dwie małe szklanki. Usiadła na sofie i naląła po trochu do każdej z nich. Miałam na końcu języka uwagę o zagrożeniu, jakie niesie spożywanie alkoholu w czasie ciąży, ale nie musiałam nic mówić - Susanne powąchała tylko płyn, po czym skrzywiła się i przelała whisky z powrotem do butelki.

Jednym haustem opróżniłam szklanekę. Alkohol przebił się przez fondue, wino oraz rozterki związane z mężczyznami. I umożliwił zadawanie krępujących pytań.

- Który to tydzień?

- Nie jestem pewna. - Wsunęła dłonie do rękawów kimona i przesunęła dłońmi po ramionach.

- Kiedy miałaś mieć ostatni... ostatni... - Dopomogłam sobie gestykulacją.

- Miesiąc temu.

- Jakim cudem zaszłaś w ciążę? Nie stosowałaś antykoncepcji? Przepraszam, ale to ważne.

Spuściła wzrok.

- Któregoś dnia zapomniałam wziąć pigułkę. Zwykle biorę ją przed położeniem się spać, ale wtedy zapomniałam. Nie sądziłam, że to ma znaczenie.

Chciałam coś powiedzieć, lecz Susanne mnie uprzedziła.

- Nie myśl sobie, że jestem głupia czy nieodpowiedzialna. Chodzi o to... - Przycisnęła rękę do ust. - Czasami trudno uwierzyć w związek pomiędzy ciążą a jedną małą pigułką. Wydają się tak odległe od siebie... Mogę to ogarnąć umysłem, ale nie sercem.

Pokiwałam głową.

- Kobiety często nie wiążą ciąży i dziecka z seksem. Mężczyźni też nie. Są to dwie tak odmienne sprawy, iż trudno uwierzyć, że jedno wynika z drugiego.

Milczałyśmy przez chwilę.

- Kiedy zapomniałaś o pigułce? - zapytałam.

- Nie pamiętam. Nachyliłam się do niej.

- Spróbuj sobie przypomnieć. Czy to się stało mniej więcej wtedy, kiedy miałaś koszmar?

- Chyba nie. Zaraz, zaraz, poczekaj, przypominam sobie. Jan miał tamtego wieczoru koncert w Brukseli. Wróciłam następnego dnia i wtedy miałam sen. Tak właśnie było.

- Czy ty i Jan... czy wy... kochaliście się tamtej nocy?

- Tak. - Na jej twarzy odbiło się zakłopotanie. Przeprosiłam.

- Rzecz w tym, że ja również miałam ten sen po tym, jak uprawialiśmy z Rickiem seks - wyjaśniłam. - Tak samo jak ty. Koszmar przestał mnie nękać, dopiero kiedy wróciłam do antykoncepcji. A ty po prostu zaszłaś w ciążę. Wymieniłyśmy spojrzenia.

- Dziwne - zauważyła cicho Susanne.

- Tak, bardzo dziwne.

Wygładziła kimono na brzuchu i westchnęła.

- Musisz powiedzieć Janowi. Od tego trzeba zacząć.

- Tak, wiem. A ty Rickowi.

- On chyba już wie.

Nazajutrz wybrałam się do miejscowego archiwum. Dziadek Jacoba przeprowadził wprawdzie gruntowne badania, czułam jednak potrzebę samodzielnego przestudiowania materiałów źródłowych. Bardzo mi się to spodobało. Całe popołudnie przesiedziałam przy stole w ratuszowej sali konferencyjnej, przeglądając akty urodzeń, zgonów i ślubów z osiemnastego i dziewiętnastego stulecia. Nie miałam pojęcia, z jak licznych pochodzących rodów: w Moutier były całe setki Tournierów.

Wiele się dowiedziałam: o liczebności rodzin, o wieku, w jakim ludzie się pobierali (zwykle tuż po dwudziestce), o zajęciach mężczyzn (rolnik, nauczyciel, szynkarz, rytownik). Wiele dzieci umarło. Znalazłam pewną Susanne Tournier, która pomiędzy rokiem 1751 i 1765 urodziła ośmioro dzieci, z czego pięcioro zmarło w pierwszym miesiącu życia. Ona sama umarła, wydając na świat ostatniego potomka. W swojej pracy zawodowej nigdy nie byłam świadkiem niczyjej śmierci. Miałam szczęście.

Znalazłam też inne zdumiewające informacje. W księdze widniał zapis wypadków

kazirodztwa oraz aktów nierządu. Proszę, co zostało z nauk Kalwina, pomyślałam, lecz pod maską cynizmu byłam wstrząśnięta faktem, że w 1796 roku umieszczono zapis o przyjściu na świat dziecka Judith Tournier i jej ojca Jeana. W innych wypadkach zaznaczano bez owijania w bawełnę, że dziecko pochodził z nieprawego łoża.

W materiałach archiwalnych przewijały się imiona używane po dziś dzień. Zauważyłam jednak, że obok ulubionych wśród hugenotów starotestamentowych Daniela, Abrahama, a nawet Noego, oraz całej rzeszy Hannah i Susanne, a później Ruth, Anne i Judith, nigdzie nie występowało imię Isabelle bądź Marie.

Kiedy zapytałam o archiwa z okresu wcześniejszego niż połowa osiemnastego wieku, pracownica poradziła mi zajrzeć do ksiąg parafialnych w Berne i Porrentruy, a przedtem telefonicznie uprzedziła pastora o przyjeździe. Zanotowałam nazwiska oraz numery i podziękowałam jej serdecznie, uśmiechając się pod nosem: na wieść o mojej uwieńczonej sukcesem spontanicznej wyprawie do Cévennes byłaby wstrząśnięta. Tutaj szczęście odgrywało drugorzędną rolę, a pożądane efekty zasadały się na sumiennej pracy i staranym planowaniu.

Weszłam do pobliskiej kawiarni, by przemyśleć następne posunięcie. Filizankę kawy postawiono na serwetce; łyżeczka, kostki cukru i kwadracik czekolady leżały na spodku. Przyjrzałam się tej przemyślanej kompozycji - przywodziła na myśl archiwum, skrzętnie odnotowane fakty, utrwalone wyraźnym charakterem pisma. Choć łatwiejsze do odczytania, nie miały czaru i przypadkowości dokumentacji francuskich, które przypominały samych Francuzów, irytujących z powodu swej nieprzystępności!, lecz w rezultacie bardziej interesujących. Wymagały większego nakładu starań i przynosiły większą satysfakcję.

Kiedy wróciłam, Jacob siedział przy fortepianie, grając jakąś powolną, smętną melodię. Położyłam się na sofie i przymknęłam oczy. Muzyka składała się z czystych nut i prostych linii melodycznych, jak gdyby dźwięki nawlekano igłą na nitkę. Nasuwała wspomnienie Jean-Paula.

Gdy Jacob skończył grać, właśnie zapadłam w drzemkę. Otworzyłam oczy i napotkałam nad fortepianem jego spojrzenie.

- Schubert - powiedział.
- Piękne.
- Znalazłaś to, czego szukałaś?

- Właściwie nie. Jacob, czy mógłbyś zadzwonić gdzieś w moim imieniu?

- *Bien sûr, ma cousine.* Zastanawiałem się, co by ci tu pokazać. Żeby było związane z rodziną. Jest pewne miejsce, gdzie stał młyn należący do Tournierów. Jest też restauracja, pizzeria prowadzona przez Włochów, gdzie w dziewiętnastym wieku była gospoda, własność naszej rodziny. No i farma, jakiś kilometr za Moutier, w kierunku Grand Val. Nie mamy pewności, czy była kiedyś własnością Tournierów, ale tak głosi rodzinna legenda. W każdym razie to bardzo interesujące miejsce ze względu na stary komin. I jeden z pierwszych domów w dolinie, gdzie wprowadzono taką innowację.

- Czy nie wszystkie domy mają kominy?

- Teraz tak, ale kiedyś to nie było tak powszechne. Żadna z farm w regionie nie miała komina.

- Co się działo z dymem?

- Budowano coś w rodzaju fałszywego pułapu; dym gromadził się pomiędzy nim a dachem. Gospodarze wieszali tam mięso do wędzenia.

Okropność.

- Czy domy nie były przez to osmolone? I brudne? Jacob parsknął śmiechem.

- Pewnie tak. W Grand Val istnieje taka farma bez komina. Zajrzałem kiedyś do środka: palenisko i sufit są czarne od sadzy. Ale farma Tournierów, o ile rzeczywiście kiedyś do nich należała, jest zupełnie inna. Ma komin.

- Kiedy go zbudowano?

- Chyba w siedemnastym wieku. Może pod koniec szesnastego. Pozostałą część farmy poddano kilkakrotnej przebudowie, ale komin przetrwał. Kilka lat temu dom kupiło lokalne towarzystwo historyczne.

- Stoi pusty? Moglibyśmy go obejrzeć?

- Oczywiście. Na przykład jutro, jeśli będzie ładna pogoda. Lekcje zaczynam dopiero po południu. Gdzie mam zadzwonić?

Wyjaśniłam, o co mi chodzi, po czym wyszłam na spacer. Obejrzałam już wprawdzie większą część Moutier, ale miło było pochodzić po okolicy, nie narażając się na niczyje spojrzenia. Po trzech dniach ludzie pierwsi zaczęli mi się kłaniać, rzecz nie do pomyślenia w Lisle-sur-Tarn nawet po trzech miesiącach. Tutejsi mieszkańcy wydawali się uprzejmiejsi i mniej podejrzliwi niż Francuzi.

Przechadzając się uliczkami, znalazłam coś, czego nie widziałam wcześniej: tablicę z informacją, że Goethe spędził jedną noc w gospodzie „Cheval-Blanc” w październiku 1779 roku. Wspomniał o Moutier w liście, opisując otaczające je formacje skalne, a zwłaszcza imponujący wąwóz na wschód od miasta. Upamiętnianie tak błahego zdarzenia było jednak pewną przesadą i świadczyło o tym, jak niewiele działo się w Moutier.

Oderwawszy wzrok od tablicy, zobaczyłam Luciena, który podążał w moją stronę z dwiema puszkami farby. Odniosłam wrażenie, że obserwował mnie od jakiegoś czasu i w stosownym momencie sięgnął po puszki.

- *Bonjour* - powiedziałam.

- *Bonjour* - odparł.

- *Ça va?*

- *Oui, ça va.*

Staliśmy naprzeciw siebie skrepowani. Wpatrywał się we mnie badawczo, ale ja nie czułam się na siłach, żeby odwzajemnić jego spojrzenie. Okazywałam mu obojętność, co z kolei pewnie działało na niego jak magnes. Na dodatek zdawał się wprost zafascynowany moją łuszczycą. Bez przerwy zerkał na moje ręce, nawet teraz.

- Lucien, to łuszczyca - burknęłam, w głębi duszy zadowolona, że potrafię tak łatwo zbić go z tropu. - Już ci mówiłam. Dlaczego bez przerwy tak patrzysz?

- Przepraszam. - Odwrócił wzrok. - Chodzi o to... że sam miewam coś podobnego. Dokładnie w tym samym miejscu, na rękach. Zawsze myślałem, że to uczulenie na farbę.

- Och, tak mi przykro! - Poczulałam wyrzuty sumienia, dodatkowo spotęgowane przez irytację, która bynajmniej nie osłabła. Błędne koło. - Dlaczego nie pójdziesz do lekarza? - spytałam łagodniejszym tonem. - Postawiłby diagnozę i zapisałby ci coś do smarowania. Jest taka maść ... niestety, zostawiłam ją w domu.

- Nie lubię lekarzy - odpowiedział Lucien. - Przy nich czuję się... nieprzystosowany.

- Wiem, co masz na myśli - odparłam ze śmiechem. - A tutaj, to znaczy we Francji, zapisują tyle lekarstw. Stanowczo za dużo.

- Dlaczego masz tę łuszczycę?

- Podobno z powodu stresu. Ale ta maść nie jest zła. Mógłbyś poprosić lekarza o...

- Ello, pójdziesz kiedyś ze mną na drinka?

Oniemiałam. Powinnam zdusić sprawę w zarodku: to nie czas ani miejsce, zresztą nie

byłam zainteresowana. Lecz odmowa zawsze kosztowała mnie dużo wysiłku. Nie zniósłabym widoku jego zawiedzionej twarzy.

- W porządku - zgodziłam się wreszcie. - Za parę dni, dobrze? Ale, Lucien...

Był tak uszczęśliwiony, że nie miałam serca dokończyć zdania.

- Nieważne. A więc któregoś wieczoru w tym tygodniu.

Kiedy wróciłam do domu, Jacob znów siedział przy fortepianie. Na mój widok przestał grać i podniósł kartkę papieru.

- Obawiam się, że nie mam najlepszych wieści - oznajmił. - Archiwa w Berne sięgają tylko 1750 roku. Bibliotekarz w Porrentruy poinformował mnie, że księgi parafialne z szesnastego i początku siedemnastego wieku spłonęły w pożarze. Ale zachowały się jakieś listy werbunkowe, na które mogłabyś rzucić okiem. To chyba właśnie z nich czerpał informacje mój dziadek.

- I pewnie znalazł wszystko, co było do znalezienia. Dziękuję za pomoc. - Listy werbunkowe były dla mnie bezużyteczne: interesowały mnie wyłącznie kobiety. Ale tego mu nie powiedziałam. - Jacob, słyszałeś o malarzu nazwiskiem Nicolas Tournier? - zapytałam.

Pokręcił głową. Poszłam do pokoju po kartkę z reprodukcją.

- Zobacz, pochodził z Montbéliard - wyjaśniłam, podając mu pocztówkę. - Przyszło mi do głowy, że to któryś z naszych przodków. Z części rodziny, która przeniosła się do Montbéliard.

Jacob obejrzał kartkę i pokręcił głową.

- O ile mi wiadomo, w rodzinie nie było artystów. Tournierowie wybierali praktyczniejsze zawody. Wszyscy oprócz mnie! - Roześmiał się, a potem spoważniał. - Aha, Ello, dzwonił Rick.

- Och.

Jacob zrobił zakłopotaną minę.

- Prosił, abym ci przekazał, że cię kocha.

- No tak. Dziękuję. - Spuściłam wzrok.

- Wiesz, że możesz z nami zostać, jak długo zechcesz. Tyle ile potrzeba.

- Tak. Dzięki. Mamy... są pewne problemy. Sam rozumiesz. Popatrzył na mnie bez słowa; przypominałam sobie parę z pociągu. Ostatecznie Jacob też był Szwajcarem.

- Tak czy siak, na pewno wkrótce wszystko się ułoży.

Pokiwał głową.

- A na razie zostaniesz z rodziną.

- Tak jest.

Z chwilą gdy wspomniałam Jacobowi o naszej sytuacji, przestałam szukać usprawiedliwienia dla swego przyjazdu. Następnego dnia padało, toteż odłożyliśmy wyprawę na farmę i z radością siedziałam w domu, pogrążona w lekturze bądź zasłuchana w grę Jacoba i Susanne. Wieczorem poszliśmy do gospody, która niegdyś należała do Tournierów, lecz teraz panowała w niej zdecydowanie włoska atmosfera.

A nazajutrz rano wybraliśmy się na farmę. Susanne nigdy tam nie była, chociaż spędziła w Moutier większą część życia. Na wschodnim skraju miasta weszliśmy na ścieżkę oznaczoną żółtym znakiem z napisem *Pedestre tourisme* oraz informacją, że piesza wędrówka do Grand Val zajmuje czterdzieści pięć minut. Tylko w Szwajcarii informują cię, ile potrzebujesz czasu, aby gdzieś dojść, zamiast po prostu podać odległość. Po lewej stronie widniał początek wapiennego wąwozu, który opisał Goethe - masyw żółtoszarej skały, przecięty pośrodku korytem rzeki. Skąpany w słońcu istotnie robił wrażenie; przypominał mi katedrę.

Dolina, którą szliśmy, była łagodniej ukształtowana; dołem płynął wąski strumień i biegły tory kolejowe, na niższych zboczach widniały pola uprawne, dalej rosły sosny, po czym następował gwałtowny skośny uskok, zwieńczony wysoko w górze skałami. Na łąkach pasły się konie i krowy, widzieliśmy też gospodarstwa położone w regularnych odstępach od siebie. Wszędzie ład, czystość i harmonia.

Mężczyźni zmierzali przed siebie żwawym krokiem, Susanne i ja szliśmy nieco z tyłu. Dziewczyna miała na sobie turkusową tunikę bez rękawów oraz luźne białe spodnie, które falowały na jej szczupłych nogach. Była blada i znużona, siliła się na wesołość. Ze sposobu, w jaki unikała Jana, oraz z rzucanych mi co pewien czas żalonych spojrzeń wywnioskowałam, że jeszcze nic mu nie powiedziała.

Coraz bardziej oddalałyśmy się od mężczyzn, jakbyśmy chciały wyznać sobie coś na osobności. Pomimo ciepła zdrzałam i szczelniej otuliłam się błękitną koszulą Jean-Paula. Pachniała dymem i nim.

Jacob i Jan przystanęli na rozwidleniu ścieżki; kiedy podeszłyśmy bliżej, Jacob

wskazał na dom położony w pewnym oddaleniu od nas, na granicy pól, w miejscu gdzie drzewa zaczynały pięć się po zboczu.

- Farma - oznajmił.

Uświadomiłam sobie, że wcale nie chcę tam iść. Dlaczego? Zerknęłam na Susanne. Patrzyła na mnie; wiedziałam, że myśli o tym samym. Mężczyźni znów ruszyli naprzód, podczas gdy stałyśmy jak wrośnięte w ziemię, spoglądając na ich plecy.

- Idziemy - zakomenderowałam, idąc za nimi.

Susanne wolno podążyła za mną.

Ujrzałam podłużną, niską konstrukcję; z lewej strony miała postać kamiennego domu, z prawej zaś drewnianej stodoły. Obie części nakrywał długi płaski dach, pośrodku znajdowało się otwarte wejście, prowadzące do ciemnej sieni, określonej przez Jacoba mianem *devant-huis*. Wałała się tu słoma, kawałki drewna i stare wiadra. Zakładałam, że towarzystwo historyczne przeprowadziło renowację, jednakże farma stopniowo obracała się w ruinę: okiennice wisiały krzywo, okna były powybijane, a dach porośnięty mchem.

Jacob i Jan podziwiali farmę, podczas gdy Susanne i ja uparcie wpatrywałyśmy się w ziemię.

- Widzicie komin? - Jacob wskazał na dziwaczny kikut, sterczący z dachu. - Wykonano go z wapienia - wyjaśnił. - To dość miękki budulec, wzmocniono go czymś w rodzaju cementu. Większość kominów znajduje się wewnątrz. Wejdźmy do środka, zobaczycie resztę.

- Dom jest otwarty? - zapytałam z ociąganiem, łudząc się, że zobaczę kłódkę i napis: *Propriété privée*.

- O tak, już tu byłem. Wiem, gdzie chowają klucz.

Cholera, pomyślałam. Nie umiałam wytłumaczyć, dlaczego nie chcę wejść do środka; ostatecznie przyszedliśmy tu ze względu na mnie. Czułam na sobie bezradne spojrzenie Susanne, tak jakbym tylko ja mogła temu zapobiec. Zupełnie jakbyśmy były zdane na łaskę niezachwianej, męskiej logiki. Wyciągnęłam rękę.

- Chodź - powiedziałam.

Susanne wsunęła palce w moją dłoń. Były lodowato zimne.

- Masz zimną rękę - stwierdziła.

- Ty też. - Wymieniłyśmy niewesołe uśmiechy. Weszłyśmy razem do domu jak dwie

dziewczynki z bajki.

Wewnątrz panował półmrok, światło wpadało przez drzwi oraz dwa wąskie okna. Kiedy mój wzrok przyzwyczył się do ciemności, znów zobaczyłam kawałki drewna i połamane krzesła, zalegające klepisko podłogi. Tuż za drzwiami znajdowało się osmolone palenisko, umieszczone blisko drzwi, a nie pod ścianą. Na obu końcach ustawiono kwadratowe kolumny o wysokości około siedmiu stóp, podtrzymujące kamienne łuki. Na samej górze widniała identyczna, bryłowata konstrukcja jak na zewnątrz, brzydka acz użyteczna piramida, wyprowadzająca dym.

Puściwszy rękę Susanne, weszłam do paleniska, by spojrzeć w górę komina. Jednak chociaż stanęłam na palcach i przytrzymując się kolumny, wyciągnęłam szyję, nie dostrzegłam w górze żadnej szczeliny.

- Pewnie zatkany - mruknęłam. Naraz zakręciło mi się w głowie; straciłam równowagę i ciężko upadłam na ziemię.

Jacob podbiegł do mnie natychmiast, pomógł mi wstać i otrzepać ubranie.

- Nic ci nie jest? - zapytał z troską.

- Nie - odparłam roztrzęsiona. - Chyba... chyba straciłam równowagę. Pewnie kamień jest nierówny.

Rozejrzałam się za Susanne; dziewczyna zniknęła.

- Gdzie jest... - zaczęłam, po czym raptowny ból brzucha odebrał mi mowę. Minąwszy Jacoba, wybiegłam na zewnątrz.

Susanne stała na podwórzu zgięta wpół, z rękami przyciśniętymi do brzucha. Oniemiały Jan tkwił tuż obok. Gdy objęłam ją ramieniem, gwałtownie chwyciła powietrze, a po wewnętrznej stronie jej uda wykwitła wielka czerwona plama.

W pierwszej chwili straciłam głowę. Matko święta, pomyślałam w panice, co teraz? Naraz doznałam uczucia, które nie towarzyszyło mi od miesiący: mój mózg przełączył się na automatyczny bieg, przypominając mi, kim jestem i co mam robić.

Objęłam ją obiema rękami.

- Musisz się położyć, Susanne - powiedziałam łagodnie.

Skinęła głową i ugięła kolana, pochylając się do przodu. Ostrożnie ułożyłam ją na boku i spojrzałam na Jana, który dalej stał jak skamieniały.

- Daj mi swoją kurtkę, Janie - poleciłam.

Patrzył na mnie, dopóki głośno nie powtórzyłam polecenia. Podał mi beżową bawełnianą kurtkę, jakie zwykle nosili podstarzali amatorzy gry w kulki. Podłożyłam ją Susanne pod głowę, następnie zdjęłam koszulę Jean-Paula i narzuciłam na dziewczynę, zakrywając zakrwawione krocze. Plama wypełzła na koszulę; zapatrzyłam się mimowolnie, urzeczona kontrastem czerwieni i błękitu.

Pokiwałam głową i nachyliłam się nad Susanne, ściskając jej rękę.

- Nie martw się, nic ci nie będzie. Wszystko gra.

- Ello, co się dzieje? Jacob stanął nad nami. Twarz miał przerażoną.

Zerknęłam na znieruchomiałego Jana i podjęłam błyskawiczną decyzję.

- Susanne miała...

Że też mój francuski zawiódł mnie w takiej chwili: madame Sentier nie uczyła mnie słów w rodzaju „poronienie”.

- Susanne, musisz im powiedzieć. Nie wiem, jak to będzie po francusku. Czy możesz to zrobić?

Spojrzała na mnie ze łzami w oczach.

- Po prostu im powiedz. Nic więcej. Ja zajmę się resztą.

- *Une fausse couche* - wymamrotała. Mężczyźni popatrzyli na nią wstrząśnięci.

- No dobrze - powiedziałam stanowczo. - Janie, widzisz tamten dom? - Wskazałam na najbliższe gospodarstwo, leżące ćwierć mili w dół zbocza. Jan nie zareagował. Zwróciłam się więc do niego ponownie, tym razem ostro; skinął głową. - Dobrze. Biegnij tam i zadzwoń do szpitala. Dasz radę?

Otrząsnął się wreszcie.

- Tak, Ello. Pobiegnę na farmę i zadzwonię do szpitala.

- Tak. I zapytaj właścicieli, czy będą mogli nam pożyczyć samochód, w razie gdyby karetka nie dojechała. Ruszaj!

Ostatnie słowo zabrzmiało niczym trzask bata. Jan przykucnął i dotknawszy ziemi jedną ręką wystartował z miejsca, jakby brał udział w zawodach. Skrzywiłam się z niechęcią. Susanne musi spławić tego gościa, pomyślałam.

Jacob ukląkł obok Susanne i położył jej rękę na głowie.

- Nic jej nie będzie? - zapytał, siląc się na opanowanie.

- Oczywiście, że nic ci nie będzie - odparłam, kierując odpowiedź do Susanne. -

Pewnie trochę boli, prawda?

Susanne kiwnęła głową.

- Zaraz przestaniesz. Jan wezwie karetkę i pojedziesz do szpitala.

- Ello, to wszystko moja wina - szepnęła.

- Nie. Co ty mówisz? Oczywiście, że to nie twoja wina.

- Może gdybym chciała urodzić, wcale by do tego nie doszło.

- Niczym nie zawiniłaś, Susanne. To spotyka całą masę kobiet. Nic złego nie zrobiłaś.

Nie miałaś na to wpływu.

Patrzyła na mnie bez przekonania. Jacob spoglądał na nas, jakbyśmy rozmawiały w obcym języku.

- Naprawdę. To nie twoja wina. Uwierz mi, dobrze? Wreszcie skinęła głową.

- A teraz muszę cię zbadać. Pozwolisz mi się obejrzeć?

Susanne mocniej ścisnęła moją rękę i łązy pociekły jej po policzkach.

Tak, wiem, że to boli i nie chcesz, żebym cię oglądała, ale muszę sprawdzić, czy wszystko w porządku. Nie zrobię ci krzywdy. Możesz być tego pewna.

Jej spojrzenie pomknęło w stronę Jacoba, po czym znów spoczęło na mnie. Zrozumiałam.

- Jacob, potrzymaj Susanne za rękę - poleciłam, wyswobadzając się ze szczupłych dłoni jego córki. - Pomóż jej przewrócić się na plecy i usiądź obok. - Ustawiłam go tak, by usiadł twarzą do dziewczyny i nie widział tego, co robię. - A teraz mów do niej. - Jacob popatrzył na mnie bezradnie. - Pamiętasz, jak opowiadałeś mi o swoim dobrym studencie? Tym, który tak ładnie gra Bacha? Co zagra na następnym koncercie? I dlaczego? Opowiedz o nim Susanne.

Przez chwilę Jacob wyglądał na zdezorientowanego, wreszcie wyraźnie się odprężył. Odwróciwszy się do Susanne, zaczął mówić. Dziewczyna stopniowo się uspokajała. Usiłując jak najmniej ją ruszać, ostrożnie zsunęłam spodnie i bieliznę, po czym wytarłam krew koszulą Jean-Paula. Następnie naciągnęłam spodnie z powrotem, pozostawiając odpięty zamek. Jacob umilkł. Oboje patrzyli na mnie.

- Straciłaś trochę krwi, ale krwawienie ustało. Nic ci nie będzie.

- Chce mi się pić - powiedziała cicho Susanne.

- Poszukam wody. - Wstałam, zadowolona, że zachowują spokój. Okrążyłam dom,

bezsukutecznie wypatrując kranu. Musiałam wejść z powrotem do środka.

Wślizgnęłam się do *devant-huis* i stanęłam na progu izby. Palenisko przecinał wąski strumień światła. W świetle widziałam grubą warstwę kurzu ze śladami naszych stóp. Rozejrzałam się za kranem. Wewnątrz panowała niezmacona cisza; nie słyszałam ani krzepiącego głosu Jacoba, ani wiatru w sosnach, ani dzwoneków krów czy stukotu dalekiego pociągu. Tylko cisza i snop światła na kamieniu. Głaz był ogromny; jeden człowiek nie dałby mu rady. Spojrzałam uważniej. Pomimo nalotu sadzy widziałam wyraźnie, że nie pochodził stąd. Przywieziono go z daleka.

W kącie naprzeciw drzwi zobaczyłam stary zlew z kranem. Pewnie zepsuty, pomyślałam, ale przez wzgląd na Susanne postanowiłam spróbować. Z bijącym sercem i spoconymi dłońmi okrążyłam palenisko. Następnie stanęłam przy zlewie i przez dobrą minutę szarpałam się z opornym kurkiem. Przez chwilę nic się nie działo, wreszcie rozległo się gulgotanie i kran zadygotał. Cofnęłam się o krok. Nagle do zlewu chlusnęła brunatna ciecz; przerażona odskoczyłam gwałtownie, uderzając głową o kant jednej z kolumn podtrzymujących okap. Krzyknęłam przeraźliwie, gwiazdy stanęły mi w oczach. Osunęłam się na kolana i opuściłam głowę. Tył czaszki podejrzenie zwilgotniał. Kilkakrotnie zaczerpnęłam tchu. Gdy gwiazdy zniknęły mi przed oczu, uniosłam głowę i opuściłam ręce. Krew wyciekła z pękniętej skóry w zagłębieniu łokci i spłynęła w dół, łącząc się z plamami na dłoniach.

Popatrzyłam na strużki.

- To tutaj, prawda? - powiedziałam głośno. - *Je suis arrive chez moi, n'est-ce pas?*

Kran ucichł.

Rozdział 9

KOMIN

Isabelle stanęła w *devant-huis*. Słyszała tupot konia w stodole, z izby dobiegały odgłosy kopania.

- Marie? - zawołała cicho, niepewna, czy powinna wypowiadać na głos to imię i kto może je usłyszeć.

Koń zarżał na dźwięk jej głosu i znieruchomiał. Kopanie nie ustawało. Isabelle z wahaniem pchnęła drzwi do izby.

Etienne kopał obok bloku granitu podłużną dziurę, sięgającą daleko w głąb pomieszczenia. Wbrew jego początkowym zapowiedziom nie biegła pod przeciwległą ścianą, lecz znajdowała się w pobliżu drzwi. Gwałtownie dźgał łopatą ubitą ziemię.

Słyszając szmer przy drzwiach, podniósł wzrok.

- Czy ona... - zaczął, po czym urwał na widok Isabelle. Wyprostował plecy.

- Co ty tu robisz?

- Gdzie Marie?

- Powinnaś się wstydzić, La Rousse. Powinnaś na kolanach błagać Boga o wybaczenie.

- Dlaczego kopiesz w święto? Udał, że nie słyszy pytania.

- Twoja córka uciekła - odpowiedział głośno. - Petit Jean poszedł jej szukać do lasu. Myślałem, że właśnie wrócił mi powiedzieć, że jest bezpieczna. Nie troszczysz się o los własnej córki, La Rousse? Ty też powinnaś jej szukać.

- Troszczę się tylko o Marie. Dokąd poszła?

- Uciekła za dom, w góry. - Etienne stanął plecami do żony i znów zaczął kopać. Isabelle nie spuszczała z niego wzroku.

- Dlaczego kopiesz tutaj, a nie pod tamtą ścianą, jak zapowiadałeś?

Znów się wyprostował i uniósł łopatę nad głową. Isabelle odskoczyła, mężczyzna wybuchnął śmiechem.

- Nie zadawaj głupich pytań. Idź poszukać córki.

Isabelle wycofała się z izby i zamknęła drzwi. Przez chwilę stała w *devant-huis*.

Etienne nie podjął przerwanej czynności; w domu panowała cisza, cisza pełna tajemnic.

Nie jestem sama z Etienne'em, pomyślała. Marie jest tutaj, gdzieś blisko.

- Marie! - zawołała. Marie! Marie! - Nie przestając wołać, wyszła na podwórze.

Marie nie było, zjawiała się tylko Hannah, z mozołem zdążająca pod górę. Isabelle nie zaczekała na nią przed Chalières; pozostawiwszy starą z Jacobem, ruszyła w stronę domu, biegnąc dopóty, dopóki nie zyskała pewności, że tamta jej nie dogoni. Na widok synowej Hannah przystanęła oparta o laskę, ciężko chwytając oddech. Następnie pochyliła głowę i weszła do domu, z hukiem zamykając za sobą drzwi.

Upicie Luciena nie przysporzyło mi najmniejszego wysiłku. Spoglądał na mnie przez stół i tak wolno sączył piwo, że ukradkiem musiałam wypluwać swoje do kufła, aby za mną nadażył. W barze w centrum miasteczka byliśmy jedynymi klientami. Dudniła muzyka country; kelnerka czytała za kontuarem gazetę. Moutier w deszczowy czwartek na początku lipca było nudne jak flaki z olejem.

Miałam w torbie latarkę, w kwestii narzędzi liczyłam jednak na Luciena. Jeszcze o tym nie wiedział; wyraźnie spięty rysował wzorki na mokrych krawędziach od kufli, odbitych na stole. Czekala mnie niezła przeprawa. Musiałam się uciec do ostatecznych środków.

Podchwyciłam spojrzenie kelnerki. Kiedy podeszła do stolika, zamówiłam dwie whisky. Lucien wytrzeszczył na mnie orzechowe oczy. Wzruszyłam ramionami.

- W Ameryce zawsze popijamy piwo whisky - skłamałam bez mrugnięcia okiem. Połknął haczyk; pomyślałam o Jean-Paulu, który nie puściłby mi płazem równie idiotycznego stwierdzenia. Tęskniłam za jego zaczepnym sarkazmem; był niczym ostrze przecinające mgłę niepewności i zawsze trafiające w sedno.

Gdy kelnerka przyniosła dwie szklanki, nalegałam, aby Lucien wypił whisky jednym haustem. Zamówiłam następną kolejkę. Zawahał się, lecz po drugiej whisky odprężył się na tyle, by opowiedzieć mi o domu, który ostatnio zbudował. Wysłuchałam go cierpliwie, choć używał wielu zwrotów technicznych, których nie rozumiałam.

- Leży w połowie drogi na górę, na zboczu, to utrudnia sprawę - tłumaczył. - I mieliśmy problem z betonem na *l'abri nucléaire*. Musieliśmy go wyrabiać dwa razy.

- *L'abri nucléaire*? - powtórzyłam, niepewna sformułowania.

- *Oui*. - Odczekał, aż sprawdzę w słowniku, który na wszelki wypadek zawsze miałam w torbie.

- Schron przeciwnuklearny? Budowałeś schron w domu?

- Oczywiście. Takie są przepisy. Każdy nowy dom w Szwajcarii musi mieć schron.

Potrząsnęłam głową, aby odzyskać jasność myślenia. Lucien błędnie odczytał ów gest.

- Naprawdę, każdy nowy dom ma schron przeciwnuklearny - powtórzył żarliwie. - I każdy mężczyzna musi odbyć służbę wojskową, wiedziałaś o tym? W wieku osiemnastu lat idzie do wojska na siedemnaście tygodni. A potem co roku przez trzy tygodnie służy w rezerwie.

- Po co to wszystko, skoro Szwajcaria jest krajem neutralnym? No wiesz, jak w czasie drugiej wojny?

Lucien spojrzał na mnie z posępnym uśmiechem.

- Po to, żebyśmy mogli pozostać neutralni. Żaden kraj nie będzie neutralny, jeśli nie ma silnej armii.

Pochodziłam z kraju o gigantycznym budżecie militarnym i zerowym poczuciu neutralności; w moim przekonaniu te dwie kwestie miały ze sobą niewiele wspólnego. Ale nie przyszedłam tu po to, by rozmawiać o polityce. Coraz bardziej oddalaliśmy się od pierwotnego wątku. Musiałam naprowadzić Luciena na temat kominów.

- Z czego się buduje schron przeciwnuklearny? - zapytałam.

- Z betonu i ołowiu. Wiesz, ściany mają metr grubości.

- Naprawdę?

Lucien zaczął mi szczegółowo objaśniać budowę schronu. Przymknęłam oczy. Ale nudziarz, pomyślałam. Po co ja go w ogóle proszę o pomoc?

Na nikogo innego nie mogłam liczyć. Jacob był zbyt wstrząśnięty incydentem z Susanne, by zaraz następnego dnia wrócić na farmę, a Jan nigdy nie działał wbrew przepisom. Kolejny patałach, pomyślałam z niechęcią. Co się dzieje z tymi facetami? Po raz kolejny pożałowałam, że nie ma przy mnie Jean-Paula: podważyłby zasadność tego, co zamierzałam zrobić, postukałby się w czoło, lecz świadom znaczenia mojej decyzji na pewno służyłby mi oparciem. Ciekawe, jak mu się wiedzie. Tamta noc wydawała się tak odległa. O cały tydzień.

Niestety, tu go nie było i musiałam zdać się na człowieka, którego nadarzył mi los. Otworzyłam oczy i przerwałam monolog Luciena.

- *Ecoute*, musisz mi pomóc - rzuciłam bez ogródek, nie bawiąc się w dalsze podchody.

Lucien zamilkł z wyrazem zaskoczenia i podejrzliwości na twarzy.

- Znasz farmę w pobliżu Grand Val, tę ze starym kominem? Skinął głową.

- Wczoraj poszliśmy ją obejrzeć. Należała niegdyś do moich przodków.

- Serio?

- Tak. Muszę coś stamtąd zabrać.

- Co?

- Nie jestem pewna - odrzekłam, po czym dodałam pośpiesznie: - Ale wiem, gdzie to jest.

- Jak możesz wiedzieć gdzie, skoro nie wiesz dokładnie co?

- Nie potrafię tego wytłumaczyć. Lucien zajrzał do pustej szklanki.

- Co miałbym zrobić? - zapytał po chwili.

- Jedź ze mną na farmę, rozejrzemy się. Masz ze sobą jakieś narzędzia?

Kiwnął głową.

- W ciężarówce.

- Dobrze. Mogą się przydać. - I dorzuciłam na widok jego przestraszonej miny: - Bez obaw, nie musimy się włamywać, jest klucz. Chcę się tylko rozejrzeć. Pomożesz mi?

- Teraz? W tej chwili?

- Tak. Nie chcę, żeby ktoś się dowiedział, dlatego musimy to zrobić po ciemku.

- Po co te sekrety? Wzruszyłam ramionami.

- Nie chcę, żeby ludzie zaczęli zadawać pytania. I gadali za moimi plecami.

Długa pauza. Przygotowałam się na odmowę.

- Dobrze.

Lucien z wahaniem odwzajemnił mój uśmiech.

- Wiesz co, Ello - powiedział - uśmiechnęłaś się pierwszy raz dzisiaj wieczoru,

Kiedy Isabelle weszła do lasu, właśnie zaczynało padać. Pierwsze krople przeniknęły przez młode listki buków, poruszając je z lekka i napełniając powietrze cichym szmerem. Znad ściółki uniosła się piźmowa woń.

Weszła na wzgórze za domem, co chwila wołając córkę, częściej jednak przystając i nasłuchując odgłosów przebijających przez szum deszczu: porykiwania krów, wiatru w

sosnach na szczycie, tętentu konia na drodze do Moutier. Nie wierzyła, że Marie mogła uciec daleko: nie lubiła przebywać z dala od domu i rodziny. Ale też nigdy nie zawstydzono jej przed taką rzeszą ludzi.

To przychodzi z nowym kolorem włosów, pomyślała Isabelle, i z faktu, że jesteś moją córką. Nawet tutaj. Mimo to nie znam tajemnic magii, by cię osłonić; niczego, co uchroniłoby cię przed chłodem i ciemnością.

Ruszyła dalej w górę; kiedy dotarła do grzbietu skalnego w połowie drogi na szczyt, skręciła na zachód. Wiedziała, że zmierza w określone miejsce. Weszła na polankę, gdzie przez całe lato ukrywała koźlą. Nie była tu, odkąd Jacob wymienił je na tkaninę. Nadal widniały tutaj ślady bytności zwierzęcia: pozostałości szałasów z gałęzi, legowisko ze słomy i sosnowych igieł, zaschnięte bobki, twarde niczym kamienie.

Byłam niby taka przebiegła, rozmyślała Isabelle, spoglądając na legowisko. Sądziłam, że nikt się nie dowie. Od tamtej pory dzieliło ją tyle czasu, całe wieki zimy.

Odwiedziwszy jedno sekretne miejsce wiedziała, że pójdzie do drugiego. Poddała się impulsowi, świadoma, że Marie nie mogła tam trafić. Gdy przełęcz opadła w kierunku wąwozu, Isabelle podążyła między skałami do kryjówki, gdzie Pascale uklękała, aby się pomodlić. Tutaj nie było żadnych śladów: krew dawno wsiąkła w ziemię.

- Gdzie jesteś, *chérie*? - zawołała cicho.

Kiedy wilk wyszedł zza skały, Isabelle podskoczyła i krzyknęła, ale nie rzuciła się do ucieczki. Stała naprzeciw niego, wpatrzona w czujne, przenikliwe świece oczu. Zwierzę postąpiło w kierunku Isabelle i przystanęło. Cofnęła się o krok. Wilk znów ruszył naprzód, zmuszając ją do stopniowego odwrotu. Odwróciła się w obawie przed upadkiem, lecz co chwila spoglądała przez ramię, chcąc się upewnić, czy zwierzę nie podchodzi bliżej. Wilk zachowywał stałą odległość: zwalniał, przystawał bądź przyśpieszał kroku stosownie do tempa kobiety.

Prowadzi mnie jak owcę, pomyślała. Zmusza, abym szła tam, gdzie chce. Na próbę zboczyła ze ścieżki. Wilk natychmiast skoczył w tamtą stronę, wymuszając na Isabelle obranie pierwotnego kierunku.

Wyszli na drogę na skraju drzew, prowadzącą z Moutier do Grand Val, ku farmie. Od strony miasta pędził koń Tournierów, z Petit Jeanem i Gaspardem na grzbiecie. To właśnie tego konia słyszała w stodole, a potem na gościńcu.

Isabelle obejrzała się na wilka. Zwierzę zniknęło.

Lucien miał starego, ciężarowego citroena, wyładowanego narzędziami. Dokładnie na to liczyłam. Pojazd zdążył główną ulicą miasta, klekocząc i prychając tak głośno, że wszyscy mieszkańcy z całą pewnością przykleili nosy do szyb, aby odprowadzić nas wzrokiem. Też mi konspiracja.

Zaczęło mżyć; wilgoć zasnęła ulice, a ja szczelniej otuliłam się kurtką. Lucien włączył wycieraczki; drapały w szybę, doprowadzając mnie do granic wytrzymałości nerwowej. Powoli minęliśmy miasto: był to, moim zdaniem, zbytek ostrożności, gdyż o wpół do dziesiątej ulice świeciły pustkami. Na wysokości dworca, jedyne miejsce przejawiającego jakiegokolwiek ślady życia, skręciliśmy na szosę do Grand Val.

Milczeliśmy. Byłam wdzięczna, że Lucien nie zadaje zbyt wielu pytań, co zapewne uczyniłabym na jego miejscu: nie znalazłabym na nie odpowiedzi.

Wjechaliśmy na boczną drogę, która wiodła pod torami kolejowymi i dalej pod górę. Gdy skończyły się domy, Lucien skręcił na polny trakt. Pamiętałam go ze spaceru. Przejechawszy około trzystu jardów, przystanął i wyłączył silnik. Wycieraczki szczęśliwie znieruchomiały, ciężarówka zakrzuszyła się kilkakrotnie, prychnęła dychawicznie i ucichła.

- Jesteśmy na miejscu. - Lucien wskazał na lewo. Po chwili wyłowiłam z mroku zarys farmy, od której dzieliło nas jakieś pięćdziesiąt jardów. Zadrżałam; myśl o wyjściu z samochodu i ponownych odwiedzinach w kamiennym domu napawała mnie gwałtowną niechęcią.

- Ello, czy mogę cię o coś spytać?

- Tak - odparłam z ociąganiem. Wolałam nie mówić mu wszystkiego, choć z drugiej strony, trudno oczekiwać, że nie zażąda wyjaśnień.

Zaskoczył mnie.

- Jesteś mężatką. - To zabrzmiało bardziej jak stwierdzenie niż pytanie, lecz potwierdziłam skinieniem głowy.

- Wtedy podczas kolacji rozmawiałaś ze swoim mężem.

- Tak.

- Ja też byłem żonaty - oznajmił.

- *Vraiment?* - Nie zdołałam ukryć zdumienia. Zupełnie jak wówczas, kiedy powiedział mi o swojej łuszczycy: poczułam się winna, że odmówiłam mu prawa do życia takiego jak

moje, pełnego uniesień i problemów.

- Masz dzieci? - spytałam, próbując naprawić błąd.

- Córkę, Christine. Mieszka z matką w Bazylei.

- To niedaleko.

- Tak. Widuję ją co drugi weekend. A ty masz dzieci?

- Nie. - Poczułam swędzenie na kostkach i w zagłębieniach łokci: łuszczyca domagała się uwagi.

- Jeszcze nie. Jeszcze nie.

- W dniu, kiedy się dowiedziałem, że moja żona jest w ciąży - podjął z wolna Lucien - miałem zamiar jej powiedzieć, że powinniśmy się rozstać. Byliśmy małżeństwem od dwóch lat i nie układało się między nami najlepiej. Przynajmniej z mojego punktu widzenia. Usiedliśmy więc, żeby porozmawiać, podzielić się swoimi myślami. Ona zaczęła. Kiedy powiedziała wszystko, nie miałem serca poinformować jej o swojej decyzji.

- I zostaliście razem.

- Tak, do czasu, kiedy Christine skończyła rok. Ale to było istne piekło.

Nie wiem, kiedy to się zaczęło, lecz ni stąd, ni zowąd poczułam gwałtowny przypływ mdłości. Przełknęłam ślinę i wzięłam głęboki oddech.

- Kiedy usłyszałem, jak rozmawiasz z mężem, przypomniałem sobie rozmowy telefoniczne, jakie kiedyś prowadziłem z żoną.

- Przecież ja prawie nic nie mówiłam!

- Mam na myśli twój ton.

- Ach tak. - Zakłopotana wbiłam wzrok w ciemność. - Nie jestem pewna, czy chcę mieć z nim dzieci - dodałam po chwili. - Nigdy nie byłam tego pewna. - Wypowiedzenie tego głośno, i to akurat w obecności Luciena, przypominało sforsowanie jakiejś zapory. Zaszokowało mnie samo brzmienie tych słów.

- Dobrze, że jesteś tego świadoma - odpowiedział. - Dzięki temu może nie powołasz dziecka na świat bez miłości.

Skinęłam głową i znów przełknęłam ślinę. Wsłuchaliśmy się w bębnienie deszczu o szybę; próbowałam uspokoić znekany żołądek.

- Masz zamiar coś ukraść? - spytał nieoczekiwanie, wskazując głową na dom.

Przewidziałam to pytanie.

- Nie. Chcę tylko coś znaleźć. Coś, co należy do mnie.

- Co takiego? Zostawiłaś coś wczoraj? Czy o to chodzi?

- Tak. Historię mojej rodziny. - Usiadłam prosto. - Nadal chcesz mi pomóc? - zapytałam rzeczowo.

- Oczywiście. Obiecałem, że to zrobię, i nie zmienię zdania. - Lucien ze spokojem odwzajemnił moje spojrzenie.

Nie jest taki zły, pomyślałam.

Wydawało się, że Petit Jean nie zatrzyma konia. Isabelle stanęła pośrodku ścieżki, tarasując drogę. Wyciągnęła rękę i chwyciła wędzidło. Koń wepchnął pysk pod jej ramię i parsknął.

Ani Petit Jean, ani Gaspard nie patrzyli w oczy Isabelle, choć ten drugi zdjął swój czarny kapelusz i skinął jej głową. Chłopiec siedział sztywno, ze spojrzeniem utkwionym przed siebie; śpieszno mu było jechać dalej.

- Dokąd jedziecie? - zapytała.

- Na farmę. - Petit Jean przełknął ślinę.

- Po co? Znalazłaś Marie? Jest bezpieczna?

Nie odpowiedział. Gaspard odchrząknął, zwracając ku Isabelle ślepe oko.

- Przykro mi, Isabelle - wymamrotał. - Wiesz, że gdyby nie Pascale, nie chciałbym mieć z tym nic wspólnego. Gdyby nie uszyła sukienki, nie musiałbym teraz pomagać. A tak... - Wzruszył ramionami i włożył kapelusz. - Bardzo mi przykro.

Petit Jean syknął przez zęby i gwałtownie szarpnął wodze, wrywając wędzidło z matczynej ręki.

- Pomagać w czym? - krzyknęła, gdy raptownie ruszył z kopyta. - W czym?

Kapelusz sfrunął Gaspardowi z głowy i spadł w kałużę. Odprowadziwszy wzrokiem jeźdźców, Isabelle podniosła kapelusz, po czym otrząsnęła go z wody i błota. Trzymając go luźno palcami, ruszyła w kierunku domu.

Rozpadało się na dobre. Wbiegliśmy do *devant-huis*; światło mojej latarki omiotło zamknięte drzwi. Lucien spróbował ruszyć kłódkę.

- Założyli ją w obawie przed *les drogués* - oznajmił.

- Chcesz powiedzieć, że w Moutier są narkomani?

- Jasne. W tym kraju wszędzie ich pełno. Nie wiesz zbyt wiele o Szwajcarii, prawda?

- Na to wygląda - mruknełam po angielsku. - Jezu. Pozory mylą.

- Jak tu wczoraj weszliście?

- Jacob wiedział, gdzie jest klucz. - Rozejrzałam się dokoła. - Nie zauważyłam, skąd go brał. Ale nie powinno być trudno go znaleźć.

Za pomocą latarki sprawdziliśmy wszystkie możliwe schowki w *devant-huis*.

- Może Jacob przez pomyłkę wziął go ze sobą - powiedziałam. - Wszyscy byliśmy wytrąceni z równowagi. Myślę, że to bardzo prawdopodobne. Odczułam mimowolną ulgę, że może jednak nie będę musiała przez to przechodzić.

Lucien popatrzył na okienka po obu stronach drzwi; pęknięte szybki można by bez trudu wepchnąć do środka, ale żadne z nas nie precisnęłoby się przez framugę. Okna od frontu też były małe i znajdowały się wysoko w ścianie. Lucien odebrał mi latarkę.

- Sprawdź, czy z tyłu nie ma większego okna - oznajmił. - Zaczekasz tu sama?

Zmusiłam się, żeby kiwnąć głową. Lucien wyszedł z *devant-huis* i zniknął za węglem. Objąwszy się ramionami, stanęłam w progu i nadstawiłam uszu. Początkowo słyszałam tylko deszcz, lecz po chwili dołączyły doń inne odgłosy: szmer ruchu ulicznego daleko w dole, świst pociągu. Bliskość normalnego świata dodała mi pewnej otuchy.

Podskoczyłam, słysząc zgrzyt dobiegający z wnętrza domu. To tylko Lucien, przywołałam się do porządku, i mimo deszczu wołałam wyjść na podwórze. Lecz widząc w oknie twarz oraz błysk latarki, z trudem stłumiłam okrzyk.

Lucien gestem przywołał mnie do okna i przez wybitą szybę podał mi latarkę.

- Podejdz od tyłu - polecił i zniknął, zanim zdążyłam zapytać, czy wszystko w porządku.

Okrążyłam dom, podobnie jak Lucien kilka minut wcześniej. Kosztowało mnie to sporo wysiłku: bok oraz tył domu stanowiły prywatne terytorium, z dala od widoku publicznego. Jednym słowem, wkraczałam w inny, nieznaną świat.

Dookoła było pełno błota; brodziłam między kałużami w poszukiwaniu bardziej suchego, pewniejszego gruntu. Na widok otwartego okna i zarysu sylwetki Luciena wewnątrz domu niepotrzebnie przyśpieszyłam kroku i upadłam na kolana.

Wychylił się na zewnątrz.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

Chwiejnie stanęłam na nogi, wymachując gwałtownie latarką. Na moich kolanach

widniały dwa okrągłe placki błota.

- Nie - mruknęłam, usiłując otrzepać spodnie. Podałam mu latarkę; wycelował światło w parapet, czekając, aż wejdę do środka.

W domu panował chłód, chyba nawet większy niż na dworze. Odgarnęłam z oczu mokre włosy i potoczyłam wzrokiem dokoła. Znajdowaliśmy się w niewielkiej izdebce, położonej z tyłu domostwa, sypialni bądź składziku, pustym, jeśli nie liczyć sterty drewna oraz kilku połamanych krzeseł. Pachniało wilgocią i pleśnią, a kiedy Lucien oświetlił sufit, zobaczyliśmy kłęby rozkołysanych pajęczyn. Lucien zamknął okno; framuga wydała identyczny odgłos jak ten, który usłyszałam przed chwilą. Już chciałam poprosić, żeby je otworzył, ułatwiając w ten sposób drogę ucieczki, ale ugryzłam się w język. Nie ma przed czym uciekać, przypomniałam sobie w duchu, czując, jak żołądek mi się przewraca.

Lucien poprowadził mnie do głównej izby, po czym przystanął obok paleniska i błysnął latarką na komin. Długo spoglądaliśmy nań w milczeniu.

- Robi wrażenie, prawda? - zapytałam.

- Tak. Mieszkam w Moutier od urodzenia i słyszałem o tym kominie, ale nigdy nie widziałem go na własne oczy.

- Wczoraj zdziwiłam się, że jest taki brzydki.

- Aha. Jak *ruches*, które widziałem w telewizji. Z Ameryki Południowej.

- *Ruches*! Co to takiego?

- Domy pszczół. No wiesz, tam gdzie powstaje miód.

- A, ul. Rzeczywiście, rozumiem, co masz na myśli. - Gdzieś, chyba w „National Geographic”, widziałam wysokie, bryłowate ule, o których mówił, pokryte szarawym cementem, kryjącym prążkowaną formę, podobną do kokonu przed wykluciem, szpetną acz funkcjonalną. Naszło mnie wspomnienie jednej ze zrujnowanych farm w Cévennes: precyzyjnie ułożony granit, elegancki zarys komina. Nie, to zupełnie nie to; tutejszy komin powstał z desperackiego pragnienia komina w ogóle, bez względu na kształt.

- Wiesz co, to bardzo dziwne - oświadczył Lucien, nie odrywając wzroku od paleniska. - Spójrz na jego położenie względem reszty pomieszczenia. Zupełnie tu nie pasuje. Zakłóca harmonię. Jakoś tu... niewygodnie.

Miał rację.

- Jest za blisko drzwi - uściśliłam.

- O wiele za blisko. Człowiek dosłownie wpada na niego tuż za progiem. To bardzo niefortunne: przy każdym otwarciu drzwi uciekało dużo ciepła. A przeciąg wzmagał płomień i czynił go trudnym do opanowania. To mogło być niebezpieczne. Powinien być tam, pod ścianą naprzeciwko. - Pokazał palcem miejsce. - Dziwne, że ludzie mieszkali tu przez setki lat i jakoś sobie z tym radzili.

Rick, pomyślałam nagle. Rick znalazłby wytłumaczenie. Układ przestrzenny to jego specjalność.

- Co dalej? - W głosie Luciena zabrzmiało powątpiewanie. To, co w wyobraźni wydawało mi się nieskomplikowane, w ciemnej i mokrej rzeczywistości zyskało posmak absurdu.

Wzięłam od niego latarkę i przystąpiłam do metodycznych oględzin, zaczynając od czterech kolumn i kończąc na czterech łączących je łukach, podtrzymujących komin.

Lucien nie dał za wygraną.

- Czego właściwie szukasz? Wzruszyłam ramionami.

- Czegoś... starego - odparłam, stając na granicy i zaglądając w zwężający się tunel. Na występkach utworzonych przez sterzące kamienie widziałam pozostałości ptasich gniazd. - I może... niebieskiego.

- Niebieskiego?

- Tak. - Zeszłam do granitu. - Posłuchaj, Lucien, budujesz różne rzeczy. Gdybyś miał ukryć coś w kominie, gdzie dokładnie byś to schował?

- Coś niebieskiego?

Popatrzyłam na niego bez słowa. Lucien przeniósł wzrok na komin.

- No cóż - odpowiedział po chwili - większość elementów komina za bardzo się rozgrzewa, to coś mogłoby się spalić. Może należałoby umieścić tę rzecz wyżej. Albo... - Uklęknął i położył rękę na palenisku. Potarł je palcami, a następnie pokiwał głową. - Granit. Ciekawe, skąd oni go wytrzasnęli, nie pochodzi stąd.

- Granit - powtórzyłam. - Jak w Cévennes.

- Gdzie?

- Na południu Francji. Ale dlaczego granit?

- No, jest twardszy niż wapień. Równomiernie rozprawdza ciepło. Ale ten jest gruby, przez co spód za bardzo się nie rozgrzewał. Pewnie stanowiłby dobrą kryjówkę.

- Właśnie. - Skinęłam głową, rozcierając guz na czole. Zaczynałam rozumieć. - Podnieśmy go.

- Jest za ciężki. Trzeba by do tego czterech mężczyzn!

- Czterech mężczyzn - powtórzyłam. Rick, Jean-Paul, Jacob i Lucien. I jedna kobieta. Rozejrzałam się dokoła. - Masz... czy masz... po angielsku mówimy na to podnośnik. - Nie zrozumiał; wyjęłam z torby kartkę i długopis i naszkicowałam krążek linowy.

- Ach, *un palan*! - wykrzyknął Lucien. - Tak, mam. W ciężarówce. Ale i tak potrzebowalibyśmy kogoś do pomocy.

Zastanowiłam się przez chwilę.

- A ciężarówka? - spytałam. - Moglibyśmy przymocować *le palan* tutaj, potem do samochodu i dzięki temu unieść kamień.

Zrobił zdumioną minę, jakby nigdy nie posądzał ciężarówki o funkcje inne niż czysto transportowa. Długo milczał, dokonując w myślach obliczeń. Wsłuchałam się w dobiegające z zewnątrz kapanie.

- Tak - oświadczył wreszcie. - Może damy radę.

- Musimy.

Isabelle ostrożnie spróbowała otworzyć drzwi. Były zaryglowane od środka. Słyszała postękiwanie Etienne'a i Gasparda, po czym z izby doleciały strzępy gwałtownej wymiany zdań. Nie zawołała do nich, tylko weszła do stodoły, gdzie Petit Jean czyścił konia. Sięgał zwierzęciu ledwie do barku, lecz radził sobie wyśmienicie. Nie przerywając swych czynności, zerknął na matkę. Zobaczyła, że chłopak znowu przełyka ślinę.

Zupełnie jak tamten mężczyzna na drodze, podczas ucieczki z Francji, pomyślała na wspomnienie wystającej grdyki, pochodni, odważnego wystąpienia Marie.

- Papa kazał nam tu zostać, żebyśmy nie przeszkadzali - oznajmił Petit Jean.

- My? Czy Marie jest tutaj?

Syn wskazał głową stertę słomy w najciemniejszym zakamarku stodoły. Isabelle pośpieszyła w tamtą stronę.

- Marie - szepnęła, klękając u podnóża kopczyka.

Jacob siedział w kącie, zwinięty w kłębek. Omiótł ją niewidzącym spojrzeniem wytrzeszczonych oczu.

- Jacob! Co się stało? Znalazłeś Marie?

Chłopiec trzymał na kolanach czarną sukienkę, którą Marie narzuciła wcześniej na niebieską szatkę uszytą przez Pascale. Isabelle podpełzła bliżej i wyrwała ubranie z rąk syna. Było przesiąknięte wodą.

- Skąd to masz? - zapytała, oglądając sukienkę. Była rozerwana przy szyi. W kieszeniach znajdowały się rzeczne kamienie.

- Gdzie ją znalazłeś?

Pustym wzrokiem spoglądał na kamienie. Isabelle chwyciła syna za ramiona i potrząsnęła nim.

- Gdzie ją znalazłeś? - krzyknęła. - Gdzie?

- Tutaj - zabrzmiała odpowiedź z tyłu.

Isabelle obejrzała się na Petit Jeana.

- Tutaj? - powtórzyła. - To znaczy gdzie?

Petit Jean ogarnął ręką stodołę.

- Tutaj. Musiała ją zdjąć, zanim uciekła do lasu. Pewnie chciała pokazać diabłu nową suknię, nie, Jacob?

Jacob ukrył twarz w objęciach Isabelle.

Lucien podjechał tyłem do domu, tak blisko, jak to było możliwe. Przeciągnął linę przez małą metalową pętlę pod tylnym zderzakiem, następnie przez *devant-huis* i okienko przy drzwiach, z którego najpierw usunął pęknięte szkło, żeby nie przecięło sznura. Przymocował blok do belki biegnącej pod sufitem i poprowadził sznur od okienka przez krążek linowy do paleniska, przywiązując koniec do jednego wierzchołka trójkątnej metalowej ramy. Do pozostałych dwóch przyczepił klamry.

Odkopaliśmy jedną krawędź głazu, by odsłonić podstawę. Zabrało nam to dużo czasu, ziemia była bardzo ubita. Zawzięcie ryłam szpadlem, co parę minut przerywając pracę, by otrzeć pot zalewający mi oczy.

Lucien ustawił metalową ramę na obnażonej krawędzi głazu i umocował klamry, wbijając je w ziemię u podstawy. Wreszcie za pomocą szpadla i łomu zruszyliśmy klepisko dokoła całego granitu.

Kiedy wszystko było gotowe, pokłóciliśmy się o to, kto ma zostać w środku i pilnować urządzenia, a kto wsiądzie do ciężarówki.

- Montaż pozostawia wiele do życzenia - orzekł Lucien, spoglądając z niepokojem na

linę. - Jest pod złym kątem. Sznur będzie się ocierał o okno i łuk nad paleniskiem, o tutaj. - Pokazał latarką. - Łatwo się przetrze. Poza tym ciężar nie jest równomiernie rozłożony na wszystkich klamrach, ponieważ nie mogliśmy zawiesić bloku bezpośrednio nad paleniskiem, ale z boku, na belce. Próbowałem to jakoś zrównoważyć, tylko że ciąg z każdej strony jest inny i klamry łatwo mogą się zsunąć. No i belka. Istnieje ryzyko, że nie utrzyma ciężaru granitu. Lepiej, żebym sam miał na wszystko oko.

- Nie.

- Ello...

- Ja zostanę. Przypilnuję liny, klamer i *le palan*.

Mój ton wymusił na nim kapitulację. Lucien podszedł do okienka i wyjrzał na zewnątrz.

- No dobrze - powiedział cicho. - Stań tu z latarką. Jeśli sznur zacznie się przecierać, puszcza klamry bądź z jakiegoś innego powodu trzeba będzie zatrzymać ciężarówkę, skieruj światło na lusterko. - Mignął latarką na lewe boczne lusterko pojazdu. Błysnęło odbite światło. - Kiedy kamień uniesie się dostatecznie wysoko - podjął Lucien - błysnij latarką, żebym się zatrzymał.

Skinęłam głową, odebrałam latarkę Lucienowi i oświetliłam mu drogę do tylnego okna, przygotowując się na kolejny niemiły zgrzyt. Wychodząc, mężczyzna rzucił mi przelotne spojrzenie. Uśmiechnęłam się blado, lecz on zachował powagę. Na jego twarzy malował się wyraz troski.

Zdenerwowana stanęłam przy okienku. Z przejścia zapomniałam o mdłościach i pomimo nedorzeczności całej sytuacji czułam się doskonale. Byłam zadowolona, że poprosiłam o pomoc Luciena: nie znałam go na tyle, by czuć się w obowiązku składania wyjaśnień, jak byłoby w wypadku Ricka lub Jean-Paula, a techniczna strona przedsięwzięcia pochłaniała Luciena na tyle, że powstrzymał się od zadawania zbędnych pytań w rodzaju, po co właściwie to robimy.

Przestało padać, lecz zewsząd nadal dobiegało kapanie. Silnik zaskoczył z kasznięciem i ciężarówka zadygotała; Lucien zapalił reflektory, po czym dodał gazu. Wystawił głowę przez okno; pomachałam mu ręką. Powoli, powolutku samochód ruszył naprzód. Sznur ożył, naprężył się i zadrżał. Blok zwisający z belki zakołysał się w moją stronę. Belka zatrzeszczała pod naciskiem; odskoczyłam przerażona, że dom zawali się

wokół mnie.

Belka jednak wytrzymała. Omiotłam latarką linę, tam i z powrotem, na całej długości, aż do ciężarówki. Było czego pilnować. Skupiłam się, napięta jak struna.

Naraz jedna z klamer zaczęła się ześlizgiwać z kamienia. Błysnęłam latarką w boczne lusterko. Lucien zatrzymał samochód; dokładnie w tej samej chwili zacisk puścił i metalowa rama pofrunęła w kierunku bloku, uderzyła po drodze w komin i wpadła na belkę. Z krzykiem przycisnęłam się plecami do drzwi. Rama huknęła o podłogę. Kiedy Lucien zajrzał przez okno, stałam jak wrośnięta w podłogę, trąc rękami twarz.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

- Nie. To tylko jeden z zacisków ześlizgnął się z głazu. Przymocuję go z powrotem.

- Jesteś pewna?

- Jasne - odpowiedziałam.

Wzięłam głęboki oddech i podeszłam do ramy.

- Niech no rzucę okiem - powiedział Lucien. Podałam mu ramię. Na szczęście metal nie uległ zniszczeniu. Lucien obserwował przez okno, jak mocuję zaciski. Skończywszy, oświetliłam je latarką, by sprawdził, czy zrobiłam to jak należy.

- Dobrze. Wiesz co, może jednak damy radę. - Wrócił do ciężarówki, a ja znów zajęłam pozycję przy oknie.

Isabelle przykucnęła na słomie i wyjrzała na zewnątrz. Deszcz lał jak z cebra, niebo pociemniało. Wkrótce zapadnie zmrok. Przeniosła spojrzenie na synów. Petit Jean dalej czyścił konia, rozglądając się nerwowo. Jacob oglądał kamienie z sukienki Marie. Polizał je, a następnie popatrzył na matkę.

- Wybrali najbrzydsze - powiedział cicho. - Szare, bez koloru. Dlaczego to zrobili?

- Siedź cicho, Jacob! syknął Petit Jean.

- O co wam chodzi? - krzyknęła Isabelle. - Co przede mną ukrywacie?

- Nic, *maman* - odrzekł Petit Jean. - Marie uciekła. Wraca nad Tarn, na spotkanie z diabłem. Sama tak powiedziała.

- Nie. - Isabelle wstała. - Nie wierzę ci. Nie wierzę!

Klamry ześlizgiwały się jeszcze dwukrotnie, lecz za trzecim razem pozostały na miejscu. Lucien miarowo posuwał się do przodu, hałasując przy tym niemożliwie. Właśnie skierowałam snop światła na blok, gdy usłyszałam charakterystyczne cmoknięcie,

przypominające odgłos stopy wyciąganej z błota. Przesunawszy latarkę, zobaczyłam, jak granit niechętnie odrywa się od ziemi, najpierw na cal, potem dwa i trzy. Zamarłam. Belka jęknęła. Odeszłam od okna, przykucnęłam obok paleniska i zaświeciłam latarką w szczelinę. Panował okropny hałas, belka i mechanizm trzeszczały, a silnik wył wniebogłosy przy wtórze mojego rozkołatanego serca. Zajrzałam w głąb szczeliny.

Łoskot opuszczanego granitu sprawił, że zamarli bez ruchu. Nawet koń ucichł.

Isabelle i Petit Jean podeszli do drzwi, Jacob opuścił swą kryjówkę i stanął obok. Isabelle sięgnęła do klamki. Gdy spróbowała pchnąć drzwi, odsunięto rygiel i na progu stanął Etienne, spocony i czerwony na twarzy. Z uśmiechem popatrzył na żonę.

- Wejdz, Isabelle.

Drgnęła na dźwięk swojego imienia, po czym weszła do izby. Hannah klęczała z zamkniętymi oczami obok paleniska, na którym płonęły świece. Gaspard stał nieco z tyłu, ze spuszczoną głową. Kiedy Isabelle z chłopcami weszli do środka, nie podniósł wzroku. Już to gdzieś widziałam, uświadomiła sobie Isabelle. Widziałam, jak Hannah modli się przy palenisku.

W zagłębieniu pod głazem dostrzegłam smugę błękitu. Patrzyłam oszołomiona. Potem kamień uniósł się w górę na pięć cali, wreszcie na sześć; wtedy zobaczyłam zęby i zrozumiałam. Zrozumiałam i zaczęłam krzyczeć. Sięgnawszy ręką do grobu, dotknęłam malutkiej kości.

- To ręka dziecka! - krzyknęłam. - To... - Sięgnęłam głębiej i zacisnęłam palce na skrawku błękitu, po czym dobyłam ze szczeliny długą nić owiniętą dokoła kosmyka włosów. Miałam przed sobą błękit z obrazu, a włosy były rude, jak moje. Łzy popłynęły mi po twarzy.

Patrzyła na palenisko, położone tak dziwnie.

Nie mógł zaczekać, pomyślała. Nie mógł zaczekać na pomoc, żeby położyć głaz tam, gdzie należy.

Granit spoczywał zbyt blisko progu. Stali stłoczeni pomiędzy piecem a drzwiami, ona, Etienne i chłopcy. Isabelle odłączyła od reszty i okrążyła kamień.

Naraz jej uwagę przykuła smuga błękitu na podłodze. Padła na kolana. Nić wychodziła spod paleniska. Isabelle z całej siły szarpnęła; nić naprężyła się i pękła. Isabelle uniosła ją do świcy.

Usłyszałam trzask i świst pękniętej liny. Głaz z hukiem opadł na miejsce, metalowe klamry wystrzeliły w kierunku belki. Słyszałam już gdzieś ten huk.

- Nie! - krzyknęła Isabelle. Ze szlochem rzuciła się na głaz, tłukąc weń głową. Przycisnęła czoło do zimnego granitu i przytuliła do policzka niebieską nić. - *J'ai mis en toi mon espérance: Garde-moi donc, Seigneur, D'éternel déshonneur. Octroye-moi ma délivrance. Par ta grande bonté haute. Qui jamais ne fit faute.* Błękit zniknął, zastąpił go szkarłat i czerń.

- Nie! - krzyknęłam. Ze szlochem rzuciłam się na głaz, tłukąc weń głową. Przycisnęłam czoło do zimnego granitu i przytuliłam do policzka niebieską nić. - *J'ai mis en toi mon espérance: Garde-moi don., Seigneur, D'éternel déshonneur: Octroye-moi ma délivrance. Par ta grande bonté haute. Qui jamais ne fit faute.*

Błękit zniknął, zastąpił go szkarłat i czerń.

RS

Rozdział 10

POWRÓT

Długo stałam na werandzie, nim uniosłam rękę do dzwonka. Postawiłam walizkę, obok niej torbę gimnastyczną, a następnie spojrzałam na drzwi. Były całkiem zwyczajne, wykonane z taniej sklejki, z wizjerem na wysokości oczu. Rozejrzałam się dookoła: znajdowałam się w nowej dzielnicy małych domków, otoczonych trawnikami, bez drzew, jeśli nie liczyć garstki wrzecionowatych witek, ledwo odrośniętych od ziemi.

Raz jeszcze przećwiczyłam w myślach przygotowaną formułkę, po czym zadzwoniłam do drzwi. Zwilgotniały mi ręce, a żołądek podskoczył niebezpiecznie. Przełknęłam ślinę i wytarłam dłonie o spodnie. Usłyszałam tupot; drzwi otwarły się raptownie i na progu stanęła mała blondyneczka. Czarno-biały kot prześlizgnął się pomiędzy jej nogami, a następnie przeciągnął ostentacyjnie i trącił nosem torbę gimnastyczną. Wąchał i wąchał, dopóki nie odsunęłam go butem.

Dziewczynka miała na sobie jaskrawożółte szorty oraz koszulkę z plamą od soku. Balansując na jednej nodze, uwiesiła się na klamce i obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem.

- *Bonjour, Sylvie*. Pamiętasz mnie?

Nie spuszczała ze mnie wzroku.

- Dlaczego ma pani fioletową głowę?

Dotknęłam swego czoła.

- Uderzyłam się.

- Trzeba to zabandażować.

- Zrobisz to dla mnie?

Kiwnęła głową.

- Kto to, Sylvie? - dobiegł głos ze środka.

- Pani od Biblii. Uderzyła się w głowę. Niech sobie idzie. Wie, że niczego nie kupię!

- Nie, nie! - odkrzyknęła Sylvie. - Ta druga pani od Biblii!

Zastukały obcasy i za dziewczynką stanęła Mathilde w kusych różowych szortach i białej bluzce, wiązanej na karku. W ręku trzymała na wpół obranego grejpfruta.

- *Mon Dieu!* - krzyknęła. - *Ella, quelle surprise!* - Podała owoc Sylvie i ucałowała mnie w oba policzki. - Powinnaś była mnie uprzedzić! Proszę, wejdź do środka.

Nie ruszyłam się z miejsca. Zadrzały mi ramiona; opuściwszy głowę, zaczęłam płakać.

Mathilde bez słowa otoczyła mnie ramieniem i podniosła walizkę. Kiedy Sylvie sięgnęła po torbę gimnastyczną, omal nie powstrzymałam jej okrzykiem. Mimo to nie zaprotestowałam i wzięłam ją za drugą rękę. Razem wprowadziły mnie do środka.

Nie wyobrażałam sobie, żebym mogła wsiąść do samolotu. Nie zniosłabym zamkniętej przestrzeni, a przede wszystkim chciałam opóźnić przyjazd do domu. Powrót do rzeczywistości wymagał więcej czasu niż długość przelotu.

Jacob pojechał ze mną pociągiem do Genewy, po czym zapakował mnie do autobusu na lotnisko, lecz poprosiłam kierowcę, aby wysadził mnie trzy przecznice od dworca. Poszłam do kawiarni i przez półtorej godziny siedziałam nad filiżanką kawy, czekając, aż Jacob wsiądzie do pociągu do Moutier. Potem wróciłam na stację i kupiłam bilet na pociąg do Tuluzy.

Trudno było opuścić Jacoba: nie dlatego, że chciałam zostać, lecz dlatego, że mój pośpiech był dlań aż nadto oczywisty.

- Przykro mi, Ello - wymamrotał podczas pożegnania - że twoja wizyta w Moutier okazała się tak traumatyczna. Zamiast pomóc, tylko przysporzyła ci cierpienia. - Zerknął na moje posiniaczone czoło, a potem na torbę gimnastyczną. Wolał, żebym jej nie zabierała, ale postawiłam na swoim, mimo obaw Jacoba, czy nie wyczują jej psy na lotnisku. To również przemawiało za podróżą pociągiem.

Lucien przyniósł torbę poprzedniego ranka, kiedy obudziłam się wreszcie po końskiej dawce leków zaordynowanych przez lekarza.

Staął koło łóżka, nieogolony, wyczerpany i brudny, i postawił ją przy ścianie.

- To dla ciebie, Ello. Na razie tani nie zaglądam. Wiesz, co w niej jest.

Spojrzałam tępo na torbę.

- Nie zrobiłeś tego sam, prawda?

- Przyjaciel był mi winien przysługę. Nie martw się, nie puści pary z ust. Umie dotrzymać tajemnicy. - Urwał. - Użyliśmy mocniejszej liny. Omal nie zerwaliśmy belki. Niewiele brakowało, a cały dom by runął.

- Szkoda, że się tak nie stało.

Kiedy wychodził, powiedziałam:

- Lucien. Dziękuję. Za pomoc. Za wszystko.

Skinął głową.

- Bądź szczęśliwa, Ello.

- Spróbuję.

Zostawiły bagaż na korytarzu i wyprowadziły mnie na podwórze, na ogrodzoną z obu stron łąkę trawnika z plastikowym basenem i masą zabawek. Posadziły mnie na leżaku i podczas gdy Mathilde pośpieszyła przygotować mi coś do picia, Sylvie stała obok, mierząc mnie uważnym spojrzeniem. Wyciągnęła rękę i lekko poklepała mnie po czole. Przymknęłam oczy. Jej dotyk i promienie słońca na skórze wprawiły mnie w błogi stan.

- Co to jest? - zapytała.

Otworzyłam oczy. Dziewczynka wskazywała na zaczerwieniony i obrzmiały placek łuszczycy na ramieniu.

- Mam problemy skórne. To się nazywa łuszczycyca.

- Łuuu-szyyy-caaa - powtórzyła Sylvie. - Tutaj też przydałby się bandaż, prawda?

Uśmiechnęłam się do niej.

- Opowiadaj - zażądała Mathilde, stawiając przede mną szklanekę soku pomarańczowego. Kazała córce iść do domu i przebrać się w strój kąpielowy. - Gdzie się dorobiłaś takich sińców?

Westchnęłam. Perspektywa składania wyjaśnień nie budziła we mnie entuzjazmu.

- Byłam w Szwajcarii - odpowiedziałam - z wizytą u rodziny. Chciałam pokazać krewnym Biblię.

Mathilde zrobiła zabawny grymas.

- Ci Szwajcarzy! - powiedziała z naganą.

- Szukałam czegoś - podjęłam - i...

Z domu dobiegł piskliwy wrzask. Mathilde podskoczyła jak oparzona.

- To pewnie kości - wyjaśniłam.

Najtrudniej było opuścić Susanne. Przyszła do mnie wkrótce po wizycie Luciena. Usiadła na skraju łóżka i nie patrząc na torbę, skinęła głową w jej kierunku.

- Opowiedział mi o niej - oznajmiła. - Widziałam.

- Lucien jest w porządku.

- Tak. - Wyrzała przez okno. - Jak myślisz, dlaczego tam były? Pokręciłam głową.

- Nie mam pojęcia. Może... - Urwałam; na samą myśl zadygotałam od stóp do głów, a przecież chciałam, aby myśleli, że stan mojego zdrowia pozwoli na rychły wyjazd.

Objęła mnie.

- Niepotrzebnie o tym wspominałam.

- Nieważne. - Zmieniłam temat. - Mogę ci coś powiedzieć? - Dzięki słabości zdobyłam się na bezwzględną szczerość.

- Oczywiście.

- Musisz się pozbyć Jana.

Nie wydawała się szczególnie zdziwiona. Wybuchnęliśmy śmiechem.

Mathilde wyszła z domu, prowadząc za rękę zapłakaną Sylvie.

- Przepróż Ellę za szperanie w jej rzeczach - poleciła. Sylvie rzuciła mi przez łzy podejrzliwe spojrzenie.

- Przepraszam - mruknęła. - *Maman*, czy mogę pobawić się w basenie?

- Możesz.

Sylvie pobiegła do basenu, jakby chciała znaleźć się jak najdalej ode mnie.

- Wybacz - powiedziała Mathilde. - Moja córka jest strasznie ciekawskim stworzeniem.

- Nic nie szkodzi. Nie chciałam jej wystraszyć.

- A więc to... to je znalazłaś? Czy tego właśnie szukałaś?

- Chyba nazywała się Marie Tournier.

- *Mon Dieu*. Należała... do rodziny?

- Tak. - Zaczęłam opowiadać o rodzinie, o farmie, o starym kominie i palenisku oraz imionach Marie i Isabelle. O błękicie, śnie i huku opuszczanego głazu. No i o kolorze moich włosów.

Mathilde słuchała, nie przerywając. Popatrzyła na swoje różowe paznokcie i skubnęła skórki.

- Ale historia! - oznajmiła, kiedy skończyłam. - Powinnaś ją spisać. - Chciała dodać coś jeszcze, ale zmieniła zdanie.

- O co chodzi?

- Dlaczego tu przyjechałaś? - zapytała. - *Ecoute*, miło mi cię gościć, ale dlaczego nie pojechałaś do domu? Nie wolałaś w tym stanie wrócić do męża?

Westchnęłam. Wyglądało na to, że o tym też będę musiała jej opowiedzieć: zajmie mi to kilka godzin. Pytanie Mathilde nasunęło mi pewną myśl. Potoczyłam wzrokiem dokoła.

- Czy ty... czy masz... gdzie jest ojciec Sylvie? - zapytałam w końcu niezręcznie.

Mathilde ze śmiechem machnęła ręką.

- Któż to wie? Nie widziałam go od kilku lat. Dzieci nigdy go nie interesowały. Nie chciał, żebym urodziła Sylvie, no i... - Wzruszyła ramionami. - *Tant pis*. Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie.

I tak opowiedziałam jej wszystko, o Ricku i o Jean-Paulu. I chociaż nie pominęłam żadnych szczegółów, moja opowieść trwała krócej, niż przewidywałam.

- Czyli Rick nie wie, gdzie jesteś?

- Nie. Kuzyn chciał do niego zadzwonić i powiadomić go o moim powrocie, ale mu nie pozwoliłam. Powiedziałam, że zadzwonię do Ricka z lotniska. Chyba czułam, że wybiorę okreśną drogę.

Szczerze mówiąc, podróż z Genewy spędziłam w stanie kompletnego otępienia, w ogóle nie zastanawiając się, dokąd jadę. W Montpellier musiałam się przesiąść; kiedy czekałam na dworcu, zapowiedziano pociąg z postojem w Mende. Patrzyłam, jak nadjeżdża, a ludzie wsiadają i wysiadają. Im dłużej stał na peronie, tym bardziej nie dawał mi spokoju. Wreszcie chwyciłam bagaż i wsiadłam do wagonu.

- Ello - odezwała się Mathilde.

Uniosłam głowę, odrywając wzrok od Sylvie dokazującej w basenie.

- Naprawdę musisz porozmawiać z Rickiem, *n'est-ce pas?* O wszystkim.

- Wiem. Ale nie czuję się na siłach, żeby do niego zadzwonić.

- Zostaw to mnie! - Zerwała się z miejsca i pstryknęła palcami. - Podaj mi numer. - Niechętnie spełniłam prośbę. - Dobrze. A teraz przypilnuj Sylvie. I nie wchodź do domu!

Położyłam się na leżaku. Byłam zadowolona, że ktoś przejął za mnie inicjatywę.

Na szczęście dzieci szybko zapominają. Pod koniec dnia Sylvie i ja bawiłyśmy się w najlepsze w basenie. Kiedy Weszłyśmy do domu, torby gimnastycznej nie było: Mathilde schowała ją do szafy. Sylvie o niej nie wspominała; pokazała mi swoje zabawki i pozwoliła zapleść włosy w dwa ciasne warkoczyki.

Mathilde darowała mi szczegóły rozmowy telefonicznej.

- Jutro, ósma wieczorem - rzuciła oględnie, podając mi adres w Mende, podobnie jak kiedyś Jean-Paul przed wizytą w „La Taverne”.

Kolację zjadłyśmy wcześniej, Sylvie musiała iść spać. Z uśmiechem spojrzałam na zawartość talerza: przypomniała mi posiłki z dzieciństwa, jasno określone, bez żadnych uduziwnień. Żadnego makaronu w sosie, oleju lub ziołach, żadnego specjalnego pieczywa ani łączenia smaków i konsystencji. Po prostu kotlet wieprzowy, fasolka szparagowa, kukurydza z masłem i bagietka. Jednym słowem, krzepiąca prostota.

Umierałam z głodu, kiedy jednak wzięłam do ust kawałek kotleta, mało nie wyplułam go z powrotem na talerz: nosił posmak metalu. Skosztowałam kukurydzy i fasolki: smakowały identycznie. Pomimo głodu nie mogłam zmusić się do jedzenia.

Nie zdołałam ukryć zawodu, zwłaszcza że Sylvie postanowiła jeść równo ze mną. Kiedy brałam do ust kotleta, ona robiła to samo, kiedy piłam, ona również sięgała po szklankę. Mathilde pochłonęła swoją porcję, nie rozglądając się na boki, po czym zganiła Sylvie za opieszałość.

- Ella też je powoli! - zawołała Sylvie. Mathilde zerknęła na mój talerz.

- Przepraszam - powiedziałam. - Jakoś dziwnie się czuję. Wszystko smakuje jak metal.

- Och, ja w ciąży miałam to samo! Okropność. Ale po kilku tygodniach powinno minąć. Potem można już jeść wszystko. - Urwała. - Ale przecież ty...

- To chyba wina lekarstwa - wpadłam jej w słowo. - Pewnie mam jeszcze w organizmie jego pozostałości. Wybacz, ale nie jestem w stanie tego zjeść.

Mathilde kiwnęła głową. Później zobaczyłam, jak mierzy mnie przeciągłym, badawczym spojrzeniem.

Wpasowałam się w ich życie ze zdumiewającą łatwością. Uprzedziłam Mathilde, że wyjadę następnego dnia, choć szczerze mówiąc, sama nie wiedziałam dokąd. Zbyła mnie machnięciem ręki.

- Nie ma mowy, zostaniesz z nami. Cieszę się, że tu jesteś. Mieszkamy same, przyda się trochę odmiany. O ile tylko nie masz nic przeciwko spaniu na kanapie!

Podniecona Sylvie kazała sobie czytać przed spaniem książkę za książką, bez ceregieli poprawiając moją wymowę i tłumacząc znaczenie niektórych zwrotów. Rankiem błagała

Mathilde, aby pozwoliła jej zostać w domu, zamiast iść na zajęcia obozu letniego, w którym uczestniczyła.

- Chcę się bawić z Ellą! - krzyknęła. - Proszę, *maman*. Proszę! Mathilde rzuciła mi przelotne spojrzenie. Lekko skinęłam głową.

- Musisz zapytać Elli - oświadczyła. - Skąd wiesz, że ma ochotę zabawić cię cały dzień?

Kiedy Mathilde wyszła do pracy, wykrzykując przez ramię ostatnie instrukcje, w domu zapadła niespodziewana cisza. Popatrzyłam na Sylvie, ona spojrzała na mnie. Wiedziałam, że obie myślimy o torbie ukrytej gdzieś w domu.

- Chodźmy na spacer - zaproponowałam pogodnie. - W pobliżu chyba jest jakiś plac zabaw, co?

- Dobrze - zgodziła się Sylvie i poszła zapakować najpotrzebniejsze rzeczy do plecaczka w kształcie misia.

Po drodze minęliśmy kilka sklepów; przystanąłam na widok apteki.

- Wejźmy tu na chwilę, Sylvie, muszę coś kupić. - Posłusznie weszła do środka. Zaprowadziłam ją do półki z mydłami. - Wybierz jedno - powiedziałam. - Kupię ci je w prezencie. - Z zapalem przystąpiła do otwierania pudełek i wąchania mydeł, dzięki czemu mogłam bez przeszkód porozmawiać z aptekarzem.

Wybrała lawendę; szła, trzymając mydełko pod nosem, po czym za moją namową schowała je do plecaka. Na placu zabaw pobiegła do koleżanek. Usiadłam na ławce obok innych matek, które zlustrowały mnie podejrzliwie. Nie próbowałam nawiązać rozmowy: musiałam pomyśleć.

Popołudnie spędziłyśmy w domu. Kiedy Sylvie zajęła się napełnianiem basenu, udałam się do łazienki ze swoim zakupem. Gdy wróciłam na dół, dziewczynka wskoczyła do basenu, a ja usiadłam na trawie i patrzyłam w niebo.

Po chwili podeszła i usiadła obok mnie. Bawiła się starą lalką Barbie z wyskubanymi włosami, mówiła do niej i kazała jej podrygiwać na wszystkie strony.

- Ello? - zaczęła. Czułam, co się święci. - Gdzie jest torba gimnastyczna?

- Nie wiem. Twoja mama ją schowała.

- Czyli wciąż jest w domu?

- Może. A może nie.

- Gdzie indziej mogłaby być?

- Może mama zabrała ją do pracy albo dała sąsiadce. Sylvie rozejrzała się dokoła.

- Sąsiadce? A po co?

Zły pomysł. Zmieniłam taktykę.

- Dlaczego pytasz?

Sylvie popatrzyła na lalkę i ciągnąc ją za resztki włosów, wzruszyła ramionami.

- Nie wiem - mruknęła. Odczekałam chwilę.

- Chcesz jeszcze raz ją zobaczyć? - spytałam.

- Tak.

- Na pewno?

- Tak.

- Nie zaczniesz płakać i krzyczeć?

- Nie, jeśli będziesz przy mnie.

Wyjęłam torbę z szafy i wyniosłam na podwórko. Sylvie siedziała z kolanami pod brodą i obserwowała mnie niespokojnie. Postawiłam torbę na trawie.

- Czy mam... rozłożyć je na trawniku? Idź do domu, zawołam cię, jak skończę.

Dziewczynka kiwnęła głową i zerwała się na równe nogi.

- Mam ochotę na colę. Mogę się napić?

- Tak.

Wbiegła do domu.

Zaczerpnęłam powietrza i otworzyłam torbę. Prawdę powiedziawszy, zaglądałam do niej pierwszy raz.

Kiedy wszystko było gotowe, weszłam do domu i odszukałam Sylvie; siedziała w salonie ze szklanką coli i oglądała telewizję.

- Chodź - powiedziałam, wyciągając do niej rękę. Podeszliśmy do drzwi prowadzących do ogrodu. Już w progu zobaczyła coś leżącego na trawie. Wtuliła się w mój bok.

- Nie musisz na nią patrzeć. Ale ona nic ci nie zrobi. Jest martwa.

- Co to?

- Dziewczynka.

- Dziewczynka? Taka jak ja?

- Tak. To jej kości i włosy. I kawałek sukienki.

Podeszłyśmy bliżej. Ku memu zdumieniu Sylvie puściła moją rękę i kucnęła obok szkieletu. Spoglądała nań przez długi czas.

- Ładny kolor - uznała wreszcie. - Co się stało z resztą sukienki?

- Ona... - Zgniła. Innego słowa nie znałam. - Zrobiła się stara i zniszczona - wyjaśniłam niezręcznie.

- Ma takie same włosy jak ty.

- Owszem.

- Skąd pochodzi?

- Ze Szwajcarii. Zakopano ją w ziemi, pod piecem.

- Dlaczego?

- Dlaczego umarła?

- Nie, dlaczego zakopano ją pod piecem? Żeby jej było ciepło?

- Może.

- Jak miała na imię?

- Marie.

- Powinno się ją pochować.

- Dlaczego? - Byłam ciekawa, co powie.

- Ponieważ musi mieć dom. Nie może tu zostać na zawsze.

- To prawda.

Sylvie usiadła na trawie, po czym położyła się obok kości.

- Idę spać - oznajmiła.

Chciałam ją powstrzymać, tłumacząc, że tak nie można, że będzie miała koszmary i że Mathilde może nadejść w każdej chwili i dojść do wniosku, że byłabym okropną matką, skoro pozwalałam jej córce spać obok szkieletu. Ale nic nie powiedziałam. Położyłam się po drugiej stronie.

- Opowiedz mi coś - zażądała Sylvie.

- Nie jestem w tym zbyt dobra.

Sylvie oparła się na łokciu.

- Wszyscy dorośli umiejają opowiadać! Opowiedz.

- No dobrze. Była sobie kiedyś mała blondyneczka w błękitnej sukience.

- Taka jak ja? Czy wyglądała tak jak ja?

- Tak.

Sylvie znów ułożyła się na plecach i z zadowoloną miną przymknęła oczy.

Była odważną dziewczynką. Miała dwóch starszych braci, mamę, tatę i babcię.

- Kochali ją?

- Tak, wszyscy oprócz babci.

- Jak to?

- Nie wiem. - Umilkłam. Sylvie otworzyła oczy. - Była brzydką, starą kobietą - podjęłam szybko. - Ubierała się tylko na czarno. I nigdy nic nie mówiła.

- No to skąd dziewczynka wiedziała, że babcia jej nie lubi?

- Bo... bo patrzyła na nią ze złością. I tak dziewczynka się domyśliła. Najgorzej było wtedy, kiedy włożyła swoją ulubioną błękitną sukienkę.

- Pewnie babcia chciała mieć taką samą!

- Tak, tkanina była bardzo piękna, ale starczyło jej tylko na jedną małą sukienkę. Kiedy dziewczynka ją wkładała, wyglądała jak niebo.

- Czy to była zaczarowana sukienka?

- Oczywiście. Chroniła ją przed babcią i innymi niebezpieczeństwami, ogniem, wilkami i łobuzami. No i przed utonięciem. Któregoś dnia dziewczynka bawiła się nad rzeką i wpadła do wody. Poszła na dno, zobaczyła w dole ławicę ryb i myślała, że już po niej. Ale sukienka napełniła się powietrzem i wypchnęła dziewczynkę na powierzchnię, ratując jej życie. Dlatego kiedy dziewczynka ją wkładała, mama mogła być spokojna o jej życie.

Spojrzałam na Sylvie, spała. Przeniosłam wzrok na dzielące nas strzępy błękitu.

- Poza jednym jedynym razem - dodałam. - Wystarczył tylko ten jeden raz.

Przyśniło mi się, że stoję w płonącym domu. Dokoła spadały belki, wirował popiół. Nagle pojawiła się dziewczynka. Widziałam ją za ledwie kątem oka; gdy kierowałam na nią wzrok, rozplywała się w powietrzu. Otaczało ją niebieskie światło.

- Pamiętaj o mnie - powiedziała. Zamieniła się w Jean-Paula; był nieogolony i niechlujny, przydługie włosy kręciły mu się na końcach, sadza pokrywała ręce, koszulę i twarz. Dotknęłam jego policzka, a kiedy cofnęłam rękę, zobaczyłam bliznę biegnącą od nosa do brody.

- Kto ci to zrobił? - zapytałam.

- Życie - odpowiedział.

Cień padł mi na twarz i obudziłam się. Mathilde stała nade mną, zasłaniając wieczorne słońce. Wyglądało na to, że tkwi tak od pewnego czasu, obserwując nas z założonymi rękami.

- Przepraszam - powiedziałam, mrugając powiekami. - Wiem, że to musi dziwnie wyglądać.

Mathilde prychnęła.

- Owszem, ale jakoś wcale mnie nie dziwi. Wiedziałam, że Sylvie będzie chciała znów obejrzeć kości. Chyba po prostu przestała się bać.

- Owszem. Była tak spokojna, że aż się zdziwiłam.

Nasze głosy obudziły dziewczynkę; Sylvie przewróciła się na plecy i usiadła na trawie. Miała zaróżowione policzki. Rozejrzała się, po czym jej wzrok spoczął na szkielecie.

- *Maman* - powiedziała. - Musimy ją pochować.

- Gdzie? W naszym ogrodzie?

- Nie. W jej domu.

Mathilde spojrzała na mnie przeciągle.

- I dokładnie wiem gdzie - uzupełniłam.

Pojechałam do Mende samochodem Mathilde. Aż trudno uwierzyć, że byłam tu zaledwie przed trzema tygodniami; od tamtej pory wiele się wydarzyło. Kiedy jednak okrążałam ponurą katedrę, podążając mrocznymi, wąskimi uliczkami Starego Miasta, towarzyszyło mi to samo uczucie. Mende nie było przyjemnym miejscem. Cieszyłam się, że Mathilde mieszka dalej; nawet przedmieście bez drzew było lepsze od posępnego centrum.

Poszłam pod wskazany adres; jak się okazało, była to ta sama pizzeria, w której jadłam za pierwszym razem, równie pusta jak wtedy. Wchodząc do środka, czułam się spokojna, lecz na widok Ricka z kieliszkiem wina w ręce, pochylonego nad kartą dań, żołądek mi się przewrócił. Nie widziałam go od trzynastu dni, bardzo długich trzynastu dni. Kiedy mnie zobaczył, wstał, uśmiechając się nerwowo. Miał na sobie strój do pracy, białą koszulę na guziki, granatowy bawełniany blezer i bojówki. Wyglądał jak duży, zdrowy Amerykanin w ciemnej norze, jak cadillac sunący wąską ulicą.

Pocałowaliśmy się z zakłopotaniem.

- Jezu, Ello, co ci się stało?

Dotknęłam siniaka na czole.

- Upadłam. To nic wielkiego.

Usiedliśmy. Zanim zdążyłam zaprotestować, Rick nappełnił mój kieliszek. Z grzeczności zamoczyłam usta. Kwaśna woń trunku sprawiła, że omal się nie zachłysnęłam. Pośpiesznie odstawiłam kieliszek.

Siedzieliśmy w milczeniu. Zrozumiałam, że to ja będę musiała zacząć rozmowę.

- Dzwoniła do ciebie Mathilde - zagaiłam bez przekonania.

- Tak. Boże, ależ ona nadaje. Nie rozumiem, dlaczego sama do mnie nie zatelefonowałaś.

Wzruszyłam ramionami. Czuję narastający ucisk w żołądku.

- Słuchaj, Ello, chciałbym coś niecoś wyjaśnić, dobrze? Skinęłam głową.

- Wiem, że przeprowadzka do Francji nie była dla ciebie łatwa. A na pewno trudniejsza niż dla mnie. Ja musiałem tylko podjąć pracę w innym biurze. Ludzie są inni, ale praca podobna. Ale ty nie masz pracy ani przyjaciół, musiałaś się czuć znudzona i wyalienowana. Rozumiem twoje rozgoryczenie. Zajęty pracą nie poświęcałem ci dostatecznie dużo uwagi. A kiedy człowiek się nudzi, zewsząd czyhają na niego różne pokusy, nawet w takiej dziurze jak Lisle.

Zerknął na moją łuszczycę; na chwilę zbiła go z tropu.

- Dlatego przyszło mi do głowy - oznajmił, podejmując przerwany wątek - że powinniśmy spróbować zacząć wszystko od nowa.

Podszedł kelner, aby przyjąć nasze zamówienie. Ze zdenerwowania nie byłam w stanie nic przełknąć, ale dla formalności zamówiłam najprostszą pizzę. W lokalu panował upał i zaduch; pot wystąpił mi na czoło, a ręce zwilgotniały. Roztrzęsiona upiłam łyk wody ze szklanki.

- A więc - podjął Rick - wychodzi na to, że może bez trudu znajdziemy rozwiązanie. Pamiętasz, że byłem na spotkaniu we Frankfurcie?

Skinęłam głową.

- Poproszono mnie, bym osobiście dopilnował realizacji projektu. - Popatrzył na mnie wyczekująco.

- Cóż, to wspaniale, Rick. Cieszę się razem z tobą.

- Rozumiesz, co to znaczy? Moglibyśmy się przenieść do Niemiec. Mamy szansę zacząć wszystko od nowa.

- Opuścić Francję?

- Ello, przecież od początku tylko narzekałaś odrzekł zdziwiony moim tonem. - Skarzyłaś się na nieżyczliwość tubylców, na brak przyjaciół. Dlaczego miałabyś chcieć tu zostać?

- Tu jest mój dom - odpowiedziałam niepewnie.

- Słuchaj, próbuję myśleć racjonalnie. Chyba jestem w tym dość dobry. Mam zamiar puścić w zapomnienie incydent z... no wiesz. Proszę tylko, żebyś zerwała z nim kontakt. Czy to zbyt wiele?

- Nie, chyba nie.

- Świetnie. - Spojrzał na mnie, tracąc na chwilę dobrą wolę. - Czyli przyznajesz, że coś was łączyło.

Ucisk w żołądku przybrał na sile, na mojej górnej wardze zaperliły się krople potu. Wstałam.

- Muszę iść do toalety. Zaraz wrócę.

Spokojnie doszłam do łazienki, kiedy jednak zamknęłam za sobą drzwi, moim ciałem targnęły gwałtowne torsje i zwymiotowałam. Miałam wrażenie, że pozbywam się wszystkiego, co zjadłam podczas pobytu we Francji i Szwajcarii.

Wreszcie całkowicie opróżniłam żołądek. Przysiadłam na piętach i oparłam się o ścianę; lampa umieszczona na suficie oświetlała mnie jak reflektor. Napięcie ustąpiło i pomimo wyczerpania po raz pierwszy od wielu dni odzyskałam jasność myślenia. Roześmiałam się pod nosem.

- Do Niemiec. Boże miłosierny - mruknęłam.

Kiedy wróciłam na salę, na stole stały już nasze pizze. Podniosłam swój talerz i odstawiłam go na sąsiedni stół.

- Dobrze się czujesz? - spytał Rick, lekko marszcząc czoło.

- Tak. Odchrząknęłam. - Rick, muszę ci coś powiedzieć. Rzucił mi niespokojne spojrzenie; nie wiedział, czego się spodziewać.

- Jestem w ciąży.

Podskoczył na krześle. Jego twarz zmieniała się pod wpływem przepływających myśli

niczym ekran telewizora.

- To cudownie! Prawda? Przecież tego właśnie pragnęłaś! Ale...

Zwątpienie na jego twarzy było tak bolesne, że w pierwszym odruchu omal nie chwyciłam go za rękę. Przyszło mi do głowy, że kłamstwo załatwiłoby sprawę. Szukałam właśnie takiej otwartej furtki. Ale nigdy nie umiałam kłamać.

- Dziecko jest twoje - powiedziałam wreszcie. - To musiało się zdarzyć, zanim wróciliśmy do antykoncepcji.

Rick zerwał się z krzesła i obiegnął stolik, żeby mnie uściskać.

- Szampan! - zawołał. - Musimy zamówić szampana!

Rozejrzał się za kelnerem.

- Nie, nie - zaproponowałam. - Proszę. Źle się czuję.

- No tak. Wiesz co, wracajmy do domu. Od razu. Przywiozłaś rzeczy? - Sprawdził pod stołem.

- Nie. Rick. Usiądź. Proszę.

Posłusznie opadł na krzesło i znów zrobił niepewną minę. Wzięłam głęboki oddech.

- Nie wrócę z tobą do domu.

- Ale... czy nie tak miało być?

- Jak?

- Ta kolacja. Sądziłem, że ze mną wrócisz. Mam samochód i w ogóle.

- Czy tak powiedziała ci Mathilde?

- No nie, ale myślałem...

- Źle myślałeś.

- Urodzisz moje dziecko.

- Na razie zostawmy dziecko w spokoju.

- Nie możemy zostawić go w spokoju. Przecież ono tam jest, prawda?

Westchnęłam.

- Na to wygląda.

Rick dopił resztę wina i odstawił kieliszek. Szkło zgrzytnęło o stół.

- Ello, jesteś mi winna wyjaśnienia. Nie powiedziałaś, po co wyjechałaś do Szwajcarii. Zrobiłem coś nie tak? Dlaczego traktujesz mnie w ten sposób? Sugerujesz, że coś jest z nami nie w porządku. Kto by pomyślał? Mam prawo się denerwować. To ty nie

możesz usiedzieć w jednym miejscu.

Nie wiedziałam, jak to ująć, żeby go nie urazić. Chyba wyczuł moje wahanie.

- Mów śmiało - zachęcił. - I bez ogródek.

- To trwa od naszego przyjazdu. Zmieniłam się.

- Jak to?

- Trudno powiedzieć. - Zastanawiałam się przez chwilę. - Wyobraź sobie, że kupujesz płytę, a potem słuchasz jej na okrągło i znasz na pamięć wszystkie piosenki. Myślisz, że poznałeś ją od początku do końca, wiele dla ciebie znaczy. Niech to będzie na przykład pierwsza płyta, którą kupiłeś w dzieciństwie.

- Beach Boys. „Surf's Up”.

- Właśnie. Potem przychodzi dzień, kiedy po prostu przestajesz jej słuchać, bez powodu, a nie w wyniku świadomej decyzji. Zwyczajnie nie czujesz takiej potrzeby. Straciła swój niepowtarzalny urok. Słyszysz ją czasem i nadal uważasz, że jest niezła, ale przestała na ciebie oddziaływać. Ot tak.

- Z Beach Boysami tak nie było. Nadal czuję to samo, kiedy jej słucham.

Plasnęłam ręką w stół.

- Do jasnej cholery! Dlaczego to robisz? Nieliczni goście podnieśli głowy znad talerzy.

- Co? - syknął Rick. - Co takiego zrobiłem?

- W ogóle mnie nie słuchasz. Wywracasz wszystko do góry nogami. Nie chcesz przyjąć do wiadomości tego, co próbuję powiedzieć.

- A co próbujesz powiedzieć?

- Ja już cię chyba nie kocham! To właśnie chcę powiedzieć, ale ty mnie nie słuchasz!

- Ach tak. - Opadł bezsilnie na krzesło. - Dlaczego więc po prostu tego nie powiesz?

Po co w to wciągać Beach Boysów?

- Dla ułatwienia chciałam posłużyć się porównaniem. Ale ty koniecznie musisz na to patrzeć ze swojej perspektywy.

- A jak inaczej mam patrzeć?

- Z mojej! Mojej! - Stuknęłam się w pierś. - Czy choć raz mógłbyś ocenić sytuację z mojej perspektywy? Taki jesteś miły i uprzejmy dla wszystkich, ale zawsze stawiasz na swoim, zawsze zmuszasz ludzi, żeby patrzyli na sprawy z twojego punktu widzenia.

- Chcesz wiedzieć, co widzę z twojej perspektywy, Ello? Widzę zagubioną, niezdecydowaną kobietę, która nie wie, czego chce, dlatego dla zabicia czasu postanawia sprawić sobie dziecko. A kiedy ma dosyć męża, puszcza się z pierwszym, który się nawinie.

Urwał i odwrócił wzrok, zażenowany własną brutalnością. Nigdy dotąd nie zdobył się przy mnie na taką szczerość.

- Rick - powiedziałam łagodnie. - Widzisz, to nie jest moja perspektywa. To zdecydowanie twój punkt widzenia. - I z braku lepszego rozwiązania zaczęłam płakać. Przyszedł kelner i dyskretnie uprzątnął nasze nietknięte pizze, po czym bez pytania położył na stoliku rachunek. Żadne z nas nie spojrzało w tamtym kierunku.

- Czy ta... zmiana nastawienia ma charakter stały czy czasowy? - zapytał, kiedy przestałam płakać.

- Nie wiem.

Nie dawał za wygraną.

- Ta sprawa z płytą... Czy fascynacja może powrócić?

- Czasami - odrzekłam po namyśle. Ale nie na długo, dorzuciłam w duchu. I nigdy w pierwotnym kształcie.

- Czyli jeszcze nie wszystko stracone.

- Rick, wiem tylko, że teraz nie mogę z tobą wrócić. - Znowu poczułam łyzy wzbierające pod powiekami. - Widzisz - dodałam - nie mówiłam ci, co zaszło w Szwajcarii. I we Francji. Czego dowiedziałam się o Turniejach. Nie opowiedziałam ci całej historii. Mogłabym to zrobić, uzupełniając brakujące elementy. Sam widzisz, że toczy się we mnie zupełnie inne życie, o którym nie masz zielonego pojęcia.

Rick ścisnął palcami nasadę nosa.

- Opisz to - powiedział. Ponownie zerknął na moją łuszczycę. - Muszę stąd wyjść. Ten upał jest nie do wytrzymania.

Kiedy wróciłam, Mathilde jeszcze nie spała. Przeglądała czasopismo, oparłszy długie nogi na szklanym stoliku w salonie. Rzuciła mi pytające spojrzenie. Padłam na sofę i utkwiłam wzrok w suficie.

- Rick chce się przenieść do Niemiec - oznajmiłam.

- *Vraiment?* Dość nagła decyzja.

- Właśnie. Nie mam zamiaru z nim jechać.

- Do Niemiec? - Skrzywiła się. - Oczywiście, że nie! Prychnęłam.

- Powiedz mi, czy ty lubisz jakikolwiek inny kraj prócz Francji?

- Amerykę.

- Przecież nigdy tam nie byłaś!

- Owszem, ale na pewno by mi się spodobało.

- Nie wyobrażam sobie powrotu. Nie umiałabym się tam znaleźć.

- Czy to właśnie zamierzasz zrobić?

- Sama nie wiem. Ale na pewno nie pojedę do Niemiec.

- Powiedziałaś Rickowi o ciąży? Wyprostowałam się gwałtownie.

- Jakim cudem się domyśliłaś?

- Przecież to oczywiste! Jesteś zmęczona, nie masz apetytu, choć czasami wcinasz za trzech. A gdy milczysz, wyglądasz, jakbyś czegoś nasłuchiwała. Dobrze pamiętam to uczucie. Zatem kto jest ojcem?

- Rick.

- Jesteś pewna?

- Tak. Przez pewien czas staraliśmy się o dziecko, a potem przestaliśmy, nie wiedząc, że nam się udało. Teraz już wiem, że mam objawy od kilku tygodni.

- A Jean-Paul?

Przewróciłam się na brzuch i wtuliłam twarz w jedną z poduszek.

- Co Jean-Paul?

- Chcesz się z nim spotkać? Porozmawiać?

- Czy mam mu do powiedzenia coś, co chciałby usłyszeć?

- *Mais...* na pewno czeka na wiadomość od ciebie, choćby złą. Nie traktujesz go zbyt łaskawie.

- Och, czy ja wiem? Moim zdaniem, wyświadczam mu wielką przysługę.

Ku mojej uldze Mathilde zmieniła temat.

- W środę biorę wolne - oświadczyła. - Pojedziemy do Le Pont de Montvert, jak proponowałaś. Zabierzemy też Sylvie. Bardzo jej się tam podobało. No i oczywiście masz szansę na ponowne spotkanie monsieur Jourdaina.

- Wprost nie mogę się doczekać.

I obie wybuchnęłyśmy śmiechem.

W środę rano Sylvie uparta się asystować podczas mojej porannej toalety. Przyszła do łazienki, gdzie wkładałam białe szorty i jasnobieżową koszulę, po czym oparła się o umywalkę, obserwując mnie badawczo.

- Dlaczego zawsze ubierasz się na biało? - zapytała.

Boże, znowu to samo, pomyślałam.

- Ta koszula nie jest biała - oznajmiłam. - Ma kolor... kolor płatków zbożowych. - Nie wiedziałam, jak powiedzieć „owsianka”.

- Właśnie, że nie. Moje płatki kukurydziane są pomarańczowe! Zjadłam na śniadanie trzy talerze płatków i wciąż byłam głodna.

- *Alors*, co wobec tego mam włożyć?

Sylvie klasnęła w ręce i pobiegła do salonu, gdzie przystąpiła do przeglądu mojej walizki.

- Masz tylko białe i brązowe rzeczy! - zawołała z rozczarowaniem. Wyjęła niebieską koszulę Jean-Paula. - Oprócz tego. Włóż ją - zakomenderowała. - Dlaczego nigdy cię w niej nie widziałam?

W Moutier Jacob wyprał koszulę; krew zesza, pozostawiając jedynie rdzawy zarys na plecach. Sądziłam, że jest prawie niewidoczny, lecz Mathilde dostrzegła go w jednej chwili. Na widok jej uniesionych brwi przekręciłam głowę, usiłując dojrzeć plamę.

- Lepiej nie pytaj - uprzedziłam. Parsknęła śmiechem.

- Życie to nieustanne pasmo dramatów, co?

- Kiedyś tak nie było, naprawdę! Mathilde spojrzała na zegarek.

- Chodźmy, monsieur Jourdain pewnie już czeka - powiedziała. Otworzyła szafę na korytarzu, wyjęła z niej torbę gimnastyczną i podała mi.

- Naprawdę do niego zadzwoniłaś?

- To pocziwina, Ello. Ma dobre intencje. Skoro już wie, że twoja rodzina pochodziła z tego regionu, będzie cię traktował jak dawno niewidzianą krewną.

- Czy to monsieur Jourdain mówił do mnie „mademoiselle”? To ten z czarnymi włosami? - dopytywała się Sylvie.

- Nie, to był Jean-Paul. Monsieur Jourdain to starszy pan, który spadł ze stołka. Pamiętasz?

- Lubię Jean-Paula. On też tam będzie?

Mathilde wyszczerzyła do mnie zęby.

- Spójrz, to jego koszula - powiedziała, pociągając za połą. Sylvie podniosła na mnie zdumione spojrzenie.

- To dlaczego ty ją nosisz?

Zarumieniłam się, a Mathilde wybuchnęła śmiechem.

Nastał piękny dzień; w Mende panował upał, lecz im wyżej wjeżdżałyśmy, tym bardziej rześkie i chłodne stawało się powietrze. Śpiewałyśmy przez całą drogę, Sylvie uczyła mnie piosenek z obozu letniego. Dziwnie było śpiewać, jadąc na pogrzeb, uznałam to jednak za jak najbardziej stosowne. Ostatecznie wiozłyśmy Marie do domu.

Gdy podjechałyśmy do *mairie* w Le Pont de Montvert, monsieur Jourdain natychmiast stanął w drzwiach. Uścisnął nam wszystkim ręce, nawet Sylvie.

- *Madame* - powiedział z uśmiechem, przytrzymując nieco dłużej moją dłoń. Nadal budził we mnie pewien niepokój; chyba był tego świadomy, gdyż ów uśmiech krył w sobie cień niepewności, niczym uśmiech dziecka, które chce być traktowane jak dorosły. - Napijmy się kawy - rzucił pośpiesznie i zaprowadził nas do pobliskiej kawiarni. Zamówiliśmy kawę i lemoniadę dla Sylvie, która wkrótce dostrzegła kota i skupiła nań całą swą uwagę. Przy stoliku przez chwilę panowało niezręczne milczenie; naraz Mathilde klepnęła ręką w blat.

- Mapa! - zawołała. - Przyniosę ją z samochodu. Chcemy panu pokazać, dokąd jedziemy. - I zerwała się z miejsca, pozostawiając nas samych.

Monsieur Jourdain odchrząknął; przez chwilę miałam wrażenie, że splunie.

- Proszę posłuchać, La Rousse - zaczął. - Pamięta pani, jak obiecałem, że spróbuję zasięgnąć informacji o pani przodkach, wymienionych w Biblii?

- Tak.

- *Alors*, kogoś znalazłem.

- Kogo, Tourniera?

- Nie, nie Tourniera. Nazywa się Elisabeth Moulinier. Jest wnuczką człowieka, który mieszkał w l'Hôpital, wiosce niedaleko stąd. Biblia była jego własnością. Elisabeth przyniosła ją tu po jego śmierci.

Znał pan jej dziadka? Monsieur Jourdain zasznurował usta.

- Nie - odparł krótko.

- Ale... myślałam, że wszystkich pan tu zna. Tak mi mówiła Mathilde.

Zmarszczył brwi.

- Był katolikiem - mruknął.

- Och, na miłość boską! - nie wytrzymałam.

Był zakłopotany, lecz jego twarz wyrażała zawzięty upór.

- Mniejsza z tym - bąknęłam, potrząsając głową.

Tak czy inaczej, wspomniałem tej Elisabeth o pani przyjeździe. Chce się z panią zobaczyć.

- To... - O co chodzi, Ello, pomyślałam. To wspaniale? Chcesz mieć z tą rodziną cokolwiek wspólnego? - To miło z pańskiej strony - odparłam. - Dziękuję.

Mathilde wróciła z mapą. Rozłożyliśmy ją na stole.

- La Baume du Monsieur to wzgórze - wyjaśnił monsieur Jourdain. - Są tam ruiny gospodarstwa, widzicie? - Wskazał na niewielkie oznaczenie na mapie. - Ruszajcie w drogę, a ja za godzinę lub dwie przywiozę do was madame Moulinier.

Na widok zakurzonego, sfatygowanego samochodu, zaparkowanego na poboczu, poczułam nagły ucisk w żołądku. Mathilde, pomyślałam. Ona po prostu uwielbia dzwonić. Zerknęłam na nią przelotnie. Z niewinną miną stanęła za samochodem, lecz na jej twarzy dostrzegłam cień zadowolonego uśmiešku. Pochwyciwszy mój wzrok, wzruszyła ramionami.

- Idź przodem - zaproponowała. - Sylvie i ja popatrzymy sobie na rzekę, prawda, Sylvie? Później cię dogonimy. No idź.

Z wahaniem podniosłam torbę gimnastyczną, łopatę oraz mapę i ruszyłam ścieżką. Naraz przystanąłam i obejrzałam się przez ramię.

- Dzięki - powiedziałam. Mathilde z uśmiechem machnęła ręką.

- *Vas-y, chérie.*

Siedział plecami do mnie na walących się pozostałościach komina i palił papierosa. Miał na sobie łososiową koszulę, włosy połyskiwały mu w słońcu. Był tak bliski i dostępny, że jego widok niemalże sprawił mi ból. Poczułam nagły przypływ tęsknoty, chciałam poczuć jego zapach, dotknąć rozgrzanej skóry.

Gdy mnie zobaczył, wyrzucił papierosa, ale nie wstał. Położyłam na ziemi torbę i łopatę. Pragnęłam otoczyć go ramionami, wtulić nos w jego szyję i wybuchnąć płaczem, ale

nie mogłam. Najpierw muszę mu powiedzieć. Niedotykanie go kosztowało mnie tyle wysiłku, że nie usłyszałam, co powiedział, i musiałam poprosić, żeby powtórzył. Nie zrobił tego. Długo spoglądał na moją twarz, z trudem siląc się na obojętność.

- Jean-Paul, tak bardzo mi przykro wymamrotałam po francusku.

- Dlaczego? Dlaczego ci przykro?

- Och. - Zaplotłam ręce na karku. - Mam ci tyle do powiedzenia, że nawet nie wiem, od czego zacząć. - Przycisnęłam łokcie do piersi, usiłując powstrzymać drżenie.

Wyciągnął rękę i dotknął mojego posiniaczonego czoła.

- Kto ci to zrobił?

Uśmiechnęłam się blado.

- Życie.

- Opowiedz mi o tym - powiedział. - I o tym, po co to tutaj przywiozłaś. - Wskazał na torbę. - Opowiedz mi po angielsku. Kiedy musisz, mów po angielsku, a ja będę mówił po francusku.

Nigdy nie wzięłam pod uwagę takiej możliwości. Miał rację: nie czułam się na siłach, żeby opowiedzieć mu o wszystkim po francusku.

- W torbie są kości - wyjaśniłam, krzyżując ręce na piersi i przenosząc ciężar ciała na jedno biodro. - Kości dziewczynki. Widać to po ich wielkości i kształcie, poza tym zachowały się resztki sukienki oraz włosów. Znalazłam je pod paleniskiem na farmie, która podobno przez wiele lat należała do Tournierów. W Szwajcarii. Moim zdaniem, to szczątki Marie Tournier.

Przerwałam chaotyczną opowieść, czekając, aż Jean-Paul wpadnie mi w słowo. Kiedy tego nie zrobił, spróbowałam odpowiedzieć na jego milczące pytania.

- W naszej rodzinie imiona przechodzą z pokolenia na pokolenie. Nadal można spotkać Jacobów i Jeanów, są też kobiety imieniem Hannah i Susanne. To swego rodzaju hołd dla pamięci przodków. Używane są wszystkie dawne imiona oprócz Marie i Isabelle. Na pewno powiesz, że robię założenia na podstawie nic nieznaczących domysłów, uważam jednak, że kobiety o tych imionach popełniły jakieś wykroczenie, może zostały wyklęte. Odrzucając ich imiona, rodzina chciała je skazać na zapomnienie.

Jean-Paul zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

- Istnieją też inne dowody, które mógłbyś podważyć. Na przykład włosy dziewczynki, w identycznym kolorze jak moje. Jak moje po przyjeździe do Francji. I to, że granit opadł na miejsce z takim samym hukiem, jak ten w moim śnie. Dokładnie takim samym. Ale przede wszystkim błękit. Strzępy sukienki mają identyczny odcień jak w moim śnie. Błękit Matki Boskiej.

- Błękit Tourniera - uzupełnił.

- Tak. Uznasz to za zbieg okoliczności. Znam twój stosunek do zbiegów okoliczności. Ale to więcej niż przypadek. Znacznie więcej.

Jean-Paul wstał i by rozprostować nogi, zaczął okrażać ruiny. Następnie wrócił do mnie.

- Czy to Mas de la Baume du Monsieur? - zapytał. - Gospodarstwo z zapisków w Biblii?

Skinęłam głową.

- Chcę tu pochować Marie.

- Mogę zobaczyć? - Jean-Paul wskazał na torbę.

- Tak. - Widziałam, że wpadł na jakiś pomysł. Odczułam dziwną ulgę. Mój rozkapryszony żołądek uspokoił się nieco i domagał jedzenia. Usiadłam na kamieniu i obserwowałam Jean-Paula.

Przyklęknął i otworzył torbę na oścież. Długo spoglądał na jej zawartość, następnie musnął palcami rude włosy i dotknął strzępów sukienki. Podniósł wzrok, lustrując mnie od stóp do głów; przypomniałam sobie, że noszę jego koszulę. Niebiesko-szkarłatną koszulę.

- Nie włożyłam jej specjalnie - zapewniłam. - Nie wiedziałam, że tu będziesz. To sprawka Sylvie. Twierdzi, że nie dość kolorowo się ubieram.

Uśmiechnął się.

- À propos, wiedziałeś, że Goethe spędził w Moutier jedną noc? Jean-Paul parsknął pogardliwie.

- Nie ma się czym chwalić. On wszędzie zatrzymywał się na jedną noc.

- Domyślam się, że czytałeś wszystkie jego dzieła.

- Jak ty to kiedyś powiedziałaś? Typowe, że akurat teraz musisz mówić o Goethem.

Teraz ja się uśmiechnęłam.

- *Touché*. Tak czy siak, przepraszam za koszulę. Spotkał ją... przykry wypadek.

Spojrzał uważnie.

- Wygląda, że jest w porządku.

- Nie widziałeś pleców. Nie, nie pokażę ci. To temat na zupełnie inną rozmowę.

Jean-Paul zapiął torbę.

- Mam pomysł - oświadczył. - Ale możesz się zdenerwować.

- Chyba bardziej już nie mogę.

- Chcę kopać tutaj. Przy kominie.

- Po co?

- Mam pewną teorię. - Przykucnął obok rumowiska. Z komina niewiele zostało. Dawniej był to wielki kawał granitu, jak w Moutier, ale pękł przez środek i stopniowo kruszył się na kawałki.

- Słuchaj, nie mam zamiaru jej tu pochować, jeśli o to ci chodzi - uprzedziłam. - To ostatnie miejsce, jakie wybrałabym na grób.

- Jasne, że nie. Myślę jednak, że coś tu znajdziemy.

Patrzyłam, jak odrzuca gruz, po czym uklękłam i zaczęłam mu pomagać, omijając co większe odłamki z obawy o brzuch. W pewnej chwili zerknął na moje plecy i obrysował palcem plamę krwi. Ani drgnęłam; moje ramiona i nogi pokryły się gęsią skórką. Jean-Paul przesunął palec na kark, a następnie zanurzył dłoń w moich włosach i przeczesał je jak grzebieniem. Naraz znieruchomiał.

- Nie chcesz, żebym cię dotykał - stwierdził raczej, niż zapytał.

- Kiedy się dowiesz wszystkiego, sam nie będziesz chciał mnie dotykać. To nie koniec mojej opowieści.

Jean-Paul opuścił rękę i podniósł łopatę.

- Później mi powiesz - odparł i zaczął kopać.

Kiedy znalazł zęby, nawet się nie zdziwiłam. Podał mi je bez słowa. Otworzyłam torbę i zajrzałam do środka. Były identycznej wielkości, jak zęby Marie. Ostre, kłuły mnie w rękę.

- Dlaczego? - zapytałam.

- W niektórych kulturach ludzie grzebali pod fundamentami różne rzeczy. Czasami ciała zwierząt, czasem buty. Czasami, rzadko, ludzi. Wierzono, że ich dusze pozostaną w domu i odpędzą demony.

Zapadła długa cisza.

- Chcesz powiedzieć, że składano ludzi w ofierze.

- Może. Pewnie tak. Szczątki pod kominami obu domów to coś więcej niż tylko zbieg okoliczności.

- Ale... przecież byli chrześcijanami. Mieli wierzyć w Boga, a nie w zabobony!

- Religia nigdy całkowicie nie zniosła przesądów. Chrześcijaństwo nałożyło się na dawne wierzenia, ale ich nie unicestwiło.

Popatrzyłam na zęby i zadrżałam.

- Jezu, co za rodzina. Pomyśleć, że jestem jedną z nich. Ja też nazywam się Tournier. - Zatrzęsłam się cała.

- Ello. Dzięką cię od nich lata świetlne - zaproponował łagodnie Jean-Paul. - Żyjesz w dwudziestym wieku. Nie odpowiadasz za ich czyny. Poza tym musisz pamiętać, że masz w sobie geny zarówno ojca, jak i matki. Każde miało swoją rodzinę.

- Nazywam się Tournier.

- Owszem, ale nie ponosisz winy za grzechy Tournierów. Otworzyłam szeroko oczy.

- Pierwszy raz słyszę, jak używasz tego słowa. Wzruszył ramionami.

- Ostatecznie wychowywano mnie w wierze katolickiej. Trudno całkowicie odrzucić własne dziedzictwo.

W oddali pojawiła się biegnąca zygzakiem Sylvie; pochłonięta wypatrywaniem królików wyglądała jak wirujący żółty motyl. Na nasz widok wydała radosny okrzyk i puściła się biegiem.

- Jean-Paul!

Stanąła u jego boku. Przykucnęła.

- *Bonjour, mademoiselle* - powiedział. Sylvie ze śmiechem poklepała go po ramieniu.

- Już zaczęliście kopać? - Mathilde wymachiwała żółtym *panier* i ostrożnie stawiała stopy wśród kamieni. Miała na nogach różowe klapki. - *Salut, Jean-Paul* - powiedziała wesoło.

Jean-Paul odwzajemnił uśmiech. Przyszło mi do głowy, że przy odrobinie rozsądku powinnam się wycofać: niech Mathilde ma coś z życia, a Sylvie zyska ojca. Byłaby to moja własna ofiara, zadośćuczynienie za grzechy mojej rodziny.

Cofnęłam się o krok.

- Poszukam miejsca na grób - oznajmiłam. Wyciągnęłam rękę. - Pójdiesz ze mną, Sylvie?

- Nie - odparła Sylvie. - Zostanę tu z Jean-Paulem.

- Ale może... może twoja mama chciałaby pobyc z nim sama?

Od razu uświadomiłam sobie swój błąd. Mathilde roześmiała się piskliwie.

- Aleś ty czasem głupia, Ello!

Jean-Paul wyjął z kieszeni papierosa i przypalił go z uśmiechem.

- Tak, jestem głupia - mruknęłam po angielsku. - Istna ze mnie kretyńka.

Zgodnie uznaliśmy, że najlepszy będzie trawiasty zakątek przy głazie w kształcie grzyba, opodal ruin. Charakterystycznie ukształtowana skała była wymarzonym punktem orientacyjnym.

Jean-Paul zaczął kopać, a my usiadłyśmy w pobliżu i zjadłyśmy lunch. Następnie przyszła moja kolej, potem kolej Mathilde, i wreszcie wykopaliśmy dół o głębokości około dwu stóp. Przystąpiłam do wykładania kości. Grób bez trudu pomieściłby dwie osoby, więc choć Jean-Paul znalazł pod kominem tylko zęby, ułożyłam je na wysokości twarzy Marie. Na koniec wyciągnęłam ze strzepów sukienki błękitną nić i schowałam ją do kieszeni.

Podeszła do mnie Sylvie.

- *Maman* kazała mi cię zapytać - zaczęła - czy mogę włożyć coś do grobu Marie?

- Co takiego?

Sylvie wyjęła z kieszonki lawendowe mydło.

- Tak - powiedziałam. - Tylko najpierw wyjmij je z opakowania. Mam je włożyć?

- Nie, ja to zrobię. - Położyła się obok grobu i wrzuciła mydło do środka. Potem wstała i otrzepała ubranie.

Nie wiedziałam, co dalej: czułam, że powinnam coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Popatrzyłam na Jean-Paula; ku mojemu zdumieniu stał z pochyloną głową i przymkniętymi oczami i coś szeptał. Mathilde robiła to samo, a Sylvie naśladowała ich oboje.

Uniosłam wzrok i wysoko w górze dostrzegłam szybującego ptaka.

Jean-Paul i Mathilde przeżegnali się i jednocześnie otworzyli oczy.

- Patrzcie - powiedziałam, wskazując na niebo. Ptak zniknął.

- Widziałam - oznajmiła Sylvie. - Nie martw się, Ello, widziałam rudego ptaka.

Po zasypaniu grobu ziemią obłożyliśmy go kamieniami, tworząc piramidę wysokości około osiemnastu cali, żeby zwierzęta nie rozwłóczyły kości.

Kiedy skończyliśmy, dobiegł nas gwizd. Rozejrzeliśmy się dokoła. Monsieur Jourdain stał przy ruinach w towarzystwie młodej kobiety. Nawet z daleka było widać, że jest mniej więcej w ósmym miesiącu ciąży. Mathilde zerknęła na mnie z ukosa, wymieniliśmy uśmiechy. Jean-Paul zrobił zdziwioną minę.

O Boże, pomyślałam. On jeszcze nie wie. Poczułam ucisk w żołądku.

Gdy do nas podchodzili, kobieta nagle się potknęła. Zastygłam bez ruchu.

- *Mon Dieu!* - jęknęła Mathilde.

Sylvie klasnęła w ręce.

- Ello, nie mówiłaś, że masz siostrę!

Kobieta podeszła bliżej i przystanęła. Wymieniliśmy badawcze spojrzenia: włosy, kształt twarzy, brązowe oczy. Następnie objęliśmy się i ucałowały w policzki: jeden, drugi, a potem trzeci raz.

Roześmiała się.

- Wy, Tournierowie, zawsze całujecie trzy razy, jakby dwa nie było dosyć!

Później postanowiliśmy zjechać z góry. Mieliśmy pójść na drinka, a potem udać się każde w swoją stronę: Mathilde i Sylvie do Mende, Elisabeth do Alès, monsieur Jourdain do swojego domu w pobliżu *mairie*, Jean-Paul do Lisle-sur-Tarn. Tylko ja nie miałam pojęcia, dokąd pojedę.

Elisabeth i ja poszłyśmy razem do samochodów.

- Zamieszkasz u mnie? - spytała. - Jeśli chcesz, możesz jechać od razu.

- Jeszcze nie teraz. Mam do załatwienia pewne... sprawy. Ale przyjadę za kilka dni.

Obie z Mathilde rzuciły mi wyczekujące spojrzenia. Jean-Paul zapatrzył się w horyzont.

- Jedźcie - powiedziałam. - Ja pojedę z Jean-Paulem. Dogonimy was.

- Ello, wrócisz z nami do domu, prawda? - zapytała z niepokojem Sylvie, poklepując mnie po ręce.

- Nie martw się o mnie, *chérie*.

Gdy samochody zniknęły nam z oczu, stanęliśmy po obu stronach jego citroena.

- Możemy opuścić dach? - spytałam.

- *Bien sûr.*

Odpięliśmy zabezpieczenia i zrolowaliśmy dach. Następnie oparłam się o samochód, kładąc ręce na szybie. Jean-Paul zrobił to samo po swojej stronie.

- Muszę ci coś powiedzieć - powiedziałam, z trudem przełykając gulę w gardle.

- Po angielsku, Ello.

- No tak. Dobrze. Po angielsku. - Głos znów odmówił mi posłuszeństwa.

- Wiesz co - wtrącił. - Nie miałem pojęcia, że mogę tak cierpieć z powodu kobiety. Od twojego wyjazdu minęły prawie dwa tygodnie. Nie mogę spać, nie mogę grać, nie mogę pracować. W bibliotece narażam się na niewybredne komentarze starszych pań. Przyjaciele myślą, że zwariowałem. Kłócę się z Claude'em o jakieś głupstwa.

- Jestem w ciąży, Jean-Paul.

Spojrzał na mnie; jego twarz była jednym wielkim znakiem zapytania.

- Ale przecież my... - Urwał.

Raz jeszcze pomyślałam o tym, żeby skłamać. Wszystko byłoby o tyle prostsze. Wiedziałam, że przejrzałby mnie na wylot.

- To dziecko Ricka - powiedziałam cicho. - Tak mi przykro. Jean-Paul chwycił głęboki oddech.

- Nie ma czego żałować - odezwał się po francusku. - Chciałaś mieć dziecko, prawda?

- *Oui, mais...*

- No to nie ma czego żałować - powtórzył po angielsku.

- Jeśli ma się dziecko z niewłaściwą osobą, to chyba jest.

- Rick wie?

- Tak. Powiedziałam mu. Chce, żebyśmy zamieszkali w Niemczech.

Jean-Paul uniósł brwi.

- A ty czego chcesz?

- Nie wiem. Muszę myśleć o tym, co jest najlepsze dla dziecka.

Jean-Paul oderwał się od samochodu i przeszedł na drugą stronę drogi, gdzie stanął na skraju usianego kamieniami pola żarnowca. Urwał gałązkę i zgniótł między palcami żółte kwiaty.

- Wiem - szepnęłam. - Przepraszam. To zbyt wiele, prawda?

Gdy wrócił do samochodu, na jego twarzy malował się wyraz niezmaconego, wręcz

stoickiego spokoju. To jego wielka chwila, pomyślałam. I uśmiechnęłam się mimowolnie.

Odwzajemnił uśmiech.

- To, co jest najlepsze dla matki, jest zazwyczaj najlepsze dla dziecka - oświadczył. -
Jeśli ty będziesz nieszczęśliwa, dziecko czeka to samo.

- Wiem. Ale pogubiłam się w tym, co jest dla mnie najlepsze. Nawet nie wiem, gdzie jest mój dom. Na pewno nie w Kalifornii. W Lisle też nie, chyba nie mogę tam wrócić. Nie teraz. Szwajcaria również nie wchodzi w rachubę. A już na pewno nie Niemcy.

- Gdzie czujesz się najlepiej? Potoczyłam wzrokiem dokoła.

- Tutaj - odparłam. - Właśnie tutaj. Jean-Paul rozłożył szeroko ramiona.

- *Alors, tu es chez toi. Bienvenue.*

RS

EPILOG

Spojrzałam na niebo, bladoniebieskie i spłowiałe od wrześniego słońca. Tarn była jeszcze ciepła; położyłam się na plecach, wiosłując ramionami, włosy dryfowały dokoła mnie jak liście. Spojrzałam w dół: nad wodą rysowała się niewielka wypukłość brzucha. Osloniłam ją dłońmi.

Z brzegu dobiegł szelest papieru.

- Co się stało z Isabelle?

- Nie wiem. Czasem myślę, że opuściła Moutier i wróciła do Cévennes. Znalazła swojego pasterza, urodziła dziecko i żyła długo i szczęśliwie. No i nawróciła się z powrotem na katolicyzm, aby móc czcić Maryję.

- Szczęśliwe zakończenie.

- Tak. Tylko że, moim zdaniem, tak się nie stało. Częściej myślę, że podczas ucieczki zmarła z głodu w jakimś rowie, z martwym dzieckiem w łonie, zapomniana i pochowana w bezimiennym grobie.

Zapadła cisza.

- Ale wiesz, co byłoby jeszcze gorsze, a zarazem najbardziej prawdopodobne?

- A może być coś jeszcze gorszego?

- Gdyby pogodziła się ze swoim losem. Została w Moutier i do końca życia mieszkała w domu z ciałem córki pod kominem.

Isabelle kłęka na rozstajach. Ma trzy możliwości: może iść naprzód, może wrócić albo zostać tam, gdzie jest.

- Pomóż mi, Najświętsza Matko - prosi. - Pomóż mi wybrać. Błękitne światło spowija jej postać, przynosząc krótkotrwałą ulgę.

Usiadłam raptownie, opierając stopy na gładkiej podwodnej skale. Rozbudzone dziecko miauknęło jak kotek. Elisabeth podniosła synka z kocyka i przystawiła do piersi.

- Jean-Paul już to czytał? - Postukała palcami w rękopis.

- Jeszcze nie. Ma to zrobić w weekend. Najbardziej boję się jego opinii.

- Dlaczego?

- Bo jest dla mnie najważniejsza. Ma określone zdanie co do tej historii. Nie zostawi na mnie suchej nitki.

Elisabeth wzruszyła ramionami.

- No i co z tego? To twoja historia. Nasza.

- Masz rację.

- A co z tym malarzem, o którym wspominałaś? Z Nicolasem Tournierem?

- Nasz przysłowiowy fałszywy trop.

- Słucham?

- Nic, nic. Odegrał swoją rolę, bez względu na to, co myśli Jean-Paul.

Jacob dociera do rozstajów i widzi matkę na kolanach, skąpaną w błękitcie. Ona go nie dostrzega; chłopiec obserwuje ją przez chwilę, błękit odbija się w jego oczach. Następnie rozgląda się wkoło i obiera drogę na zachód.

RS